



# ZIMA STULECIA

**Grzegorz Sieczkowski**

**GRZEGORZ SIECZKOWSKI**

# **ZIMA STULECIA**

**PORTRET PAMIĘCIOWY KATAKLIZMU**

**THE FACTO**

Redakcja:  
Halina Wojnarska

Korekta, projekt typograficzny i łamanie:

**biały-ogród.pl**

Agata Mościcka

Projekt okładki:  
Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Zdjęcie wykorzystane na pierwszej stronie okładki: Jan Morek / PAP

Zdjęcie wykorzystane na czwartej stronie okładki: Andrzej  
Rybczyński / PAP

Zdjęcie autora na czwartej stronie okładki: archiwum autora

ISBN 978-83-946058-8-9

Copyright © Grzegorz Sieczkowski, 2017  
Copyright © The Facto, 2017

Wydawca:

**THE FACTO**

The Facto Sp. z o.o.  
ul. Skierniewicka 21/53, 01-230 Warszawa  
[www.thefacto.pl](http://www.thefacto.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
woblink.com

## **SZEROKIE MASY ZAINTERESOWANE NARCIARSTWEM (ZAMIAST PROLOGU)**

Rok 1978 nieuchronnie zbliżał się do końca. Wszyscy czekali na święta i Nowy Rok. Jedni na Świętego Mikołaja, drudzy Dziadka Mroza. Dla większości społeczeństwa katolickiego, a przynajmniej wiernego tradycjom, ważne były święta Bożego Narodzenia, ale wtedy z powodu nadchodzących świąt cieszyli się również polscy komuniści.

„Cały kraj uroczyście obchodzi doniosłe rocznice polskiego ruchu robotniczego” – pisało „Życie Warszawy”, bo 15 grudnia obchodzono trzydziestolecie kongresu zjednoczeniowego i utworzenie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dzień później była sześćdziesiąta rocznica powstania Komunistycznej Partii Polski.

„W czasie obchodów, w których wraz z członkami PZPR uczestniczą przedstawiciele sojusznicznych stronnictw ZSL i SD, bezpartyjni i młodzież, przypomina się rewolucyjne tradycje i drogę prowadzącą do zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego, historyczne znaczenie powstania PZPR i jej przewodnią rolę w kierowaniu socjalistycznym rozwoju ojczyzny. Podniosłym momentem zebrań i spotkań jest wręczenie zasłużonym członkom partii odznaczeń państwowych” – relacjonowała gazeta.

Zgodnie z panującą wówczas modą na Śląsku legitymacje partyjne wręczono „grupie młodych przodowników pracy i nauki, wśród nich 50-tysięczną legitymację w katowickiej miejskiej organizacji partyjnej otrzymał górnik kopalni »Wujek« – Ryszard Sikora”. W Ostrowcu Świętokrzyskim uroczyście otwarto długo wyczekiwany przez nie tylko miejscową społeczność obiekt kultury w postaci Muzeum Ruchu Robotniczego Kielecczyny. W Starachowicach

zorganizowano akademię, na której był Zdzisław Kurowski, członek Sekretariatu Komitetu Centralnego PZPR i w tymże Komitecie kierownik Wydziału Przemysłu Lekkiego, Handlu i Spożycia. Na spożyciu – jak mawiali prości ludzie – partia się znała.

Oprócz depeš gratulacyjnych od bratnich partii z bloku sowieckiego, również z innych rejonów świata napływały wiadomości dające polskim komunistom zadowolenie. Cieszyły wiadomości z Węgier, że być może kartkowy cukier da się zrobić z kukurydzy. Ale większą radość sprawił gwałtowny spadek kursu dolara amerykańskiego. Mimo wysiłków nie udało się ukryć satysfakcji po awarii sieci energetycznej we Francji, która na kilka godzin sparaliżowała kraj. „Ustała komunikacja kolejowa – pociągi stanęły w szczerym polu, a czasem nawet w tunelach, skąd żandarmeria musiała ewakuować pasażerów. Stanęło też paryskie metro, przy czym kilkanaście pociągów utknęło między stacjami, tak że pasażerowie musieli na piechotę podążać ku najbliższym peronom – nadawał znad Sekwany specjalny korespondent Leszek Kołodziejczyk. – Dopiero po kilku godzinach w niektórych częściach Paryża i innych miast pojawiło się światło, a po południu także ruszyło metro. Ogromne zatory powstały w miastach, w których nie działała sygnalizacja świetlna, a środki komunikacji zbiorowej poza autobusami przestały działać”. Wstępnie oszacowano, że straty wyniosły pięć miliardów franków.

Paryż sparaliżowany, a w Warszawie, na Woli, minister budownictwa Adam Glazur poświęcił nowy kocioł do ogrzewania miasta. Inną radosną wiadomością był spontaniczny rozwój narciarstwa biegowego. „Myli się ten, kto sądzi, że dopiero sukcesy Józefa Łuszczka spowodowały zainteresowanie szerokich mas społeczeństwa biegami narciarskimi. Medale zakopiańczyka wywalczone podczas mistrzostw świata FIS w Lahti przekonały natomiast wielu o sensie »inwestowania« w biegi narciarskie. Stało się więc narciarstwo także doskonałą okazją do rekreacji dla tysięcy chętnych. Wystarczy spojrzeć na listy startowe biegów, by przekonać się, że są one rzeczywiście masowe – pisało „Życie

Warszawy”. – Biegi chwyciły, i to nie tylko w okolicach uznawanych za wylęgarnię talentów”. Zapowiadano na nadchodzący 1979 rok bogaty kalendarz zawodów biegowych. Nikt nie spodziewał się jednak, że rozwój narciarstwa będzie aż tak spontaniczny. Podobno w pierwszych dniach stycznia sprzedano wszystkie narty.

Koniec roku upływał w klimacie odwilży, choć nie tej wyczekiwanej przez część społeczeństwa, tylko tej atmosferycznej. W końcu tak lubiany przez niektórych Dziadek Mróz przyszedł – używając języka ówczesnej propagandy – planowo i dynamicznie. W Sylwestra 1979 roku zaczęła się zima stulecia.

## O DWÓCH TAKICH TUNELACH, KTÓRE SIĘ SPOTKAŁY

Kiedy patrzymy na okładkę tej książki, to widzimy zdjęcie zrobione przez Jana Morkę, na którym podziwiamy narciarza przemierzającego Śródmieście Warszawy. W chwili, kiedy fotograf nacisnął migawkę, „sportowiec” znajdował się na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Królewskiej. Było to bardzo ruchliwe skrzyżowanie. Centrum stolicy. Powojenne zmiany przebiegu ulic sprawiły, że Marszałkowska stała się główną arterią miasta, niczym droga wiodąca przez wieś. Nie można było jej ominąć, przemieszczając się z Północy na Południe.

Jeszcze w latach siedemdziesiątych niektóre przejeżdżające Marszałkowską tramwaje skręcały w Grzybowską i zmierzały dalej, na Wolę. Potem je zlikwidowano, zastąpiono autobusami. Przez kolejne lata, jeśli jakiś tramwaj skręcał w kierunku Woli, było wiadomo, że jest zepsuty i usuwa się go z trasy. Na transport do zajezdni czekał na placu Grzybowskim.

Ulica Królewska prowadziła w kierunku placu Zwycięstwa (takie miano nosił wówczas plac Piłsudskiego), Krakowskiego Przedmieścia i Starego Miasta. Do Królewskiej przylegał park Saski, często odwiedzany przez starszych ludzi, matki z dziećmi, grupy szkolne i przedszkolne. Parkowymi alejkami biegali licealiści w strojach sportowych: byli to uczniowie pobliskiego liceum im. Mikołaja Reja, które miało mikroskopijne boisko i tradycyjnie wykorzystywało miejski ogród do lekcji wuefu. Było to miejsce ruchliwe, nawet chyba bardziej niż dzisiaj. Do niedalekiego biura projektów wchodziłi i wychodzili interesanci, urzędnicy krążyli po okolicy, wychylając po drodze lampkę winiaku w kawiarni mieszczącej się w narożnym domu przy Marszałkowskiej, socrealistycznym gmaszysku rodem

z czasów budowy MDM. Knajpa łańcut miała nijaki wystrój, wypełniały ją pseudostylowe meble z litego, jasnego dębu. Dziś w tym miejscu znajduje się modny lokal, w którym serwuje się młodzieży naleśniki.

Wiele osób ściągało w te okolice, nęconych atrakcyjną ofertą handlową. Wzdłuż Marszałkowskiej, między Królewską a Świętokrzyską, ciągnęły się pawilony handlowe, w których towary wystawiali prywatni, czyli ludzie niezwiązani z państwowymi sklepami. Można było tu kupić ubrania uszyte przez krawców, a nie przez państwowe fabryki, lampy mosiężne, a nie plastikowe, a nawet egzotyczne produkty spożywcze, bowiem przez jakiś czas w pawilonach działał sklep towarów kolonialnych, w którym unosił się zapach przypraw, suszonych fig i czegoś nieokreślonego. Chyba dalekiego świata.

W czasach PRL warto było wysiąść z tramwaju przy parku Saskim.

– Rzadko zdarzało się, by to miejsce było wymarłe – wspomina Beata Modrzejewska.

Nasz narciarz z okładki zapewne przebiegł obok bloku, w którym niewielkie mieszkanie na piętnastym piętrze zajmowali państwo Hernikowie. Ten charakterystyczny wielki budynek, typowy dla osiedla Za Żelazną Bramą, mieścił się na rogu Królewskiej i Marszałkowskiej. Mieszkanie spełniało najlepsze standardy PRL, czyli było małe – zaledwie dwadzieścia siedem metrów – i ciasne. Miało też nieszczelne okna z ładnym widokiem na Ogród Saski, historyczny miejski park. Okna były tak nieszczelne, że nawet kiedy były zamknięte, przedostawał się przez nie śnieg. Nic zresztą szczególnego w tamtych czasach, to była pewna norma.

Ponieważ zanosilo się, że będzie źle, czyli spadnie śnieg, pani Jolanta Hernik wybrała się rano 31 grudnia 1978 roku do apteki po szeroki plaster. Było coraz zimniej, wiało nieprzyjemnie, a to przy nieszczelnych oknach źle zapowiadało koniec starego i początek nowego roku. Szeroki plaster był tutaj środkiem niezbędnym. Ba! Jedynym ratunkiem. Opady deszczu zmieniały się stopniowo w padający śnieg.



– Kiedy dotarłam do pierwszej apteki, plastrów już nie było. Wszystkie ludzie wykupili. A w następnej stała kilkudziesięcioosobowa kolejka tylko po te plastry. – Też stanęła, bo co innego mogła zrobić. Ludzie stoją, to znak, że plastry są. Jak ich nie będzie, to znaczy, że plastry też się skończyły. Wyszły, jak się wtedy mówiło. Tymczasem wiatr robił się coraz silniejszy. – To była wichura.

– Rano była taka ślizgawka na jezdni, że pojęcie przechodzi – uzupełnia jej mąż Wojciech, autor pomysłu zakupu rolek plastra, który na szczęście udało się dostać i można było nim uszczelnić okno. W tej sytuacji nie pozostawało nic innego do roboty jak świętowanie Nowego Roku.

Na sylwestra Hernikowie wybierali się do Pałacu Młodzieży. Osobom nieznanym Warszawy należy wytłumaczyć, że nie był to jakiś odrębny budynek, ale placówka dla dzieci i młodzieży z całej Warszawy znajdująca się w Pałacu Kultury i Nauki, najwyższym budynku stolicy. Był to taki wyspecjalizowany ośrodek kultury, który prowadził różne koła zainteresowań. Tutaj uprawiało się sport, korzystało z zajęć plastycznych i technicznych, śpiewało się i tańczyło. Pan Wojciech Hernik jest artystą metaloplastykiem, jubilerem i generalnie barwną postacią, która ciągle rozwija swoje przeróżne zainteresowania. I taki też był, kiedy pracował z dziećmi i nastolatkami w Pałacu Młodzieży. Miał blisko z mieszkania na Marszałkowskiej, bo odległość z ich bloku do PKiN to trasa jednego przystanku tramwajowego i dwa krótkie spacery. Pan Wojciech nie korzystał z tramwaju, wolał się przejść.

– Co roku w ogrodzie zimowym Pałacu Młodzieży odbywały się zabawy sylwestrowe, a tak się zwykle składało, że kiedy grupa moich znajomych ocknęła się zbyt późno i już nigdzie nie było wolnych miejsc, zawsze coś znalazłem. Bale organizował mój kolega, więc mówiłem mu: „Heniu, potrzebuję dwadzieścia miejsc”, a on wtedy do mnie: „Wojtek, mowy nie ma, chyba że coś wyszukasz”. I wyszukiwałem. Znajdowałem jakieś pomieszczenie, a on wstawiał tyle stolików, ile było trzeba. I tak mieliśmy zorganizowanego

sylwestra – tłumaczy Wojciech Hernik.

Warunkiem pójścia na zabawę noworoczną było przywiezienie do córki państwa Herników, która miała wtedy cztery i pół roku, babci. Około czwartej po południu pan Hernik zszedł na dół, by uruchomić zaparkowany pod blokiem samochód i udać się do swojej mamy z ważną misją. Był to maluch, czyli fiat 126p, w kolorze kości słoniowej. Kiedy próbował zapalić, auto milczało. Akumulator się rozładował. Zła prognoza, minęła czwarta po południu. Mróz wielki. Wszystko na ulicy stoi, tramwaje pozakopywane. Rozpacz. Wojciech Hernik zadzwonił do swojego przyjaciela jeszcze z czasów podstawówki.

– Wiesz, stary, nie będziemy na sylwestrze. Nie mam jak ściągnąć matki do opieki nad dzieckiem.

– Co ty? Nie może tak być. Musisz przyjść. Poczekaj, przyjadę do ciebie.

Koledze, który mieszkał na Służewcu, też nie udało się odpalić samochodu, ale tak się zaangażował w sprawę, że w jakiś cudowny sposób dotarł do Śródmieścia. Przyjaciel więc jest, ale nadal nie ma samochodu, a trzeba przecież pojechać na drugą stronę Wisły. I przywieźć babcię z Pragi. Pani Jolanta Hernik straciła już nadzieję na zabawę sylwestrową, bo pora robiła się coraz późniejsza.

– Chodź, pójdziemy na plac Dzierżyńskiego, tam jest duży postój, pewnie jakąś taksówkę złapiemy – zaproponował przyjaciel, bo człowiek w biedzie wszystkiego się chwyci.

Na placu, który dzisiaj znów nosi starą, historyczną nazwę Bankowy, oczywiście nie było żadnych taksówek, a i ludzi trudno było spotkać, bo kto żyw uciekał przed mrozem i śniegiem. Właściwie to poza nimi jedynym człowiekiem, który się tam kręcił, był jakiś mężczyzna z zasypanym maluchem.

– Panowie, może byście mi pomogli? – poprosił.

– Ale pod jednym warunkiem. My pana z tego śniegu wydłubiemy, a pan pojedzie z nami po babcię na Pragę i wróci do Śródmieścia z powrotem. Zwracamy za benzynę.

Mężczyzna się zgodził, więc pan Hernik z kolegą wyciągnęli mu

malucha z zasy. I ruszyli. Po drodze widzieli, jak przez most w jedną i drugą stronę tłumy ludzi się przebijały. Ich samochód był jedynym, który jechał. Tramwaje stały. Bali się tylko, żeby jakaś trudna do usunięcia przeszkoda nie storpedowała ich ekspedycji. Szczęśliwie dojechali na Stalową, babcię do wnuczki zabrali, po czym na piechotę udali się do Pałacu Kultury i Nauki. A tam okazało się, że jest jakoś pustawo. Nie była to zresztą jedyna zabawa sylwestrowa w gmachu PKiN. Piętro wyżej swój bal miało biuro podróży, a dokładniej Biuro Turystyki Młodzieżowej „Juventur”. Im też w końcu udało się jakoś dowieźć przedstawicieli ruchu młodzieżowego.

– U nas była tak mniej więcej połowa gości. Ale zabawa się udała – wspominają Hernikowie.

Ponieważ na stolikach był również alkohol dla tych, którzy nie przyszli, więc po północy te bezpieczeństwa trunki – szampan i wódka – zostały wykorzystane przez niektórych biesiadników. Jednak dla wielu największym problemem okazał się powrót, bo jakoś dotarli na imprezę, ale nad ranem sytuacja na zewnątrz wcale się poprawiła, a nawet pogorszyła. Jolanta i Wojciech Hernikowie mieli blisko i bez trudu wrócili do domu. Inni mieli o wiele gorzej. Na Jelonki lub Ursynów musieli iść piechotą. Oczywiście, jak ktoś miał szczęście, mógł spróbować jazdy na łebka. Pod tym powszechnie używanym terminem kryła się jazda cudzym prywatnym samochodem za pieniądze. Taki spontaniczny pre-uber. W PRL było trudno o taksówki, komunikacja zbiorowa też szwankowała, więc jazda na łebka była uzupełnieniem tej mocno szwankującej oficjalnej oferty. Nielegalna, bo kierowcy za przejazd brali pieniądze, można ich było potraktować nawet jako spekulantów, stosowne paragrafy łatwo by się znalazły, ale i też nie była specjalnie zwalczana, bo zapewniała swobodne przemieszczanie się na masową skalę. W noworoczny poranek 1979 roku taryfa – jak ktoś miał szczęście spotkać cudem uruchomiony samochód – była zwielokrotniona, ale nie można się temu dziwić. Przecież za szczęście trzeba płacić.

Pan Wiesław Łyszkiewicz, brat pani Jolanty Hernik i młody człowiek

szukający pomysłów na życie, był wtedy kierowcą Miejskich Zakładów Komunikacyjnych w Warszawie. Pracował w zajezdni autobusowej na ulicy Redutowej.

Zajezdnia w zimę stulecia przeżywała niezwykle chwile. Nie obowiązywały normalne zasady, rozkłady jazdy, nie wiadomo było, który autobus jest lub będzie sprawny. Trzeba było zastosować zasady wyjątkowe, odstępstwa od reguł, więc je zastosowano. Jak ktoś docierał do pracy, dyspozytor mu mówił: „Bierz autobus, który ci się uda uruchomić, i jedź. Jak widzisz ludzi, to ich zabieraj”.

– Nasze kierownictwo mówiło, że jeśli ktoś może jechać, to ma jechać. Linie, rozkłady się nie liczyły. Ważne, żeby autobusami pasażerowie jeździli. Nieważne, w którą stronę jedziesz, ważne, żebyś wziął jak najwięcej ludzi – opowiada Wiesław Łyszkiewicz.

Tak więc jeździli, szczególnie na początku. Jechali tam, gdzie mogli dojechać. Tam gdzie ludzie czekali.

Pamięta, że na Redutowej w zajezdni nie gasiło się silników samochodów. Pracowały przez całą noc. Jeśli jakiś samochód zgaś, kierowcy i mechanicy palili pod nim, żeby rozgrzać olej.

– A w ogóle to niewiele jeździło, bo to były hamulce pneumatyczne. Na filtry powietrza. Te filtry wodę zatrzymywały, a ona zamarzała w przewodach – opowiada Wiesław Łyszkiewicz.

Zwykle jeździł autobusem linii numer 172, który kursował na trasie z Ochoty, od ulicy Korotyńskiego, na Sadybę, a więc musiał zjeżdżać ulicą Dolną ze skarpy wiślanej lub wjeżdżać pod górę w zależności, w którą stronę podążał. Pewnego dnia podczas zimy stulecia były opady śniegu z deszczem i jednocześnie chwytał mróz, więc nie dawało się zjechać ulicą. Nawet ci piesi, którzy próbowali iść w dół, przewracali się i zjeżdżali na pośladkach. Samochody, w tym autobusy, stały przy zjeździe na ulicy Puławskiej przez trzy godziny. W drugą stronę też nikt nie jechał.

– Solniczka to pod górę jechała tyłem, bo inaczej się nie dało – opowiada i przypomina, że solniczkami nazywali kierowcy samochody rozsypujące sól na jezdni.

W zajezdni na Redutowej w taborze były same tak zwane ogórki,

czyli autobusy Jelcz. Berliety, jeszcze te francuskie, dwudrzwiowe, mieli tylko w zajezdni na Chełmskiej. Te berliety, wygodne dla kierowców, były prawdziwym przekleństwem dla pasażerów. Jedne drzwi znajdowały się przy kierowcy, drugie w środku pojazdu. Od nich, czyli od połowy, do końca autobusu były miejsca siedzące przedzielone bardzo wąskim korytarzykiem. W tyle berlieta miejsca siedzące usytuowane były wyżej, bo na silniku. I jak ktoś wcześniej wsiadał do w miarę jeszcze luźnego pojazdu i sadowił się na końcu, to często jak się potem zrobił tłok, co było normą, nie mógł się przepchać do drzwi i czasami pół miasta musiał przejechać, zanim udało mu się wydostać.

– Jak w ogórku może być zimno? – dziwi się pan Łyszkiewicz.

Ogórek to autobus produkowany w Jelczu przez ćwierć wieku, od 1959 roku, przeznaczony do komunikacji miejskiej i dalekobieżnej. Jelcz był licencyjną odmianą czeskiej škody rto. Z powodu charakterystycznego opływowego kształtu został potocznie nazwany ogórkiem. Bez wątpienia był najpopularniejszym autobusem i jednym z najbardziej charakterystycznych pojazdów na drogach w czasach PRL.

W środku obok miejsca kierowcy znajdowała się półkolista pokrywa osłaniająca dostęp do silnika. W czasie mrozów kierowcy podnosili ją, podkładali cegłę i wtedy ciepło silnika wpadało do środka, ogrzewając głównie miejsce kierowcy.

– Cegłę się kładło, żeby obudowa nie opadała do samego dołu. I z tej dziury spaliny razem z ciepłem człowieka ogrzewały – śmieje się Wiesław Łyszkiewicz. – Jakoś to się przeżyło. Ale pasażerowie to ogrzewania nie mieli prawie w ogóle.

Z kolei mama pani Jolanty, także w Warszawie, pracowała w Unimie. To były duże zakłady produkujące elektronikę. Znajdowały się na Służewcu Przemysłowym. Mama pani Jolanty prowadziła tam stołówkę dla pracowników. Pierwszego stycznia ogłoszono, że kobiety niepracujące w służbie zdrowia, administracji publicznej i w innych służbach mogą nie przychodzić do pracy. Mama pani Jolanty była jednak bardzo sumienną osobą. W końcu

ludzie z jej zakładu pracują i muszą zjeść posiłki regeneracyjne, więc 2 stycznia w nocy, o trzeciej, wyszła z mieszkania na Mokotowie, na ulicy Dąbrowskiego, i ruszyła do swojej pracy, żeby zapewnić ludziom ciepły posiłek.

– I dotarła, ale nie miała czego wydać, bo zup nie dowieźli – opowiada pani Jolanta.

Wtedy żyła jeszcze babcia pani Jolanty, która samotnie mieszkała w Wesołej pod Warszawą. Ta podmiejska okolica nie była zabudowana tak jak teraz, domów stało niewiele. A rodzice pani Jolanty co kilka dni przyjeżdżali do starszej pani, przywozili jedzenie i pranie, zabierali brudne rzeczy. Pomagali też w jakichś drobnych domowych pracach, które przecież zdarzają się na bieżąco. Na szczęście byli z wizytą przed Nowym Rokiem, więc w pierwszych dniach stycznia starsza pani miała co jeść. Mama pani Jolanty wybrała się do swojej mamy dopiero pod koniec pierwszego tygodnia 1979 roku. Autobus co prawda miał przystanek i pętlę niedaleko domu babci pani Jolanty, ale jednak to, co latem jest krótkim, kilku- lub kilkunastominutowym spacerem, zimą w śniegu i przy mrozie wydłuża się niepomniernie. A ten odcinek trzeba było pokonać wąską ścieżką w zaspach po pas.

– Mama sobie wtedy nogi odmroziła, ale dotarła i doniosła jedzenie dla babci – mówi pani Jolanta.

W najtrudniejszej sytuacji podczas zimy stulecia znalazł się ojciec pana Wojciecha Hernika. Akurat wtedy w jego życiu doszło do poważnych zmian. Nie należał do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a mimo to udawało mu się przez jakiś czas funkcjonować na stanowisku dyrektora administracyjnego w ministerstwie energetyki. W tamtym okresie z pierwszym sekretarzem KC PZPR, który wcześniej kierował partyjnymi strukturami na Śląsku, przybyła do Warszawy cała ekipa z Katowic. Zajmowali wysokie stanowiska w centralnych urzędach. Ta ekipa z czasem powiększała się coraz bardziej. Katowicki desant – jak niekiedy określano tę grupę – opanowywał coraz więcej stanowisk w coraz większej liczbie różnych instytucji.

– W pewnym momencie okazało się, że ojciec zajmuje ważne dla nich miejsce, a nie jest ani z tej ekipy, ani z partii. W końcu został zmuszony do przejścia na wcześniejszą emeryturę, co bardzo przeżył – opowiada Wojciech Hernik.

Trochę wcześniej mieli z ojcem wspólny pomysł kupna gospodarstwa rolnego. Nie było to proste. Wojciech Hernik był zatrudniony jako nauczyciel, więc nie mógł mieć więcej niż hektar. Poza tym, żeby kupić gospodarstwo ze skrawkiem gruntu rolnego, wymagane było posiadanie uprawnień rolniczych. Aby je mieć, najlepiej trzeba było pochodzić ze wsi albo przynajmniej mieć potwierdzoną pracę na wsi. Dopiero wtedy można się było dostać na specjalny kurs rolniczy, po którym zdawało się egzamin i stawało się legalnym rolnikiem. Panowie Hernikowie, starszy i młodszy, pokonali tę ścieżkę. Zdobyli uprawnienia i kupili wspólnie małe i zaniedbane gospodarstwo w okolicach Dobrego w dzisiejszym powiecie węgrowskim na Mazowszu.

– Fajne gospodarstwo, takie uroczysko właściwie. Autobus niby tam dojeżdżał, ale trzeba było spory kawałek przejść przez las. Jedna chałupa w lesie i nic więcej. Najbliżsi sąsiedzi też w lesie, ale oddaleni o kilkaset metrów – mówi Wojciech Hernik.

Wiosną 1978 roku rozżalony utratą pracy i przymusową wcześniejszą emeryturą ojciec pana Hernika postanowił porzucić miejskie życie i na stałe wynieść się do domu na wsi. Sytuacja dość niezwykła, bo mężczyzna dojrzały, sześćdziesięcioletni debiutuje w życiu wiejskim. Wie, że coś trzeba kupić, przygotować się na pewne okoliczności, ale jeszcze nie ma doświadczenia, co i w jakich ilościach będzie potrzebne. Wiadomo, zima się zbliża, opał musi być.

– Chałupa była wiatrem podszyta, ojciec coś tam poutykał. Zgromadził jakieś drewno, trochę węgla. Drewno poukładał w stodole. Pewnego dnia, jeszcze przed Nowym Rokiem, zerwał się silny wiatr. Tę stodołę podniosło do góry, po chwili osiadła i cała się rozsypała. Zebrany opał przykryła sterta desek, ale można było przynajmniej w tej sytuacji palić stodołę, co nie było takie złe.

Ponieważ siedział w domu sam, nadejścia Nowego Roku specjalnie nie celebrował. Położył się normalnie, dość wcześnie – jak to na wsi – spać. Rano obudził się, a że przez okna nic nie było widać, podszedł do drzwi, otworzył je i zderzył się ze ścianą śniegu. Było go tyle, że sięgał do wysokości domu.

Jako człowiek jeszcze miastowy, nie zgromadził dużego zapasu drewna w samym domu. Przecież miał chodzić po nie do stodoły, a raczej po drewno ze stodoły. Opału było dużo, ale poza domem, więc pojawiło się pytanie, jak do niego dojść. Starszy pan przypomniał sobie wtedy o starym wynalazku. Ze sznurków i kawałków drewna zrobił rakiety śnieżne, dzięki czemu mógł przedzierać się po opał.

W domu miał trochę ziemniaków, jakiś chleb, coś do niego. Zapasy żywności może starczyłyby na kilka dni, ale zanosilo się, że trzeba będzie siedzieć w środku do wiosny. A w takiej sytuacji jedzenia było stanowczo za mało. Należało coś wymyślić, bo inaczej człowiek skazany byłby na niechybną śmierć. Najbliższe gospodarstwo było oddalone o kilkaset metrów i też pewnie odcięte od świata. Jednak mieszkające w nim starsze małżeństwo miało krowę, kury i pewnie dużo większe zapasy ziemniaków.

– Wtedy ojciec zaczął kopać w ich kierunku tunel – relacjonuje pan Hernik.

Na szczęście sąsiedzi też martwili się o niego i postanowili ruszyć mu z pomocą. Również zaczęli kopać tunel. Sąsiad na świeżo odkopanym miejscu kładł boki od fury, żeby utwardzić grunt pod nogami, i dalej drążył. Po trzech dniach przebijania się przez śnieg dwa tunele się spotkały.

– Na szczęście ojciec miał niesamowity kontakt z ludźmi, mieszkał też już jakiś czas na tej wsi, więc kiedy zima się zaczęła, był już swój – opowiada Wojciech Hernik. – Najważniejsze, że wykopali ten tunel między dwoma gospodarstwami. Sąsiedzi wiedzieli, co to znaczy zima na wsi.



## TERMOMETR PRZESTAŁ BYĆ OBIEKTYWNY

Na okładkowym zdjęciu po prawej stronie mężczyzny jadącego na nartach widać pewien budynek. Jest to niewielki biurowiec przedsiębiorstwa turystycznego Orbis, który na początku lat siedemdziesiątych wybudowali w Warszawie Szwedzi. Dokładniej, Polacy zapłacili Skandynawom, by zbudowali nowoczesny budynek biurowy. Był to nieduży obiekt, ale z powodu użycia zachodnich materiałów wyglądał elegancko i światowo. Warszawiaczy lubili go, nazywany był czasami żabką, choć ta nazwa jakoś nie utrwaliła się w świadomości społecznej. Został zburzony na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku i zastąpiony wielkim gmachem należącym do jednego z banków.

W pobliżu, za budynkiem Orbisu, w bloku przy placu Dąbrowskiego mieszkała Beata Modrzejewska. Wówczas z jej okien na piątym piętrze było widać skrzyżowanie Marszałkowskiej i Królewskiej. Widziała też dom, w którym mieszkali państwo Jolanta i Wojciech Hernikowie.

– Przez lata nic nie zasłaniało nam widoku na skrzyżowanie. Tam, gdzie dziś jest wysoki gmach, był rozległy trawnik kończący się od strony Królewskiej kioskiem Ruchu. Przez trawnik wiodły latem wydeptane w wysokiej trawie ścieżki, bo przecież nikt jej nie ścinał na czas. Kiedyś, dzień przed wyjazdem na wczasy z rodzicami, wysłałam z piłką plażową pograć z koleżankami właśnie na tym trawniku. Wyrośnięte źdźbła sięgały nam nieomal do pasa. Kiedy z piłki wyleciała zatyczka, była nie do odnalezienia. Nad morze pojechałam bez piłki. Zimą skrzyżowanie było białe. Dla dzieci to był raj. Ojcowie wozili je na saneczkach do Parku Saskiego, a tam jeździło się z górki, czyli wieży ciśnień, wprost na zamrznięty staw.

Biurowiec Orbisu nieco ucywilizował wygląd narożnika ulicy. Nadal z naszego okna widzieliśmy skrzyżowanie, tory, czasem dobiegał nas głośny trzask. Wtedy biegliśmy do okna i widzieliśmy kraksę – opowiada dawna właścicielka okna z widokiem.

Tamtego pamiętnego sylwestra postanowiła spędzić w domu. Nie chciało jej się nigdzie iść. Mogła się spokojnie zrelaksować przed telewizorem. Mieszkała z rodzicami, ale oni poszli do znajomych, którzy zajmowali lokal kilka przystanków tramwajowych dalej, też na Marszałkowskiej, nad kinem Luna.

Role jakby się odwróciły, pożegnała rodziców idących na imprezę, być może dała kilka rad, by uważali na siebie. I kiedy wyszli, spokojnie usiadła przed telewizorem. Spojrzała w okno. Nie było wielkiego śniegu, w domu ciepło, mrozu też nie odczuwała, nawet jej się wydawało, że łagodna aura z ostatnich dni nadal, mimo oziębienia, się utrzymała. Wyluzowana oddała się błahej acz przyjemnej rozrywce, jaką jest oglądanie telewizji.

Mieszkanie było ciepłe. Niewielkie, miało zaledwie trzydzieści sześć metrów kwadratowych. W kaloryferach nie brakowało żeberek, więc grały solidnie. Zawsze było w nim gorąco, dlatego pani Wiesława, mama Beaty Modrzejewskiej, zakręcała grzejniki, żeby się nie przegrzewać. Na ścianie między pokojem a kuchnią, z dala od kaloryferów, promieni słonecznych, przeciągów oraz innych zjawisk, które mogłyby zakłócić prawidłowy odczyt, wisiał termometr pokojowy. Wskazywał rzeczywistą temperaturę mieszkania. Ambicją właścicieli tego lokalu: ekonomistki i rewidenta, czyli rodziców Beaty Modrzejewskiej, było bowiem posiadanie wiedzy o obiektywnej temperaturze mieszkania. A ta powinna być zawsze taka sama.

Około dziesiątej wieczorem oglądająca telewizję Beata Modrzejewska skonstatowała, że jest jej chłodno. W pierwszej chwili pomyślała, że się przeziębiła. Wiadomo, jak człowiekowi jest zimno, może to być objaw choroby. Po chwili jednak wstała i postanowiła zobaczyć wskazanie termometru, który mierzył tak obiektywnie. Było 15 stopni, a to oznaczało, że termometr musi być zepsuty, bo przecież w zobiektywizowanym świecie temperatura pomieszczenia

nie mogła odbiegać od przyjętej i stale obowiązującej normy. Poza tym zimą nigdy nie było w tym mieszkaniu tak zimno.

Krótko mówiąc, taka temperatura była zupełnie nieprawdopodobna. Toteż dziewczyna na swetrową sukienkę z szetlandzkiej wełny założyła sweter, myśląc, że to jednak przeziębienie. Zrobiła sobie ciepłej herbaty, którą nalała do szklanki. Szklanka była w specjalnym koszyczku z uchem, więc trzymając ją, podeszła do okna i odstłoniła zasłony. Spojrzała w stronę skrzyżowania Królewskiej z Marszałkowską, które widziała ponad budynkiem Orbisu. Było dziwnie pusto. Nigdy wcześniej nie było takiej dziwnej pustki w tym miejscu. Ubrała się i wyszła na balkon. Wokół panowała cisza, nikogo nie było widać. Miasto wydawało się wymarłe, jakby nic w nim nie funkcjonowało. I wokół biało.

– To było takie dziwne wrażenie. Śnieg przyszedł tak niespodziewanie i cicho. Nie walił jak podczas zamieci, podszedł z zaskoczenia. Nagle zrobiło się zimno. I cicho. Tej ciszy wokół nigdy nie zapomnę – wspomina Modrzejewska.

Dotknęła żeberka kaloryfera. Były lodowate.

Jej rodzice wrócili od znajomych pieszo, na szczęście nie mieli daleko. Po drodze nie widzieli żadnego samochodu osobowego, nie jechał żaden autobus (tramwaje w latach siedemdziesiątych nie kursowały nocą w Warszawie). Mijali innych, którzy zdecydowali się na powrót do domu. Atmosfera sylwestrowa uleciała. Wszyscy żmudnie wydeptywali w śniegu pierwsze ścieżki.

– Nawet następnego dnia, kiedy nadal było zimo i rozmiar kłęski stawał się widoczny, nie przyszło mi do głowy, że ferie zostaną przedłużone. Co jakiś czas dzwoniłam do mojej przyjaciółki, która powinna była już wrócić z wyprawy na narty, ale ciągle jej nie było. Potem dowiedziałam się, że musiała walczyć o miejsce w pociągu i wracać etapami, zatrzymując się po drodze i czekając na utorowanie drogi. W jednej miejscowości spędziła nawet kilka dni. Tak czy siak do szkoły wróciliśmy z opóźnieniem.

Po latach te kilka ciężkich zim PRL-owskich, prawdziwych zim, jak dzisiaj wspomina wielu, z tym, co wydarzyło się w 1979 roku, złało

się ludziom w jedną, totalną białą socjalistyczną katastrofę, w której samoloty nie latały, pociągi nie kursowały, w domach było zimno, a w telewizji mówili, że zima znowu zaskoczyła drogowców. Ludzie do dzisiaj opowiadają sobie o zimie stulecia, często mając na myśli kilka zim.

Beata Modrzejewska podobnie, nie ma pewności, czy to tej zimy, poprzedniej czy też następnej, kiedy mróz zaatakował znienacka i gwałtownie, nagle do drzwi mieszkanka w bloku przy placu Dąbrowskiego zapukała żona kuzyna matki, przemiła i zawsze wesoła Ala Karpińska.

– Musicie mnie ratować! – krzyknęła od progu.

Co się okazało, ta matka trójki małych dzieci stanęła naraz przed koniecznością zlikwidowania skrzynki wina reńskiego. Jej mąż, inżynier Ryszard Karpiński, pracował na zlecenie Mostostalu w Berlinie i przywiózł jesienią właśnie taki rarytas. Mróz wysadził korki w butelkach przechowywanych na balkonie.

– Przecież ja tego nie wypiję. Rozwożę wino po całej rodzinie – dodała, zanim padła zmęczona na fotel. I tak dzięki atakowi mrozu pewna skromna rodzina w dzień powszedni miała okazję raczyć się reńskim winem. Mocno schłodzonym.

– Pierwszy raz od powrotu z Niemiec piję reńskie wino – stwierdził z zadowoleniem Tadeusz Modrzejewski. Z Niemiec wrócił w 1945 roku.

Beata Modrzejewska nie jest pewna, której zimy została poproszona o zaopiekowanie się kuzynką w Łomży. Dziewczynka była w podstawówce. Jej ojciec jechał na jakieś szkolenie, matka do sanatorium z młodszym wątłym dzieckiem, ona zaś nie miała z kim zostać. A musiała chodzić do szkoły, nie mogła więc wylądować u dziadków w innej miejscowości. Ponieważ ferie młodzieży łomżyńskiej i warszawskiej odbywały się w różnym terminie, Warszawa mogła pomóc Łomży. W tym czasie miasto to było spokojne, niezbyt ożywione, za to skute mrozem. Było naprawdę zimno. Kłopotliwe koleiny wyrobione w sypkim śniegu pozamarzały na beton. Trzeba było przechodzić przez nie uważnie, żeby nie

zawadzić o nie nogą albo poślizgnąć się na rozjeżdżonym lodzie.

Mimo to opiekunka i jej podopieczna postanowiły pójść do kina. Grano amerykańsko-radziecki film „Błękitny ptak” w gwiazdorskiej obsadzie, z między innymi Elizabeth Taylor i Jane Fondą. Jakież było zdziwienie dziewcząt, kiedy okazało się, że w sali kinowej są tylko cztery osoby. Seans jednak się zaczął, a im dłużej trwał, tym było zimniej. W końcu rezolutna podopieczna rzuciła:

– Sprawdzę, czy piec grzeje!

I wtedy opiekunka zdała sobie sprawę, że sporą salę ma ogrzać jeden kaflowy piec. To było bardziej nieprawdopodobne niż baśniowa fabuła filmu. Nie było co ryzykować zapalenia płuc, dziewczyny wyszły z kina. Mijając piec, dotknęły go. Był oczywiście zimny jak lód.

Pewnego dnia zrobiło się w Łomży zupełnie biało. Drobnym, niewinny śnieżek padał i padał. Wśród ludzi na dworcu autobusowym zapanowała lekka nerwowość.

– Siedziałam przy oknie. Autobus się zappełnił i niespodziewanie sprawnie ruszył. Ktoś za nami biegł, ale kierowca się nie zatrzymał. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak dużo śniegu spadło, póki nie wyjechaliśmy z miasta. Było zupełnie biało, jak w zupie mlecznej. Jednostajna biel. Przy drodze ogromne zaspę wpełzające na jezdnię, która też była biała. Jechaliśmy w wielkiej, białej śnieżnej koleinie. W autobusie nikt nie rozmawiał. Nie bardzo pamiętam, ale chyba kierowca nie włączył radia. Jakoś sama domyśliłam się, że możemy utknąć, ale wydawało mi się to nierealne. W Warszawie na dworcu autobusowym Stadion na Pradze powitała mnie zdenerwowana mama. „O jak dobrze. To ostatni autobus z Łomży. Łomża jest odcięta” – powiedziała. Gdybym nie wsiadła do tego właśnie autobusu, musiałabym czekać w Łomży na odwilż – mówi Beata Modrzejewska.

## **DYREKTOR MRÓZ WALCZY Z MROZEM**

– Byłem wówczas zastępcą dyrektora do spraw eksploatacji SPEC. Miałem już wcześniej przydzielony samochód, fiata 125p, i do bagażnika tego samochodu koledzy włożyli mi ważącą ponad dwieście kilogramów płytę metalową (zwiększała obciążenie pojazdu, dzięki czemu koła się nie ślizgały), żebym mógł się przedostawać w różne miejsca, gdzie były większe awarie, i nadzorować naprawy. Tramwaje nie chodziły, komunikacja zamarła. W Nowy Rok 1979 roku cała Warszawa była nieprzejezdna – opowiada Janusz Mróz, słynny i długoletni dyrektor Stołecznego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej.

Główne ulice, jak Marszałkowska, obecna Jana Pawła II, a wtedy Juliana Marchlewskiego czy Puławska były mocno wyslizgane przez samochody. Służbom drogowym nie udało się ich doprowadzić do porządku. Tymczasem Mróz musiał z Okopowej zawieźć pracownika do szpitala, bo ten zranił się w czasie pracy. Później jechał godzinę z Żoliborza, z ulicy Stołecznej (dzisiaj ks. Jerzego Popiełuszki), na Wolską. To było trudne. Co prawda nie było dużego ruchu, wielu samochodów, ale ci, co się odważyli jechać, musieli mieć dobre auto, zwłaszcza opony.

W zimę stulecia SPEC miał już własną bazę transportową i remontową, a w niej ponad dwieście pięćdziesiąt różnych samochodów, spycharek i innego sprzętu. Był on wtedy używany nie tylko przez SPEC, ale też inne ekipy, uruchamiane, kiedy trzeba było dokonywać najpilniejszych napraw.

– Nie miałem wtedy łańcuchów. Gdybym je miał, dużo lepiej by mi się jeździło – twierdzi Janusz Mróz.

Pracował całą dobę. Zresztą nie on jeden. Jego szef, dyrektor

Klimek, organizował wtedy codziennie dwie odprawy, rano i wieczorem. Kierownicy jednostek dzielnicowych, szef pogotowia technicznego oraz zastępca dyrektora do spraw eksploatacji, czyli Mróz, relacjonowali sytuację i ustalali, gdzie jakie grupy remontowe trzeba przesunąć, żeby szybko naprawić awarie. Tym bardziej że w całym systemie ciepłowniczym liczba awarii (jak pamiętają ci, co wówczas żyli) lawinowo rosła. Po prostu był to taki permanentnie pogarszający się stan wynikły z przyczyn, które powszechnie niby były znane, ale na które nie reagowano. Otóż woda krążąca w systemie ciepłowniczym była chemicznie oczyszczona, natomiast nie pozbywano się z niej soli zawartej w wodzie wiślanej, do której wpływały ścieki z kopalń węgla kamiennego. I ta woda o największej zawartości soli była pompowana do rur i powodowała bardzo szybką ich korozję. A właśnie korozja była sprawcą wielkich awarii systemu ciepłowniczego.

Miejsca z korozją to zdaniem dyrektora Mroza najłabszy punkt, bo kiedy na dworze były potężne mrozy, z elektrociepłowni przekazywano wodę o maksymalnej dla systemu temperaturze powyżej 100 stopni Celsjusza. Owa temperatura plus zwiększone ciśnienie przesyłu powodowały, że w miejscach słabszych, skorodowanych rury i kaloryfery pękały. Stąd się brały awarie i geizery. Gdziekolwiek się człowiek w Warszawie ruszył, parowało. I to była prawdziwa z mora zimy stulecia.

Stołeczne Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej tak jak inne zakłady pracy oddelegowało ludzi od oczyszczania ulic. Przedsiębiorstwa miały obowiązek odśnieżyć tereny wokół własnych siedzib. Oprócz tego część pracowników kierowano do pracy na rzecz miasta, musieli pomagać służbom miejskim w usuwaniu śniegu ze wskazanych miejsc. W praktyce wyglądało to tak, że grupa pracowników udawała się na wyznaczony odcinek, jakąś ulicę w Warszawie, i tam odśnieżała, jak jej kazano. Było to najczęściej jakieś miejsce obok ważnego zakładu pracy, droga do szpitala lub przychodni. Sprzęt, łopaty i szufle brano ze swojego przedsiębiorstwa, część dowoziło miasto. Jeśli zakład dysponował

własnym transportem, przewoził pracowników, czasami podstawiano transport miejski i dowożono ich w wybrane miejsca. O ile oczywiście samochody nie odmówiły posłuszeństwa, co w zimę stulecia nie należało do rzadkości.

Największym problemem był odgarniany śnieg. Nie było jak się go pozbyć. Wywożono go mało i sporadycznie. Jako że na ulicach parkowało mniej samochodów niż dzisiaj, śnieg zgarniano na pobocza i chodniki. W wyniku tego ulice zamieniały się w olbrzymie wąwozy. Często z poziomu chodnika nie było widać, co się dzieje na jezdni i odwrotnie, kierowca samochodu nie widział przechodniów oraz parterów domów. Wielkie pryzmy śniegu usuwano jedynie z miejsc najważniejszych dla bezpieczeństwa (jak się wtedy wydawało), czyli ze skrzyżowań, przejść dla pieszych i przystanków. Sporo prywatnych aut zostało zasypanych hałdami śniegu, który je dosłownie zamroził do wiosny.

– Myśmy dali ludzi do odśnieżania Warszawy – mówi Mróz. – Zresztą nie tylko ludzi, ale też sprzęt, jak koparki i spycharki. Dzięki temu można było przywrócić komunikację na ulicach Warszawy, szczególnie w miejscach strategicznych. Najważniejsze były linie komunikacyjne. Wszystkie tory tramwajowe były zasypane. Żaden tramwaj nie jechał, dopóki nie odśnieżono torowiska.

O tym mówił 4 stycznia 1979 roku na łamach „Trybuny Ludu” wiceprezydent Warszawy Michał Szymborski: „Wszystkie starania prowadzą do tego, aby w poniedziałek – po dniach wolnych od pracy oraz po przerwie w szkołach – miasto funkcjonowało jak zwykle. Już obecnie warunki komunikacji i poruszania się po ulicach są prawidłowe. Dużą zasługą jest tu wysiłek budowlanych z »Budospzętu«, »Hydrocentrum«, »Dźwigaru«, »Kablobetonu«, Warszawskiego Przedsiębiorstwa »Inżynierii«, KBM – »Północ«, Miejskiego Przedsiębiorstwa Robót Elektrycznych, a także wojska, milicji i ORMÓ.

Wszystkie służby miejskie oraz wielotysięczna rzesza pracowników zakładów pracy i instytucji muszą jak najszybciej oczyścić ze śniegu i lodu główne arterie komunikacyjne, dojazdy do zakładów pracy,



sklepów, szkół, przedszkoli, placówek służby zdrowia.

Ale z dotychczasowych [starań] nie jesteśmy jednak zadowoleni, prace nad odładzaniem ulic przedłużają się”.

Jednocześnie uspokajał, bo ludzie narzekali na awarie, plotkowali, że w elektrociepłowniach hałdy węgla pozamarzały: „Jedną sprawę związaną z ciepłownictwem chciałbym szczególnie podkreślić: paliwo jest, transporty nadchodzą rytmicznie, zapasy zostały odbudowane. Problem tylko w szybkim rozładowaniu wagonów węgla i mazutu w elektrociepłowniach”.

W czasie zimy stulecia szefowie SPEC i innych służb miejskich brali udział w spotkaniach z władzami Warszawy, naczelnym inżynierem stolicy. Na te ważne narady, które wymagały osobistej obecności dyrektora, czasami w zastępstwie uczestniczył Mróz odpowiadający za eksploatację. Ciepłownicy informowali na bieżąco o działaniach i problemach, które wtedy się pojawiały.

Elektrociepłowniom zamarzały składy węgla, ale dawano sobie z tym radę, bo dzięki wcześniejszym mroźnym zimom wyćwiczono techniki. Zatrudniano nawet saperów, którzy wybuchami kruszyli zamarznięty węgiel. Większym problemem była woda. Elektrociepłownie w Warszawie korzystały z wody z Wisły. Jak rzeka za głęboko zamarzła, pojawiał się problem z zasilaniem elektrowni.

Na Boże Narodzenia, święta i Nowy Rok w SPEC organizowali przyjęcia i potańcówki. Kiedyś w sylwestra na Żoliborzu, na Lektykarskiej, trzeba było ratować ogrzewanie dla prawie całej dzielnicy i części Woli. Pracowała tam ekipa. W pewnym momencie jeden z pracowników, wesoły i sympatyczny Krzysztof Wilczek, powiedział do Janusza Mroza: „Panie dyrektorze, ja muszę iść na zabawę, na te tańce z żoną się umówiłem. Ona nie da mi żyć, jak nie pójdziemy”. Mróz wsiadł w samochód i pojechał do jego żony, by przekonać ją, że mąż musi pracować.

– Potem Wilczkowi mówiliśmy: „No to, chłopie, w komorze ciepłowniczej przetańcowałeś całego sylwestra. To była najlepsza zabawa dla ciebie” – opowiada.

Zresztą Mróz często jeździł do rodzin i tłumaczył, prosił

o wyrozumiałość, bo „te dziewczyny zawsze chciały trzymać nadzór nad całością”. Negocjował więc z żonami warunki powrotu mężów do domu. Kiedyś podczas jednej z takich imprez wszyscy mężczyźni pracowali przy awarii, a ich żony z dziećmi same bawiły się na zabawie w przedsiębiorstwie.

Dyrektor Mróz studia z inżynierii sanitarnej na Politechnice Warszawskiej skończył w 1958 roku. Po obronie pracy magisterskiej razem z kolegami z uczelni przemierzał stołeczne ulice, odwiedzając różne zakłady pracy. Niestety, czterem młodym inżynierom nie udawało się znaleźć posady, która spełniałaby ich oczekiwania. Szybko też się okazało, że w Warszawie trudno jest znaleźć nawet taką, która znacznie odbiegałaby od tych oczekiwań. W końcu wpadli na pomysł, żeby zwrócić się o pomoc do jednego z naukowców Politechniki Warszawskiej, u którego zresztą studiowali. Odwiedzili więc profesora Witolda Kamlera, uznawanego za jednego z pionierów polskiego ciepłownictwa. Profesor, warszawiak rocznik 1906, absolwent stołecznego gimnazjum im. Stanisława Staszica, wykładowca Wyższej Szkoły Inżynierskiej Wawelberga i Rotwanda oraz Politechniki Warszawskiej (na jego podręcznikach wychowało się kilka pokoleń inżynierów sanitarnych) okazał się nie tylko wybitnym specjalistą, ale także człowiekiem przychylnym, który potrafił zainteresować się losem swoich niedawnych studentów, a teraz młodych inżynierów poszukujących pracy. Obiecał pomóc. I pomógł.

– To był niezwykle sympatyczny i życzliwy człowiek – wspomina Mróz. – Jego jeden telefon do ówczesnego dyrektora Stołecznego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej spowodował, że następnego dnia znaleźliśmy się w tej firmie.

Ale zaczęli w SPEC jako zwykli pracownicy fizyczni. Zostali monterami.

– Przydzielono mnie do grupy majstra Gortata. Tego ze słynnej rodziny bokerskiej, a teraz koszykarskiej. I pod jego nadzorem przez rok razem z innymi monterami chodziłem z torbą narzędziową po mieszkaniach, naprawiając instalacje, po kotłowniach, remontując

kotły. Usuwaliśmy wszystkie możliwe awarie. Była to dla mnie nie tylko praca, ale i dobra nauka, bo poznałem prawdziwe życie. Oczywiście, musiałem się równocześnie uczyć zawodu. W czasie studiów politechnicznych zdobyłem cenną wiedzę, ale dość ogólną. Tutaj poznawałem szczegóły i konfrontowałem swoje wykształcenie z praktyką. Po tym doświadczeniu moja droga biegła już zwyczajnie. Najpierw byłem w Śródmieściu inżynierem ruchu, potem zastępcą kierownika zakładu, następnie kierownikiem zakładu. Później z centrum Warszawy przeszedłem na Żoliborz, gdzie zostałem kierownikiem zakładu. Po pięciu latach zastępcą dyrektora do spraw eksploatacji.

W 1980 roku Janusz Mróz został dyrektorem przedsiębiorstwa na wniosek prezydenta Warszawy Jerzego Majewskiego. I tak było przez dziesięć lat. Potem przez następne czternaście, bo po tych dziesięciu latach był konkurs. Brało w nim udział – razem z Mrozem – trzech pracowników SPEC. Przygotował się do niego solidnie, bo i rywale, znajomi z firmy, byli dobrymi fachowcami, więc chciał jak najlepiej wypaść.

– I udało się. Wtedy związek „Solidarność” był takim elementem rewolucyjnym. I zatwierdził mnie na tym stanowisku – wspomina.

Świat się zmieniał, Polska się zmieniała, ale mieszkania trzeba było ogrzewać bez względu na ustrój. Janusz Mróz zmiany systemowe zniósł dobrze przede wszystkim dlatego, że doceniano jego zawodowe kompetencje i ogromne doświadczenie zdobyte w przedsiębiorstwie. Kierował firmą aż do marca 2003 roku. W Stołecznym Przedsiębiorstwie Energetyki Ciepłej przepracował czterdzieści pięć lat i było to jego jedyne miejsce pracy.

Doświadczenie wykorzystane podczas zimy stulecia Mróz zdobył wcześniej.

– Mówiąc szczerze, byliśmy już wyćwiczeni w usuwaniu awarii – wspomina – ponieważ praca była zorganizowana na dwie zmiany. Poza zmianą dzienną w każdej dzielnicy była druga, do usuwania uszkodzeń przy jednocześnie pracującym całą dobę pogotowiu technicznym, które przyjmowało zgłoszenia mieszkańców. Oni byli

do szybkiego zabezpieczenia, żeby nie doszło do tragedii. Szczególnie groźne były poparzenia. Niekiedy zdarzały się u przygodnych osób. Na szczęście nie było śmiertelnych wypadków. Bywało, że samochody wpadały w doły, rowy wyżłobione wypływającą pod wysokim ciśnieniem wodą o wysokiej temperaturze. I w takich sytuacjach nie było wypadków śmiertelnych, jedynie dochodziło do uszkodzeń samochodów.

Pracując w systemie całodobowym, można było panować nad trudną sytuacją w Warszawie, szczególnie podczas zimy stulecia. W przypadku poważnych awarii wyłączali całe instalacje, ale tylko wtedy, kiedy były zagrożeniem dla ludzi na ulicach.

– Mieliśmy bardzo dużo telefonów – relacjonuje Mróz. – Zwłaszcza z budynków wielkopłytowych, tam były największe niedogrzewania. Były też telefony z miejsc awarii. Tych awarii było coraz więcej. Każdego dnia po osiem-dziesięć mniejszych lub większych. Na szczęście nie było awarii strategicznej, która pozbawiłaby ciepła dzielnicę czy nawet kilka dzielnic.

W pracy musieli mieć do siebie zaufanie. Nie było telefonów komórkowych, więc gdyby mieli dzwonić do przełożonego, ekipa musiałaby przerwać pracę, a jej szef pójść poszukać telefonu. A przecież zwierzchność wcale nie musiała tego połączenia odebrać. Telefon był stacjonarny i przełożony mógł być w zupełnie innym miejscu. W takiej sytuacji wszyscy musieliby czekać aż wróci, naprawy wydłużałyby się w nieskończoność. Ludzie musieli więc sobie ufać i w trudnych sytuacjach działać samodzielnie.

Mróz pamięta, jak kiedyś przez całą noc był z monterami przy robocie, a o czwartej nad ranem zjawił się ich przełożony, dyrektor Klimek. Zobaczył i powiedział: „Jesteś, to dobrze”. To też był taki człowiek, co nie siedział za biurkiem, był bardzo aktywny jak na owe czasy. Mrozowi dobrze się z nim pracowało. Klimek dał mu pełnomocnictwo do samodzielnego podejmowania decyzji i relacjonowania dopiero po fakcie. Potem albo go korygował, albo uznawał, że jest dobrze. Mróz przez cały czas miał ten przywilej i było to dobre rozwiązanie, bo wynikało z jego zakresu pracy

i odpowiedzialności.

Zimą 1979 roku był jeszcze stosunkowo młody, ale miał już doświadczenie, bo pracował przecież w komorach, kotłowniach, wszędzie. Właził, gdzie się tylko dało, i doradzał robotnikom, jak najszybciej przywrócić daną sytuację do normalności. Na przykład na ulicy Woronicza niedaleko zajezdni tramwajowej, gdzie bardzo często uszkadzały się zasuwki. Kliny służące do zamykania i otwierania urywały się i blokowały przepływ wody. Taka była ich uroda.

Dyrektor Mróz lubił wszędzie zaglądać, patrzeć ludziom na ręce, na to, co robią i jak robią. Robotnicy wiedzieli, że teraz to dyrektor, ale wcześniej to był jeden z nich. Swój człowiek, prawdziwy inżynier, majster, który wie, jak wygląda ich praca.

– Jeśli chodzi o to dogłębnie, przekonałem się, że tylko bezpośredni kontakt w miejscach awarii daje możliwość podejmowania dobrych decyzji. Trzeba w takich sytuacjach wiedzieć, czy jest się obserwatorem czy osobą podejmującą decyzje. Ja starałem się zawsze razem z pracującą grupą znaleźć wspólne i najważniejsze rozwiązanie. I musiałem mieć w tej bezpośredniej pracy taką wiedzę, jaką oni mają, a ponieważ jeździłem po całej Warszawie, doświadczenia zbierałem z wielu ekip i stąd też łatwiej mi było współistnieć z poszczególnymi zespołami w robocie. Zresztą, wydaje mi się, że to była dobra metoda pracy z zespołem. To nie było zajęcie przy biurku, lecz działanie bezpośrednio w miejscach, gdzie wykonywaliśmy konkretne naprawy.

## STYROPIAN PODSTAWOWYM ŚRODKIEM WYRAZU

– Polacy lubią absurd, a zima stulecia była takim wydarzeniem absurdalnym. Najpierw miała być łagodna. Zapowiadano, że będzie plus jeden, plus dwa stopnie. A potem nagle zaczęło się robić coraz zimniej. I błyskawicznie doszło do -22. Człowiek nawet nie był na to przygotowany. Byłem wtedy w Łodzi i nie miałem odpowiedniego ubrania, a tu znienacka taki mróz. To było jedno z tych wydarzeń charakteryzujących polską historię, gdzie nagle pojawia się chochoł, w tym przypadku śnieg, który wszystko zatrzymuje i obnaża – mówi reżyser, scenarzysta i pisarz Filip Bajon.

Pod koniec grudnia 1978 roku w Łodzi kończył prace nad udźwiękowieniem filmu „Aria dla atlety”. 31 grudnia wracał do Warszawy. Jego plany na ten wieczór nie odbiegały od planów wielu innych osób. Zamierzał po prostu udać się na sylwestra. Pamięta, że podczas podróży pociągiem zauważył, że śnieg padał coraz mocniej. Jechali pięć godzin, ale szczęśliwie dotarli do stolicy.

– W tym pociągu były już początki sylwestra. Pojawił się szampanik – opowiada. Atmosfera musiała być przyjemna.

Po przyjeździe do Warszawy dotarł do swojego mieszkania na Jelonkach.

– Wszystko już było zasypane – wspomina Filip Bajon. – A z Lazurowej, gdzie mieszkaliśmy, musieliśmy się dostać do Dudusia Matuszkiewicza na Mokotów, bo u niego właśnie był zaplanowany ten duży sylwester. I udało nam się. Dojechaliśmy małym fiatem! Co było najbardziej zdumiewającym widokiem po drodze? To, że mijaliśmy wielu narciarzy.

Narciarze z plecakami maszerowali w różne strony. Widok był niespodziewany, dziwny i – jak zauważył reżyser – zdumiewający.

Wiele osób wspomina, że po raz pierwszy widziało tylu narciarzy na ulicach miasta. W ciągu kilku dni po Nowym Roku widok ten dość spowszedniał. Narty szybko zniknęły ze sklepów, stając się popularnym środkiem wielkomiejskiej komunikacji indywidualnej. Tak przynajmniej twierdzi jedna z osób, z którą rozmawiałem.

Ale 31 grudnia widok ten był zaskakujący.

– Dziwiło to nas, bo wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, jak wielki jest atak zimy – mówi ze śmiechem Filip Bajon.

Impreza u Jerzego „Dudusia” Matuszkiewicza, legendy polskiego jazzu, saksofonisty i kompozytora, miała charakter środowiskowy. Radośnie witano każdego kolejnego przybywającego, który natychmiast dzielił się opowieściami z okoliczności dotarcia na tę zabawę noworoczną. Wśród obecnych panowało głębokie przekonanie, że klęska (przynajmniej w tak małej skali) została pokonana i dobra zabawa może trwać dalej.

– Był oczywiście moment pewnego podniecenia, że uczestniczymy w jakimś niebywałym zjawisku atmosferycznym, które zatrzymało całą Polskę – dodaje reżyser.

Filip Bajon razem Wojciechem Pszoniakiem i Romanem Wilhelmem 3 stycznia jechali do Łodzi na postsynchrony, czyli jeden z etapów postprodukcji filmowej polegający na tym, że dialogi aktorów nagrane w studiu muszą zostać zsynchronizowane z obrazem nagrany na planie.

– Wielkie wrażenie zrobiły na mnie ogromne zasy wzdłuż drogi. Jechało się jak w jakimś kanionie, bo one miały wysokość gdzieś trzech metrów – wspomina. – Bałem się jechać. Zastanawiałem się, czy w ogóle nam się uda dotrzeć. Ale w końcu dojechaliśmy do łódzkiej wytwórni bez większych problemów. Droga była przetarta. Jednak takich wielkich hałd śniegu po dwóch stronach drogi ani wcześniej, ani później nie widziałem.

Bajon pamięta też z tej zimy obraz (później częściowo wykorzystał go w filmie „Bał na dworcu w Koluśkach”) startujących helikopterów, którymi jacyś członkowie Biura Politycznego KC PZPR lecieli na bal, chyba do Jabłonnej. Inspiracją dla tego filmu była

historia kostiumolożki, która w podróż do Warszawy wybrała się następnym pociągiem po Bajonie. I ten jej pociąg nie dotarł już do stolicy.

– Opowiadała, że noc sylwestrową spędziła na dworcu w Koszulkach. Było bardzo miło i wesoło – mówi reżyser.

W Koluszkach ludzie bawili się dobrze, humor, mimo złych warunków atmosferycznych i w gruncie przykrych okoliczności, ich nie opuszczał. Zresztą każdy coś wiozł na swoją imprezę. Jedni wyciągnęli przysmaki. Inni coś mocniejszego. Krótko mówiąc, „alkohol został uruchomiony”, więc wszystkie potencjalne warunki dobrej zabawy zostały spełnione. W związku z tym na koluszkowskim dworcu odbył się bardzo miły sylwester, absolutnie nieplanowany, zorganizowany przymusowo, ale i spontanicznie. Zresztą chyba lepiej w takiej sytuacji bawić się niż rozpaczać.

– Zacząłem już wtedy scenariuszowo kombinować, co mogło się tam zdarzyć i kto w takim sylwestrze mógł wziąć udział. Oczywiście, zakładałem, że do tego miejsca powinna trafić cała Polska – opowiada Filip Bajon szczegółów powstawania filmu.

Tak narodził się pomysł na scenariusz, który był gotowany w połowie lat osiemdziesiątych. Jednak dalszą pracę nad filmem utrudniała cenzura. Urzędnicy Głównego Urzędu Kontroli Widowisk i Publikacji opóźniali go i zniechęcali reżysera, ale ten był tak do swojego projektu przekonany, że doprowadził w końcu do realizacji obrazu. „Bal na dworcu w Koszulkach” na ekrany wszedł dopiero w 1989 roku. Czas premiery bardzo symboliczny, jest to bowiem przede wszystkim symboliczna opowieść o tym, jak kraj został zamrożony. Publiczność zaś oglądała go w momencie, w którym system już dogorywał, a w całej Europie Środkowo-Wschodniej rozpoczynała się prawdziwa jesień ludów, zapoczątkowana polskimi wyborami w czerwcu 1989 roku i powstaniem pierwszego niekomunistycznego rządu.

Koluszki są nazywane komunikacyjnym sercem Polski, bo krzyżują się tu drogi kolejowe z całego kraju, linie z północy na południe, ze wschodu na zachód. Podczas zimowego kataklizmu może tu dojść do



spotkania ludzi z różnych stron i dzięki woli reżysera i scenarzysty w jednej osobie tak się właśnie stało, spotykały się typy ludzkie tworzące przekrój całego społeczeństwa.

Postaci Bajon dobrał bardzo starannie, każda z nich miała odpowiednik w rzeczywistości. Reżyser występujący w filmie to porte-parole samego Bajona. Jan Peszek zagrał Horacego, czyli tak naprawdę postać Piotra Skrzyneckiego, legendy krakowskiej Piwnicy pod Baranami. Jan Nowicki wcielił się w samego siebie, czyli Janka Nowickiego. Henryk Bista zagrał dziennikarza tygodnika „Prawo i Życie” Kazimierza Kąkola, długoletniego redaktora naczelnego tego pisma, znanego z napastliwych artykułów. Szczególnie zapamiętano mu agresywne wystąpienia w marcu 1968 roku. Kąkol wybrał później karierę partyjną i przez wiele lat kierował Urzędem do spraw Wyznań, w związku z czym, nawiązując do przypowieści o pszenicy i kąkolu z Ewangelii św. Mateusza, żartowano, że jest „Kąkol w Kościele”.

Ryszard Pietruski wystąpił w roli wiecznego działacza młodzieżowego. Inspiracją tutaj była z kolei postać Stefana Olszowskiego, typowego przedstawiciela betonu partyjnego, w latach osiemdziesiątych zwolennika twardego kursu wobec „Solidarności”. Olszowski wszystkich zaskoczył, kiedy w połowie lat osiemdziesiątych wyjechał z rodziną na stałe do bastionu kapitalizmu, czyli Stanów Zjednoczonych.

Zdzisław Wardejn zagrał Matyjka, to znaczy postać Jerzego Michotka, aktora i piosenkarza znanego w PRL z estradowych występów w rodzaju „Z wizytą u was”.

– Zawsze mnie to śmieszyło, jak oni jeździli do tych zakładów pracy i dawali te koncerty. Choć można było przy tej okazji posłuchać bardzo dobrych polskich piosenek – komentuje Bajon.

W filmie pojawiają się również opozycjoniści: grana przez Zbigniewa Zamachowskiego postać Andrzeja Roszaka, i postać Basi, w którą wcieliła się Hanna Polk. Basia wiozła wydaną w drugim obiegu „Małą apokalipsę”. Wybór książki też oczywiście nie był przypadkowy, bo film konwencją w dużym stopniu nawiązuje do

powieści Tadeusza Konwickiego. Jak sam reżyser przyznaje, jego film był pod koniec istnienia PRL próbą artystycznego „rozliczenia komuny” i jednocześnie spojrzeniem na pewne charakterystyczne zachowania Polaków, ich kompleksy, które zresztą wraz z upadkiem systemu wcale się nie skończyły.

Wiele osób dostrzeża w „Balu na dworcu w Koluszkach” nawiązanie do „Wesela”. Jednak reżyser mówi, że początkowo nie miał zamiaru odwoływać się do dramatu Stanisława Wyspiańskiego. To wyszło w sposób zupełnie nieoczekiwany, a nawet zaskakujący dla niego samego.

– W pewnym momencie chwyciłem się za głowę i powiedziałem do siebie, przecież ja kręcę „Wesele” – wspomina pracę na planie filmowym. – Początkowo chciałem, żeby z tego wyszła bardziej satyra polityczna niż dramat. Poszło to jednak nieoczekiwanie w stronę całej tej symbolicznej polskiej literatury.

Tak się dziwnie złożyło, że film o zimie stulecia kręcono podczas zimy, w czasie której kompletnie nie było śniegu. Dworzec i peron musieli zbudować w hali studia filmowego.

– Podstawowym środkiem wyrazu filmowego był styropian. Mieliliśmy takie dwie dmuchawy, które przez cały czas kręcenia nadmuchiwały styropian udający śnieg. Potem przez kilka lat z różnych części mojej garderoby wyjmowałem ten styropian, który wszędzie powłaził.

Jedyny prawdziwy śnieg, jaki udało się znaleźć na potrzeby produkcji filmowej, to był śnieg w Jakuszycach pod Szklarską Porębą. Ale i on był mocno stopiony, podlany pośniegową wodą, tak że i tam się dość ciężko kręciło zdjęcia.

W produkcji wykorzystano materiały z peerelowskiego „Dziennika Telewizyjnego”, który był głównym programem informacyjno-propagandowym telewizji. Dla bohaterów filmu uwięzionych na dworcu komunikaty z „Wiadomości Telewizyjnych” stanowiły jedyny kontakt ze światem zewnętrznym.

– Nie można nie pamiętać zimy stulecia – mówi Bajon. – To było tak silne i obrazowe. To był kataklizm, a kataklizmów się nie

zapomina.

## FILMOWY PARTYZANT ZOSTAJE ŻOŁNIERZEM

Ledwo zagrał partyzanta w „Żołnierzach wolności”, został prawdziwym żołnierzem. Popularny aktor Henryk Gołębiewski to postać znana i lubiana, jedna z najbardziej charakterystycznych osobowości współczesnego kina polskiego. Nie jest zawodowym aktorem. Karierę zaczął jako kilkunastoletni chłopak, debiutując w filmie fabularnym Janusza Nasfetera „Abel, twój brat”. Największą popularność zawdzięcza rolom w serialach przygodowych dla młodzieży, reżyserowanych przez Stanisława Jędrykę.

Gołębiewski to Maniusz „Pikador” z „Wakacji z duchami”, Poldek z „Podróży za jeden uśmiech” i Maniusz „Cegielka” ze „Stawiam na Tolka Banana”. Ostatnim filmem, w którym zagrał przed zasadniczą służbą wojskową, była właśnie rola partyzanta Armii Ludowej w wojennej epopei radzieckiego reżysera Jurija Ozierowa „Żołnierze wolności”, który na ekrany kin wszedł w 1977 roku. Potem Henryk Gołębiewski miał dwudziestoletnią przerwę, wrócił w drobnych rolach w 1997 roku. Pięć lat później za tytułową kreację w filmie „Edi” dostał Złotą Kaczkę, najstarszą polską nagrodę filmową.

Trzeba powiedzieć jasno, że jak większość rówieśników, szczególnie tych z dużych miast, do zasilenia szeregów sił zbrojnych Polski Ludowej obywatel Gołębiewski Henryk specjalnie się nie garnął. Jak wielu próbował grać wariata, co zresztą przynosiło niewielki skutek, bo Ludowe Wojsko Polskie było odporne na niechęć poborowych, których z łatwością zmieniało w rekrutów.

Ale żeby pójść w kamazę, najpierw trzeba było stanąć przed ponurym obliczem Wojskowej Komendy Uzupełnień. I tak pewnego dnia on również otrzymał wezwanie do WKU i stanął przed komisją.

– Niech pan ściągnie majtki – zażądał lekarz.

– Wstydzę się – skromnie odparł poborowy Gołębiewski.

- Proszę ściągać!
- Ale ja się wstydzę!
- Bez gadania, ściągnijcie majtki!
- Skoro panu tak zależy...

I tak Henryk Gołębiowski z poborowego stał się rekrutem, a później żołnierzem służby zasadniczej LWP. Był w jednostce w Lublinie żołnierzem piechoty.

Choć jest skromny i unikał wojska, to jednak jakieś talenty militarne przejawiał. Na przykład na strzelnicy szeregowy Gołębiowski strzelał za dobrze, więc zrobili go cekaemistą.

– Teraz wiem. Ale wtedy nie wiedziałem, że cekaem tak dużo waży. W niebo strzelałbym i nie musiałbym go potem nosić. A tak te kilkanaście kilogramów dźwigałem podczas ćwiczeń – narzeka.

Kiedy przyszła zima stulecia, jego przymusowa dwuletnia kariera wojskowa szczęśliwie, choć powoli, dobiegała końca.

– Gdybym wiedział, że będzie tak zimno, to w ogóle tego dnia nie wychodziłbym z jednostki – opowiada o swoich przeżyciach podczas zimy stulecia. – Byłem wtedy na przepustce. Legalnie, nie na żadnej lewiznie. Na lewiznie byłem dwa razy. Znaczący, więcej razy byłem, dwa razy to mnie złapali...

Co miał awansować na starszego szeregowego, to wpadał na lewej przepustce. „Nie ma przebaczyć”, jak sam mówi o takiej sytuacji. Awansu nie było.

Wojsko nie wywarło chyba na Henryku Gołębiowskim zbyt silnego wrażenia, bo przecież pamięta się przyjemne rzeczy, a kto by tam sobie głowę zawracał detalami w rodzaju, gdzie dokładnie ta jednostka była i jaki numer miała. Niektórzy z jego pokolenia wspominają dwuletnią służbę jako najważniejszą historię ze swojego życia. Gołębiowski jednak przed i po wojsku miał bogaty w wydarzenia życiorys, grał w wielu filmach, które są uznawane za kultowe, więc trudno wymagać, by służba w peerelowskich formacjach była dla niego czymś wyjątkowym.

Tak więc w sylwestrowy wieczór ruszył z kolegą na przepustkę. Było zimno, więc szalikiem osłaniał uszy, które mu marzły, ale to

niewiele pomagało. Szli daleko, gdzieś na drugi koniec miasta. Dość długo maszerowali i niewiele się przybliżyli do celu. Robiło się późno, nie bardzo było wiadomo, czy i kiedy w ogóle tam dotrą. Czy ich wyprawa ma sens? Doszli do wniosku, że lepiej wrócić do jednostki, bo potem nie wiadomo, co się będzie działo.

– Odmroziłem sobie wtedy ręce – mówi aktor.

Nogi to mu w ogóle wówczas nie marzły, bo albo miał ciepłe skarpety, albo owijał stopy onucami, które – jak zapewnia – są duże cieplejsze od skarpet.

Oczywiście, wtedy odmrożenie nie przeszkadzało w pełnieniu służby wojskowej. Musiał sobie z nim dawać radę. Dzisiaj odzywa się, kiedy na dworze spada temperatura.

– Jak jest chłodniej, to mi palce drętwieją. Do dzisiaj odczuwam skutki tego spaceru – stwierdza.

Potem zaczęło się normalne życie jednostki w czasach klęski żywiołowej. Żołnierze, wśród nich szeregowy Henryk Gołębiowski, zostali wysłani do usuwania skutków śnieżycy. W pracy odmrożone ręce nie przeszkadzały, bo nie na tyle były odmrożone, by nie mógł do nich wziąć łopaty lub szufli.

– Wysyłano nas na tory – wspomina. Pracowali wieczorami, bo wtedy temperatura spadała i tory zamarzały, a jednocześnie był trochę mniejszy ruch na kolei, więc praca szła sprawniej.

O pracujących żołnierzach informowała ciągle lubelska prasa. Już 2 stycznia zamieszczono zdjęcie z podpisem: „Całą noc sylwestrową pracowali przy odśnieżaniu miasta żołnierze garnizonu lubelskiego”.

„Żołnierze pracują także na wielu innych, najtrudniejszych obecnie odcinkach – odnotowywał 3 stycznia lokalny dziennik. – Skierowano ich m.in. do Kombinatoru Cementowego w Chełmie. Cementownie w Chełmie i Rejowcu od dwóch dni są praktycznie unieruchomione. W ciągu tych dwóch dni zamiast dwunastu pociągów wahadłowych z kredą i marglem trasę między tymi miastami przejechał tylko jeden. Przymusowy przestój wykorzystuje się jednak, dokonując remontów pieców.

Żołnierze pomagali wczoraj także przy odśnieżaniu torów

i rozładunku węgla w Zakładach Azotowych w Puławach. Od dyspozytora zakładów dowiedzieliśmy się, że w wyniku ograniczeń energii, braku wagonów, aby wywieźć gotowe wyroby, wreszcie niedoboru węgla, produkcja została poważnie ograniczona”.

Potem znowu zdjęcie umundurowanych młodzieńców i podpis: „Niezawodni żołnierze garnizonu lubelskiego przy pracy”.

A kolejnego dnia artykuł w „Kurierze Lubelskim” „Ofiarna pomoc wojska w walce ze skutkami zimy”. „W całym regionie w zmaganiach ze skutkami ataku surowej zimy pomagają żołnierze z Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Biorą oni udział w odśnieżaniu górek rozrządowych, węzłów PKP, torów i rozjazdów – czytamy. – W Lublinie żołnierze z Pułku Obrony Terytorialnej na zmiany, przez całą dobę, pracowali przy odśnieżaniu torów. Do prac tych zaangażowali się ofiarnie także żołnierze z jednostki Wojsk Obrony Wewnętrznej im. por. Sławińskiego.

Na ulicach lubelskich nadal do kruszenia grubej warstwy zmarzniętego śniegu pokrywającego nawierzchnie używano ciągników czołgowych i czołgów z lubelskiego garnizonu LWP. Żołnierze WOW uczestniczyli również w odśnieżaniu Puław”.

Zmęczonym żołnierzom dowożono gorącą zupę, więc chyba specjalnie nikt nie narzekał. Przyznać jednak trzeba, że człowiek samą zupą się nie rozgrzeje, a przynajmniej rozgrzewać się tylko nią nie musi, a niektórzy nawet twierdzą, że nie powinien. Żołnierze służby zasadniczej w tej sprawie mieli podobną opinię.

– Byłem starym żołnierzem. Kapral mnie pilnował i powiedział mi: „Ty Heniek się nie napijesz”. Ale jak wracaliśmy do jednostki, to po drodze mieliśmy budkę dróżnika. A że po ciężkiej pracy pić się chciało, to do niej zaglądałiśmy. Młodych przepuściłem przodem i jak na mnie przyszła kolej, to dróżnik wskazał na taką wielką, pięciolitrową puszkę po jakichś ogórkach konserwowych i powiedział do mnie: „Tego się napij”. No to napiłem się, a to był bimber. Poczuję jego moc, do jednostki pomogli mi młodzi wrócić. Przez ogrodzenie mnie „przerzucili”. Na drugi dzień kapral pytał się: „Heniek, gdzieś ty się napił?”. Mogliśmy w końcu tamtędy jeszcze

raz przechodzić, to mu tego nie powiedziałem. Do dzisiaj nie wie.

Mimo wielkiej ilości śniegu, silnego mrozu, pracy fizycznej dawało się znaleźć w wojsku coś miłego dla ciała i duszy. Szeregowy Henryk Gołębiewski, człowiek z natury pogodny, niezwykle dowcipny i sympatyczny, służył aktywnie, może nie zawsze na poligonie, ale też wojsko to nie tylko ćwiczenia.

– Byłem w zespole pułkowym – opowiada. – Salę prób mieliśmy koło kuchni, to zawsze nam coś podrzucali. Chcieliśmy im jakoś podziękować. A ponieważ w zespole byli też muzycy, to w czasie prób i występów dawaliśmy z dedykacją piosenki dla kucharzy. No bo jak mieliśmy się odwdzięczyć?

Dla Gołębiewskiego mimo odmrożenia zima stulecia to miłe wspomnienia. Występował w zespole pułkowym, do końca służby zostało niewiele czasu, na wiosnę opuszczał armię, więc naturalne, że żył myślami o tym, co będzie robił w cywilu.

Na przepustki jeździł do Warszawy, a z zespołem często był w trasie i odwiedzał inne jednostki. Występowali też w różnych konkursach i na festiwalach, rywalizując z innymi żołnierskimi zespołami. Zresztą, o mały włos nie zakwalifikowali się na Festiwal Piosenki Żołnierskiej, który odbywał się w Kołobrzegu.

– Generał Włodzimierz Oliwa, który w Warszawie niedaleko mnie mieszkał, to w ogóle sprawdzał moją książeczkę wojskową, czy ja aby nie jestem wypożyczony na występy – relacjonuje popularny aktor.

W czasie służby wojskowej dostał nawet propozycję grania w filmie, ale do dzisiaj nie wie w jakim, bo siły zbrojne w jego imieniu ją odrzuciły. Powiedzieli, że albo wojsko, albo film, a ponieważ to oni dyktowali warunki, to wiadomo, że postawili na armię, a nie na kinematografię.

– Ten zespół, w którym występowałem, to był kabaret. Nazywał się „O co chodzi” – mówi Henryk Gołębiewski. Teksty dla zespołu pisał cywil, który także w tym kabarecie grał. Dzisiaj byśmy powiedzieli, że to był menażer, wtedy określało się go jako kierownika artystycznego.



Są tacy, co nawet jak trafią do wojska, to znajdą kabaret. Bo jak niektórzy twierdzą, wojsko to kabaret.

## GDZIE JEST TA ZIMA?

Inżynier Jan Konopka w zimę stulecia miał dokładnie dwadzieścia lat. Urodził się na początku grudnia 1958 roku.

– To był mój ostatni urlop zimowy. Byłem wtedy w poznańskiej Szkole Chorążych Wojsk Pancernych – opowiada Konopka i podkreśla, że w komunizmie przerwy w wojskowej szkole zawsze przypadały na święta kościelne, zarówno Bożego Narodzenia, jak i Wielkiej Nocy. I tak urlop zimowy zaczynał się tuż przed Wigilią Bożego Narodzenia, czyli 24 grudnia, a kończył zaraz po Nowym Roku, czyli 2 stycznia. To był tak zwany dłuższy urlop zimowy, bo z kolei wiosenny był krótszy, zaczynał się dzień przed Świętami Wielkanocnymi i trwał pięć dni.

Tak jak zawsze, tak i teraz przyjechał pod Sanok do rodziców, by z nimi spędzić Wigilię i święta Bożego Narodzenia i zaraz po Nowym Roku wrócić do szkoły chorążych. W szkole musiał się stawić dokładnie 3 stycznia o godzinie szóstej rano. Siedząc u rodziców w południowo-wschodniej Polsce, nasłuchiwał komunikatów z kraju. Niepokoiły go historie ludzi uwięzionych w zaspach, słyszał w radiu dramatyczne historie, widział w telewizji jakiś pociąg pod Mławą prawie całkiem zasypany, z którego z trudem wydostawano ludzi. Zerkał więc przez okno i wypatrywał tej zimy, ale pod Sanokiem jej nie zobaczył – 1 stycznia napadało może z centymetr śniegu, drugiego doszło jeszcze pół. Zimy ciągle nie było widać. Nawet od czasu do czasu słońce przebijało przez chmury. Gdzie ta zima?

Urlop się kończył, a pod Sanokiem śnieg nie padał. Podobno reszta Polski była sparaliżowana, ale tu nic. Nie ma kataklizmu, więc nie ma podstaw, żeby pójść do Wojskowej Komendy Uzupełnień i z powodu ewentualnych utrudnień w dojeździe do jednostki prosić o jego przedłużenie. Zamiast do WKU Jan Konopka poszedł do autobusu

Polskiej Komunikacji Samochodowej i ruszył w podróż.

– Ojciec powiedział, że póki co, wszystko jeździ, więc pojechałem. Z Sanoka pekaesem do Rzeszowa. Po drodze opady śniegu zaczęły się zwiększać, ale nadal nie były niepokojące. W Rzeszowie spotkałem się z kolegami z mojej i innych szkół wojskowych, bo saperzy wysiadali wcześniej, we Wrocławiu. Oni z różnych stron dawnego województwa rzeszowskiego zjeżdżali na pociąg. A był taki dalekobieżny, który jechał przez całą Polskę, z Przemyśla do Szczecina przez Kraków, Wrocław i Poznań. Do stolicy Wielkopolski przyjeżdżał o piątej, więc jak się wsiadło w taksówkę, to w sam raz na tę szóstą do jednostki się zdążyło.

W Rzeszowie zbierało się ich tak z siedmiu-ośmiu młodych wojskowych. Zjeżdżali do stolicy regionu z różnych stron województwa: z Krosna, Sanoka, Jasła. Byli z różnych roczników i nawet z różnych szkół wojskowych. Ich nieformalnym punktem zbornym była restauracja hotelu Rzeszów. Nie żeby podróż od imprezy zaczynali. Nic z tych rzeczy. Kawę, herbatę wypili co najwyżej, ktoś może zjadł ciastko, a czasami (jeśli się bał, że zgłodnieje w długiej podróży) jakiś ciepły posiłek. I stamtąd, z restauracji hotelu Rzeszów, wspólnie ruszali do pociągu. Tak było też teraz. Poszli razem na dworzec. Pociąg planowo przyjechał około szesnastej.

– Komunikaty nadal mówiły, że są opady śniegu. Ale my w Rzeszowie się rozglądaliśmy i zadawaliśmy pytanie, gdzie ten śnieg jest. Gdzie ta zima? – opowiada Jan Konopka.

Rozsiedli się więc w pociągu, zmierzając do swoich jednostek.

Skład ruszył. Z czasem za oknami chmury były większe, śnieg sypał gęściej. Kiedy przyjechali do Dębicy, czyli przebyli odcinek kilkudziesięciokilometrowy, było już widać, że warunki coraz bardziej się zmieniają. Obserwując peron, od razu dostrzegli, że śniegu trochę przybyło. Zaczęli stopniowo wjeżdżać w żywioł. Przejechali kolejnych kilkadziesiąt kilometrów. Dotarli do Krakowa. A tu śniegu jeszcze więcej, jeszcze mocniej pada. Jechali dalej w kierunku zachodnim. Widzieli, że wokół nich z każdym kolejnym

kilometrem robi się coraz bardziej białe. I śniegu przybywa.

Ale do Krakowa dojechali zgodnie z rozkładem jazdy.

– Przez Śląsk nasz skład przejechał powoli, bo tam zwykle tak pociągi jeździły. I również powoli zaczął już łąpać opóźnienie. Śniegu było coraz więcej i kolejarze mieli problem z usunięciem go z torowisk i rozjazdów. Nadal jednak to nie było jakieś straszne opóźnienie. Dopiero taki wielki postój mieliśmy mniej więcej kilometr, może półtora przed wjazdem na Dworzec Główny we Wrocławiu. Mieliśmy wtedy może dwie albo trzy godziny opóźnienia – relacjonuje Konopka. – Pociąg stanął i nagle gwałtownie zaczął stygnąć. To był pośpieszny ogrzewany elektrycznie. Patrzyliśmy przez okna. Widzieliśmy dużo śniegu, ale nie sprawiał wrażenia klęski żywiołowej, o jakiej mówiono w radiu i telewizji. Staliśmy tak trzy godziny, aż w końcu wjechaliśmy na wrocławski dworzec.

W tym czasie kolejarzom udało się udroźnić drogę do Poznania, więc kiedy w końcu ruszyli, to jechali bez większych przeszkód. Nie zmienia to faktu, że pociąg, który miał przyjechać o godzinie piątej, dojechał na trzynastą trzydzieści.

Na poznańskim dworcu Konopka jeszcze spojrzął na tablicę z rozkładem jazdy. Okazało się, że skład, którym przyjechał, miał stosunkowo małe opóźnienie. Tylko kilka godzin. Nie potrzebował też żadnych oficjalnych zaświadczeń wyjaśniających, dlaczego się spóźnił i nie dojechał na czas do jednostki. Wystarczyło mu stempel z godziną odjazdu, jaki w kasie rzeszowskiego dworca przystawiono na wojskowym dokumencie uprawniającym do podróżowania koleją. Zresztą, nawet gdyby chciał mieć stempel z godziną przyjazdu, to i tak nikt by mu go nie postawił, bo nikt nie miał czasu ani głowy, żeby zajmować się takimi drobiazgami. Wystosowano już komunikaty głoszące, że każdy spóźniony jest oficjalnie usprawiedliwiony.

– Wszyscy się dziwili, że ja z drugiego końca Polski dotarłem do Poznania, a koledze z Konina to się nie udało, choć miał do przebycia zaledwie trochę ponad sto kilometrów – opowiada Jan Konopka o tym, co się działo, kiedy trafił już do swojej jednostki.

W Poznaniu przeżył wcześniej dwie zimy, podczas których śniegu nie było dużo, co najwyżej na wysokość buta, maksymalnie jakieś pięć centymetrów. Dla kogoś z południowo-wschodniego krańca Polski nie były to zimy groźne. A na dodatek znikał ów puch po czterech lub pięciu dniach od chwili, kiedy spadł na ziemię. Teraz jednak było inaczej. Tam, gdzie zgarniali śnieg, zasyły sięgały półtora metra, a tam, gdzie był pozostawiony sam sobie, miał wysokość pięćdziesięciu centymetrów.

Ledwo wszedł na teren wojskowej szkoły, od razu został zagoniony do pracy, bo każdy żołnierz musiał wtedy odśnieżać bez względu na to, czy był podchorążym czy zwykłym szeregowcem. Podczas przerwy zimowej na terenie jednostki pozostawał złożony z żołnierzy służby zasadniczej batalion zabezpieczenia, który natychmiast został użyty do odśnieżania i usuwania innych skutków żywiołu z ulic Poznania. Konopka i jego koledzy musieli poprawiać to, czego tamci nie zdążyli zrobić, bo pracowali w dużym pośpiechu i ich celem było przywrócenie podstawowych, minimalnych funkcji odśnieżanego terenu. Tak żeby mogły tamtędy przejechać pojazdy ratujące życie i służby techniczne miasta, a także komunikacja i transport, przede wszystkim z żywnością do sklepów. Później, zwłaszcza kiedy śniegu padało mniej lub całkiem przestawało padać, można było gruntowniej oczyścić te szlaki, by zapewnić im lepszą funkcjonalność. Tym właśnie zajmowali się koledzy Konopki i on sam po przyjeździe z zimowej przerwy. Poprawiali wszystko, czego ich poprzednicy zrobić nie zdążyli, dokańczali to, co nie zostało jeszcze dokończone.

Kilka miesięcy później, po skończeniu szkoły, Jan Konopka trafił do nowej jednostki. Był to batalion saperów.

– Skąd nagle pancerniak w jednostce inżynieryjnej? Okazało się, że był etat dowódcy zabezpieczenia technicznego przepraw czołgów. I ja na ten etat trafiłem. Dzięki temu miałem okazję dowiedzieć się, jak wyglądała ta zima w odmiennych warunkach niż te, w jakich ją przeżyłem. Niektórzy z nowych kolegów poumawiali się wtedy, czyli w zimę stulecia, ze znajomymi w Legionowie, Pułtusku i innych

miejscach po północnej stronie Warszawy. Pojechali w samochodzikach na wyjściowo, w półbucikach, panie w szpileczkach i kreacjach. Na to jakiś płaszczyk. Jak dojechali na te swoje miejsca zabaw, nagle okazało się, że tak zaczęło sypać, iż o żadnym sylwestrze nie mogło być mowy. A to orkiestra nie dojechała, a to część gości ugrzęzła w zaspach. Niektórzy, ci, co byli na zabawie blisko jednostki, jakoś dotarli, doszli na piechotę przez zasy. Ale byli i tacy, co się nie mogli później wydostać z balu. Tak ich zasypało – opowiada. – Ci z kadry zawodowej, którzy byli na miejscu, zostali natychmiast skierowani do odśnieżania. Wtedy był inny tryb niż teraz. Przyszedł rozkaz z okręgu, że sprzęt, który nadaje się do odśnieżania, ma być użyty. W związku z tym oficer dyżurny wysłał łączników po kadrę, która była na miejscu. Wszyscy operatorzy sprzętu (jeśli nie było żołnierzy służby zasadniczej, to kadra zawodowa miała uprawnienia na takowe) zamiast świętować, wsiadali do wojskowych gąsienicowych spycharek szybkobieżnych BAT-M i jechali usuwać to, co normalnymi pługami na samochodach nie dawało się usunąć. Wirnikowych pługów w ogóle było mało i część z nich gdzieś na drogach grzęzła. Ci moi koledzy odśnieżali przede wszystkim drogi z Pułtuska do Ciechanowa i z Pułtuska do Legionowa, co też nie było proste, bo zasy miały kilka metrów – tłumaczy.

Śnieg w takich wysokich, kilkumetrowych zaspach tak tężał, że nie dawało się ich usunąć, więc jedynym sposobem było użycie tych wojskowych pługów. Dzięki nim tworzyły się na tej trasie północnej z Warszawy do Ostrołęki i Łomży tunele wysokie na co najmniej pięć metrów, w których obok siebie na styk mogły przejechać dwa samochody ciężarowe lub autobusy. Czubki tych zasp były sporo wyżej niż dachy pojazdów. W rejonie Pułtuska autobusy jadące w przeciwnych kierunkach w śnieżnych tunelach mogły się wyminąć tylko w specjalnie poszerzonych miejscach, tzw. mijankach.

– Zdarzały się sytuacje (jeden z kolegów mi opowiadał), że w tych zaspach były porzucone i zasypane samochody osobowe. I dopiero jak zepchnął taką głębiej do rowu, to się orientował, że to było jakieś

auto. Lemiesz spychacza BAT ma około metr trzydzieści wysokości, więc na przykład malucha kierujący pługiem nawet nie miał szansy zobaczyć – wspomina Konopka. – Oni wszyscy byli zaangażowani w odśnieżanie, walkę z zimą stulecia. Jak operator takiego pługa przyjeżdżał do jednostki, to chwilę odpoczywał, w tym czasie uzupełniano paliwo, sprawdzano olej. Tym się zajmowała kompania remontowa. A on chwilę później siadał za stery i jechał z powrotem – relacjonuje. – Mieli dwa BAT-y i one były cały czas w ruchu. Gdzie mogli, wysyłali też spycharki SM-100. One poruszają się wolniej, kilka kilometrów na godzinę, więc wszędzie jechać nie mogą. BAT jeździ czterdzieści kilometrów na godzinę. Poza tym SM miały lemiesz ustawiony na wprost, a w wojskowych można je też ustawić na klin, na jedną czy drugą stronę, albo na obie. Bo to sprzęt wojskowy do robienia dróg na przełaj.

Wiatr tam, w okolicach Narwi, nawiał ogromne ilości śniegu, co między innymi spowodowało na wiosnę wielką powódź.

– Ta powódź była nieunikniona. Śnieg topniał na wielkiej powierzchni, to wszystko spływało w kierunku rzeki, a wały powodziowe były z piasku. W Pułtusku byłem w sierpniu, bo tam służyłem, więc widziałem zniszczenia. Można powiedzieć, że miasto było jeszcze nieczynne.

W rodzinnych stronach Jana Konopki, w okolicach Sanoka, wielkiej zimy w 1979 roku wcale nie było. Śnieg popadał na piętnaście centymetrów i na tym się skończyło.

## **NOCLEG W HOTELOWEJ SŁUŻBÓWCE**

Fragment komunikatu Polskiej Agencji Prasowej opublikowanego w gazetach 2 stycznia: „Zimowa stolica Polski – Zakopane – powitała nowych rok wśród wiatru halnego i odwilży. W zabawach sylwestrowych uczestniczyło tutaj ok. 50 tys. wczasowiczów. W pierwszy dzień nowego roku w Tatrach spadł śnieg, co wykorzystali amatorzy narciarstwa”.

– Górale mówili, że pierwszy raz widzieli takie błoto na sylwestra – wspomina Barbara Florkiewicz, wówczas studentka anglistyki, która koniec starego 1978 i początek roku 1979 spędzała w Bukowinie Tatrzańskiej. Pojechała tam w grupie pięciu osób. Dwóch chłopaków, trzy dziewczyny. Towarzystwo studenckie. Od świąt Bożego Narodzenia w Tatrach nie było śniegu. Odwilż. Wszędzie mokro i nieprzyjemnie. Zupełnie nie tak, jak powinno być o tej porze roku w górach. Błotniście, grząsko, więc nikt nawet nie miał ochoty na spacer.

Sylwester był góralski. Towarzystwo udało się do zaprzyjaźnionej chałupy, gdzie przywitano ich w sposób ogólnie przyjęty i najczęściej akceptowany, ciepły i rozgrzewający. Krótko mówiąc, dano im wódkę. Nie doszło jednak do żadnych ekscesów, choć zaczęło się robić coraz chłodniej, co szczególnie w odczuwały panie, albowiem na imprezę przybyły ubrane stosownie do wcześniejszej pogody. A tu chłodek jakiś dziwny zaczął chwytać...

Po północy i radosnym przywitaniu Nowego Roku towarzystwo udało się na nocleg. O ile na imprezę sylwestrową szli, grzęznąc w błocie, o tyle powrót odbywał się już w zupełnie innych warunkach. Ziemia pod nogami była twarda jak kamień. Tam, gdzie kilka godzin wcześniej grzęźli w błocie, teraz potykali się



o zamrażnięte brudzy.

– Pamiętam to zamrażnięte błoto – mówi Barbara Florkiewicz.

Wiał wiatr, śnieg zaczął sypać. Nadchodziła tak oczekiwana przez turystów tatrzańska zima.

Poszli więc do wynajętych kwater na spoczynek, a kiedy wstali rano (no, może trochę przed południem), zobaczyli, że świat wokół jest biały. A śnieg padał dalej i najwyraźniej nie zamierzał przestać. Ponieważ bilety kolejowe mieli na 1 stycznia, w pośpiechu zaczęli się zbierać do drogi. Tym bardziej że dochodziły ich niepokojące wieści. Góral, u którego mieszkali, mówił, że przez śnieg kilka PKS-ów się spóźniło, jakies nie przyjechały, a te, co przyjechały, nie zatrzymywały się, bo były tak zapełnione, że nikt już by się w nich nie zmieścił.

W tej sytuacji szybko się spakowali, chwycili bagaże i bez śniadania popędzili na przystanek autobusowy. Jedynym przewoźnikiem w PRL, poza komunikacją miejską, była wielka firma Państwowa Komunikacja Samochodowa, w skrócie PKS. Autobusy nazywano potocznie pekaesami, a kierowców autobusów pekaesowcami. Z kolei zarost u mężczyzn, bokobrody też nazywano pekaesami. Mówiono na nie tak, bo były w latach siedemdziesiątych modne właśnie wśród kierowców pekaesów. Długie baki były na tyle charakterystyczne, że stały się pekaesami. Krąży jeszcze teoria, że te bokobrody miały się kojarzyć z jelczami, tak zwanymi ogórkami. Bo niby, że te baczki takie długie jak ogórki. Moim zdaniem to teoria mocno naciągana. Wszyscy znajomi, których przepytałem na tę okoliczność, nazwę pekaesów kojarzą z pekaesowcami, czyli z wyglądem kierowców.

Także miejsce kierowcy PKS samo w sobie było charakterystyczne. Głośno nastawione radio, często dość charczące. Oraz to, co nazywamy dzisiaj małym dizajnem. Zdjęcia gołych kobiet wycięte z gazet lub z opakowania rajstop, jakiejś zagranicznej gwiazdki pop. Pod koniec lat siedemdziesiątych była to albo Suzi Quatro, albo Samantha Fox. Ta druga łączyła w sobie i nagość, i muzykę. Podobizny z nią, plakaty i fotosy z niemieckiego pisma „Bravo”,

które można było, jak się miało szczęście, kupić w empiku, kopiowano i sprzedawano na bazarach, odpustach i w sklepach z tak zwaną tandetą. Miejsce kierowcy zdobyły też paczki po zagranicznych papierosach, zdjęcia sportowców, najczęściej piłkarzy lub bokserów, również przyklejone do szyby oddzielającej go od pasażerów. W ogóle te szyby były takimi kolażami dokumentującymi zainteresowania, pasje i upodobania kierowcy pekaesu.

To jego miejsce było często ozdobione również frędzlami lub sztucznymi kwiatami. Przy kierowcy obowiązkowy wizerunek świętego Krzysztofa, czasami różaniec. I popielniczka, też obowiązkowa, pełna niedopałków. Niektórzy pekaesowcy osiągnęli bardzo egzotyczny efekt. Miało się wrażenie, że odbywamy podróż w Meksyku lub Pakistanie.

Barbara Florkiewicz czekała z czwórką znajomych na przyjazd autobusu. Jeden ich tylko minął, ale w końcu po długim czasie inny przyjechał i zabrał towarzystwo. Było tak tłoczno, że nie pamięta, jak wyglądało miejsce kierowcy. Kiedy dotarli na dworzec kolejowy w Zakopanem, było już ciemno. Wybiegając z domu, byli pewni, że wyskoczą z autobusu na stacji, wsiądą od razu do sypialnego, rozpakują bagaże i spokojnie coś zjedzą. A tu okazało się, że muszą stać na peronie, a pociągu nie widać. Tłum obok gęstniał, lecz byli spokojni. W końcu mieli bilety. Cokolwiek by się działo, zaraz, jak tylko skład przyjedzie, wejdą do wagonu i wyciągną się na łózkach.

Mocno spóźniony pociąg pojawił się dopiero po dziewiętnastej, a może nawet bardziej przed dwudziestą. Wjechał na stację. Taki zwykły, osobowy. Trochę to dziwne było. Nie wszyscy dowierzali temu, co zobaczyli, więc niektórzy postanowili się upewnić, czy nie zaszła pomyłka.

– Gdzie jest sypialny? – ktoś zapytał.

– Sypialny? Jaki sypialny, tu nie ma żadnych sypialnych! – usłyszeli w odpowiedzi.

Ktoś mówił, że to jest ten jeden jedyny i nie wiadomo, kiedy będzie następny. Znacząco wiadomo, prędko nie będzie.

– Nie mogliśmy się wycofać, trzeba było dostać się do środka –

wspomina pani Barbara.

A dostać się chcą wszyscy. Zebrany na peronie tłum szturmuje pociąg. Nasze towarzystwo wpakowało się do jednego z wagonów. Pociąg wyglądał przerażająco. Cały pokryty grubą warstwą lodu.

Jedna z koleżanek pani Barbary na widok tłumu i samego pociągu zrezygnowała. W Zakopanem czy też w okolicach miała ciotkę lub jakichś kuzynów, więc uznała, że lepiej będzie u nich poczekać, niż tak się męczyć.

Teraz już czteroosobowe towarzystwo wylądowało na korytarzu, zresztą gdzie indziej nie miało szans. Pani Barbara, ubrana zgodnie z duchem, modą i pogodą tamtych czasów w ciepły kożuch, znalazła się w miejscu, gdzie u góry miała uchylone okno, którego nie dało się zamknąć, bo było zamrożnięte, oblodzone i ośnieżone, na dole zaś, na wysokości poślaków, grzejnik, który szczęśliwie jak na wydarzenia tamtego roku, ale nieszczęśliwie jak na potrzeby pani Barbary, grzał, i to mocno. W głowę było jej więc mroźno, wiało przez szczelinę i trochę śniegiem podsypywało, a w pupę niemal parzyło. Była zatem jednocześnie poddawana zabiegom krioterapii i ciepłolecznictwa. Taka łączona termoterapia trwała przez osiem godzin, bowiem tyle czasu zajęła pociągowi podróż do Krakowa. Przy czym powiedzenie, że pociąg jechał, byłoby pewnym nadużyciem. Skład przemieszczał się, często przystając w różnych trudnych z powodu zamrożniętych szyn miejscach. Podczas takich postojów słyszeli, że ktoś na zewnątrz chodzi i ostukuje koła wagonów.

Przebieg tej podróży bardzo niepokoił kolegów towarzyszących pani Barbarze i jej koleżance. Byli studentami uczelni trochę parawojskowej, paramilitarnej prawie, bo Wyższej Szkoły Morskiej w Szczecinie, gdzie ceniono i oceniano punktualność. Podróż przeciągała się potwornie, obawiali się więc, że spóźnią się na zajęcia, a z tego władze uczelni mogły wyciągnąć konsekwencje.

Po dotarciu do Krakowa pani Barbara Florkiewicz i jej towarzystwo podjęli decyzję, żeby jednak w tym mieście przenocować, a raczej przespać się, bo noc im minęła w podróży. W Krakowie byli dopiero wcześniej rano. Nazwy hotelu dzisiaj nie pamięta, znajdował się

naprzeciwko dworca kolejowego, gdzie też udali się z nadzieją na sen i wypoczynek.

– W hotelu nie było miejsc, nie było też ogrzewania – opowiada pani Barbara. Na szczęście personel wyraził gotowość pomocy. Może zadecydował wdzięk towarzystwa albo jakieś dodatkowe argumenty, o których pani Barbara nie wspomina lub po latach nie pamięta. Dość że dostali na parę godzin drzemki pomieszczenie służbowe. Były tam prycze z kocami i jakiś sprzęt do sprzątanía. Głodni, bo nie było okazji, by kupić coś do jedzenia, położyli się spać. Pani Barbara czuła, że ma przeziębiony pęcherz, skutek nieoczekiwanych i przymusowych zabiegów krioterapii i ciepłolecznictwa.

Na szczęście dla studentów i już wkrótce wilków morskich okazało się, że szkoły i uczelnie mają wydłużone ferie. Tak podawano w oficjalnych komunikatach, więc przyszli marynarze przestali się przynajmniej obawiać konsekwencji za spóźnienie.

Po czternastej miał jechać z Krakowa do Warszawy pociąg pośpieszny, na który chcieli zdążyć. I udało im się, skład już w Krakowie był trochę spóźniony, ale do Warszawy jak na zimę stulecia ruszył prawie o czasie. Pani Barbara i jej towarzystwo byli bardzo zadowoleni, bo udało im się w drodze na dworzec kupić jakieś drożdżówki. Mieli więc zapewniony posiłek, pierwszy od zabawy sylwestrowej. Skromny, co prawda, i niewielki, ciasto też nie najświeższe, a może za bardzo zmrożone, ale jednak. Trochę głód udało się przytłumić. Pociąg jechał w miarę sprawnie, wszyscy z grona pani Barbary siedzieli. Na zmianę, bo miejsca mieli tylko dwa, ale i tak było dobrze. Wprost komfortowo, tak sobie myśleli.

Jechał z nimi jakiś jegomość lat może czterdzieści lub pięćdziesiąt, trudno określić. Towarzyszyła mu ruda pani w futrze. Mieli dużo bagaży. Gość był bardzo nerwowy. Jechał na kontrakt do Trypolisu. W tamtych czasach wielu Polaków jeździło na tak zwane kontrakty do Libii. Była to legalna forma zarobków w walutach wymiennalnych. Taką pracę załatwiała się przez państwowe przedsiębiorstwo Polservice, które brało za to olbrzymią, kilkudziesięcioprocentową

pro wizję. Chętnych jednak nie brakowało. Na kontrakcie można było żyć oszczędnie, a przywieziona legalnie waluta miała duże przebicie i znacząco podnosiła komfort życia. Dolary można było przywieźć jedynie za pośrednictwem państwowego banku PeKaO (Polska Kasa Opieki), który dla kontraktowiczów, jak się o nich mówiło, uruchomił specjalne konta walutowe.

W przedziale zimno, jeden grzejnik grzał. Jegomość z rudą panią w futrze cały czas nerwowy. Bał się, że samolot do Trypolisu odleci bez nich. W końcu pociąg dotarł do Radomia. Stanął na stacji i stoi. Ani drgnie. Stoi, nie rusza się, choć powinien jechać dalej. Jegomość co chwila wygląda przez okno, które w tym pociągu, o dziwo, nie było zamrożone. Ale to otwieranie denerwowało innych pasażerów, bo w zimnym przedziale robiło się jeszcze zimniej. Jegomość jednak nie słuchał tego, co ludzie mają do powiedzenia, nie obchodziły go ich narzekania. Jego celem był Trypolis. Wyglądając przez okno, szukał kogoś na peronie, kto mógłby mu udzielić cennych informacji dotyczących dalszej podróży. Przez dłuższy czas nie było widać żywego ducha, ale w pewnym momencie ni stąd, ni zowąd pojawił się jakiś kolejarz. Nerwowy jegomość przepytął go na okoliczność odjazdu pociągu. Kolejarz nie miał zębów, co silnie utkwіło pani Barbarze w pamięci. No i ten bezzębny kolejarz życzliwie poinformował, że najpierw do Warszawy pojedzie pociąg ekspresowy.

Na te słowa jegomość sprawnie chwycił liczne bagaże i z rudą panią w futrze, która ciągnęła za sobą jakąś walizę, ruszyli szybko, by przenieść się do warszawskiego ekspresu. Po dwóch minutach od ich wyjścia pociąg pośpieszny ruszył w kierunku stolicy. Kiedy w końcu po kilkugodzinnej podróży dotarł na Dworzec Centralny w Warszawie, podawano przez megafony, że ekspres, ten, którym pojechał jegomość z rudą panią, jeszcze nie dotarł. Ogłaszali, że miał już trzysta sześćdziesiąt minut spóźnienia, a wyglądało na to, że opóźnienie będzie jeszcze większe. Nie wiadomo, jak zakończyła się podróż nerwowego jegomości i rudej pani w futrze. Być może mieli szczęście i samolot nie wystartował, bo w tym czasie wiele lotów

było odwołanych.

Pani Barbara mieszkała wówczas z rodzicami w Wawrze, dzielnicy na prawym brzegu Wisły, w południowo-wschodniej części Warszawy, ale na dworcu okazało się, że nie ma żadnych szans, by tego dnia dojechać do domu. Była późna pora. Normalnie do Wawra można się było dostać autobusem nocnym lub taksówką, jednak na początku zimy stulecia nie było szans na żaden z tych pojazdów. Ruszyli więc do mieszkania jednego z kolegów, które znajdowało się blisko dworca. Śnieg zasypał chodniki, przemieszczać się można było tylko wydrążonymi, bardzo wąskimi korytarzami. Walizka i bagaż niesiony w rękę znacznie utrudniały marsz. Z wielkim trudem wymijało się też kogoś, kto zmierzał z naprzeciwka. Szli więc, trochę popychając, trochę turlając swoje walizki. Tak dotarli do domu rodziców kolegi na ulicy Miedzianej. Wymarznięci i głodni.

## MAŁA APOKALIPSA WE WROCŁAWIU

„Na Dolnym Śląsku nie mieliśmy tak silnych mrozów i zadymek śnieżnych, jak w centralnych i północnych regionach Polski – próbował uspokajać swoich czytelników wrocławski dziennik „Gazeta Robotnicza”. – Temperatury na obszarach nizinnych nie spadły poniżej dwudziestu stopni mrozu. Jednak wskutek kryzysu w całym krajowym systemie energetycznym i transportowym skutki ataku zimy (w zasadzie zdawałoby się, że zupełnie normalnego o tej porze roku) odczuliśmy równie dotkliwie, jak gdzie indziej. Wiele dolnośląskich miast zostało w dużej części pozbawionych prądu elektrycznego. We Wrocławiu zamrzły składy opałowe elektrociepłowni, do licznych mieszkań przestało docierać ciepło. Dopiero w Nowy Rok wieczorem wznowiono ogrzewanie, musi upłynąć nieco czasu, zanim stanie się ono znowu normalne”.

Markowi Frąckowiakowi, który dzieciństwo spędził między innymi w Świebodzinie, wydaje się, że w czasach PRL z czasem traciliśmy zdolności dawania sobie rady ze śnieżnym i mroźnym żywiołem.

– Wcześniej zimy jakoś nie doskwierały tak bardzo. W Świebodzinie mieszkaliśmy w części miasta zdominowanej przez małe domki. Pamiętam, że na chodniku odśnieżano takie korytarzyki, których odnogi prowadziły do poszczególnych domów. Śniegu musiało być sporo, bo jako chłopiec, stojąc na chodniku, z trudem mogłem zobaczyć, co się dzieje na ulicy. I nie pamiętam, żeby ktoś utyskiwał na trudności z tym związane. Wszyscy uważali taki stan za normalny – mówi.

Marek Frąckowiak zimę stulecia spędził we Wrocławiu. Przyjechał tu z Warszawy, by po śmierci ojca zamknąć sprawy, których w takich smutnych okolicznościach jest zawsze dużo. Były to jeszcze czasy

przelektroniczne, analogowe, więc osobista obecność była koniecznością. Zresztą, w sprawach urzędowych (bez względu na epokę) lepiej przybyć osobiście.

Urzędnicy to zwykle ludzie wrażliwi i drażliwi, więc jak się chce coś załatwić, lepiej być samemu na miejscu, bo choć czasu to zabiera sporo, ale i tak mniej, niż gdybyśmy sprawę chcieli załatwiać listownie. A znając peerelowską pocztę, która lubiła się spóźniać z przesyłkami, mogło to trwać długie tygodnie, a nawet miesiące. Najdłużej wędrowały od nadawcy do adresata listy polecane, bo każdy etap ich podróży musiał być zarejestrowany, co sprawiało, że na odległe wsie taka przesyłka docierała nawet po kilku tygodniach, kiedy opisana w niej sprawa często była już nieaktualna. Wolno też chodziły listy ekspresowe, bowiem tak jak polecane miały być rejestrowane na różnych etapach swojej drogi. „Express”, to niech poczeka na swoją kolej, trzeba go uważnie zarejestrować, żeby nie zaginął. W związku z tym najwolniej przemieszczały się polecane ekspresy, bo były podwójnie rejestrowane. Najszybciej szły do adresatów listy zwykłe, zwolnione z biurokratycznej ścieżki, co nie oznacza, że szły szybko. W końcu były to przecież tylko listy zwykłe.

A nawet jak się szczęśliwie i stosunkowo szybko udało przeprowadzić wymianę listów z urzędami, to i tak na końcu trzeba było być osobiście. Z drugiej strony wiadomo, że jak komuś zależy na załatwianiu sprawy, to musi się stawić przed majestat urzędu sam we własnej osobie. Panowało wtedy przekonanie (zresztą częste i dziś), że korespondować to mogą jedynie obłożnie chorzy i starzy.

Kolejną trudnością z korespondencją urzędową była pisemna decyzja, która prędzej czy później musiała do nas dotrzeć. A jak dotarła, była najczęściej niekorzystna i znowu trzeba się było od niej odwoływać. I tym sposobem korowód biurokratyczny ciągnął się w nieskończoność. Bo jednym z trwałych polskich problemów jest to, że nikt nie wie, jaka jest w danej sprawie wykładnia urzędu. W PRL można się było spodziewać, że na pięć urzędniczek każda będzie miała inne zdanie, zażąda innych dokumentów. I póki nie ma ostatecznej decyzji, można zawsze jakiś brakujący papier donieść,



a nieprzychylność urzędniczek złagodzić uśmiechem, a jeszcze lepiej paczką kawy lub czekoladkami. W końcu po kilkunastu wizytach uzbierała się teczka w urzędzie, i już tylko pozostało się modlić, żeby nie zginęła.

Marek Frąckowiak w trudnych dla siebie okolicznościach musiał przez jakiś czas osobiście załatwiać we Wrocławiu sprawy, biegając po urzędach. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata, robił już w życiu parę różnych rzeczy. Na studia w Warszawie się nie dostał, bo wtedy zdawało się na uczelnie egzamin. I czasami nawet dobrze i bardzo dobrze zdane egzaminy nie gwarantowały przyjęcia do grona studentów, szczególnie jeśli jakiś kierunek był popularny i na jedno miejsce było nie kilku, ale nawet kilkunastu lub kilkudziesięciu kandydatów. O przyjęciu na studia decydowały punkty, a miało się je za zdany egzamin, wyniki na maturze i przede wszystkim za pochodzenie. Premiowano najbardziej robotniczo-chłopskie, nawet jeśli ktoś był inteligentem w drugim pokoleniu. Jeden rodzic o niższym statusie wykształcenia nie zaniżał w papierach pochodzenia i nie podwyższał liczby uzyskanych za nie punktów.

Jak ktoś nie dostał się na studia, musiał coś wymyślić, żeby nie pójść do wojska. Najskuteczniejszym sposobem było rozpoczęcie nauki w szkole pomaturalnej. Szkoły te były przeznaczone dla absolwentów liceów. W dwa lata można w nich było zdobyć jakiś zawód wymagający posiadania matury. W ten sposób uczyli się technicy medyczni, radiolodzy, pracownicy socjalni, administracyjni i sekretarki. Za szczególnie elitarną uchodziła wśród dziewcząt szkoła stenotypii i języków obcych, po której można było zostać sekretarką w jakimś prestiżowym przedsiębiorstwie lub centrali handlu zagranicznego. Część chłopców w oczekiwaniu na egzamin na studia w następnym roku wybierała szkołę pomaturalną, żeby w niej spokojnie przeczekać i otrzymać odroczenie od wojska. I kiedy na wiosnę dostawali wezwanie do WKU, czyli komisji wojskowej, którego wynikiem było odroczenie od zaszczytnej służby na czas edukacji, rezygnowali z nauki, twierdząc, że tak się lepiej i w spokoju przygotowują do przyszłych egzaminów wstępnych na studia.

W efekcie były szkoły pomaturalne, które na wiosnę gwałtownie traciły męską część uczniów.

Także Marek Frąckowiak skorzystał z tej ścieżki. Chodził w Warszawie do szkoły pomaturalnej i trochę też pracował. Jednak z powodu smutnej okoliczności, jaką zawsze jest bez wątpienia śmierć kogoś bliskiego, musiał udać się do Wrocławia i zamknąć niektóre sprawy. Skoro zaczął mieszkać w stolicy Dolnego Śląska, postanowił też pobyc tu trochę dłużej i spróbować tutaj dostać się na studia, co też się udało. Jak każda młoda osoba, która przeniosła się nagle do innego miasta, nie miał w nim początkowo dużego grona znajomych. Na szczęście we Wrocławiu mieszkała jego rodzina. I to do niej zdecydował się udać w wieczór 31 grudnia 1978 roku, by spędzić z nią sylwestra.

– Mieszkałem wtedy na Krzykach i nagle okazało się, że jestem zmuszony iść do rodziny na piechotę – wspomina Marek Frąckowiak, który ruszył do kuzynów mieszkających na ulicy Bolesława Chrobrego. – Musiałem wędrować przez całe Stare Miasto, przejść przez most na Odrze, by w końcu dotrzeć do ich dzielnicy, która ocalała mimo wojennych zniszczeń miasta. To taka okolica starych kamienic, dawnej miejskiej zabudowy. Moje Krzyki to była mieszanina peerelowskich blokowisk i pozostałości, ostańców, czyli domów, które przetrwały wojnę.

Szedł więc pieszo, bo nic nie jeździło.

– Okazało się też, że we Wrocławiu była wtedy jakaś awaria energetyczna – wspomina. – Nagle pstryk i ponadpółmilionowe miasto zostało bez prądu. Później słyszałem dramatyczne opowieści, nie wiem, na ile prawdziwe, że dochodziło do tragedii.

Ludzie opowiadali sobie różne historie. Najbardziej wstrząsające i tragiczne były te o szpitalach, które z założenia miały mieć generatory, ale kiedy zdarzył się kataklizm, okazało się, że te urządzenia się psuły albo w ogóle nie działały. Podobno doszło z tego powodu nawet do zgonów. W tej sprawie nigdy nie przeprowadzono śledztwa.

– Nie wiem, na ile prawdziwe są te historie. Po prostu relacjonuję

to, co ludzie mówili na samym początku zimy stulecia.

W krążących po mieście opowieściach mowa była o wyłączonych inkubatorach i innych urządzeniach podtrzymujących czynności życiowe. Ale w sylwestrowy wieczór tych historii Marek Frąckowiak jeszcze nie słyszał. Szedł przed siebie w mrocznych i mroźnych ciemnościach.

– To było niezwykle, niesamowite przeżycie. Szedłem przez sparaliżowane miasto... Nie, to złe określenie – poprawia się. – To było miasto, przynajmniej ja miałem takie wrażenie, zamarte. Był późny wieczór. Szedłem tak o dziewiątej, dziesiątej. Cały Wrocław tonął już w zaspach śniegu. Na dodatek było kompletnie ciemno. Na ulicach nie świeciły lampy, nie było świateł w budynkach. A kto mógł, siedział w domu. Szło się ciemnymi ulicami, takimi tunelami wśród bloków, a później kamienic, patrząc na światelka świec w oknach. Bo ludzie ten wieczór sylwestrowy spędzali przy świecach. Ulice były puste, z rzadka kogoś spotykałem. Oprócz tych świec błyskających tu i ówdzie w oknach największe wrażenie zrobiły na mnie porzucone samochody, autobusy i tramwaje. Zasypany wokół były ogromne. Te samochody w nich ugrzęzły i ludzie je tak po prostu zostawili, porzucili, bo i też nic innego zrobić nie mogli. Stanęła cała sieć tramwajowa. Tam, gdzie tramwaj stanął, bo nagle prąd przestał płynąć w trakcji, tam został. Z otwartymi drzwiami. Ciemne, puste wozy na środku ulicy, na przystankach, na skrzyżowaniach. Takie widma tramwajowe. Przez otwarte drzwi wpadał śnieg, więc one po paru godzinach były zasypane nie tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz. Mnie to wszystko kojarzyło się z filmem science fiction. Z kinem katastroficznym, w którym Marsjanie wybijają całą ludność i pozostawiają porzucone miasto.

Marek Frąckowiak szedł przez Wrocław długo nie tylko dlatego, że musiał się przekopywać przez zasy, ale również z powodu własnej ciekawości i zdumienia. Przyglądał się temu, co widział, bo rzadko człowiek ma okazję znaleźć się w samym środku filmu katastroficznego. Na szczęście nie marzył, miał na sobie, jeśli dobrze pamięta, jakąś przerobioną kurtkę wojskową. Tak zwane moro, czyli

kurtkę z wojskowym kamuflażem wz.68 (czyli wzór 68), używane przez peerelowskie formacje zmilitaryzowane w latach 1968-1989. Kurtka była przerobiona, chyba nawet przefarbowana, żeby nie przyciągać uwagi patroli wojskowych i milicyjnych, bo cywile w PRL nie mieli prawa używać rzeczy z demobilu. Było to karane, a ubrania konfiskowane. Patrole potrafiły też czepiać się osób odzianych w amerykańskie kurtki wojskowe. Wiadomo, ubiór największego wroga. Ale potem te amerykańskie kurtki były tak popularne, że ich posiadaczy zostawiono w spokoju. Tym bardziej że nosiły je też dzieci peerelowskich prominentów.

„We Wrocławiu od 14. stały wczoraj wszystkie tramwaje. W sieci MPK nie było prądu. Na trasy nie można było skierować dodatkowych autobusów MPK, gdyż berliety, które mają wiele przewodów instalacyjnych niez izolowanych od otoczenia, nie dawały się uruchomić. Wieczorem miasto tonęło w ciemnościach – relacjonowała „Gazeta Robotnicza”. – Trudna do zrozumienia była beztroska służb komunalnych kompletnie zaskoczonych zimą, w miastach i na drogach”.

W innym miejscu ta sama gazeta donosiła: „Wrocławskie MPK miało najgorszy dzień w poniedziałek, 1 bm., kiedy to na skutek wyłączeń prądu w godzinach przedpołudniowych zostało zablokowanych na trasach wiele tramwajów, a między godz. 15.30 i 21 zamarł cały ruch. Nie mniejsze kłopoty są z autobusami, w których zamarzają układy sterownicze, a także pneumatycznie zamykane drzwi. Trzeba je kierować do odmrażalni ogrzewanych elektrycznością. Kiedy i tu braknie prądu, wozy takie są unieruchomione”.

Z kolei wojewoda wrocławski Zbigniew Nadratowski wypowiadał się na tych samych łamach: „W dwóch pierwszych dniach od nadejścia fali mrozów i dużych opadów śniegu połączonych z wiatrem powodującym zaspę sytuacja we Wrocławiu i województwie była wyjątkowo trudna. Jest ona nadal jeszcze nie najlepsza. Odczuwają to dotkliwie wszyscy mieszkańcy. W celu złagodzenia zaistniałych skutków podjęto liczne przedsięwzięcia,

których rezultaty zapewniają stopniową poprawę”. Co w normalnym języku przekładało się na stwierdzenie: zima nas kompletnie zaskoczyła, nie dajemy sobie rady, próbujemy coś robić, ale nie spodziewajcie się, że będzie dobrze.

„Zwiększono też dostawy energii elektrycznej, ale jeszcze nadal nieproporcjonalnie do potrzeb, które są pokrywane zaledwie w 50 procentach. W takich warunkach trzeba nadal ograniczać dopływ prądu przede wszystkim do zakładów pracy. Nieuniknione jest jednak okresowe wyłączanie dopływu prądu i do mieszkań, lecz w mniejszych rozmiarach niż poprzednio. Notuje się też pewną poprawę w dostawach gazu. Normalnie natomiast pracują miejskie wodociągi, dostarczając w ciągu doby 180 tys. metrów sześciennych wody. Występują jednak awarie w sieci kanalizacyjnej” – wyjaśniał wojewoda Nadratowski, przyznając de facto, że niczego już tak naprawdę nie kontroluje.

Tymczasem prasa we Wrocławiu walczyła z tymi, którzy używają za dużo światła. W pierwszej kolejności dostało się placówkom handlowym: „Okazuje się, że nawet w centrum miasta nie wygaszono świateł we wtorek do godziny 9 w kilkunastu placówkach handlowych przy ul. Świdnickiej. Np. w sportowym sklepie »Stadion« świeciła okazale choinka. Jaśniały też witryny Księgarni Technicznej, sklepu z futrami oraz z obuwciem.

Podobna sytuacja miała miejsce niemal we wszystkich częściach Wrocławia. Notowano też większe marnotrawstwo energii wskutek niewyłączenia reklam neonowych. Otrzymaliśmy także telefon od mieszkańca ul. Krótkiej oburzonego, że na podwórku tamtejszej szkoły światła się palą dzień i noc”.

– Miasto z tego krachu podnosiło się przez kilka dni i ciągle było zasypane śniegiem – opowiada Marek Frąckowiak. – Pamiętam też piękne odruchy ludzkiej solidarności.

Jednego z późniejszych wieczorów znowu ruszył w wędrówkę po mieście. Tramwaje już kursowały, ale nadal były zasy. I ciągle było mroźno.

– Wracałem wtedy do domu. Tak późnym wieczorem, że

przestawała już działać komunikacja miejska. Na ulicach było pusto, więc nastawiłem się na długą drogę przez miasto – kontynuuję. – Ponieważ po drodze miałem jakąś pętlę tramwajową, postanowiłem zobaczyć, czy może jest na niej jakiś pojazd. I rzeczywiście był. Wyglądało, że już jeździć nie będzie. Oprócz mnie było tam kilka osób. Podeszliśmy do wozu. Spytałem motorniczego, w którym kierunku będzie jechał, licząc, że może uda się choć trochę zbliżyć do celu. „A gdzie chcecie jechać?” – zapytał wszystkich motorniczy. Każdy wymienił kierunek, w którym zmierzał. „No to wsiadajcie. Porozwożę was” – powiedział motorniczy i rzeczywiście tak się stało. Odbiliśmy zupełnie surrealistyczny kurs tramwajem po Wrocławiu. On nas wszystkich dowiózł tam, skąd mieliśmy najbliżej do domów. Wysiadał na skrzyżowaniach i wajchą przestawiał szyny na torowiskach. Nocą po Wrocławiu jechaliśmy tramwajem prawie jak taksówką.

Marka Frąckowiaka najkoszmarniejszym wspomnieniem nie tylko z 1979 roku, ale także innych peerelowskich zim, jest podróżowanie koleją. W normalnych warunkach jazda pociągiem z Wrocławia do Warszawy trwała jedną czwartą lub jedną trzecią doby, ale zimą potrafiła się wydłużyć. Na dodatek pociągi były niedogrzone, z ciągle popsutymi, nieszczelnymi oknami.

– Dobrze jeśli okno było zamrożone, to przynajmniej nie wiało – wspomina.

Do Warszawy zwykle jeździł nocnym pociągiem, który do stolicy kursował ze Szklarskiej Poręby. Zgodnie z rozkładem podróż nim powinna trwać siedem i pół godziny, jednak najczęściej jechało się półtorej godziny dłużej.

Z zimy stulecia Marek Frąckowiak pamięta jeszcze noc spędzoną na dworcu w Kuluszkach, gdzie wśród podróżnych zmierzających w różnych kierunkach, a uwięzionych w tym ważnym węźle kolejowym, oczekiwał na mocno spóźniony pociąg.

Po przeprowadzce do Wrocławia związał się z opozycją i coraz częściej kursował między tym miastem i stolicą, kolportując jeszcze przed sierpniem 1980 roku niezależne wydawnictwa. Do Warszawy

wrócił w roku 1982.

O ile Marek Frąckowiak w sylwestra 1978 roku wędrował z Krzyków do Nadodrza, o tyle Maciej Świrski z osiedla Sępólno udawał się na Krzyki. Dzisiaj Świrski to znana publicznie postać, szef fundacji Reduta Dobrego Imienia – Polska Liga Przeciw Zniesławieniom, a wtedy uczeń drugiej klasy licealnej. Sylwestra spędzał wśród znajomych, ale nie była to dokładnie grupa rówieśnicza, lecz bardziej zróżnicowane towarzystwo.

– Pamiętam, że najpierw był deszcz. Poszliśmy na jakąś imprezę, a kiedy z niej wyszliśmy, okazało się, że wszystko jest zamrożone i wszystko się ślizga. Mały fiat, którym przyjechaliśmy, nie chciał odpalić, więc pchaliśmy ten samochód przez całe miasto. Śnieg padał, a my go pchaliśmy. Do domu dotarłem przez zasy, które po drodze się utworzyły, dopiero nad ranem – opowiada Maciej Świrski. – Była to bardzo ciekawa operacja. Do malucha nie mogliśmy się dostać, bo zamki były zamrożone, więc nie dawało się go odpalić ani nic z nim zrobić. A trzeba go było ruszyć. W związku z tym pchaliśmy samochód, który miał zablokowaną kierownicę, ale silnik na luzie. To poruszanie się maluchem odbywało się poprzez kopanie przednich kół, żeby skręciły, tudzież hamowanie własnym ciałem przed samochodem, kiedy trzeba go było zatrzymać.

– Można tę ekspedycję uznać za przeżycie pokoleniowe – żartuje Świrski.

Po świątecznej przerwie była przerwa w szkole z powodu zimy stulecia, a zaraz potem ferie zimowe, więc nagle zrobili się nieźle wakacje w środku zimy.

– Dobrze, że nie musieliśmy chodzić do tej komunistycznej szkoły – wspomina Świrski. Nie lubił jej, jej zakłamania. – Zimą stulecia, a dokładniej z jej odchodzeniem do dzisiaj kojarzy mi się zapach diesla i topniejącego śniegu – mówi i przyznaje się, że nic nie pamięta za to z podróży pociągami w tamtym czasie.

Jeśli chodzi o jazdę koleją, najbardziej wbiła mu się w pamięć podróż w czerwcu 1976 roku, zaraz po podwyżkach cen żywności, które wywołały protesty robotników w wielu polskich miastach.

Świrski jechał wtedy do Warszawy pociągiem, który z powodu pikiety robotniczej na torach w Ursusie stał w polu przez sześć godzin, a później okrężną drogą dojechał do Warszawy Wschodniej. Zamiast przyjechać o piętnastej, w stolicy był o trzeciej w nocy.

We wrocławskim mieszkaniu mieli ogrzewanie etażowe, czyli w kaflowym piecu zainstalowana była grzałka elektryczna. Pamięta, że było ciepło. Z kolei w Warszawie przebywał w mieszkaniu ojca, który z mrozu był zadowolony, ponieważ mieszkał na ostatnim piętrze starej kamienicy, a jej dach przeciekał, więc gdy było wilgotno, trzeba było na środku pokoju ustawiać wiadro, żeby woda do niego ściekała. Jak był mróz, woda nie ciekła i warunki od razu stawały się komfortowe. Niestety, potem zaczęły się roztopy i przyszła mała powódź, bo po takiej ziemi ciekło z dachu podwójnie.

Maciej Świrski również zwraca uwagę na odruchy solidarności wywołane przez trudne warunki. Jego obecna żona mieszkała wtedy w wysokim bloku, w którym była awaria ogrzewania i ludzie pożyczali sobie farelki, żeby móc nimi ogrzać mieszkania. Farelkami określano elektryczne grzejniki. Nazwa brała się od fabryki Farel w Kętrzynie, w której je produkowano.

– Być może rok 1980 ma swój początek w zimie stulecia. Żeby przeżyć w trudnych warunkach, trzeba było wyjść z tej skorupy, w którą nas komuniści wtłoczyli, i współpracować ze sobą. Pchać się nawzajem, ten autobus popchać, podzielić się kanapkami w zamrzniętym pociągu – zastanawia się Maciej Świrski. – Być może to było tak, że najpierw Pan Bóg tą zimą stulecia wydobył nas z dziur, w których pochowaliśmy się przez ten komunizm. Później przyjechał Papież i zobaczyliśmy się. Dowiedzieliśmy się, jak wielu nas jest. A potem był Sierpień 1980 roku i szlag trafił komunę. Jest to jakaś konsekwencja. Może po coś ta zima była.

Maciej Świrski mówi, że dla niego to, co się zdarzyło w sierpniu 1980 roku i w całej następnej dekadzie, przesłoniło wszystkie inne jego przeżycia. Zmieniło ich znaczenie. Wydają się nie tak ważne. Po Sierpniu intensywność przeżyć była ogromna, nie do porównania z wcześniejszą jałowością życia w komunizmie, mówi.





## PIŻAMÓWA W OPARACH

– Moja zima stulecia to oczywiście sylwester. Ten początek, te pierwsze wrażenia przykryły w pamięci wszystkie późniejsze. – tak tamten czas wspomina Ewa Szprynger, znana dziennikarka, reżyserka, wybitna dokumentalistka, autorka takich filmów, jak „Piosenka z kluczem”, „Rachel na Dworcu Gdańskim” i „Już nie ma tych miasteczek”, a także prezes stowarzyszenia organizującego Międzynarodowy Festiwal Filmowy „Żydowskie Motywy”.

W grudniu 1978 i zimą 1979 była studentką Uniwersytetu Warszawskiego. Jednak studia na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych nie dawały jej pełnej satysfakcji.

– Nie do końca kochałam swoje studia. To był parszywy czas. Program tych studiów też nie był dla mnie ciekawy, więc starałam się żyć swoim własnym życiem. A tym życiem była dla mnie piosenka studencka. Nie kabaretowa, ale ta poetycka – opowiada.

Całe jej pozauczelniane życie kręciło się wokół piosenki, a przede wszystkim wokół zajmujących się nią ludzi. Również Jurek, jej chłopak i późniejszy mąż, wywodził się z tej grupy. Sama też śpiewała, miała nawet własny zespół.

– Nasza kapela nazywała się Cumel Folk Chomąto Band i nie przeszła do historii. To była efemeryda, która powstała na zasadzie studenckiej zgrywy. Lubiliśmy śpiewać piosenki przypominające country, stąd na końcu nazwy ten band – wyjaśnia.

Jej zespół trzymał się nurtu bardziej masowego, więc słynna Turystyczna Giełda Piosenki Studenckiej w Szklarskiej Porębie była żelaznym punktem jej wakacji. Ta magia, jak sama mówi, nadal trwa, ludzie z tego środowiska odnajdują się, czy to na Facebooku, czy przez miejsca swojej pracy. Może ta potrzeba kontaktu wynika z siły wspólnego młodzieńczego doświadczenia, zastanawia się Szprynger.

– Te piosenki, te śpiewanki, jak je nazywaliśmy, to była nasza ucieczka przed mało interesującą rzeczywistością PRL – ocenia. – Nie tylko odtwarzaliśmy piosenki, ale przede wszystkim je tworzyliśmy. Sami je wymyślaliśmy i one przetrwały lata. Tworzyli je ludzie bardzo wrażliwi, którzy szukali własnej niszy. Jakiejś grupy wsparcia, która myślałaby podobnie jak oni. To dawało im poczucie, że nie są całkowicie wyobcowani.

Część z nich nie pokończyła studiów, część postanowiła zarabiać na życie gitarą i piórem. Mało kto wie, że na przykład Jacek Cygan i Jerzy Filar studiowali w Wojskowej Akademii Technicznej. Tam na Wacie stawiali swoje pierwsze (jak to ciepło określa Ewa Szprynger) wrażliwe kroki. Studia dawały zdolnym dupokrytkę, ochronę, żeby nie pójść do wojska lub nie dorosnąć zbyt szybko.

– Studiując dziennikarstwo, wiedziałam – kontynuuje – że będę pracowała w jakiejś gazecie. Nie było już nakazów pracy i nie musiałam podjąć jej w jakimś narzuconym miejscu. Jako warszawianka wiedziałam, że muszę sobie znaleźć pracę tutaj. Nie bałam się dorosłości. Nie bałam się, że przejdę z rozśpiewanego studenckiego życia do dojrzałości. Decyzja o tym, że zostałam dziennikarką, to nie był przypadek. Było to głęboko przemyślane i wynikało z tego, że lubię ludzi i chcę być z ludźmi.

Ale nie wszystkim się ułożyło. Jej kolega studiował w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, która po 1989 roku wróciła do przedwojennej nazwy Szkoła Główna Handlowa (SGH). SGPiS miała opinię bardzo elitarnej uczelni i dostać się do niej było niezwykle ciężko. Jemu się udało, ale jej nie skończył. Zaczął grać, śpiewać, zarabiać jakieś większe pieniądze. I zaczął też pić. I przez to picie stracił to, co najważniejsze w życiu: zdrowie, pasję i miłość. Starał się potem być blisko muzyki. Został nawet lutnikiem, robił całkiem niezłe gitary, ale zmarł dużo za wcześnie.

– Uciekaliśmy w śpiewanie, bo to nas interesowało – podkreśla Szprynger.

Sylwestra postanowili zorganizować w kilka par, czyli taką raczej kameralną imprezę. Bo lokal, w którym miała się odbyć, czyli

mieszkanie babci Ewy Szprynger na Dolnym Mokotowie przy ulicy Gierymskiego, był maleńki. Miał trzydzieści dwa metry kwadratowe, z niewielką kuchnią. Wtedy była moda na imprezy zwane piżamówkami. To bawiącym miało dawać poczucie pewnej intymności, domowości, jakiegoś ciepła. W związku z tym postanowiono, że taka piżamówka odbędzie się też w tego sylwestra.

– Odpowiednio wcześniej przyjechałam, żeby przygotować przyjęcie. Padał już wtedy śnieg. Miało być jakieś skromne jedzenie. Impreza, oczywiście, była składkowa. Jurek przywiózł jakiś alkohol, ale wcale nie w dużych ilościach, bo co innego nas wprowadzało w dobry humor, choćby właśnie śpiewanie, w końcu impreza miała być w tym śpiewankowym gronie.

Nadszedł wieczór. Czekają na gości, których ciągle nie ma.

– Jurek brzdąka na gitarze, ja coś tam pichcę. To było mieszkanie z loggią, więc nie było tak od razu widać, co się za oknem dzieje. Żeby zobaczyć, trzeba było nieco szerzej wzrokiem rzucić – opowiada. – Nie mieliśmy świadomości, że zaczynamy być zasypywani.

Jej partner Jurek siedział w piżamie, ona w bardzo gustownej koszulce nocnej. Była jeszcze jej przyjaciółka ze szkoły średniej, która wcześniej przybyła, także odziana w bardzo fajną koszulę nocną. Tak siedzą sobie w trójkę. Gadają, śpiewają, brzdękają, a gości nie ma. W pewnym momencie łomot do drzwi. Wpada kolega.

– Nawet nie wiecie, co się dzieje na świecie. Ledwo do was dobrnąłem, tak śniegu nawaliło!

Z tym kołatanem do drzwi to była wtedy norma. Domofony były rzadkością, a jak nawet gdzieś je zainstalowano, to nie działały. Klatki schodowe były ogólnie dostępne, każdy mógł wejść. Dzwoniło się bezpośrednio do drzwi mieszkania.

Kolega został otrzepany ze śniegu, osuszony, otrzymał coś na rozgrzewkę, czyli bilet wstępu. I dalej, teraz już we czwórkę, siedzą, grają, brzdękają, gadają i śpiewają. Nadchodzi jedenasta, a gości nadal nie ma. Radia nie słuchają, telewizora nie oglądają, bo

zepsuty. Zbliżyła się godzina dwunasta. A skoro nadeszła północ, to złożyli sobie życzenia. Ten kolega, który dotarł, bardzo się denerwował. Martwił się, co z jego dziewczyną, która mieszka na Grochowie. Miała być, a ciągle jej nie ma.

– Gdzieś tak około godziny pierwszej w nocy znów łomot do drzwi. Przychodzi ta jego dziewczyna. Cała oblepiona śniegiem, rumiana na twarzy i wkurzona na maksa. I opowiada nam swoją gehennę – wspomina pani Ewa.

Otóż wyszła z domu o godzinie ósmej, bo miała być na Dolnym Mokotowie między godziną dziewiątą a wpół do dziesiątej. To dość prosta i niedługa trasa. Miała właściwie przebyć tylko drogę na drugą stronę Wisły, a że Trasa Łazienkowska już od kilku lat funkcjonowała, przeprawa była jeszcze krótsza. Od placu Na Rozdrożu do Gierymskiego to już nie była żadna odległość. Z dużym luzem godzina powinna starczyć.

Kiedy wyszła z domu, już nic nie jeździło. Taksówek w ogóle nie było. Za to wszędzie piętrzyły się wielkie zasy, hałdy śniegu, które rosły dosłownie z minuty na minutę. Na chodnikach wydeptane wąskie ścieżki jak kaniony, w których ludzie tuptali, wymijając się z wielkim trudem. Dość długo przedzierała się po praskiej stronie Wisły do Trasy Łazienkowskiej z nadzieją, że jak dotrze bliżej, to może uda się jej coś złapać. Jakikolwiek środek lokomocji. Nic nie było oprócz pługów. Ubłagała faceta, który go obsługiwał, żeby zechciał ją wpuścić do swojej kabiny, bo akurat kierował się na drugą stronę Wisły. Miała szczęście, bo to był jeden z niewielu pługów, które tej nocy w ogóle jeździły. A przemieszczał się tą drogą, bo Trasa Łazienkowska stanowiła strategiczny priorytet. W końcu była drogą dojazdową do gmachu Urzędu Rady Ministrów. I tak tym pługiem dojechała do placu Na Rozdrożu, gdzie wdrapała się po czymś, co kiedyś było schodami. A teraz nawet stopni nie było widać. I stamtąd pieszo doczłapała się do tego małego mieszkanka na ulicy Gierymskiego.

Jej opowieść, a dokładniej emocje z nią związane wpłynęły na gorącą atmosferę w pokoju. Jednak po jakimś czasie towarzystwo

zwróciło uwagę, że w tych piżamkach jest im chłodno. Zaczęto dostrzegać, że para z ust im ulatuje. Okazało się, że nie ma ogrzewania. Kaloryfery zimne.

– To nie był dobry pomysł. Ale w pewnym momencie pomyślałam, że jak wstawię gar z wodą, to ta para wodna ogrzeje nas wszystkich. Szczególnie tę koleżankę, która była tak potwornie zmarznięta i ledwo do nas dotarła – opowiada Ewa Szprynger. – Dlaczego to nie był dobry pomysł? Para wodna z gara osiadała nie tylko na nas, ale przede wszystkim na szybach.

Siedzieli przytuleni do siebie, już ubrani od stóp do głów we wszystko, co mieli, w golfy, swetry, a nawet w elementy ciepłej garderoby, którą znaleźli w szafie babci Ewy Szprynger. I tak przytuleni i przykryci babcinymi pelisami pokotem zasnęli. Ranem, gdy się zbudzili, nie bardzo wiedzieli, gdzie są. Przez okno wpadała dziwna poświata. To nie były szyby. To była warstwa lodu o grubości co najmniej trzech centymetrów. Para wodna osiadła na szybach i przez noc zamarzała. Drzwi balkonowych nie sposób było otworzyć, bo całe zamarzały. Ten lód je skleił.

– Jakimś cudem udało się w tym lodzie wyskrobać malusieńką dziureczkę i przez nią wyrzeć na świat. Zobaczyć, co tam się dzieje, czy jest śnieżyca czy też potop. I zobaczyliśmy, że tam równo pada śnieg – wspomina Ewa Szprynger.

W końcu wszyscy doszli do wniosku, że trzeba mieszkanie babci opuścić. Jedzenie się skończyło, a towarzystwo było głodne. Koleżanka, która ledwo co przysła z Grochowa, chciała tam wracać, ale w końcu ze swoim chłopakiem udała się na Górny Mokotów, gdzie większość towarzystwa mieszkała. I ruszyli przez zwały śniegu. Ekspedycja zajęła sporo czasu.

– Długo to trwało, bardzo długo. Co mnie wtedy uderzało? Absolutna cisza i pustka. Ludzie zamknęli się w domach i nie wychodzili na zewnątrz. Jakby wszyscy wpadli w stan hibernacji, jakby wszyscy spali. Że żyją, świadczyło to, że od czasu do czasu widziałam jakieś światełko w oknie. Takie miałam wówczas wrażenie. Potem oczywiście okazało się, że wszystko działa. Wojsko

pomaga. Propaganda sączyła się z czynnego u moich rodziców telewizora, gdzie w końcu dotarłam. Ale ja nie przyjmowałam tego do wiadomości, bo przed chwilą widziałam co innego – mówi. – To był szok. Nie tylko dla zwykłych zjadaczy chleba, ale też dla administratorów Polski.

Wzdycha jeszcze: – Jak dotarłam do domu rodziców, czułam, że to najszcześniejsza chwila.

## **PODRÓŻ JAK MARATON Z PRZESZKODAMI**

Kiedy dzwonię, Andrzej Flügel nie może rozmawiać. Jedzie właśnie sędziować mecz siódemek piłkarskich. Później mi powie, że kiedyś prowadził normalne mecze ligowe, ale wtedy był młodszy. Teraz umawiamy się, że zadzwonię później. Mam sporo pytań, bo znalazłem w „Gazecie Lubuskiej” jego niezwykle wspomnienia z zimy stulecia. Ciekawe i świetnie napisane.

Dla Andrzeja Flügela jesień 1978 roku oznaczała trudną przeprowadzkę z okolic Zielonej Góry na Mierzęję Wiślaną. A dokładniej, żona miała się tam najpierw przeprowadzić, on miał do niej dojeżdżać, a dopiero później zostać na stałe. Na razie mieszkali w Nietkowicach, małej miejscowości pod Zieloną Górą, gdzie żona pracowała w szkole. Byli młodym małżeństwem z prawie trzyletnim dzieckiem. On kończył studia historyczne w Zielonej Górze, więc z tych Nietkowic miał blisko. Jednak mieszkanie, które otrzymali jako młodzi nauczyciele, bo pan Andrzej po studiach też planował rozpoczęcie pracy w szkole, nie zaspokajało ich potrzeb, nie dawało niezbędnego dziecku komfortu. Nie było też toalety, za potrzebą musieli wychodzić z domu do sławojki.

W tamtych czasach było niezwykle trudno o mieszkania dla młodych małżeństw. Czekano się na nie kilka, czasami nawet kilkanaście lat, a wynajęcie graniczyło z cudem. Po pierwsze, było drogie, przekraczało możliwości finansowe młodej nauczycielki ze studiumującym mężem. Po drugie, nie było łatwo znaleźć kogoś, kto wynajmie i zamelduje małżeństwo z dzieckiem w samodzielnym mieszkaniu. Ludzie się bali, że już tego małżeństwa się nie pozbędą. W okolicach dużych miast pary z dzieckiem mogły wynajmować pokoje w domach jednorodzinnych, tak zwanych klockach lub



bloczkach. Pokoiki te były małe, ze wspólną łazienką i najczęściej bez dostępu do kuchni.

Flügelowie szukali więc pracy z odpowiednimi warunkami do życia. Znaleźli w końcu ofertę dla pary nauczycieli, matematyka od zaraz i w przyszłości drugiego nauczyciela z dowolną specjalnością, w zbiorczej szkole gminnej w Stegnie. Propozycję małżeństwa władze oświatowe przyjęły.

– Dostaliśmy tam mieszkanie. Nic nadzwyczajnego, ale swoje. Dwa pokoje, kuchnia, łazienka. Siedemset metrów od morza – opowiada Andrzej Flügel.

Żona musiała zacząć od razu, a pan Andrzej miał do niej dołączyć po skończeniu studiów. Mieszkanie znajdowało się w przedwojennym, krytym dachówką domu z czerwonej cegły. Choć kuchnia była węglowa, to w porównaniu z tym, co mieli poprzednio, prawdziwy luksus.

Boże Narodzenie 1978 roku postanowili spędzić u rodziców w Zielonej Górze. Zaraz po świętach, 27 grudnia, wstali wcześnie rano. O czwartej trzydzieści, bo o szóstej mieli autobus do Gdańska.

– Wracamy już, bo jakiś szaleniec w ministerstwie oświaty zmienił terminy ferii. Między świętami a sylwestrem są lekcje! To przetrwało chyba trzy lata, ale akurat trafiło na nas – opowiada Andrzej Flügel.

W podróż ruszają nieźle objuczeni. Jego żona trzyma ma na rękę syna Radka, on zaś taszczy torby z rzeczami i prezentami. Dodatkowo pod pachą tablicę szkolną, którą ich syn dostał pod choinkę. Tablica nie zmieściła się do torby. Pogoda raczej jesienna niż zimowa. Pada deszcz i jest powyżej zera.

Przemierzali trasę przez Gorzów, Wałcz i Chojnice. W południe, zanim dojechali do Gorzowa, deszcz zamienił się w śnieg, a temperatura spadała z godziny na godzinę. Autobus przebijał się w śnieżyca. W Gorzowie mieli godzinę spóźnienia. Wieczorem jechali już w zadymce. W Gdańsku zamiast o szesnastej byli po dwudziestej. Śnieg ciągle sypał, na dworcu szął. W tej nerwowej atmosferze pobiegli co sił tam, skąd odjeżdżał ostatni autobus do Stegny. Na stanowisku kłębił się tłum. Kierowca stanął w drzwiach i powiedział,

że już nikogo więcej nie zabierze.

– Widzi nas i woła: „Ta pani z dzieckiem, tak. Proszę”. Krzyczę, że jesteśmy razem, ale drzwi się zamykają. Stoję jak głąb z torbami i tablicą pod pachą. Autobus rusza, ale się zatrzymuje. Woła mnie żona. Kierowca się zlitował – opowiada Flügel.

Jadą więc we trójkę autobusem, który porusza się z wielkim trudem. Na drodze tworzą się wielkie zasy. Jak się potem okazało, był to ostatni PKS, który dotarł na Mierzeję Wiślaną przed dwutygodniową przerwą spowodowaną atakiem zimy.

– Gdyby żona nie przekonała kierowcy, sterczałbym tam z tymi torbami i z tą tablicą pod pachą. – Po raz kolejny podkreśla słowa „tablica pod pachą”, które wyrażają absurd sytuacji, w jakiej mógł się znaleźć.

Następnego dnia po przebudzeniu wyglądają przez okno i nie wierzą własnym oczom. „Zasy coraz większe, cały czas sypie śnieg. Patrzę na termometr. Minus 28! Jest zapas węgla, w domu ciepłutko, więc mamy to gdzieś. W Stegnie, która tętni życiem w lecie, teraz spokój i cisza. Sklepy czynne, piekarnia działa, główna ulica jeszcze przejezdna” – opisywał w „Gazecie Lubuskiej” pan Andrzej.

Na Mierzei nie było problemów z zaopatrzeniem. W tym czynnym sklepie można było kupić podstawowe produkty. Ale znajdująca się niedaleko Stegienka była już odcięta od świata. Do niej przez pierwsze dni zimy stulecia nie można było dojechać, a z tego, co słyszał od ludzi, wie, że żywność zrzucano im z helikoptera.

Ale 29 grudnia okazało się, że do nich też już nikt nie dojedzie. Śnieg zasypał drogi do Gdańska i Elbląga. Do rodzącej kobiety lekarz musiał przylecieć śmigłowcem. A śnieg nie przestawał padać.

– Las, który był tuż za naszym domem, wyglądał kapitalnie. A morze w scenerii zimowej, coś pięknego – wzdycha pan Andrzej, który w tych okolicznościach dostrzegł też piękno przyrody. I nie tylko. – Sylwestra spędzamy w domu. Nawet gdybyśmy chcieli gdzieś pójść, to nie ma jak. Obie babcie daleko i nie ma z kim zostawić młodego. Jest fajnie. Pijemy szampana, za oknem piękna

zima. Mamy po dwadzieścia kilka lat, słuchamy Bee Geesów, Kochamy się i świat stoi otworem. Jeszcze nie wiemy, że w Stegnie i nad morzem nie zostaniemy.

Po Nowym Roku w telewizji podano komunikat, że wszystkie szkoły, w tym uczelnie, mają przedłużone ferie. W związku z tym Andrzej Flügel nie musi natychmiast wracać do Zielonej Góry. Zresztą, gdyby nawet chciał, nie ma takiej możliwości, bo Stegna jest odcięta od świata. Ale młode małżeństwo jest zadowolone z tych niespodziewanych ferii. Sklepy nadal są czynne, więc jest co jeść. Mają dużo czasu dla siebie, a śnieg wykorzystują i chodzą z synem na sanki. Po kilku dniach tej sielanki pana Andrzeja ogarnia niepokój. Nie wziął ze sobą żadnych książek i notatek, więc nie może przygotowywać się do ważnego egzaminu, który ma mieć na początku stycznia. Obiecał też promotorowi dać kolejny rozdział pracy magisterskiej. Planował, że napisze go po sylwestrze. W tej sytuacji 6 stycznia, kiedy jego żona dowiedziała się, że droga do Gdańska została odśnieżona, postanowił jechać do Zielonej Góry.

Niestety, PKS jeszcze nie wznowił kursów, ale jeździł autobus, który zawoził robotników do stoczni. Życzliwi znajomi poradzili mu, żeby stanął między nimi i udawał stocznioowca. Było ich tak wielu, że można było mieć pewność, iż nikt go o nic nie będzie pytał. Ponieważ autobus odjeżdżał o piątej rano, nie kładł się spać, by nie zapaść. Pomogło mu w tym słuchanie jedynej wówczas w Polsce nocnej audycji radiowej w programie pierwszym. Słuchali z żoną programu „Wita was Polska”, grali w karty, rozmawiali i jakoś udało się wytrzymać do pory odjazdu. Kiedy wychodził z domu, termometr pokazywał minus 25 stopni. Poszedł na przystanek. Jak było do przewidzenia, nikt go o nic nie pytał, bo też z takich autobusów dowożących robotników do wielkich zakładów pracy ludzie często korzystali. Kierowcy udawali, że niczego nie widzą. Na niektórych trasach był zwyczaj płacenia im drobnych kwot.

Śnieg sięgał okien autobusu, którym jechał Flügel. Droga była na tyle odśnieżona, że się na niej mieścił. Co jakiś czas była wykopana mijanka jak na Syberii. Do Gdańska dotarli o szóstej rano, więc

podróż przebiegała sprawnie. Dworzec kolejowy był otwarty, ale kompletnie pusty. Czynna była tylko jedna kasa. Flügel stał sam na środku wielkiego holu i patrzył ze zdumieniem na rozkład jazdy. Wszystkie godziny odjazdów zaklejone. Zapytał kolejarza, o co chodzi.

– Co pan, wczorajszy? Jak coś w ogóle odjeżdża, to tylko z Gdyni. Jakoś pan się tam dostaniesz – powiedział.

Na szczęście słynna, bo wyjątkowa w Polsce, kolejka trójmiejska działała, więc rzeczywiście do Gdyni dojechał.

– Na dworcu ścisk, zadyma, zaduch i syf. Ludzie koczują, czekając, czy coś pojedzie. Dowiedziałem się, że pociągi do Poznania są odwołane z wyjątkiem ekspresu Bałtyk o dwudziestej pierwszej czterdzieści. O Jezu! Jest dopiero po siódmej. Kupiłem bilet i mam przynajmniej jakąś perspektywę – wspomina.

Wtedy postanowił pojechać do Gdańska i odwiedzić kogoś w dzielnicy Stogi. Miał przecież dużo czasu. Lepiej się z kimś spotkać, niż przez czternaście godzin sterczeć na dworcu. Ruszył więc z powrotem i dotarł na jakiś przystanek tramwajowy, stanął i czekał. Tramwaju nie było. Ludzi też nie. Wreszcie ktoś się trafił i powiedział mu, by nie czekał, bo nic nie przyjedzie. Nawet do rodzącej kobiety w tej okolicy mógł dotrzeć tylko czołg. W tej sytuacji nie miał wyboru i wrócił na dworzec do Gdyni. W południe usłyszał, że zapowiedzieli pociąg do Bydgoszczy. Ucieszyło go to, bo pomyślał, że lepiej być bliżej Poznania. Może uda się coś złapać wcześniej, ewentualnie przesiedzi na stacji w Bydgoszczy i poczeka na ekspres. Dostał się do wagonu, nawet zdobył miejsce siedzące. Było ciepło, przyjemnie, a on zmęczony i niewyspany, więc zasnął natychmiast. W pewnym momencie ktoś obudził go, gwałtownie szarpiąc: „Panie, dalej nie jedziemy! Wysiadka”. Spojrzał przez okno i zobaczył napis „Pruszcz Gdański”. Jeszcze nierozbudzony zapytał, co się stało. „Trakcja oblodzona. Nie da rady” – powiedziano mu. Wysiadł i poszedł do budynku dworca, który wyglądał „niczym z filmów Barei. Smutna bufetowa, z dań tylko pomidorowa i bigos”. Kupił pomidorową i po jej zjedzeniu elektrycznym pociągiem wrócił do

Gdyni, gdzie przez trzynaście godzin łąził po dworcu, czasami siadając na schodach, bo wszystkie ławki były zajęte.

W końcu wieczorem podstawiono ekspres Bałtyk. „Tłumy ludzi, obrazki znane mi tylko z pierwszych powojennych filmów – relacjonuje. – Jestem młody, sprytny. Mam miejsce. Jedziemy! Po godzinie stajemy na jakiejś stacji. Za oknem zadymka, na szybach kwiaty od mrozu. Trakcja oblodzona, gdzieś szyny popękane. Jedziemy trasą okrężną, przez Malbork. Noc. Dwie godziny jechaliśmy, a teraz stoimy od mniej więcej trzech. Podrzemuję, gadam z towarzyszami niedoli. Ktoś wyciągnął flaszkę, wypiliśmy. Pytamy konduktora, kiedy będziemy w Poznaniu. Odpowiedź jest bardzo precyzyjna: – Jak przyjedziemy, to będziemy”.

Wreszcie w południe 8 stycznia po dobowej podróży dotarł do Poznania. A tam sceny niewyobrażalne. Najbardziej przerażająco wyglądał dworzec, gdzie siedzieli ludzie, którzy utknęli na tej stacji jeszcze w sylwestra, nie mogąc dotrzeć w okolice, które zostały całkowicie odcięte od świata. Nigdy nie zapomni matek z małymi dziećmi, które na tym dworcu koczowały już kilkanaście lub kilkadziesiąt godzin. Nie było wtedy jednorazowych pieluch i gotowych posiłków w słoiczkach. Głodne dzieci płakały, a matki pieluchy zastępowały wyciąganą z waliz bielizną. To, co widział w poczekalni, było trudne do opisania. Dramatyczne. Istny horror.

– Nigdy nie widziałem tylu ludzi na dworcu – wspomina.

Stał więc w wielkiej kolejce do informacji, bo na rozkład nie było po co patrzeć. Stał i słyszał niezwykle dialogi.

– Dzień dobry. Do Lublina?

– Chyba reniferami.

– Chcę dojechać do Bielska Białej!

– Pan chyba żartuje.

– Jak dostanę się do Olsztyna?

– Do Olsztyna!? Kasiu (do koleżanki obok), ten pan chce do Olsztyna! Cha, cha, cha! Może jutro.

Wtedy podszedł i zapytał:

– Do Zielonej Góry?

– O, ten pan ma szansę – głośno powiedziała pani w okienku. – Do Zielonej Góry tak. Niech pan idzie na peron czwarty. Tam stoi pociąg do Zbąszynka. Proszę usiąść i czekać. W końcu pojedzie, ale nie wiem, o której. W Zbąszynku złapie pan do Zielonej.

– Wszyscy słyszą i myślą, a to szczęściarz – opowiada. – Odchodzę z triumfalną miną, a gość, który chciał jechać do Lublina, patrzy na mnie z zazdrością. Odnajduję pociąg, siadam. Po dwóch godzinach rusza. W Zbąszynku jakby nie było kłęski, obok stoi skład do Zielonej. Śnieg o połowę mniejszy, a zamiast minus dwudziestu, jest zaledwie minus siedem. Wieczór. Docieram do domu o dziewiętnastej. – Uff! – wzdycha Andrzej Flügel na wspomnienie tej dwudniowej podróży. I dodaje: – Ale chcieć to móc!

Po powrocie do Zielonej Góry i heroicznej podróży został trochę dłużej w mieście. Do żony i dziecka wybrał się dopiero na ferie. Mimo dobrych warunków przygoda z nową szkołą w Stegnie skończyła się dość szybko. Obronił dyplom, ale w szkole zamiast pracy nauczyciela historii, zaproponowano mu funkcję komendanta hufca ZHP. Władze chciały wtedy stworzyć polski odpowiednik organizacji pionierskiej, czyli Harcerską Służbę Polsce Socjalistycznej. Niektórzy dyrektorzy, szczególnie w mniejszych miejscowościach, uznawali, że przynależność do HSPS jest dla uczniów obowiązkowa. Starzy drухowie odchodzili wtedy z harcerstwa, bo nie chcieli mieć z nowym, upolitycznionym tworem nic wspólnego. Część z nich powołała później niezależne Kręgi Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego, znane jako KIHAM. HSPS nie cieszyła się popularnością wśród młodzieży.

Pan Andrzej chciał być nauczycielem historii, a nie instruktorem organizacji quasi-pionierskiej, więc postanowił odejść ze szkoły. A okazja właśnie się trafiła, bo rozmawiał z doktorem Przemysławem Mnichowskim, który udostępniał mu materiały do pracy magisterskiej poświęconej zbrodniom w niemieckich obozach koncentracyjnych. Doktor Mnichowski to wybitny specjalista w tej dziedzinie, organizator i dyrektor Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Zielonej Górze. Obiecał, że poszuka jakiejś

pracy dla niego, i ją znalazł. Etat wychowawcy w więzieniu. Dla długowłosego i hipisującego Flügela było to wyzwanie trudne, ale podołał mu i przepracował w więziennictwie dziesięć lat. W wolnych chwilach zajmował się amatorską działalnością teatralną i sportem, sędziując między innymi mecze piłkarskie.

W 1990 roku postanowił zmienić coś w swoim życiu. Zapytał znajomego, czy mógłby pisać do gazety teksty o kulturze. Po krótkiej rozmowie zaproponowano mu, by na próbę napisał dwa artykuły. Jeden o kulturze, drugi o sporcie. Potem znajomy zadzwonił i powiedział, że bardziej mu się podobał tekst sportowy, więc niech o tym pisze. W ten sposób pan Andrzej Flügel został dziennikarzem sportowym. Czuje, że swoją szansę od losu dobrze wykorzystał. Był trzy razy na igrzyskach olimpijskich. Lubi to, co robi. Musi kończyć naszą rozmowę, bo też pisze książkę. Wspomnienia z czasów, kiedy był wychowawcą więziennym.

Pod tekstem Andrzeja Flügela w „Gazecie Lubuskiej” komentarz napisał mężczyzna podpisujący się nickiem Rezerwista:

„A ja cały styczeń zimy stulecia spędziłem w wojsku na drawskim poligonie pod namiotem. Najpierw po urlopie jechałem pociągiem 32 godziny z Gubina do Kołobrzegu. Następnego dnia od razu całym pułkiem wyruszyliśmy do Drawska. 100 kilometrów przebyliśmy w około 18 godzin. Potem było rozbijanie namiotów od godziny 24 do 4 rano, spóźniony obiad i dwugodzinne spanie. I tak rozpoczął się mój pobyt na »przymusowych wczasach« od czwartego do końca stycznia 1979 roku. W namiotach dogrzewaliśmy się metalowymi piecykami (tzw. koza) i czasami napojami wysokowymi. Palić w piecykach wolno było tylko w godzinach 18.00-7.00. Przez cały dzień namioty wietrzyły się, a my na zaję\*\*\*. W czasie snu można było przykryć się trzema kocami i tym wszystkim, co Ojczyzna dała, czyli panterką, plecakiem, butami itd. Do mycia i golenia wykorzystywaliśmy śnieg, który rozgrzewaliśmy w wiadrze na piecyku. Kilkakrotnie woda w wiadrze zamarzała przez noc do samego dna, gdy zdrzemnął się kolega mający nocny dyżur przy piecyku. Po tygodniu skończył się opał, więc poszły w ruch siekiery. Byliśmy

zmuszeni ścinać drzewa, aby mieć opał i nie zamarznąć w czasie snu. Temperatura wahała się od minus 15 do minus 30 stopni, a śniegu było po pas. Zajęcia głównie polegały na bieganiu i ogrzewaniu się wokół płonącego ogniska. Kilka razy strzeliliśmy z haubicy lub akaemu. Była to dobra szkoła przetrwania. Po ponad 30 latach miło wspomina się tamte czasy, ale nikomu nie życzę pobytu pod namiotem w czasie siarczystych mrozów i dużego śniegu. Oby do wiosny”.



## ZAMROŻONE FALE BAŁTYKU

„Gdy na drogach trwała niezwykle trudna praca przy usuwaniu zasp, w kotłowniach pomagali żołnierze, którzy kilofami rozbijali zamrożony opał i taczkami dowozili go do palenisk, a kolejarze z najwyższym trudem nadążali usuwać śnieg ze zwrotnic i rozjazdów, pod dachem, w salach zakładów gastronomicznych, w świetlicach i klubach zakładowych oraz w wielu mieszkaniach trwały wesole, sylwestrowe zabawy. Nie wszyscy goście mogli dojechać na zabawę. Jednych zasy na drogach, innych pilne wezwania do pracy oderwały od zabawy. Mimo wszystko bawiono się doskonale” – pisał we wstępniku „Udany sylwester” koszaliński „Głos Pomorza”. Władza, również w terenie, dawała sygnał, że wszystko jest w porządku.

Ale już w innym tekście inny tytuł: „Sylwester w dramatycznej scenerii. Ludzie pracowali po 48 godzin bez przerwy...” i inny ton. Widać, że propaganda się pogubiła. Ale najpierw jak we wstępniku, radośnie: „Niefrasobliwy, wesoly nastrój panował jednak mimo wszystko w wielu salach. Udane, wesole zabawy i bale zorganizowały koszalińskie zakłady gastronomiczne, dobrze bawiono się w gościnnych salach Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Obrony Przeciwlotniczej, na wielu noworocznych spotkaniach zakładowych, w salach szkolnych. Np. Zespół Szkół Samochodowych niemal do rana rozbrzmiewał wesolym gwarem”.

Bo ludzie się bawią, a władza czuwa nad spokojem: „Podczas gdy w salach trwała zabawa, władze miejskie organizowały walkę z żywiołem, do pracy wezwano wielu ludzi”.

„W kotłowni przy ul. Kniewskiego palacz Zygmunt Nagański nie miał ochoty do rozmowy. Przekrwione z niewyspania oczy mówiły wiele. Podobnie zmęczeni są inni” – oczywiście trzeba pokazać

przodowników, tych, którzy pracują i czuwają nad dobrem wszystkich.

Jednak dość szybko, bo w tym jednym tekście następują pierwsze rozliczenia: „Z wielu osiedli od ub. soboty napływają sygnały o niedogranych mieszkaniach. Kotłownie, nawet pracując na pełnych obrotach, nie mogły zapewnić dostatecznych ilości ciepła. Na niektórych klatkach schodowych popękały grzejniki. To efekt niezamykania drzwi wejściowych. Ani dozorczy, ani mieszkańcy nie zadbali o usunięcie śniegu, drzwi nie dawały się zamknąć. Skutki są bardzo ciężkie, zwłaszcza dla mieszkańców tych budynków”. Komunikat jasny, ludzie sami są sobie winni.

Skalę żywiołu można prześledzić w drobniejszych rubrykach, gdzie nie było tego tonu propagandowego. Na samym początku stycznia o dziewiętej trzydzieści „w morze wyszło 18 jednostek łowczych kołobrzesckiej »Barki«, wśród nich 7 kutrów 17-metrowych. Po przebiciu się z niemałymi trudnościami przez dryfującą krę, zalegającą na odległość ok. 7 mil morskich od brzegu, rybacy natrafili na wysoką falę i silny wiatr. Niespodziewanie trudne warunki, pociągające za sobą szybkie oblodzenie kadłubów, zmusiły kołobrzescką flotyllę do odwrotu. O godzinie 11 pierwsze statki były już z powrotem w bazie”.

Mieszkanką województwa koszalińskiego była wtedy Małgorzata Bochenek, późniejsza minister w Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Urodziła się i mieszkała w Kołobrzegu. W zimę stulecia miała siedemnaście lat i była uczennicą liceum.

– Zamarzło wtedy morze i wyglądało przepięknie. Widać było białe zamarznięte fale. Zjawisko niezwykle. Widok przepiękny. Jeszcze dwa razy coś podobnego mogłam zobaczyć – wspomina. – Śniegu było mnóstwo. Takie tunele były, którymi się chodziło po ulicach.

Po latach, kiedy odwiedzała Alpy, zauważyła, że tam w górach tunele wyżłobione w śniegu, którymi poruszają się ludzie, bardzo przypominają te kołobrzesckie z początków 1979 roku.

Po Nowym Roku nie musiała iść do szkoły, bo przedłużono ferie z powodu zimy.

– Byłam zła, bo miałam jechać na zimowisko, a gwałtowna zima storpedowała te plany – śmieje się, bo już dawno o tym zapomniała. Tę swoją złość przypomniała sobie, przeglądając niedawno notatki, które wtedy prowadziła. Pewnie był to jakiś dziewczęcy pamiętnik. – Nie pamiętałam tego zupełnie, ale przeczytałam i teraz wiem, że byłam zła.

Okazało się, że niepokój był niepotrzebny, bo ferie w Kołobrzegu okazały się całkiem udane.

– Z koleżankami chodziłyśmy na spacer – wspomina i zapewnia, że było miło.

Oczywiście, dochodziły do niej różne dramatyczne opowieści, jak ta o znajomej, która utknęła w pociągu pod Kołobrzegiem i razem z innymi pasażerami przez kilka godzin była odcięta od świata.

Kołobrzeg w odróżnieniu od innych nadmorskich miejscowości ma wczasowiczów przez cały rok. Naturalnie latem jest ich najwięcej, jednak w tym mieście nie można mówić o martwym sezonie. Zima stulecia pokrzyżowała na pewien czas pracę niektórych ośrodków, bo część kuracjuszy nie mogła wyjechać, a inni nie dali rady przyjechać.

W ferie zajmowała się głównie spacerami, grą w brydża, chodzeniem do kina. W Kołobrzegu były trzy. Najpopularniejsze Wybrzeże, jeszcze Kalmar i Piast, który znajdował się prawie w jednostce wojskowej. Kino Kalmar mieściło się w domu kultury. Najważniejsze było Wybrzeże, tam pokazywano nowości. Do Piasta nie chodziła, była tam raz, razem ze szkołą, oglądali jakąś lekturę szkolną, chyba „Krzyżaków”.

W zimie stulecia w kinach Kołobrzegu i dawnego województwa koszalińskiego można było obejrzeć takie filmy, jak amerykańskie produkcje: „New York, New York”, „Jeremiah Johnson”, „Z podniesionym czołem” i „Sędzia z Teksasu”. Francuski film „Gdzie się podziła siódma kompania”. Z angielskiej kinematografii na ekranach pokazywano obraz „Aresztuję cię, przyjacielu”. Radzieckie kino to: „Calineczka”, „Zając i wilk”, „Ostatnia dwójka” i „Wąsata niania”. Były też polskie: „Akcja pod Arsenalem”, „Chłopi”,

zapomniany „Próba ognia i wody” oraz „Wielka podróż Bolka i Lolka”.

Wtedy Kołobrzeg kojarzył się wszystkim z Festiwalem Piosenki Żołnierskiej, który w opinii większości Polaków był imprezą propagandową. Odbывał się w miejscowym amfiteatrze w okresie wakacyjnym. Rok po zimie stulecia, latem 1980, także w tym miejscu zorganizowano pierwszy polski festiwal punkowy. Wystąpiły wtedy takie zespoły, jak Tilt, KSU i Fornit. Festiwal ten odbywał się prawie równolegle z pierwszą edycją Jarocina, który promował wówczas tak zwaną Muzykę Młodej Generacji, czyli zespoły akceptowane przez państwowy impresariat estradowy. Kołobrzeski festiwal punkowy był imprezą jednorazową, jego rolę paradoksalnie przejęła impreza jarocińska.

Występy artystów, którzy przyjeżdżali poza sezonem do Kołobrzegu, odbywały się w Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Kopernika, do którego chodziła młoda Małgorzata Bochenek, albo w Kalmarze. Liceum mieści się w poniemieckim budynku z lat trzydziestych, miało i ma nadal aulę, salę gimnastyczną.

Pani Małgorzata mieszkała w poniemieckim domu na Wyspie Solnej. Przy klamce na drzwiach znajdowała się skrzynka na listy z napisem „Briefe”. Okna były duże i podwójne, jak to w starych domach. Mieszkanie miało centralne ogrzewanie, na które w zimę stulecia szczęśliwie nie narzekali. Później mieszkała w Krakowie i Warszawie. Nad morzem jest zawsze czyste powietrze, więc jak przyjeżdżała z Krakowa do Kołobrzegu i zaraz po wyjściu z wagonu brała haust świeżego powietrza, to aż ją płuca bolały.

Zwykle zimy w Kołobrzegu bywały wietrzne i deszczowe. Śnieg nad morzem jest bardzo czysty. Czystszy niż gdzie indziej. Plaża wygląda bajecznie. Sople ozdabiają falochrony i molo. Zimą chodziło się też na lodowisko, które było wylewane na asfaltowym boisku przy szkole. Miała białe figurówki.

Był taki zwyczaj, że jak się wychodziło z domu i miało się ochotę kogoś spotkać, to się do niego po prostu szło. Nawet jak telefony były, to się nie dzwoniło. Posiedziało się u tego kogoś, a potem jak

przyszła ochota odwiedzić jeszcze jedną koleżankę, to się we dwie szło do niej. Tu się posiedziało, tam się posiedziało. Potem jak trafiła do Krakowa, zobaczyła, że tam zwyczajnie są trochę inne, ludzie nie tak spontanicznie się odwiedzają, dystans jest większy. Tak to odczuła. Podobnie jak ona do koleżanek, znajomi wpadali do rodziców. W tamtych czasach było normą, że gdy ktoś przyjechał do obcego miasta, a miał tam znajomych, szedł ich odwiedzić i wcale się nie zapowiadał. „Byłem tu z wizytą, to pomyślałem, że do was wpadnę”. „Jestem w delegacji, mam czas, to przyszedłem do was”. Mieszkańcy Kołobrzegu w sezonie, czyli latem, chętnie byli odwiedzani przez niektórych znajomych, niekoniecznie zapowiedzianych i niekoniecznie przejazdem. Ale to ta magnetyczna siła morza.

Nikt się nie dziwił tym niezapowiedzianym wizytom. Gość był częstowany posiłkiem. Jak ktoś był z tego samego miasta, koniecznie podawano mu herbatę i jakieś ciastka. Jak ktoś z daleka, dostawał obiad albo kolację, w zależności od pory dnia.

– Moja mama była taka, że jak znajomi przyjeżdżali, to wszystko wyciągała, co miała do jedzenia. Czy to była pora posiłku czy nie – opowiada.

W sobotę lub w niedzielę razem z najlepszą przyjaciółką wybierała się na spacer nad morze. Potem szły do kawiarni Bałtyk, która mieściła się w jedynym budynku na plaży. Kiedyś była to willa Goeringa. Częstotliwość wypadów do kawiarni była ograniczona oczywiście możliwościami budżetowymi.

„Tu, gdzie dziś jest park, z lewej strony od mola, patrząc w stronę morza, niegdyś znajdował się cmentarz. Właśnie tak, moi drodzy. Ale nie bójcie się, szczątki zostały przeniesione do Zieleniewa (znajduje się tu cmentarz miejski). Bałtyk jest jedynym domem wypoczynkowym stojącym na plaży. Znajduje się w miejscu dawnej willi Goeringa. Willa była mniejsza i trochę ładniejsza” – napisała w swoim blogu turystycznym Pedeka.

– W zimie stulecia czasami spacer nad morzem zaczynał się i kończył w Bałtyku. Tam z moją najlepszą przyjaciółką zjadaliśmy po

wuzetce lub serniku, bo to były dwie główne atrakcje tego lokalu – opowiada. – To była kawiarnia z widokiem na plażę, więc czasami można było ograniczyć spacer do patrzenia przez okno.

I przez okno w Bałtyku w zimie stulecia patrzyły na niezwykle widok zamrożonych fal Bałtyku.

## **JAK ZEGARMISTRZ OGRZEWAŁ SOBIE DŁONIE**

Pod koniec 1978 roku państwo Maria i Jerzy Ruziccy mieszkali w Gdańsku-Wrzeszczu. Mieli dwójkę dzieci, czteroletniego syna oraz córkę, która miała rok i trzy miesiące. Mieszkali z ojcem pana Jerzego i jego drugą żoną. Mieszkanie miało dwa pokoje, więc było ciasno. Znajdowało się w małej przedwojennej kamienicy jednopiętrowej. W budynku mieszkały cztery rodziny, ale rodzina Ruzickich była wielopokoleniowa, więc tak naprawdę rodzin było więcej, a mieszkań tylko cztery.

Ponieważ było ciasno, a pani Maria Ruzicka przebywała na urlopie wychowawczym, często jeździła do swoich rodziców, którzy mieszkali w okolicach Szczepieszyna, w Michalowie pod Zamościem. Gospodarstwo znajdowało się obok dworskiego parku w Klemensowie. Ojciec pani Marii Ruzickiej przed wojną pracował u Zamoyskich.

W 1978 roku święta Bożego Narodzenia postanowiła spędzić ze swoją rodziną u rodziców na wsi. Tak też się stało. Święta upłynęły w podwójnie ciepłej atmosferze. Z powodu stosunków rodzinnych i panującej pogody. Zięć bardzo lubił swojego teścia, a teść zięcia, nic więc dziwnego, że panowie zamierzali pobyt wydłużyć i spędzić razem również sylwestra. Jednak panie, córka i teściowa, były odmiennego zdania. Uznały, że lepiej będzie wrócić do Gdańska przed końcem roku.

Motywacji związanych z tym nikt w rodzinie już nie pamięta, ale prawdopodobnie chodziło o to, że pociągi w ostatnich dniach przerw świątecznych były w PRL straszliwie przepełnione. Ludzie wracali od swoich rodzin do miast, w których pracowali. Samochodów osobowych nie było tak dużo jak dziś. Kolej i autobusy dalekobieżne

były głównym środkiem transportu. Bez względu na rodzaj pociągu, czy to był osobowy, pośpieszny czy ekspres, należało się spodziewać, że będzie zatłoczony. A to oznaczało, że 1 stycznia w wagonach ludzie będą cisnąć się na korytarzu, a nawet w toaletach. Na mniejszych stacjach, a na takiej mieli wsiadać Ruzicczy, pociąg był już tak przepełniony, że nie dawało się do niego wcisnąć igły. Dla małżeństwa z dwójką dzieci, wózkiem i walizkami podróż w takich warunkach oznaczała gehennę. Tak więc decyzja pań o wcześniejszej podróży wynikała po prostu z rozsądku i zapobiegliwości. Nie warto było niepotrzebnie się męczyć.

Dziadkowie odprowadzili dzieci i wnuki na stację kolejową w Zawadach, gdzie ci wsiadli do pociągu, który jechał do Warszawy. Tam mieli się przesiąść. Ponieważ nie była to ich pierwsza podróż koleją, mieli niejaki doświadczenie i podzielili się rolami. Pan Jerzy dźwigał dwie walizy, pani Maria zaś ogarniała dzieci i wózek. Pan Jerzy nie miał rękawiczek, ale gdy wsiadali do pociągu, było jeszcze ciepło. Ich brak nie był dotkliwy. Zima nadeszła, kiedy byli w drodze do stolicy. Przesiadka do pociągu w kierunku Gdańska przebiegła na szczęście bez większych przeszkód. Dramat zaczął się dopiero później.

Zima szalała za oknem, pociąg włócił się niemiłosiernie. Oni mieli dość jazdy, a małe dzieci były wykończone. Musieli być bardzo skoncentrowani na synu i córce, bo szczegółów tej ciągnącej się w nieskończoność podróży nie pamiętają. Nie pamiętają, czy w wagonie było zimno, czy ciepło. Wystarczająco rozgrzewały ich emocje związane z opóźnieniem i opieką nad dwójką maluchów. Zgodnie z rozkładem jazdy do Gdańska mieli przybyć około godziny osiemnastej. Kiedy pociąg dotarł na miejsce, okazało się, że jest północ. Wsiadli na stacji Gdańsk-Wrzeszcz, stąd mieli stosunkowo blisko do domu. Nie było szans z powodu pory dnia i warunków atmosferycznych, by mieli czym pojechać. Musieli iść, brnąć w śniegu. Pani Maria jedną ręką popychała przed sobą wózek z malutką córeczką, drugą trzymała synka. Pan Jerzy niósł dwie ciężkie walizki.



Co jakiś czas byli zmuszeni się zatrzymać, brak rękawiczek dawał się panu Jerzemu we znaki. Robił więc przerwy, żeby ogrzać dłonie, skutecznie i szybko. Stawiał na śniegu bagaż, ręce krzyżował na piersiach, a dłonie chował pod pachami i mocno je przyciskał. W ten sposób je ogrzewał. Co kilkadziesiąt kroków powtarzał tę czynność, co uratowało go przed odmrożeniem palców. Tak dotarli do domu na ulicy Klonowicza, gdzie czekała ich kolejna niespodzianka. Przed domem był trawnik i furтка z ogrodzeniem. Tej nocy śniegu napadało tyle, że zrównał się z krzakami, które rosły na trawniku. Do domu nie można było podejść, bo zarówno dróżka wiodąca do furtki w ogrodzeniu, jak i sama furтка były zasypane. Wtedy pan Jerzy Ruzicki postawił znowu walizy na ziemi, schował zimne jak lód dłonie pod pachy i zaczął wydeptywać drogę. Systematycznie, małymi kroczkami, cały czas grzejąc dłonie według wymyślonej ad hoc metody. Gdy już tak doszedł do furtki, nie zmieniając ułożenia dłoni oraz nie rezygnując z techniki przedzierania się przez śnieg przy użyciu siły własnych nóg, udało mu się ją odkopać i otworzyć. Potem już poszło gładko, trzeba było wydeptać ścieżkę do drzwi domu, co też po jakimś czasie osiągnął.

Pani Maria, być może pod wpływem tej dramatycznej i męczącej podróży, spędziła resztę zimy głównie w domu, opiekując się dziećmi i praktycznie z niego nie wychodząc.

Ponieważ była farmaceutką, nie miała problemów z zaopatrzeniem. Taki rodzaj pracy nawet na urlopie wychowawczym zapewniał pewne kontakty, co w świecie peerelowskiej rzeczywistości oznaczało, że miała możliwości, z których korzystała, bo tak ten świat był skonstruowany. Jeden załatwiał to, drugi tamto, trzeci owo i jakoś dawało się przeżyć. A kiedy się nie dawało, trzeba było korzystać z jeszcze innych możliwości. Na przykład takiej jak tak zwana baba z mięsem, która do miasta dostarczała wieprzowinę, cielęcinę i wędliny z gospodarczego uboju. Nie było to legalne, ale za to powszechne. W przypadku państwa Ruzickich baba z mięsem była chłopem. Zapamiętano go jako postać wiecznie ubraną w prochowiec, pod

którym kryły się liczne wiktuały.

Pan Jerzy Ruzicki był zegarmistrzem i cenił sobie punktualność, więc wszystkie opóźnienia spowodowane przez atak zimy odbierał bardzo osobiście. Drażniły go, irytowały, ba, wprowadzały w stan ogólnego dyskomfortu. I właśnie te opóźnienia utkwiły mu w pamięci. W jakimś stopniu miały też wpływ na jego pracę. A pracował w wodociągach, nadzorując i konserwując różne elementy pomiarowe.

Tak jak pracownicy innych instytucji w całej Polsce, ludzie z gdyńskich wodociągów musieli brać udział w akacjach odśnieżania ulic. Wyznaczano im jakiś odcinek. Najpierw odśnieżali, a potem, ponieważ śniegu było bardzo dużo, ładowano go na ciężarówki i wywożono. W wielu miastach centralnej Polski był z tym olbrzymi problem, bo po prostu nie było gdzie tego śniegu wywozić. Nad morzem sprawa wyglądała zdecydowanie lepiej, bo trafiał do Bałtyku. Pan Jerzy pamięta, jak załadowane przez niego i jego kolegów z pracy ciężarówki jechały ze śniegiem na koniec Skweru Kościuszki i tam zrzucały go do zamrożonego morza.

Minął miesiąc od sylwestra, który spędzili w podróży od teściów, gdy do furtki na ulicy Klonowicza w Gdańsku-Wrzeszczu zapukał listonosz z przesyłką z Michalowa. Był to list od matki pani Marii. Teściowa pisała, że dobrze się stało, iż wyjechali w ostatnim dniu 1978 roku, bo gdyby trochę zwlekali, to być może w ogóle nie udałoby im się wydostać. Prawdopodobnie musieliby spędzić w Michalowie cały miesiąc, bo miejscowość została odcięta od świata.

## **ODWOŁANO KRÓLEWNĘ ŚNIEŻKĘ**

– To były piękne rzeczy. Cała ekipa partyjnych władz z Bydgoszczy i co ważniejsi dyrektorzy jechali na sylwestra do ośrodka należącego chyba do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Wenecji koło Żnina. Gdzieś tam ich po drodze zasypało. Najpierw chyba ich wojsko wydobyło z tych zasp, a potem, jak dotarli do tego ośrodka, to już z niego nie mogli wyjechać. Ci, którzy nie byli zaproszeni, z satysfakcją potem o tym opowiadali. – Ryszard Giedrojć relacjonuje, czym żyła Bydgoszcz na początku zimy stulecia.

Sam wybierał się na zabawę noworoczną do klubu studenckiego, ale to nie okazało się takie proste, bo komunikacja nie kursowała, a śniegu tyle nasypało, że praktycznie trzeba było wydeptanymi tunelami po mieście się poruszać.

– Zmontowaliśmy wtedy taką ekipę, która zaplanowała, jak ludzi na imprezę doprowadzać.

Giedrojciowi wypadła trasa około pięciu kilometrów z przystankiem u znajomych oraz z zadaniem doholowania pewnej pani. Najpierw zaliczył karnie zaplanowany przystanek, gdzie oczywiście spotkał innych znajomych oraz został tradycyjnie powitany, a więc otrzymał poczęstunek, który niekoniecznie składał się wyłącznie z jedzenia. Posilony i odpowiednio wzmocniony udał się po panią, która nie nawykła do długich spacerów i nie była też odpowiednio przygotowana do wędrowki podczas mrozu i śnieżycy.

– Na szczęście kolega wyposażył mnie w piersiówkę, więc taszcząc ją, jednocześnie przez całą drogę podnosiłem ją na duchu tym trunkiem. Pani z początku się opierała, ale potem coraz bardziej jej się to podobało i w końcu udało mi się ją dzięki temu dostarczyć na miejsce. W czasie imprezy dało się zauważyć, że towarzystwo było

zmęczone samym dojściem. W pewnym momencie ktoś zwrócił uwagę, że pani, którą tak dzielnie przyprowadziłem, śpi na stole z twarzą w półmisku z tatarskim – wspomina Ryszard Giedrońc.

Sporo potraw mieli wtedy zamrożonych, bo gdy przygotowywano je wcześniej, mrozu jeszcze nie było, więc powystawiano je za okno, żeby w chłodzie pobyły. A potem mróz chwycił, a o potrawach zapomniano. A może ktoś miał je wnieść do środka, a nie dotarł na czas?

– Jak tylko mróz się zaczął, mieliśmy z kolegami taką akcję, której celem było powiększenie naszych zapasów nienaruszalnych – opowiada Giedrońc, wówczas mieszkaniec hotelu asystenckiego, w którym razem z innymi lokatorami pędził bimber z melasy. Melasę mieli z jakiejś młeczarni. Z kolei również mieszkająca tam młoda kadra naukowa z Akademii Techniczno-Rolniczej przyniosła cały sprzęt laboratoryjny, który na miejscu zmontowała i uruchomiła. W związku z czym było się czym rozgrzewać.

Pędzenie bimbrowa to był proceder w PRL karalny, więc trochę się obawiano, czy taka zbiorowa akcja nie spowoduje interwencji wiadomych organów. Wszyscy jednak organizatorów tego przedsięwzięcia uspokajali, mówiąc: „Ludzie, jaka milicja!? Kto w tych warunkach dojedzie?”.

– Zawsze w pokoju stał zacier przy kaloryferze, owinięty, żeby się nie przeziębził. Mieliśmy szybkiwar, a do niego podłączone chłodnice i inne pierdoły. Jak tylko zaczęła się ta zamieć, zaczęliśmy produkować, bo nie było nic innego do roboty – opowiada.

Ryszard Giedrońc w grudniu wrócił z wojska, które musiał odstąpić po studiach. A zaraz po Nowym Roku, 2 stycznia, szedł do nowej pracy w redakcji „Gazety Pomorskiej”.

– Pierwszego dnia szef mnie złośliwie wysłał na dworzec kolejowy, żeby zebrał materiał. A tam po prostu pociągi jechały i tyle – jak podkreśla, nie pamięta żadnych sensacyjnych wydarzeń z tego okresu.

Może sensacji wielkich nie było, ale jednak dyrekcja Opery i Operetki zaraz na samym początku zimy, 7 stycznia, kiedy mrozy

były największe, kiedy śnieg zasypał drogi, odwołała spektakl baletowy „Królowa Śnieżka”.

„Gazeta Pomorska” donosiła, że w noc sylwestrową i 1 stycznia 1979 roku „karetki z trudem przebijały się do celu. Najgorsza sytuacja panowała na ulicach Brzozowej, Glinki, Sokoła, Chorwackiej. Na tej ostatniej wykopy zasypał śnieg. Jedna z karetek wpadła do dołu i przez kilka godzin była unieruchomiona. Wiele karetek nie dojechało do celu, grzęznąc w zaspach. Do Białych Błot i Osielska nie można było dotrzeć, a chorego z Czarnówka trzeba było przewieźć saniami do miejsca, gdzie karetka mogła dojechać.

Z pomocą pogotowiu pośpieszyło wojsko, przekazując do dyspozycji służb medycznych pięć samochodów terenowych. Dzięki nim lekarze mogli dotrzeć do wielu chorych, do których normalnymi samochodami dojechać się nie dało”.

Ponadto w pierwszych dniach stycznia „z bydgoskiego lotniska wystartował helikopter Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Cel – Makowarsko, gdzie jedna z mieszanek rodziła, a której nie można było przewieźć do porodówki ze względu na zasypane drogi”.

Jednocześnie informowano o pierwszym nowym obywatelu miasta wojewódzkiego Bydgoszczy, który przyszedł na świat w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym 1 stycznia 1979 roku pięćdziesiąt minut po północy. Był nim Robert Sanecki, syn pani Ireny Saneckiej. Z kolei w innym szpitalu, na Kapuściskach, „na nowego obywatela Bydgoszczy trzeba czekać do godz. 7.30 w dniu 1 stycznia. Był nim także chłopiec, Marcin Olszewski”.

„Noworodkom i ich szczęśliwym mamom życzymy sto lat beztrudnego życia” – w redakcji „Gazety Pomorskiej” ewidentnie panował szampański nastrój.

Dziennik apelował o solidarność, by sobie wzajemnie pomagać: „W sylwestrowy wieczór nasza czytelniczka Weronika zamieszkała w Opławcu 11 skorzystała z uprzejmości kierowcy samochodu »Nysa«, który odwiózł ją o godzinie 22.00 z dworca PKP na ulicę Olszewskiego, zaś następnie pojechał na Błonie. Prawdopodobnie zostawiła ona w furgonetce swoją portmonetkę. Uczciwego znalazcę

prosi o zwrot zguby...”. Tak swoją drogą, ciekawe, czy znalazca był uczciwy.

Do bardzo dramatycznego zdarzenia doszło w ostatnim dniu 1978 roku. Do studzienki kanalizacyjnej znajdującej się na południowej stronie ulicy wpadło dziecko. „Zostało uratowane dzięki przytomności umysłu mieszkańca Błonia ob. Rafalskiego (bliższych danych, niestety, brak), który z narażeniem życia zszedł do studzienki. Zarówno jemu, jak i pozostałym przechodniom, którzy pospieszyli z pomocą – matka dziecka Barbara Racinowska, serdecznie za naszym pośrednictwem dziękuje. Jej wdzięczność nie ma granic – pisali dziennikarze „Gazety Pomorskiej”. – A swoją drogą karygodne jest pozostawienie studzienki niezabezpieczonej. WPWiK winno natychmiast zająć się tą sprawą”.

„Gazeta Pomorska” swoim zasięgiem obejmowała również sprawy województwa wrocławskiego. „Poważnym problemem stały się pękające przewody i grzejniki. W samym tylko Wrocławku w godzinach rannych zanotowano takie przypadki w stu klatkach schodowych. O tym, że sprawa jest poważna, świadczy fakt, że w największej ciepłowni miasta – »Wschód« – w obiegu zamkniętym stwierdzono blisko 50-procentowy ubytek wody. W wyniku działań zabezpieczono jednak dodatkową pulę grzejników, m.in. dzięki uruchomieniu wczoraj pierwszej i trzeciej zmiany w Zakładach Metalowych »Wisła«. Wzmocniono także pogotowia ciepłownicze usuwające awarie, kierując do nich fachowców ze służb remontowo-mechanicznych wrocławskich zakładów”. – Komunikat był czytelny, władza czuwa i kieruje. – „Trwa odśnieżanie ulic i chodników w miastach województwa. Uczestniczy w tych pracach tysiące osób. Nie wszyscy jednak mieszkańcy miast podchodzą należycie do tego obowiązku. Nie wszyscy również z należyтым zrozumieniem potraktowali apel władz”. I znowu winni ci ludzie. Niewdzięczni.

– Wtedy zimy w ogóle były śnieżne i mroźne, ale ta zrobiła na mnie szczególne wrażenie. To było coś niesamowitego, kiedy widziało się, jak śnieg przy naszym bloku nawiało do wysokości pierwszego piętra. – Sławomir Piernik miał wtedy dziesięć lat i mieszkał we

Włocławku na osiedlu Zazamcze w bloku, który zbudowano w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku dla pracowników włocławskich zakładów azotowych. – Ciągłe był problem z prądem, nie było światła, więc non stop siedzieliśmy wieczorami przy świecach.

Oczywiście, dla dziesięciolatka dużo śniegu i wydłużone ferie to są wielkie atrakcje. Szczególnie absorbujące były wielkie zasy, w których robiło się jamy i można się było tam chować. Tak bawili się w igloo.

Ale niestety tak już jest, że nasza codzienność to nie tylko beztraska zabawa. Przychodzą chwile trudne, które pamięta się przez całe życie. Właśnie w zimę stulecia we włocławskim szpitalu zmarł dziadek Sławomira Piernika. Wtedy na wsiach była taka tradycja, że ciało musiało być przed drogą do kościoła i na cmentarz wyniesione z domu. Nikt sobie nie wyobrażał, że ze szpitalnej kostnicy w mieście ostatnia droga zmarłego będzie prowadziła prosto na cmentarz. W domu rodzina i sąsiedzi chcieli się z nim pożegnać, pomodlić za jego duszę. W ten sposób wyrażano żałobę i żal po zmarłym.

– Tak po prostu było. Była to bardzo ważna tradycja – relacjonuje Sławomir Piernik.

Ciało jego dziadka trzeba było najpierw ze szpitala zawieźć do jego domu, który znajdował się w Mikanowie, małej wsi kilka kilometrów pod Włocławkiem w kierunku Torunia. Nie było to łatwe zadanie znaleźć transport, który przewiozłby zmarłego, więc zorganizowanie pogrzebu wymagało sporo zabiegów, cierpliwości i trochę czasu. Jednak w końcu się udało, trumna z ciałem dotarła do domu. Wszystko mogło się odbyć godnie i zgodnie z tradycją.

Mikanów były niewielką wsią, liczącą kilkanaście, może piętnaście domów. Dziadkowie Sławomira Piernika mieszkali w parterowym domu ze spadzistym dachem.

– Śnieg sięgał dachu. Miał na pewno dwa i pół, trzy metry wysokości – wspomina.

Kiedy nadeszła pora pogrzebu, okazało się, że karawan nie da rady dojechać do domu. Żałobnicy chwycili więc za szufle i łopaty. Zaczęli

kopać tunel.

– Wszyscy moi wujkowie i sąsiedzi wykopali kilkusetmetrowy tunel. Wysoki, ludzie mieli śnieg ponad głowami. Wykopali i wydeptali. Dzięki temu na ramionach mężczyzn ciało w trumnie zostało doprowadzone do miejsca, gdzie stał karawan.

Tak więc wszystko odbyło się zgodnie z tradycją.



## NOC WŚRÓD TRUMIEN

Leszek Celej, wtedy licealista, a dzisiaj dyrektor Muzeum Ziemi Mińskiej w Mińsku Mazowieckim, planował spędzić sylwestra u znajomych w okolicach Garwolina. Na imprezę wybierał się razem ze swoim najbliższym przyjacielem. W godzinach popołudniowych okazało się, że niestety plany spędzenia ostatniej zabawy w roku muszą zostać zmienione. Trochę więc połazili po mieście, a że Garwolin nie jest zbyt duży, to i czasu im to specjalnie dużo nie zajęło. Ani pogoda, ani padający śnieg i coraz większy chłód nie zachęcały do dalszego pozostawania na świeżym powietrzu. Tym bardziej że byli młodzi i myśleli o dobrej zabawie, a noc z 31 grudnia na 1 stycznia jest ku temu doskonałą okazją.

Tego dnia wiele zaplanowanych prywatek zostało odwołanych, a błąkający się po mieście niedoszli zabawowicze, też szukali miejsca, gdzie w miłym gronie znajomych mogliby spędzić czas i przywitać Nowy Rok.

Tak wędrując, licealiści trafili w końcu do znajomych, w których domu znajdował się zakład wytwarzający trumny. Dzisiaj, w dobie masowej produkcji w większości pochodzącej z Chin, taka działalność gospodarcza młodszymi czytelnikami może wydawać się dziwna, ale wtedy zakłady trumniarskie były czymś normalnym w krajobrazie mazowieckich miasteczek, zarówno w czasach określanych mianem przedwojennych, jak i w PRL. Właściciele takich zakładzików nazywało się popularnie trumniarzami.

Bo trumien nie robiło się u stolarza, ale właśnie w wyspecjalizowanych zakładach. Większość z nich padła po 1989 roku, część zniszczyła reforma Balcerowicza, teraz zresztą też nie są czasy przychylne drobnej wytwórczości. Do tego doszła inna, bardzo wyspecjalizowana forma organizowania pogrzebów. Dzisiaj firma

pogrzebowa załatwia prawie wszystkie sprawy. Kiedyś często, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, trzeba było organizację pochówku załatwiać samemu. Trumnę zamawiało się u trumniarza, karawan u karawaniarza, kwiaty w kwiaciarni, a resztę oddzielnie umawiało się z obsługą prosektorium w szpitalu (jeśli trzeba było), kościelnym i grabarzem. W dużych miastach te sprawy przejmowały, przynajmniej częściowo, państwowe, miejskie, bo powiązane z administracją terenową, przedsiębiorstwa nazywane zakładami komunalnymi. Nie było ich jednak w mniejszych miejscowościach, gdzie rolę takiego przedsiębiorstwa przejmował po prostu jeden z członków rodziny. Zwykle chowano zmarłych szybko. W dwa-cztery dni po śmierci. Rodzinę informowano osobiście, jeśli miała telefon, to telefonicznie, jeśli nie miała, a mieszkała daleko, to telegraficznie. W związku z tym zlecenia pogrzebowe były pilnymi pracami, nie można było się tu kierować zasadami socjalistycznej gospodarki planowej. Zmarły na trumnę nie mógł czekać do kolejnej pięciolatki, musiał mieć ją zaraz i dzięki trumniarzom ją miał.

W związku z tym w tych malutkich zakładach trwała ciągła produkcja. Zawsze musieli być przygotowani na zapotrzebowanie rynku, na ostatnią posługę, bo przecież trumna jest ostatnią rzeczą, jakiej człowiek na ziemi potrzebuje. Właściciele tych zakładów mieli świadomość wyzwań rynkowych i poza lakonicznymi szyldami w rodzaju „Wyrób trumien” lub po prostu „Trumny”, dla utrwalenia się w świadomości przyszłych klientów i ich rodzin w porach pracy przy drzwiach wejściowych promocyjnie pionowo wystawiali oparte o ścianę wieko trumny. Taka zachęta, by nie bać się wejść i ochoczo zamówić towar pierwszej, przepraszam, ostatniej potrzeby. Bardzo często w witrynie zakładu stała mała dziecięca trumienka, wiadomo bowiem nie od dziś, że nic tak nie skłania do zakupów jak wizerunek dziecka. A tak na poważnie, w pierwszych dekadach PRL śmiertelność dzieci była wysoka i stanowiła poważny problem dla lekarzy. Udało się ją ograniczyć między innymi dzięki obowiązkowym szczepieniom dopiero w latach siedemdziesiątych. Jeszcze dzisiaj na niektórych wiejskich cmentarzach, tam, gdzie zachowały się kwatery

z dziecięcymi grobami, można zobaczyć, jak wiele jest grobów z lat pięćdziesiątych i z początku sześćdziesiątych. To dzieci z tak zwanego wyżu demograficznego, który miał swoje ofiary, będące wynikiem zacofania cywilizacyjnego, do którego przyczyniła się także okrutna II wojna światowa. Małe trumny były niestety artykułem poszukiwanym.

Tak więc w zakładach trumniarskich panowała atmosfera ciągłej pracy wykonywanej w poczuciu pewnej, a może smutnej, ale ważnej misji społecznej. Trumien nigdy nie mogło zabraknąć, choć asortyment nie zawsze spełniał oczekiwania bardziej wyrafinowanych estetycznie klientów. Generalnie trumny były najczęściej dębowe lub sosnowe, przy czym oczywiście te pierwsze bardziej luksusowe i wykonywane na specjalne zamówienie przez zamożniejszych klientów. Trumny najczęściej były czarne lub brązowe, rzadko spotykało się trumny jasne, w kolorze naturalnego drewna. Chowano w nich zwykle młodych ludzi, chyba z powodu prostej symboliki. Młode, ledwie zaczęte, a już urwane życie to świeże drewno miało symbolizować. Najtańsze trumny z lichego odpadowego drewna pokrywano farbami olejnymi w sposób imitujący słoje drewna. Zdarzało się, że dziecięce trumienki malowano na biało, bo wiadomo, dzieci to aniołki. Estetyka była dość ograniczona, ponura, by nie powiedzieć upiorna. Ale zasadniczo zakład produkcji trumien to przedsiębiorstwo dość ponure i nieprzyjemne, bo taka jest jego misja.

Dzisiejszy dyrektor Muzeum Ziemi Mińskiej, a wtedy młodzieniec poszukujący imprezy w sylwestra, znalazł się więc u znajomych w domu, w którym był zakład trumniarski. Atmosfera była miła, bo to w końcu mili ludzie, a i odnajdywali się tu i inni zagubieni i błądzący noworoczni wędrowcy. W pewnym momencie zrobiło się tłoczno, bo impreza zorganizowana była ad hoc, więc padła propozycja, by przenieść ją w bardziej przestronne miejsce.

Jak łatwo się domyślić, tym miejscem był opisany wcześniej zakład usług dla ludności, jak nazywano w PRL firmy wykonujące zlecenia i naprawy różnych rzeczy dla szarych obywateli. Bardzo podkreślano,

że są to usługi dla ludności, tak jakby istniała jeszcze jakaś nieludność. Tak naprawdę chodziło o odróżnienie rodzajów produkcji, bo w PRL produkowano (co z dzisiejszego punktu widzenia brzmi dziwacznie) albo dla przemysłu, albo dla ludności, czyli zwykłych konsumentów. Przy czym usługi dla przemysłu były dużo ważniejsze, bo człowiek to nie maszyna i może poczekać.

Towarzystwo zabrało z mieszkania napoje i zakąski. Impreza sylwestrowa wkroczyła do miejsca, gdzie szykuje się ostatnią ziemską rzecz dla człowieka. Goście rozsiedli się wśród trumien gotowych i niedokończonych. Od razu uprzedźmy fakty, nie doszło do żadnych nieobyczajnych zachowań. Ta noc po prostu była niezwykła. Mróz spowijający cały kraj, potężna śnieżycy, która unieruchomiła całą Polskę, i to miejsce, które mimowolnie zmusza do refleksji nad własnym przemijaniem, nad słabością i nicością człowieka. Natura pokazała swoją potężną siłę, swoją wielkość, a jednocześnie piękno. Zrobiła to w dniu, w którym człowiek, dość absurdalnie, kultywuje zwyczaj cieszenia się z upływu czasu, w którym łudzi się, że nadchodząca przyszłość będzie dla niego lepsza i piękniejsza niż teraźniejszość i przeszłość. Młodzi ludzie spotkali się tego dnia w zakładzie trumniarskim w sposób przypadkowy. Mieli inne plany na sylwestrową zabawę. Los ich rzucił w miejsce, gdzie każdy musiał myśleć o tym, o czym często nie chce się myśleć. O nieuchronności przemijania.

## **ELEKTRYCZKĄ DO WARSZAWY ZAMIAST SAMOŁOTEM DO NOWEGO JORKU**

Rafał Rękosiewicz jest muzykiem, poetą, tłumaczem Boba Dylana, klawiszowcem, autorem tekstów piosenek. Koniec lat siedemdziesiątych był fatalny dla muzyków grających rocka i bluesa w Polsce. Moda na dyskoteki spowodowała, że nie organizowano koncertów w klubach, więc nie mieli z czego żyć. Wielu znanych artystów, żeby się utrzymać, zaczęło grywać w restauracjach, do (jak to się wówczas mówiło) kotleta. Marzeniem było podpisanie umowy i wyjazd za granicę. Nawet stosunkowo krótki kontrakt, występy na statku albo w jakimś zachodnim klubie dawały wymierne korzyści i dzięki korzystnemu przelicznikowi dolara stabilne życie, przynajmniej w najbliższej przyszłości.

W 1978 roku Rafał Rękosiewicz grał w zespole Apokalipsa, a gdy grupa się rozpadła, przeszedł do innego, który potem stał się jedną z najstynniejszych kapel rockowych w Polsce. Ale zanim Perfect zaczął odnosić sukcesy wśród młodzieżowej publiczności, powstał jako zespół, który miał towarzyszyć piosenkarce Annie Jantar podczas jej amerykańskich występów. Na początku jego skład był trochę inny. Perkusistą i założycielem Perfectu był Wojciech Morawski. Na basie grał Zdzisław Zawadzki, czyli „Morski Pies”, syn generała, który uciekł do USA. Gitarzystą był Zbigniew Hołdys, a Rękosiewicz grał na instrumentach klawiszowych. Podczas trasy z Anną Jantar, wówczas niewątpliwą gwiazdą polskiej piosenki, mieli grać w amerykańskich klubach polonijnych.

W Warszawie występowali w restauracji Szampańska na tak zwanej Ścianie Wschodniej, czyli w Domach Towarowych Centrum na Marszałkowskiej. Lokal znajdował się na pierwszym piętrze,

a właściwie na antresoli Juniora, miał opinię luksusowego i był znany z organizowania koncertów popularnych artystów, a przede wszystkim z transmitowanego przez radio „Podwieczorka przy mikrofonie”.

Z zespołami śpiewały dwie mniej znane wokalistki, Maria Figiel i Barbara Górecka. Ta druga pani była żoną saksofonisty Góreckiego, nazywanego przez niektórych muzyków złośliwie „Batorym”, co nawiązywało do syreny okrętowej najstynniejszego polskiego transatlantyku i oddawało urok gry tego pana.

– To był bardzo sympatyczny człowiek – broni Góreckiego Rękosiewicz.

Pani Górecka niedługo potem przestała być Górecką i wróciła do panieńskiego nazwiska Trzetrzelewska. Zrobiła światową karierę jako Basia.

Żona Rękosiewicza była wtedy w ciąży i mąż Anny Jantar, kompozytor Jarosław Kukulski, wpadł na genialny pomysł. Zaproponował, by pojechała razem z całym zespołem na amerykańskie tournée w roli garderobianej. Zgłoszono ją więc na listę Pagartu, czyli Państwowej Agencji Artystycznej Pagart, która pełniła funkcję międzynarodowego impresariatu dla polskich twórców. Żaden polski artysta nie mógł wtedy wyjechać na koncerty zagraniczne bez zgody i pośrednictwa Pagartu, który za te przymusowe usługi kazał sobie słono płacić, bo w końcu artyści nie występowali dla siebie, ale w rozumieniu ówczesnych władz dla Polski Ludowej.

Paszporty dostawało się na wniosek Pagartu, ale o ich wydaniu decydowały struktury Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, bo organami wydającymi te dokumenty były wojewódzkie komendy Milicji Obywatelskiej. Zdarzało się, że przez decyzje paszportowe, czyli niewydanie dokumentu podróży, wpływno na skład zespołów, orkiestr i grup teatralnych. W PRL paszportu nie trzymało się w domu, zaraz po powrocie z zagranicy należało go zwrócić do odpowiedniej dla swojego miejsca zamieszkania komendy MO. Osoby podróżujące w imieniu jakiejś instytucji oprócz prywatnego

paszportu (jeśli go w ogóle miały) dysponowały specjalnym paszportem służbowym, który również po powrocie z delegacji zagranicznej musiały oddać odpowiednim władzom. Nie można było mieć fizycznie w jednej chwili w jednym ręku paszportu zwykłego i służbowego. Albo jeden, albo drugi. Nie można też było łączyć podróży prywatnej i służbowej. Trochę inaczej mieli ludzie kultury i sztuki. Jak wspomina Rafał Rękosiewicz, w przypadku muzyków był to zwykły paszport, do którego wstemplowywano literkę „S”.

Genialność pomysłu Jarosława Kukulskiego, by ciężarna pani Rękosiewicz na czas amerykańskiego wyjazdu zmieniała się w garderobianą, polegała na tym, że urodziłaby tam swoje dziecko, które z tą chwilą stałoby się obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, albowiem w tym kraju obowiązuje prawo dziedzictwa ziemi, więc jak cię tam powiją, to już jesteś ich. Rodzice nie nabywają w związku z tym żadnych praw obywatelskich, muszą dalej normalną drogą starać się o wizę. Jednak pod koniec lat siedemdziesiątych, w warunkach realnego socjalizmu, demokracji ludowej, podziału świata na dwa wrogie obozy, obywatelstwo choćby dziecka nieświadomego jeszcze dziejowej walki socjalizmu z kapitalizmem, dawało w tej walce trochę większe szanse i jakieś nadzieje. W końcu ktoś musi wykonać pierwszy krok i dla czego tym kimś nie może być najmłodszy członek rodziny. Myśl Kukulskiego spodobała się Rękosiewiczom i postanowili wcielić ją w życie. Niestety, jako to zwykle bywa pomysł nie wypalił, i to za sprawą tego, który miał być jego największym beneficjentem.

19 grudnia 1978 roku na świat przyszedł Maciej Rękosiewicz, niweczając swój podbój Nowego Świata. Nici z USA! Poległ cały misterny plan Jarosława Kukulskiego. Więcej, spisek Kukulskiego, Jantar i Rękosiewiczów. Został zaprzeczony przez zbyt pośpieszne pojawienie się Macieja R. wśród obywateli PRL. Ale tak już bywa, młodzi nigdy nie potrafią docenić zapobiegliwości dorosłych.

W wyniku tego zdarzenia Rękosiewiczza zastąpił Paweł Tabaka. Zespół Perfect zapakował manatki i udał się z Anną Jantar w daleką

podróż. Wylecieli do Ameryki razem z nastaniem zimy stulecia, na początku stycznia 1979 roku.

Młodym i szczęśliwym rodzicom nie pozostawało nic innego, jak zająć się pielęgnowaniem noworodka. Ponieważ wbrew obiegowym opiniom muzycy i artyści też potrzebują środków do życia, po dwóch tygodniach przymusowego bezrobocia szczęśliwy ojciec musiał pomyśleć o poszukaniu pracy.

Rafał Rękosiewicz jest związany ze Śląskiem, który zawsze odgrywał w polskim życiu muzycznym ważną rolę. I nie tylko zresztą muzycznym, bo ocalenie tradycji narodowych wiązało się, współgrało na Śląsku z kultywowaniem tradycji muzycznych. Gdyby nie było towarzystw śpiewaczych i orkiestr górniczych, nie byłoby też wspaniałej śląskiej sceny rockowej i bluesowej. Ona wyrosła z tych tradycji, z tych doświadczeń artystycznych i społecznych. Warto o tym pamiętać, kiedy się słucha na przykład zespołów SBB i Krzak.

Rafał Rękosiewicz koncertował i nagrywał w swojej bogatej karierze między innymi z zespołami Dżem i Easy Rider, Martyną Jakubowicz, Tadeuszem Nalepą i Leszkiem Winderem. Ostatnio razem z wokalistką Jolą Literką nagrał płytę „Małe rzeczy”.

Wtedy jednak, na samym początku zimy stulecia, musiał myśleć o utrzymaniu swojej dopiero co powiększonej rodziny. W mroźny poranek 2 stycznia 1979 roku, w chwili kiedy cała Polska była sparaliżowana przez mróz i śnieg, ruszył do stolicy w poszukiwaniu nowej pracy. Kupił bilet na pociąg ekspresowy Górnik, który przemierzał trasę Katowice-Warszawa. Kiedy na peron podstawiono skład, on i inni podróżni nie mogli uwierzyć w to, co zobaczyli. Zamiast tradycyjnych zielonych wagonów charakterystycznych dla tras dalekobieżnych, pojawił się żółto-niebieski pociąg podmiejski. Na ten widok pewnie niejeden podróżny zaczął żałować podjętej decyzji o wybraniu się w trasę, ale nie było co wybrzydzać. Można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że nie udało się uruchomić spalinowej lokomotywy składu dalekobieżnego. Podstawiono więc to, co w ogóle mogło jechać.



A trzeba było jechać, jeśli taka, a nie inna była konieczność. Wsiadł więc muzyk i młody ojciec w jednej osobie do pociągu podmiejskiego w roli dalekobieżnego i udał się w podróż do stolicy swego kraju. Droga tego dnia trwała dłużej niż zazwyczaj.

– Telepałem się tą niebieską elektryczką kilkanaście godzin przez mrozy i zasy – mówi. – Pamiętam ulice Warszawy z tymi niesamowitymi wąwozami ze śniegu.

Na szczęście w Warszawie pracę znalazł. Tak się dobrze złożyło, że Irena Jarocka szukała klawiszowca, więc mógł grać w jej zespole. Podczas pobytu w stolicy Rękosiewicza zakwaterowano w hotelu MDM na placu Konstytucji.

– Hotel był pusty i lodowaty – wspomina.

Chętnie nocowali w tym miejscu różni urzędnicy w delegacjach. Stąd mieli blisko do central państwowych przedsiębiorstw, urzędów i ministerstw mieszczących się w okolicach ulicy Kruczej. W pobliskim lokalu na placu Konstytucji, w słynnej Niespodziance, tej samej, w której w 1989 roku ulokowano siedzibę Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, dyżurowały prostytutki polujące na podchmielonych panów w delegacji. Lokal ten w jednej z powieści opisał Stefan Kisielewski. W piwnicach znajdowała się winiarnia, którą okupowała bardziej inteligencka i artystyczna klientela, a także studenci z pobliskiej Politechniki Warszawskiej.

Z hotelu na placu Konstytucji do miejsca występów Rafał Rękosiewicz miał bardzo blisko, bo plac leży wzdłuż ulicy Marszałkowskiej. Na zakupy do Domów Towarowych Centrum mógł pojechać przystanek tramwajem, jeśli taki akurat przyjechał, albo iść wśród śnieżnych wąwozów kilkanaście minut. Próby mieli w Stodole na ulicy Batorego, więc z hotelu też miał blisko. Współpraca z Ireną Jarocką na początku nie była łatwa, bo piosenkarka pamiętała, że muzyk współpracował z Anną Jantar, a obie artystki nie za bardzo się lubiły. No i też trochę styl gry Rękosiewicza jej nie odpowiadał, ale z czasem jakoś się zgrali. Występowali wspólnie przez rok.

– W końcu udało mi się w cholerę pojechać do Norwegii i dorobić jakiegoś mieszkania – podsumowuje Rękosiewicz.



## PÓŁMISEK Z PIESKIEM

Zdjęcia Zbigniewa Furmana, znanego i uznanego fotoreportera, które zostały zrobione w zimę stulecia i opublikowane na łamach „Życia Warszawy”, utkwily mi mocno w pamięci. Przypominam sobie, że kilka razy w gronie znajomych i rodziny je komentowaliśmy. Było więc dla mnie oczywiste, że muszę go spytać o to, jak wyglądały jego przeżycia z tamtego okresu.

– Zaczęło sypać koło południa – Zbigniew Furman wspomina ostatni dzień 1978 roku. Rozmawiamy w upalny dzień, więc widzę, że mój bohater z jakimś trudem odtwarza w pamięci chwile, kiedy było naprawdę mroźno.

Mieszkał i mieszka nadal we Włochach. Włochy to podwarszawskie miasteczko, które w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku stało się częścią stolicy i weszło wtedy w skład dzielnicy Ochota. Obecnie jest odrębną dzielnicą. To podwarszawskie osiedle, które ukształtowało się w okresie międzywojennym i posiada typową dla tamtego czasu zabudowę. Dużo tu małych kamienic i domów jednorodzinnych. W jednym z takich domów mieszka Zbigniew Furman.

– Pamiętam jak w pewnym momencie, wychodząc z domu, pojechałem na piętach jak na łyżwach do samej furtki – opowiada. – Potem był wiatr, a po nim zaczął sypać straszny śnieg.

Jednak okoliczności natury nie miały wpływu na plany Furmanów związane z pożegnaniem starego i przywitaniem nowego roku. Pan Zbigniew z żoną Joanną wybierali się na zabawę sylwestrową do jednego ze znajomych. Impreza była składkowa i większość elementów tej składki znajdowała się już na miejscu, gotowa do spożycia. Dotyczyło to szczególnie spirytualiów. Impreza miała się odbyć w jednym z mieszkań na osiedlu Groty. Dla osób nieznających

Warszawy, to część obecnej dzielnicy Bemowo, wtedy zarówno Groty, jak i Bemowo, wchodziły w skład starej dzielnicy Wola. Z Włoch na Groty droga jak na Warszawę nie jest daleka, obie są na obrzeżach po tej samej stronie miasta.

Państwo Furmanowie na zabawę zamierzali wybrać się najpierw autobusem, bo to ułatwiało korzystanie ze składkowych delicji, szczególnie tych, które miały odpowiednie procenty. Na przystanku okazało się, że nic nie jeździ. W tej sytuacji postanowili pojechać taksówką, więc w tym celu udali się na postój. To były takie czasy, że taksówki były dostępne prawie wyłącznie na postojach. O ile oczywiście były. Bardzo często taksówkarze podjeżdżali na postój, krzycząc przez otwarte okno, w jakim kierunku jadą. Co prawda Miejskie Przedsiębiorstwo Taksówkowe (MPT) dysponowało już centralą do zamówień telefonicznych, ale w dniach świątecznych trzeba było samochody zamawiać z bardzo dużym, wielogodzinnym, czasami jednodniowym wyprzedzeniem, a i tak w ostatniej chwili zdarzało się, że zamówienie anulowano. W takie dni trzeba było liczyć na szczęście i czekać na postoju. Jak się nie trafiła taksówka, to mogła się trafić okazja znana też jako jazda na łebka.

Joanna i Zbigniew Furmanowie czekali więc na postoju taksówek, ale nikt nie przyjeżdżał i nawet nie przejeżdżał. Gorzej, nawet nikt nie szedł.

– Przez godzinę nie było żywego ducha – wspomina Furman.

Wreszcie pojawił się samochód i ku ich zaskoczeniu (na ich szczęście!) nie była to żadna śmieciarka, ale taksówka. Stara, garbata warszawa, jeden z tych modeli przypominających pierwowzór radzieckiej победы. Wsiedli i ruszyli. W samochodzie nie było ogrzewania, a wszystkie szyby pokrywał lód. Nic nie było widać. Jedynie przez przednią szybę, a dokładniej przez kółko wielkości ówczesnej monety dziesięciozłotowej, czyli średnicy niespełna trzech centymetrów, kierowca co nieco widział.

– W czasie jazdy patrzył przez nie jak przez judasza w drzwiach – wspomina Furman.

Na szczęście nie było ruchu na drodze, a samochód ze względu na

warunki jechał powoli. W chłodzie i wolno, ale dojechali na Groty. Na miejscu okazało się, że z dużej imprezy będą nici. Z trzydziestu gości dotarło zaledwie ośmiu. Przed balowiczami stanęło trudne zadanie, bowiem stoły ugiwały się od jedzenia, do tego dużo alkoholu. Trzeba było sprostać wyzwaniu, z godnością przyjmując rządzenie losu, co też zrobiono skwapliwie. Atak zimy został odpowiednio uczczony, a do walki z mrozem podczas tej imprezy na osiedlu Groty rzucono wszystko, czym się można było ogrzać. A było się czym ogrzewać. Nikt się nie śpieszył, nikt nie zamierzał wcześniej wychodzić, nawet jeśli pierwotnie miał takie plany. Każdy, kto z trudem dotarł, swój powrót i przedzieranie się do domu chciał odwlec jak najdalej.

Gospodarze mieli małego pieska w typie skundlonego ratlerka. Pies ten też stał się nieoczekiwanym beneficjentem okoliczności wywołanych klęską żywiołową. Los mu dał szansę, a on z niej skorzystał. Tą szansą był szwedzki stół. Nad ranem piesek leżał na swoim postaniu objedzony ponad granice swych możliwości. A jego legowisko przypominało wielki półmisek. Było wyścielane plastrami szynki, polędwicy, baleronu, pasztetu, pieczonego schabu i boczku. Tu i ówdzie wędliny zdobił cenny kawior. I na tym postaniu-półmisku, na samym jego środku leżał ten mały piesek. Tak musi wyglądać psi raj.

– On był szczęśliwy, że tyle zjadł, i jednocześnie było widać, że jest też nieszczęśliwy, bo już więcej nie może – opowiada ze śmiechem Zbigniew Furman.

Kiedy nadszedł dzień, towarzystwo trochę się otrząsnęło. Za oknem zobaczyli znajomego, człowieka telewizji, dzisiaj to postać bardzo znana i szanowana, ale wtedy tylko dobrze się zapowiadająca. Ten znajomy, sąsiad gospodarzy sylwestrowego przyjęcia, zajęty był odśnieżaniem garażu. Udano się do niego ze wsparciem psychologicznym w postaci bigosu i wódki. I być może to wsparcie wpłynęło na jego decyzję, bo zaproponował później Furmanom odwiezienie do domu. Jechał do telewizji, więc z Grot przez Włochy na Górny Mokotów było mu po drodze.

Przez pierwsze trzy dni po sylwestrze Furmanowie do pracy w śródmieściu Warszawy musieli chodzić na piechotę. Tak się szczęśliwie składało, że oboje pracowali blisko siebie. On w redakcji „Życia Warszawy” na ulicy Marszałkowskiej 3/5, w pobliżu placu Unii Lubelskiej, ona na MDM-ie, w okolicach placu Konstytucji, w największym wówczas w Warszawie biurze Polskich Linii Lotniczych LOT. To biuro znajdowało się pod trójką na Waryńskiego, przy Śniadeckich. Najpierw pan Zbigniew odprowadzał panią Joannę do jej pracy, a potem szedł dwa przystanki tramwajowe do swojej. W ten sposób pokonywali dystans około ośmiu kilometrów.

– Przez te pierwsze dni do Włoch nic jeździło, więc musieliśmy tak chodzić. Dobrze, że oboje szliśmy w jedną stronę – mówi.

Później mieli łatwiej. Mieszkali w pobliżu ulicy Techników, a nią jeździł autobus, który łączył ich ze światem, czyli z Warszawą i centrum Włoch. Ponieważ przemieszczał się tamtędy transport miejski, była to arteria pierwszej kolejności odśnieżania, w przeciwieństwie do uliczki, przy której stały tylko domy Furmanów i ich sąsiadów.

– Sąsiadami byli mili starsi ludzie. Któregoś dnia przyszedł sąsiad i mówi, że nie może do spółdzielni pójść po chleb, bo nas śnieg zasypał. Początkowo nie wiedziałem, o co mu chodzi – mówi pan Zbigniew.

Wyszedł i zobaczył, co się stało. Rzeczywiście zostali odcięci od świata. Nie tylko od spółdzielni, jak w mniejszych miejscowościach mówiło się na sklepy spożywcze. To pozostałość po bitwie o handel, którą przeprowadzili pod koniec lat czterdziestych komuniści. Wtedy uspołeczniono sklepy, czyli mówiąc krótko, prywatni kupcy stracili swoją własność. Lokale przejęły spółdzielnie spożywców, będące bardziej państwowymi przedsiębiorstwami niż prawdziwymi spółdzielniami.

Od spółdzielni i od przystanku autobusowego odciął ich pług śnieżny, który zmiatając swoją burtą śnieg, zgarnął go tak, że zasypał wylot uliczki biegnącej do ich domów. W efekcie powstała duża, ponaddwumetrowa zaspą szczelnie wypełniająca całą szerokość

drogi. Żeby sąsiad mógł pójść po chleb, a Furmanowie później do pracy, trzeba było się przekopać. Co zajęło trochę czasu i kosztowało sporo wysiłku.

Jak się już udało Furmanowi wydostać z domu we Włochach i przybyć w końcu do pracy, to z jakimś dziennikarzem ruszał w drogę po podwarszawskich i mazowieckich miejscowościach. Podczas jednej z takich podróży sfotografował jadącego wśród zasp wozu wyładowanego bochenkami chleba. Zdjęcie to było wtedy dość znane.

– Najzabawniejsze, że retuszer wybudował mi przystanek na tej fotografii. Uznał, że musi być, więc go wmontował – śmieje się Furman. I dodaje: – Tak naprawdę to przeżyłem dwie zimy stulecia. Była jeszcze chyba taka mroźna zima w 1963 roku. Wtedy było groźnie. Szkołę zamknięto, i to było fajne.

## **BUTY, KTÓRE BYŁY PRZEBOJEM TAMTEJ ZIMY**

Koniec grudnia 1978 roku był bardzo ciepły. Mieszkałem wtedy z rodzicami na Saskiej Kępie w Warszawie. Nasz wielki czerwony blok z lat sześćdziesiątych stoi naprzeciwko parku Skaryszewskiego. Wigilia była deszczowa, po wodzie, jak to się mówi. Chyba jeszcze przed świętami zaobserwowałem niezwykle zjawisko. Przyrodnicze. Było związane z otwieraniem okna.

W swoim pokoju uchylałem okno, bo na zewnątrz było ciepło, a w domu gorąco. Kaloryfery solidnie grzały. W PRL tak to już działało, że jak robiło się ciepło na dworze, to w domu kaloryfery były gorące. Ale jak robiło się zimno, to nie zawsze tak grzały. Wtedy były gorące i, niestety, nie można było ich przykręcić. Występował jakiś systemowy problem z tym przykręcaniem, nie wiem dlaczego, ale tak było. W domu, w szkole, u znajomych, w różnych instytucjach. Jak się nimi kręciło, to potem z nich woda ciekła. Trzeba było podstawić jakieś naczynie, żeby ta woda do niego kapiała. No i wołać montera do tych grzejników. A na majstra ze spółdzielni czekało się długo, nie przychodził ot tak, na zawołanie. Jak to szanujący się majster. Zresztą, jak przyszedł, to nie wiadomo było, czy naprawi usterkę, bo z tego, co pamiętam, u tych, co kaloryfery ciekły, to ciekły i przestać nie chciały. Pewnie produkowano niskiej jakości kaloryfery.

W każdym razie zakaz regulowania kaloryferów w domach był całkowity, nikt nie ważył się ich ruszać i pokrętłami kręcić. W przeciwieństwie do telewizorów, bo nasi ojcowie mieli prawdziwą obsesję regulowania odbiorników, a dokładniej, obsesję ostrości. Zawsze, w najważniejszym momencie „Kobry”, amerykańskiego serialu lub historycznego meczu naszych, podrywali się gwałtownie



z krzesel i wypowiedali przerażające słowa: „Obraz jest nieostry”. Zaczynali kręcić pokrętłami, więc obraz stawał się naprawdę nieostry, a nawet po krótkiej chwili całkiem niewidoczny. Ileż to ważnych bramek padło w takich momentach! Kaloryferów jednak konsekwentnie nie tykali.

Tak na marginesie i dla młodszych widzów niepamiętających i nieznających PRL trzeba przypomnieć, że „Kobra” była telewizyjnym teatrem sensacji. Spektakle nadawano w czwartki po „Dzienniku Telewizyjnym”, cieszyły się ogromną popularnością. Przed telewizorami siadała wielomilionowa widownia, a ulice miast pustoszały, podobnie jak w czasie ważnych meczów piłkarskich reprezentacji Polski, Górnika Zabrze i Legii Warszawa. W „Kobrach” grali najpopularniejsi polscy aktorzy, a przedstawienia były najczęściej ekranizacjami słynnych powieści kryminalnych. Na początku kolejne fragmenty historii kapitana Hansa Klossa nadawano właśnie jako widowiska teatru sensacji. Ponieważ odniosły one ogromny sukces, „Stawkę większą niż życie” zrealizowano jako serial.

Strach był przed wrzątkiem z grzejników, zniszczeniem podłogi, negocjacjami z administracją, samym hydraulikiem i przede wszystkim przed tym, że w domu będzie zimno. A zimy były mroźne, więc jak kaloryfer grzał, to znaczy, że dobrze, a nawet bardzo dobrze. Lepiej się czasami przegrzać, niż później marznąć. Zresztą, z tym przegrzewaniem też tak nie przesadzajmy... Okna nie były szczelne tak jak teraz. Przed zimą robiło się zakupy. W aptece kupowało się watę, w drogerii, zwanej wówczas sklepem chemii gospodarczej, lub w sklepie 1001 drobiazgów (duży sklep z drobnymi artykułami do domu – pasty do podłogi, garnki, szczotki i tym podobne) nabywało się taśmę uszczelniającą. Te taśmy były różne. Jedne szmaciane, takie sfilcowane szmaty, a inne gąbkowe, które z czasem wyeliminowały z rynku te szmaciane. Później, gdzieś pod koniec dekady Gierka, pojawiły się taśmy gąbkowe w wersji samoprzylepnej. Były droższe i miały zaskakująco mocny klej, trudno było je potem usunąć z okna.

Uszczelnianie okna to była poważna operacja i przebiegała różnie w zależności od jego stanu. Ideałem było takie uszczelnienie, żeby okno dawało się bez trudu otwierać. W tym celu najlepiej było je rozkręcić i między dwie ramy włożyć odpowiednią uszczelkę, tak by przy zamykaniu wypełniała luki między oknem a ościeżnicą. Jeśli to się udało, to co najwyżej kładło się jeszcze pled na parapecie w przypadku dużego zimna. Najczęściej jednak się nie udawało, bo okno było zbyt stare lub (co często zdarzało się w nowych domach) fatalnie wykonane. W takich sytuacjach po uszczelnieniu było nieotwieralne przez całą zimę, bo jego otwarcie oznaczałoby zniszczenie misternego wypełnienia wszystkich szczelin.

Czasami można było zobaczyć w mieszkaniach okna upchane szmatami i watą, i dodatkowo podklejone plastrami, takimi z apteki, w rolce, żeby się to wszystko lepiej trzymało. Ktoś niepamiętający PRL powie, że przecież można było wymienić okno, jeśli nie trzymało ciepła. Otóż w domach wybudowanych po wojnie trzeba było wymianę załatwiać przez administrację, bo okien nie było w sklepach. Musiała się odbyć cała trwająca długie miesiące procedura biurokratyczna z komisjami technicznymi, wnioskami, podaniami, opiniami, zleceniami, zamówieniami u producenta i na końcu (jeśli do wymiany doszło) z komisją odbioru. W starych domach zarządzanych przez kwaterunek było jeszcze gorzej, bo pracę musiał wykonać stolarz na zlecenie. Przedwojenne okno musiałyby wypaść, by administracja coś takiego zrobiła. Zresztą, nowe okno też byłoby nieszczelne.

Nasze okna po uszczelnieniu na zimę raczej się nie otwierały, ale mieliśmy lufcik, bo kiedyś administracja zaproponowała, że ci, co chcą, mogą sobie odpłatnie w oknach dorobić lufciki. I moi rodzice chcieli i jeszcze dwie osoby z naszego bloku też, więc doszło do takiej przeróbki w trzech mieszkaniach. Dzięki temu kiedy było gorąco, otwierałem lub uchylałem lufcik według potrzeb. Wtedy, tuż przed zimą stulecia, jak na dworze było ciepło, a w domu gorąco, uchylałem w swoim pokoju lufcik i właśnie w tym momencie zaobserwowałem niezwykle zjawisko.

Z parku Skaryszewskiego zleciały do mnie biedronki, które tak przypadkiem są moimi ulubionymi owadami. Było ich kilkadziesiąt. Zrobiłem im z waty gniazdo pod parapetem przy kaloryferze i tam przez kilka dni żyły, aż w końcu w pierwszych dniach zimy stulecia dokonały swego biedronkowego żywota.

Pracowałem wtedy w szpitalu. Był to wojewódzki szpital im. prof. Witolda Orłowskiego na ulicy Czerniakowskiej, na warszawskim Powiślu. Byłem noszowym bloku operacyjnego chirurgii plastycznej. Jednocześnie chodziłem do liceum dla pracujących. Pracą w szpitalu i edukacją wieczorową zakończyłem swoją wędrówkę po szkołach dziennych, jednocześnie liczyłem, że szpital zapewni mi ewentualnie jakiś łagodniejszy wariant służby wojskowej, gdyby to zagrożenie stało się rzeczywiście realne. A z wojskiem trzeba było uważać. Przy okazji szpital pomógł mi wyleczyć się z lęku związanego z widokiem krwi. Miałem go po wypadku w dzieciństwie. Wtedy odzyskałem świadomość podczas zabiegu w szpitalu i widziałem, jak z mojej głowy krew ścieka na podłogę. Miałem siedem lat, byłem w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Ten wypadek, a potem pobyt w szpitalu wpłynęły na mnie tak, że miałem czasami reakcje lękowe. Ale pierwsza wizyta w sali operacyjnej wyleczyła mnie z tych problemów.

Chirurgia plastyczna była wtedy dziedziną dopiero raczkującą. W Polsce tylko trzy placówki się tym zajmowały. Ludzie często mylą chirurgię plastyczną z kosmetyczną. Większość operacji, podczas których asystowałem, to były poważne zabiegi chirurgiczne. Ratowaliśmy ludzi, którzy mieli poparzone prawie całe ciała. Operowano porażonych prądem, chorych na raka. Byli lekarze specjalizujący się w chirurgii ręki. Wiele zabiegów miało charakter pionierski. Ta praca okazała się dla mnie czymś bardzo ważnym. Miałem dziewiętnaście lat i, przychodząc tam, bardzo luzacki stosunek do rzeczywistości. Nagle w jednym z najlepszych w Polsce zespołów medycznych zacząłem się konfrontować ze światem poważnym, w którym widziałem z bliska prawdziwe cierpienie i umieranie. To była jedna z najważniejszych lekcji w moim życiu.

Przed Nowym Rokiem jechałem rano do szpitala. Już wychodząc z domu, czułem mróz. Na ulicach było dość pusto. Mój autobus linii numer 101, do którego wsiadałem na rondzie Waszyngtona, był mocno spóźniony. Być może nawet wypadł jeden kurs, ale dokładnie nie pamiętam. Nie było w środku tłoku, co raczej się nie zdarzało. Ruszyliśmy powoli w kierunku lewego brzegu Wisły, a po przekroczeniu rzeki zjechaliśmy ślimakiem z mostu Poniatowskiego. Wolna jazda irytowała mnie bardzo, ale po chwili, widząc przez okno kolejne rozbite samochody osobowe i chyba ze dwa autobusy, zrozumiałem powody tej ostrożnej jazdy. W okolicach szpitala jakiś samochód w poślizgu ściął latarnię, która przygniotła dwa inne. Było to preludium tego, co miało się stać niebawem.

Pamiętam, że miałem bogate plany związane z sylwestrem. Zgodnie z pewną tradycją zamierzaliśmy, ja i dwóch moich kolegów, odbyć sylwestrowy szlak, czyli odwiedzić maksymalnie dużo imprez. Stosowne zakupy, a nie były one specjalnie wyrafinowane, zrobiliśmy odpowiednio wcześniej. Tego wieczoru za punkt kontaktowy służyła nam knajpka Fregata na Międzynarodowej, zresztą nadal istniejąca. Dzisiaj robi za relikwiarz starą Warszawę, pamiątkę PRL, wtedy miała opinię raczej podłą, ale zawsze było w niej piwo i inne niezbędne trunki. Tam więc spotkaliśmy się w sylwestra i zbieraliśmy siły za pomocą kurczaka z różną, piwa i winiaku luksusowego.

Zbiórka przebiegła bez większych przeszkód, ale później nastąpiły nieoczekiwane zdarzenia. Ruszyliśmy na pierwszą imprezę. Miała być blisko, na Saskiej Kępie. Tylko jeden z nas znał gospodarza prywatki, był to jego kolega ze szkoły. Pamiętam, że nawet przygotowaliśmy jakieś fajne rekwizyty, które zmieniały nasz wygląd. Po wejściu na klatkę, a przypominam, że wtedy domofony należały do rzadkości, przebraliśmy się i stanęliśmy pod drzwiami. Było zaskakująco cicho, ale mieliśmy pewność, że rozruszamy imprezę. Po naciśnięciu dzwonka i oczekiwaniu w dość długiej ciszy, na tyle długiej, że światło na klatce schodowej zgasło, drzwi się otworzyły, a my weszliśmy do mieszkania, pokrzykując wesoło i wymachując

flaszkami płynów o różnej zawartości procentów. Po chwili w przedpokoju zamarliśmy. Przed nami stał starszy pan. Miałem zamiar od razu się wycofać, już kiedyś spędziłem sylwestra wśród zupełnie mi nieznanym ludzi, dużo starszych ode mnie, i tego eksperymentu nie chciałem powtarzać. Wtedy pojawił się kolega kolegi i sprawa się wyjaśniła. Po prostu rodzice po wyjściu z klatki zrezygnowali z wyprawy na drugi koniec miasta i postanowili wrócić do domu. Kolega do kogo mógł zadzwonił z informacją, że prywatki nie będzie. Zresztą zrobił to już wcześniej, bo z rodzicami miała pójść babcia, ale położyła się do łóżka z powodu złego samopoczucia. Pozostali, do których nie mógł się dodzwonić, bo najczęściej nie mieli telefonów, i tak nie dotarli. Starszy pan, który okazał się ojcem gospodarza niedosłej imprezy, był bardzo sympatyczny. Nie zaprotestował, kiedy zaproponowaliśmy tradycyjny noworoczny toast. Pierwszy wznieśliśmy trunkiem przez nas przyniesionym, drugi (jako miły rewanż) nalewką zrobioną przez tego pana. Pili wszyscy domownicy, nawet babcia, która w dużym pokoju leżała pod pierzyną i przysłuchiwała się naszej konwersacji.

Podsumowując: pierwsza impreza była odwołana, na drugiej nam się nie podobało, trzecia była całkowitym niewypałem. Po całym mieście mimo tragicznych warunków poruszaliśmy się sprawnie. Przez pewien czas woził nas nawet radiowóz Milicji Obywatelskiej, którego załoga ochoczo degustowała nasz doskonały, choć polski, calvados „Złota jesień”. Milicjanci poprosili, żebyśmy pomogli popchnąć ich samochód, bo zarył w śniegu. Była to nysa. Powiedzieliśmy, że chętnie, ale pod warunkiem, że nas podwiozą. Ku naszemu zdumieniu przystali na to, co więcej, nie robili nam żadnych głupich numerów, jakie zwykle lubili robić, czyli nie spisali nas, tylko podwieźli tam, gdzie chcieliśmy.

Potem na podobnej zasadzie wydzierżawiliśmy karetkę pogotowia, tym razem chyba zadziałała magia winiaku klubowego. Do karetki zabraliśmy jeszcze jakąś atrakcyjną, młodą kobietę w szpileczkach. Nie wiem, czy to nasza obecność ją przerażała, czy też fakt, iż jej narzeczony bawi się sam w hotelu Europejskim. Kierowca karetki

zresztą stanowczo odmówił podwiezienia dziewczyny na Krakowskie Przedmieście. Wiadomo, chorzy mają pierwszeństwo, więc zawiózł nas prawie pod sam dom.

Wreszcie dotarliśmy do znajomego, czyli do mieszkania jednego z nas trzech. I tutaj, pod jego domem (muszę publicznie się przyznać, bo wyrzuty sumienia dręczą mnie od dziesięcioleci) ukradłem skrzynkę dobrze już zamrożonego mleka. Niestety, kradzież nie była w stu procentach udana, bo już w mieszkaniu okazało się, że ktoś ze skrzynki ukradł mi wcześniej jedną butelkę. Podkreślam, ukradł moje mleko! Oburzony tym niecnym występkiem chciałem nawet iść po drugą skrzynkę, ale koledzy mnie powstrzymali. Dalszą część sylwestra spędziliśmy w ten sposób, że obtłukiwaliśmy szklane butelki ze zlodowaciałego mleka, następnie rozpuszczaliśmy je w garnku na gazie. A potem, na wszelki wypadek, przesączaliśmy płyn przez sitko, by żadna drobinka szkła nie zrobiła nam krzywdy. Pokazuje to dobitnie, że nawet będąc pod tak zwanym wpływem, wykazaliśmy zbiorową odpowiedzialność i dojrzałość. Tak przygotowane mleko razem z jarzębiakiem spożyliśmy na wczesne śniadanie.

Nie wiem, czy w wyniku działania słynnego proszku *ixi*, który podobno był używany do mycia butelek po mleku, czy też właściwości rakotwórczych jarzębiaku, o których wtedy plotkowano, zmienił mi się po tym sylwestrze metabolizm. Przez kilka lat nie trawiłem mleka. Jarzębiak przyswajałem bez trudu. Ale po wypiciu mleka dostawałem czerwonej wysypki. Czasami wystarczyło, że tylko ustami dotknąłem mleka w szklance, a natychmiast zmieniało się ono w zsiadłe. Były podejrzenia, że może nadmierna obecność jarzębiaku w organizmie wpływa na zsiadanie się mleka, ale to nieprawda. Zjawisko ostatecznie minęło wraz z nastaniem mleka pasteryzowanego, więc to z kolei potwierdzałoby teorię o obecności proszku *ixi*. W każdym razie z mlekiem trzeba uważać.

Rano drugiego stycznia ruszyłem do pracy. Kiedy znalazłem się na rondzie Waszyngtona, zobaczyłem niespotykany wcześniej tłum, w większości zmarzniętych, ludzi. Od koleżanki mieszkającej w tym

samym domu co ja dowiedziałem się, że nic nie jechało od ponad pół godziny, a tramwaje w ogóle nie jeżdżą. Po kilku minutach dołączył do nas kolega, z którym chodziliśmy do szkoły. I tak, miło sobie gawędząc, spędziliśmy kolejne pół godziny. Nadal nic nie przyjechało. Nie było szans na przejście na drugą stronę, bo na moście były wydrążone w zwałach śniegu drogi, którymi mogły jechać jedynie samochody, gdyby oczywiście jakieś jechały, ale jak już by jechały, nie byłoby miejsca, żeby im ustąpić.

Gdzieś po godzinie pojawiła się ciężarówka z odsłoniętą skrzynią. Kierowca krzyknął, że jak ktoś chce, może na tę skrzynię wsiąść i jechać. Nie trzeba było ludzi długo namawiać, po krótkiej chwili cała paka była załadowana. Koleżanka zrezygnowała, kolega też. Ja zdecydowałem się wsiąść. Samochód ruszył. Stałem z brzegu, więc odczuwałem chłodne powietrze podczas w końcu niezbyt długiej jazdy. Kierowca wyrzucił wszystkich na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata, naprzeciw gmachu zwanego oficjalnie Domem Partii, czyli przed siedzibą Komitetu Centralnego PZPR, zajmowanego teraz przez Giełdę Papierów Wartościowych. Nie tylko ja się cieszyłem, ale też inni pasażerowie, bo najgorszy odcinek drogi, czyli przeprawę przez Wisłę, mieliśmy za sobą. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałem historie opowiadane przez starych warszawiaków o tym, jak zaraz po wojnie z trudem przeprowało się z prawego na lewy brzeg rzeki. No ale wtedy mosty były zburzone.

Kiedy wysiadłem, okazało się, że najkrótszą drogą, obok Muzeów Narodowego i Wojska Polskiego, a następnie przez park, nie da rady przejść, musiałem więc pójść do ulicy Książęcej. Tam droga była w miarę wyczyszczona, przejezdna, bo to jednak droga do szpitala, no i też do KC, co pewnie było ważniejsze. Szedłem w dół ze skarpy wiślanej ulicą Książęcą w wąwozie ze śniegu. Wrażenie niezwykle. Gdy dotarłem do szpitala, okazało się, że do pracy w miarę punktualnie dojechały głównie osoby spoza Warszawy, te, które podróżowały pociągami. Wszyscy mieszkający w stolicy byli spóźnieni.

Odwołano tego dnia większość planowych operacji, a ja

wyszedłem na bumelanta. Byłem zajęty jakimiś porządkami w salach operacyjnych, bo tam jest zawsze coś do zrobienia, przez okna widziałem, że mężczyźni ze szpitala pracują przy odśnieżaniu. Podjeżdżały ciężarówki, na które ten śnieg z chodników wrzucali. Potem się okazało, że wszyscy mężczyźni mieli to robić, i nawet ktoś się dziwił, że mnie nie było, ale moja oddziałowa zgodnie z prawdą powiedziała, że robiłem coś innego, więc nikt się mnie nie czepiał.

Na początku zimy stulecia życie towarzyskie koncentrowało się w domach. Mało było wypraw na imprezy czy do kina. W teatrach na widowni było stosunkowo ciepło, ale w kinach bywało potwornie zimno. Zwłaszcza w tak dużych salach, jakie były w kinach Skarpa, Moskwa czy Sawa. Pamiętam, że na jakimś filmie nie dało się siedzieć. Garstka widzów, gdzieś około dwudziestu osób, zbiła się w ostatnim rzędzie w małą grupkę, choć zwykle przy tak pustej sali wszyscy, szczególnie pary, woleli siedzieć z dala od reszty. Siedząc tak razem, mieliśmy złudne wrażenie, że się ogrzewamy. Zresztą, połowa widzów zrezygnowała w trakcie seansu, a ostatnie fragmenty filmu oglądaliśmy na stojąco przy kotarach, które znajdowały się przy drzwiach wejściowych. Kotary były nieprzyjemnie sztywne, a przez szpary w drzwiach wiał śnieg. Kotar używano wówczas powszechnie jako osłon przed zimnem w sklepach, kawiarniach i innych lokalach publicznych. Wisały wewnątrz pomieszczenia, w odległości od dwudziestu centymetrów do metra od drzwi w zależności od tego, jak były one otwierane. Na wiosnę je zdejmowano i chowano na zapleczu. Miały zwykle jakiś ponury kolor: czarny, ciemnoszary lub brązowy. Czasami zdarzały się zielone lub bordowe, najczęściej w urzędach lub placówkach kulturalnych. Na dole były wykończone materiałem, który miał przypominać skórę i być odporny na wodę. Najczęściej była to cerata.

Życie towarzyskie zaczęło wracać do normy dopiero gdzieś w połowie stycznia. W kawiarniach zrobiło się trochę ludniej, choć nadal w niektórych lokalach, zwłaszcza tych solidnie przeszklonych, zaprojektowanych i wybudowanych w latach sześćdziesiątych



i siedemdziesiątych dwudziestego wieku, które łączyły urok sali gimnastycznej ze stołówką, było najzimniej. Umawiając się z kimś, wybierałem raczej małe kawiarnie, zresztą nie tylko ja, w niektórych panował dość duży tłok i czasami trudno było o miejsce. Najczęściej wolne były stoliki najbliżej drzwi, bo tam wiało. Starzy bywalcy o tym wiedzieli, nowi goście odkrywali to, szybko kończąc konsumpcję.

W moim środowisku najlepszymi męskimi butami, nie tylko na zimę, ale i na cały rok, były buty skórzane wiązane na rzemienie z wysoką cholewką. Kupowało się je w sklepach myśliwskich. Były to odrzuty z eksportu do strefy dolarowej. Tam używali ich robotnicy pracujący między innymi na platformach wiertniczych i budowach. Angielski napis na podeszwie informował, że guma jest odporna na działanie olejów. Buty były naprawdę świetne, ale przemoczone dość długo schły. Nie były ocieplane, więc w zimie mogło być w nich zimno. A podczas zimy stulecia było naprawdę zimno, nie pomagała nawet druga skarpetka.

Akurat na samym początku stycznia od kolegi z podwórka, który nabył tę nowość, dowiedziałem się, że w Domach Towarowych Centrum na Marszałkowskiej pojawiły się „after ski”, buty do noszenia po nartach, wyprodukowane w Polsce po raz pierwszy. Choć nigdy nie byłem miłośnikiem odzieży sportowej, szybko udałem się do stoiska sportowego, które mieściło się chyba w Warsie, i nabyłem tam tę nowość rynkową. Egzemplarz, który pasował na moją nogę, był kolorze granatowym. Nasze polskie „after ski” składały się z dwóch części, zewnętrznej w formie kalosza do wysokości kostki, a dalej, do połowy kości piszczelowej, but zrobiono z materiału ortalionowego, dość odpornego na wilgoć. Ten ortalion wiązało się u góry jak worek. Wewnątrz znajdował się wyjmowany wkład, taki biały but z grubej gąbki. Po zewnętrznej stronie był jeszcze przyszyty ozdobny pionowy pas tkaniny przypominający ludową krajkę, dość wątpliwej zresztą urody.

Podejrzewam, że udało mi się te buty dostać tylko dlatego, że z powodu mrozów mniej osób przemieszczało się po mieście. Ale i tak szybko je wykupiono. Chętnych było wielu, więc dla wszystkich

nie starczyło, a jak mówiły panie ze stoiska sportowego, kolejnych dostaw należało się spodziewać dopiero jesienią lub następną zimą. Mówiło się na te buty po angielsku „after ski”. Terminu takiego używali zarówno klienci, jak i sprzedawczynie, choć czasami „ski” było „sky”.

Buty te były więc największym, jak dziś byśmy powiedzieli, hitem modowym zimy stulecia. Kto miał, to nimi szpanował. Ja nie cieszyłem się nimi zbyt długo, ponieważ dziewczyna, z którą się spotykałem, jechała na ferie w góry i też chciała tam zadawać szyku. Poprosiła, bym jej je pożyczył na wyjazd na narty. Tam użycie „after ski shoes” miało większy sens niż chodzenie w nich po Warszawie, ja zaś wiedziałem, że zyskam większą sympatię, pożyczając jej takie specjalistyczne obuwie. Tak też zrobiłem, a sam wróciłem do swoich myśliwskich butów, w których już dotrwałem do końca zimy, bo dziewczynie te „after ski” skradziono zaraz na początku pobytu w górach.

W tamtym czasie mój ojciec, inżynier budownictwa i pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej, skonstruował wieżowiec, który dzisiaj znany jest jako LIM lub Marriott. Budowała go do czasu zerwania kontraktu w 1980 roku angielska firma. W styczniu z Londynu przysłała do Warszawy młodego inżyniera. Brytyjczycy swojemu wysłannikowi zapewнили pełną osłonę termiczną w postaci podarowanej na tę okoliczność specjalnej garderoby. Kupiono mu na wyprawę do Polski: kurtkę puchową z ciepłym kapturem, czapkę z nausznikami, ciepłe spodnie, rękawice i buty. Zadbano też o detale, czyli ciepłą bieliznę, zwłaszcza kalessony oraz skarpety. Młody angielski inżynier wizytą w Polsce był zachwycony. Mówił, że pierwszy raz w życiu widział tyle śniegu. Nawet pobyt w Alpach nie dostarczył mu takich atrakcji. Zapewne ma co wspominać.

Kiedy już wszyscy przyzwyczailiśmy się do mrozów, gdzieś tak pod koniec pierwszego tygodnia stycznia, a może w połowie miesiąca, do szpitala, w którym pracowałem, zaczęto przywozić pierwsze ofiary odmrożeń. Było dużo takich przypadków. Na naszym bloku operacyjnym odbyło się kilka amputacji odmrożonych palców rąk

i nóg. Pacjentami przeważnie byli mężczyźni, którzy nadużywali alkoholu. Były to więc ofiary sylwestra. Również panowie, którzy za bardzo zaufali twierdzeniom, iż alkohol rozgrzewa zziębnięte ciało. I tak się rozgrzewali, że nie kontrolowali własnego stanu, padając gdzieś na śnieg. W większości byli to ludzie młodzi, więc żal było patrzeć jak stają się kalekami z tak głupiego powodu.

Jeden przypadek był szczególny, inny od wszystkich, i utkwił mi w pamięci, bo to historia poruszająca. Pewnego dnia na salę operacyjną przywieziono bardzo miłego pana w wieku około pięćdziesięciu lat. Pan pochodził ze wschodnich rejonów kraju, gdzie jest zawsze najzimniej. Nawet w koszuli szpitalnej, którą zakładano pacjentom przed operacją, wyglądał jak typowy polski rolnik. Był miły i uśmiechnięty, sam zagadywał do nas, więc też podejmowaliśmy z nim rozmowy. Chirurdzy musieli mu amputować osiem palców. Po cztery u każdej dłoni. Zostawały mu tylko u obu rąk kciuki.

Zapytałem go, co się stało, bo nie wyglądał na człowieka nadmiernie zagląającego do kieliszka. Zapytałem, bo odniosłem wrażenie, że chce o tym opowiedzieć. Okazało się, że miał wcześniej amputowaną nogę. Stracił ją w wypadku. Na początku zimy stulecia szedł do domu i nagle pękł mu skórzany pasek podtrzymujący drewnianą protezę nogi. Upadł na ziemię. Wiedział, że może tak leżeć bardzo długo. I że jak będzie leżał to zamrznie. Miał świadomość, że tą drogą rzadko ktoś jeździ, nawet w czasie ładnej pogody, a co dopiero podczas mrozów. Podjął więc błyskawiczną decyzję. Zdjął skórzany pasek od spodni i nim naprawił zepsutą protezę. Żeby to wykonać, musiał zdjąć ciepłe kozuchowe rękawice z jednym palcem. Nie wiedział, ile ta naprawa zajęła mu czasu. Wydawało mu się, że trwała bardzo długo. Ale udało się. Teraz musiał podtrzymywać rękami spodnie, żeby nie spadły. I jak najszybciej dotrzeć do domu. A przed nim był do pokonania spory kawałek rogi. Może dwa, nie, więcej, ze trzy kilometry. Pamiętał tę drogę, która trwała dla niego nieskończenie długo. Nie pamiętał, kiedy sobie uświadomił, że ma odmrożone dłonie. Może zaraz po

tym, jak naprawił protezę? Tak, był pewny, że wtedy. Nie wiedział też, co się stało z kozuchowymi rękawicami... Chyba już nie mógł ich nałożyć. Pamiętał, że musi dojść do domu.

A ja pamiętam, z jaką pogodą o tym opowiadał. Nie było w nim strachu, żalu. Nie martwił się, jak będzie żył z jedną zdrową nogą i dwoma kciukami. To nie chodzi o to, że pogodził się z tym, co stracił. To była przede wszystkim radość z tego, czego nie stracił. Z tego, że ocalił życie.

## ZIMA, KTÓRA PRZEGRAŁA Z BRUEGLEM

Anna Trochim była wtedy młodą, początkującą, ale zdolną artystką. W 1977 roku skończyła warszawską Akademię Sztuk Pięknych, otrzymując wyróżnienie za dyplom w pracowni profesora Stefana Gierowskiego. Dzisiaj ma już na swoim koncie ponad czterdzieści indywidualnych wystaw, jej obrazy zdobią galerie i muzea w kraju i za granicą, między innymi znajdują się w zbiorach królowej Holandii. Jest współzałożycielką, razem z Delfiną Krasicką, warszawskiej Galerii Delfiny.

– Grzała nas wódka i młodość – śmieje się artystka malarka Anna Trochim, która podczas zimy stulecia mieszkała na Sadach Żoliborskich w Warszawie, gdzie znajdowała się jej pracownia.

Zanim zaczął się sylwester, musiała dotrzeć do krawcowej z potężną belą materiału. Mróz zaczynał doskwierać, ciężar beli dawał się we znaki. Było jej gorąco od niesienia materiału, za to zimno w twarz i ręce. Dojechała tam, gdzie miała dotrzeć, czyli w okolice ulicy Goworka na Mokotowie. Zostawiła u krawcowej materiał.

– Wracając, nie czułam rąk – wspomina.

Ale sylwester odbył się bez przeszkód. Było zimno, jednak nikt tego nie pamięta. Goście docierali z kłopotami, ale docierali. Ktoś przybył na nartach, artystka Lidka Włodarska przedarła się prawie przez całe miasto z alei Waszyngtona, czyli z praskiej strony Wisły. Opowiedziała o tym, co widziała po drodze, zaspokajając tym samym ciekawość innych gości.

Gości rozgrzewała wódka i gorące artystyczne dusze. Okna zastaniało się poduszkami, bo mróz najbardziej ciągnął od nich. Przyjęcie było skromne, bo towarzystwo artystyczne, niezamodne.

Poza wspomnianą wódką była jeszcze herbata i może ser, choć pewności wcale nie ma, że były. Odwiedzano sąsiednią pracownię pewnej rzeźbiarki. Wszędzie było miło i wesoło, choć zimne kaloryfery powinny były zmrozić dobry humor.

Dla wychowanej na mroźnym Podlasiu artystki zima stulecia nie była tą najważniejszą zimą w życiu. Choć pamięta dobrze śnieg, mróz, kłopoty z komunikacją i zimne kaloryfery, to silniejsze wspomnienia ma z zim wcześniejszych i późniejszych. Naprawdę chłodne zimy to były te, które przeżyła w swojej pracowni na ulicy Ząbkowskiej. Wynajmowała ją w stanie wojennym i kilku następnych latach. Pracownia znajdowała się w starej zaniedbanej kamienicy w pobliżu słynnego bazaru Różyckiego na warszawskiej Pradze.

Tam na strychu Anna Trochim malowała obrazy. W pracowni stał piec, często atakowany przez gniazda ptaków. Dach był źle ocieplony i dziurawy. Było bardzo romantycznie i często bardzo chłodno.

Jako osobie wynajmującej strych nie przysługiwały jej urzędowe przydziały węgla. Opał do ogrzania pracowni, która jednocześnie była jej mieszkaniem, kupowała od pewnego prażanina. Mężczyzna ów przychodził, najczęściej co drugi dzień, czasami codziennie, a jak nie przyszedł, to było zimno, co też się zdarzało. Na szczęście rzadko. Najczęściej w teczce, czasami w torbie miał węgiel, który sprzedawał młodej malarce. Węgiel zbierał wzdłuż torów lub – rzadziej – podkładał z wagonów.

Ulica Ząbkowska znajduje się między dwoma dworcami kolejowymi, Wileńskim i Wschodnim. Węgiel zwykle zbierano na bocznicach Dworca Wschodniego. Był to proceder stary, mający nawet bogatą tradycję. Przed wojną na Ząbkowskiej mieszkała rodzina mojej żony, dziadkowie i jej ojciec. Mój teść opowiadał, że już wtedy byli ludzie, bardzo zresztą dobrze zorganizowani, których głównym źródłem zarobku było zbieranie węgla na bocznicach, wzdłuż torów kolejowych. Węgiel ten spadał z wagonów. Ponieważ większość kuchni w okolicznych mieszkaniach opalano węglem, w pokojach były piece kaflowe, zbyt na swój wyrąb mieli przez cały rok. A siebie i swoje zajęcie traktowali bardzo poważnie. Uważali, że

są równi górnikom. W Barbórkę, 4 grudnia, nie pracowali, tylko świętowali. Ubierali się odświętnie, szli do kościoła na nabożeństwa, a potem bawili się we własnym gronie. Taki wtedy był etos pracy. Podobne zwyczaje panowały na Powiślu po drugiej stronie Wisły.

– To był bardzo sympatyczny pan – mówi Anna Trochim. – Miał około pięćdziesięciu lat.

A więc był to spadkobierca tradycji górniczych, być może jeden z ostatnich praskich wydobywców węgla.

Jak górnik nie przyniósł węgla, rozgrzewało samo wejście na strych, bo aby dotrzeć do pracowni, trzeba było pokonać sto czternaście stopni. W zimie na tym poddaszu zawsze miała prąd, bo wszyscy ten prąd w okolicy kradli. Myszy rodziły się w obrazach, a stara podłoga pachniała tak jak stara podłoga pachnieć powinna: drewnem, terpentyną i woskiem z pasty do podłóg.

– To był fajny zapach prawdziwej podłogi – podkreśla artystka.

Kupowała wtedy w kiosku tygodniki kulturalne. Czytała je wieczorami, a kiedy światło gaśło, kończyła lekturę przy świecach. Często odwiedzali ją znajomi artyści. Organizowano wtedy specjalne wieczory „poezji bułgarskiej, węgierskiej, francuskiej” w zależności od tego, z jakiego kraju było wino, które udało się zdobyć.

Ale jeszcze ważniejsze są dla niej zimy dzieciństwa w rodzinnej wsi Nowa Kamionka koło Sokółki. W mroźne zimy wschodniej Polski jeździła na nartach i łyżwach, które robił jej ojciec. Takie łyżwy domowej roboty były przytraczone paskami do normalnych butów. Miały ostre płozy. Jeździć można było dzięki ostrzom zrobionym z drutu. Odpowiednio dobrany drut naciągało się i wbijało w płozę łyżwy. Zastępował skutecznie ostrze z metalu. Zresztą historycznie pierwsze łyżwy były właśnie drewniane, potem dopiero człowiek wymyślił metalowe. A w ogóle łyżwy przymocowywane do butów nie były wówczas niczym specjalnie oryginalnym. O ile drewniane zaczynały być już rzadkością, to normą były metalowe przykręcane do butów albo przytrzymywane paskami, o dwóch (dla maluchów) lub jednym ostrzu. Z takich łyżew korzystały dzieci do momentu, kiedy noga już im tak szybko nie rosła. Dopiero wtedy

kupowano łyżwy z butem, dziewczynkom do jazdy figurowej, chłopcom do gry w hokeja, czyli figurówki i hokeje, jak je określano.

Ojciec Anny Trochim był rzemieślnikiem. Miał gospodarstwo, ale zajmował się przede wszystkim robieniem dachówki. W wiejskich warunkach wschodniej Polski początków lat pięćdziesiątych było to coś więcej niż bycie tylko dekarzem. Potrafił robić mnóstwo rzeczy, które nie tylko dawały utrzymanie, ale też zapewniały wygodę dnia codziennego i – jak trzeba było – dobrą rozrywkę. Nic więc dziwnego, że kiedy miała siedem lat, ojciec zrobił jej pierwsze narty. Wykorzystał do tego klepki używane do robienia beczek. Klepki takie najczęściej są dębowe albo z innych drzew liściastych, bo są odporne na wodę i nie wchłaniają jej tak szybko. Kształt nadawał im, parząc je na piecu w kuchni w wielkim garze na co dzień przeznaczonym do parzenia ziemniaków dla świń. Dzięki temu mógł uformować odpowiednie wygięcie nart, potem je suszył, szlifował i dodatkowo zabezpieczał przed wilgocią. Wiązania robił ze skórzanych pasków. Na takich nartach mała Ania nauczyła się jeździć. Później miała już lepsze, poważniejsze i na nich szusowała do trzeciej wsi, gdzie była jej szkoła podstawowa. Zakopywała je pod stodołą, żeby nikt jej nie ukraść, czy raczej w ramach głupiego dowcipu nie schował, bo wtedy droga powrotna do domu trwałaby dużo dłużej.

Prawdziwa zima dzieciństwa dla niej to jazda za saniami na prawdziwych łyżwach lub sankach. W sylwestra wspinali się na dach stodoły, skąd zjeżdżali na krótkich nartach. Prawdopodobnie właśnie w taki sposób dawno temu wymyślono dzisiejsze skoki narciarskie. Były to czasy, kiedy śnieg zimą nikogo nie dziwił. Było go dużo i utrzymywał się długo, więc z innymi dziećmi robiła w tym śniegu labirynty, w których się chowali i szukali.

– I podróż saniami do kościoła – rozmarza się Anna Trochim.

Opowiada o tym, jakie było światło, kiedy jechało się na pasterkę, a jakie, kiedy na niedzielne nabożeństwo.

– Dla mnie zima, ta prawdziwa zima, to obrazy, kolory jak na obrazach Bruegla – dodaje.



## SPÓDNICA NA ŚNIEGU JAK PARASOL

Zaraz po Nowym Roku gazety codzienne na drugich stronach podały za Polską Agencją Prasową informację, że telewizja australijska sfilmowała UFO. Zwykle takie wiadomości trafiały gdzieś daleko jako ciekawostki. Teraz jednak w obliczu stanu klęski żywiołowej nabrały szczególnego znaczenia, co było przedmiotem wielu żartów. Wiadomo przecież, że ktoś za tę śnieżycę i nieudolność władz musi odpowiadać. Trzeba znaleźć winnego, a przynajmniej zasugerować, na kogo można zepchnąć odpowiedzialność. A tacy kosmici to idealni kandydaci na wrogów ludu.

W związku z tym 2 stycznia PAP podawała: „Nie lada sukcesem pochwalić się może ekipa telewizji australijskiej, której udało się sfilmować niezidentyfikowane obiekty latające, jakie pojawiły się na niebie nad Christchurch w Nowej Zelandii. Niezwykłe zjawisko sfilmowano z pokładu samolotu. Na wyświetlonym w ub. niedzielę wieczorem przez studio telewizyjne BBC w Londynie filmie widać najwyraźniej całą eskadrę ponad 40 obiektów świetlnych, które zanotowały również radary naziemne.

Jeden z najdokładniej ujętych przez kamerę obiektów posiada kształt owalny, odznacza się silnym blaskiem, świeceniem i białymi liniami, które pojawiały się wokół obiektu. Zdaniem techników radarowych obiekt mierzył co najmniej sto metrów długości”.

W następnych dniach temperatury nie zmalały. Mróz nawet nie zamierzał ustąpić, a śnieg się roztopić. W tej sytuacji zaczęło przybywać pojazdów UFO. Z Rzymu docierały wieści: „W nocy z wtorku na środę w Mediolanie wielokrotnie obserwowano niezidentyfikowane obiekty latające. Ostatni pojawił się nad

przedmieściem Lambrate o ósmej rano. Według informacji miejscowej prasy wykonano wiele zdjęć tych obiektów. Według relacji naocznych świadków przelotowi UFO towarzyszyły niewytłumaczalne zjawiska natury elektrycznej w rodzaju samorzutnego włączenia się nieczynnych radioodbiorników itp.". Niezidentyfikowany obiekt latający miał się pojawić też nad socjalistyczną Bułgarią.

W tym samym czasie w Australii znowu sfotografowano UFO: „Ekipie telewizyjnej udało się powtórnie sfilmować nad Nową Zelandią niezidentyfikowany obiekt latający. Obiekt przedstawiony na zdjęciach jest podobny do »świecącej piłeczki pingpongowej z czerwoną obwódką pośrodku«. Film został zrobiony w rejonie, gdzie niedawno obserwowano pojawienie się UFO, to jest na północno-wschodnim wybrzeżu południowej wyspy. Zdjęcia wykonano przed i po wschodzie słońca. Jak twierdzą członkowie ekipy, obiekty (zaobserwowano dwa, sfilmować udało się tylko jeden) poruszały się na wysokości powyżej 3 tys. metrów, obracając wokół osi i wysyłając pulsujące światło. Jasnością swą przedmioty trzykrotnie przewyższały najjaśniejsze gwiazdy. Po przedstawieniu w telewizji, zdjęcia przekazano do analizy komputerowej”.

Może jesteśmy zbyt przyziemni, ale z perspektywy polskiej prowincji sparaliżowanej przez kataklizm bardziej liczyła się zawartość talerza na stole niż latające talerze nad socjalistyczną Bułgarią lub kapitalistycznymi Włochami.

Mieszkanca Sokółki, pani Irena Kamińska pracowała w sklepie z nabiałem, była tam sprzedawczynią.

– Produkty nam nie zamarzały, bo w ogóle nie było zbyt wiele towaru. Dla sera i masła mróz nie był zagrożeniem. Nie szkodził im. Były to czasy biedne, mało dostawialiśmy produktów, więc wszystko się sprzedawało i nic nie zostawało w sklepie – tłumaczy ówczesne realia.

Można powiedzieć, że ten brak towaru spowodował brak zniszczeń w towarze, czyli spełnił socjalistyczny postulat gospodarności, o który tak apelowali przywódcy rządu i partii. Bo gdyby było dużo

towaru, to ludzie by go nie wykupili i towar mógł pozamarzać. Straty byłyby na pewno jakieś, a tak żadnych nie było.

Z domu do sklepu pani Irena miała niecałe pół kilometra, więc chodziła na piechotę. Ubrana w spódnicę, spodni raczej większość kobiet wtedy nie nosiła. Na nogach miała kozaki do kolan. Szło się wydeptanymi ścieżkami, a śnieg wokół był mniej więcej na wysokość tych kolan.

– Ta moja spódnica była taka szersza. Jak szłam, to z niej taki parasol na śniegu się robił – opowiada ze śmiechem.

Ścieżki były dość wąskie, więc jak szły dwie osoby naprzeciwko siebie, jedna musiała się zatrzymać, a druga ją obchodziła. Mężczyźni mieli łatwiej, bo w spodniach mogli przez wyższy śnieg przejść. Dla kobiet w spódnicach było to spore utrudnienie, więc raczej wolały poczekać i dać się ominąć.

Wracając z pracy, robiła zakupy jak większość kobiet łączących pracę z prowadzeniem domu, gotowała i robiła pranie. Dylematy takie same jak w większości polskich rodzin. Co włożyć do garnka, co kupić i czy uda się w ogóle coś kupić?

– Kiełbas i mięsa to wtedy w ogóle nie było. Kiedyś jak się w sklepie pracowało, to jedna drugiej coś załatwiła. Ja odłożyłam koleżance masło, ser albo śmietanę, a ona mi kawałek kiełbasy lub mięsa. Tak sobie nawzajem pomagałyśmy – mówi i przypomina, że jednak wokół rolnicy mieli świnie, dzięki czemu można było kupować od nich mięso, więc braku towaru dzięki temu tak się nie odczuwało.

Jeśli mróz był powyżej dwudziestu stopni, nie wychodziła z dziećmi na spacer, musiały siedzieć w domu. Przy niższych temperaturach nie było z tym problemu, a taka zima to atrakcja dla dzieci. Przy dziesięciu, a nawet piętnastu stopniach można było się bawić na dworze. Można było porzucać śnieżkami czy pojeździć na sankach. Poważniejszym problemem dla młodej matki było zapewnienie opieki dzieciom na czas, kiedy ona była w pracy. Sokółka nie miała żłobka, a do przedszkola trudno było się dostać.

– Na miejsce w przedszkolu liczyć mogły tylko dzieci zasłużonych i biednych. Dzieci obojga pracujących rodziców nie miały szans.

Pani Kamińska, żeby pracować, musiała znaleźć kogoś do zajmowania się dwójką jej dzieci. Opiekunką była ciotka, siostra matki, która przychodziła, kiedy pani Irena pracowała w sklepie.

Tak się szczęśliwie złożyło, że rodzina pani Kamińskiej w grudniu 1978 roku dostała nowe mieszkanie. Dokładnie trzy tygodnie przed Nowym Rokiem. Stare mieszkanie było na osiedlu Centrum w Sokółce. Okolicy znacząco po przeprowadzce nie zmienili, bo między starym a nowym odległość była niewielka. W PRL przeprowadzki do nowych mieszkań wiązały się bardzo często z całkiem nowymi doświadczeniami, które psuły nastrój wynikający z podniesienia standardu życia. Powodem były usterki, te ukryte i te całkiem jawne. Z nimi wiązała się konieczność składania reklamacji, zmierzania się ze strukturą administracyjną powołaną do obsługiwaną ludności, jak to się wtedy określało, w zakresie ich potrzeb mieszkaniowych.

Reklamacje to jedno, a sprawa ich usunięcia – drugie. To z kolei wymagało kontaktu z ekipami monterskimi i monterami osobno, albowiem trzeba było zwrócić ich uwagę na swoje problemy. Zachęcić w jakiś sposób, by w swoim zawsze ciasnym harmonogramie uwzględnili nasze potrzeby. Oczywiście najlepiej, jak miała zachęta charakter materialny, ale niekoniecznie finansowy, czasami wystarczyło, jeśli była odpowiednio płynna i procentowa. Starających się o kontakt i przysługę majstra było wielu, więc należało się wykazać czymś oryginalnym. Najskuteczniejsze było po prostu przebicie stawki.

Gorzej, gdy interwencja montera, tak wyczekana i wykupiona, nie oznaczała końca kłopotów, bo wspomniany fachowiec okazał się zwykłym partaczem, który zamiast naprawić to, co było do zreperowania, jeszcze bardziej popsuł i zdewastował.

Na szczęście w przypadku nowego mieszkania pani Ireny Kamińskiej nie było takiej sytuacji. Usterki się nie ujawniły, bo ich (o dziwo!) nie było. Było więc idealnie. No, może przesadzamy, bo zawsze może być lepiej. Mieszkanie dużo ładniejsze niż poprzednie, widne i jasne, w bloku na małym wzniesieniu, więc z ładnym

widokiem z okien. Do dzisiaj tam mieszkają i są zadowoleni.

Ale najlepiej było wtedy, kiedy zrobiło się zimno i zaczęła się zima stulecia. Na osiedlu ze starym mieszkaniem była awaria i w domach ludzie marzli, dopóki nie usunięto przyczyn katastrofy, bo przy takim mrozie awaria ogrzewania to prawdziwy dramat. Między starym a nowym mieszkaniem zaledwie sto metrów odległości. Tam zimno, tu ciepło. Niby niewiele, niby blisko, a jaka różnica.

Ponieważ dzieci były małe, syn miał siedem lat, a córka niecałe trzy, państwo Kamińscy nie wybierali się nigdzie na sylwestra, woleli Nowy Rok przywitać w nowym mieszkaniu, co było dla nich bez wątpienia bardzo ważne.

O kłopotach swoich i innych osób w czasie mrozu pani Irena opowiada spokojnie. W końcu to nic nadzwyczajnego, że komuś zamarznął samochód, ktoś tam nie dojechał do pracy.

– Różnie było, ale też ludzie tu sobie dobrze radzą, bo tutaj często jest zimno. To taka polska Syberia – podsumowuje.

## MRÓZ I REGGAE

Mirosław Ryszard Makowski, projektant, fotograf, dziennikarz, bloger, jest synem wybitnego polskiego malarza Zbigniewa Makowskiego, autorem okładek płytowych takich zespołów, jak Dżem, Krzak, Kult, Voo Voo, Closterkeller, Proletaryat, Porter Band, Tie Break oraz zespołów Leszka Winderera, Jana Skrzeka, Shakin' Dudiego, czyli Ireneusza Dudka, oraz Joli Literskiej i Rafała Rękosiewicza.

Prosił mnie, bym używał tylko jego nazwiska, czemu będę starał się sprostać, by nie robić mu przykrości. Makowski ma specyficzny, oryginalny, artystyczny styl porozumiewania się, widoczny w jego blogach, książkach, w jego aktywności na portalach społecznościowych.

– Lubię, gdy się o mnie mówi tylko „makowski” lub „mr makowski”. Mój sławny ojciec kiedyś mi powiedział, gdy byłem mały: „Nazwisko to ty już masz, teraz musisz zapracować na imię”. No to nie pracuję – oświadczył mi Makowski. – A więc, gdzie przyjdzie ochota, chętnie samo „Makowski” lub nic. Taka Skromność lub Obłuda.

Kiedy zapytałem Makowskiego o wspomnienie zimy stulecia z 1979 roku, od razu opowiedział mi o swoich przeżyciach z zimy 1961 roku. To jest jego prywatna zima stulecia. Zresztą, od tego uzależnił swoją obecność w książce. Będzie zima z 1961 roku, to opowie też o zimie w roku 1979.

Jeszcze w e-mailu w charakterystycznym dla siebie, nieco poetyckim stylu podkreślił:

„to ważne.  
relatywizm.  
imho

Wszystko było narastającą katastrofą, zupełnie jak dziś”.

Makowski uważa, że tych „zim stulecia” w drugiej połowie XX wieku było kilkanaście, o czym pisał też w swojej niezwykłej książce „Państwo Nikt. Dzieje ludzi nieważnych”.

Dla niego najważniejsza była zima, którą widział w Bieszczadach. Makowski miał wtedy dziewięć lat, był rok 1961. W następnym, 1962 roku przyszła kolejna taka zima stuletnia, jeszcze potężniejsza. Autor „Państwa Nikt” za Wikipedią przypomina, jak wyglądał kraj skutym mrozem i zasypany śniegiem na przełomie 1962/1963: „W Polsce zamknięto większość szkół [...]. Zaopatrzenie sklepów, które także przy sprzyjającej pogodzie było w tamtych czasach bardzo słabe, jeszcze bardziej zostało ograniczone”.

Zgodnie z psychologiczną prawidłowością, że od tego, jak daną sytuację przeżywamy, zależy to, co jest ważne w naszej pamięci, dla Makowskiego prywatnie właśnie tą najważniejszą zimą stulecia jest ta bieszczadzka. Pojechał wtedy do sanatorium w Rymanowie-Zdroju. „Byliśmy w tych Bieszczadach dwa miesiące, a może i dłużej. Sanatorium, ale i szkoła niestety. Nauczyciel matematyki rzucał w nas, zwykle kredą, białą jak śnieg. To tolerowaliśmy, zmuszeni. Gdy jednak we mnie rzucił mokrą ścierką do wycierania tablicy i kazał oddać, odrzuciłem mu, zamiast odnieść. Nie bez obaw, jak to się dla mnie skończy, czy nie jakąś gorszą Syberią. To był czas Gomułki, gnomułki, jak mówię, poprawiając Janusza Szpotańskiego, który pierwszy nazwał Sekretarza gnomem”. Zrobił to w książce „Targowica, czyli opera Gnoma”, poświęconej obchodom milenijnym w 1966 roku.

Makowski jako dziecko prawdopodobnie uczestniczył w trzymiesięcznej kuracji, bo takie turnusy tyle wtedy zwykle trwały. Niewykluczone, że przebywał w domu uzdrowiskowym im. Janka Krasickiego lub (co bardziej prawdopodobne) im. Małgorzaty Fornalskiej. Przez pewien krótki czas leczeniu dzieci patronowali „święci” młodzieżowego ruchu komunistycznego w PRL. Janek Krasicki był sowieckim agitorem, w czasie wojny działał w PPR i kierował jej przybudówką, Związkiem Walki Młodych. Zginął

w czasie wojny. Małgorzata Fornalska też była działaczką komunistyczną oraz partnerką życiową Bolesława Bieruta, z którym miała córkę. W latach sześćdziesiątych bardzo lansowano książkę, która ją wspominała: „Pamiętnik matki” napisany przez Marcjanę Fornalską. Wspomnienia te wydano w wielotysięcznym nakładzie. Z kolei z polecenia Fornalskiej w grudniu 1942 roku Krasicki zastrzelił Bolesława Mołojca odpowiedzialnego za śmierć Marcelego Nowotki. Idealni patroni dla dzieci. Sanatorium im. Janka Krasickiego to dzisiaj Maria, a Małgorzaty Fornalskiej to teraz Leliwa.

A może to była, przypomina sobie z trudem Makowski, skromna i apolityczna willa Gozdawa zbudowana w latach dwudziestych XX wieku. Wtedy już upaństwowiona oczywiście. „W 1943 roku władze okupacyjne zezwoliły dopiero na działalność pod niemieckim zarządem. W sanatorium Gozdawa znalazły schronienie dzieci – ofiary wojny. Inicjatorem powstania placówki była Rada Główna Opiekuńcza – Kraków. Organizacją pracy opiekuńczej zajmowały się siostry zakonne. [...] W 1957 roku Gozdawa została przekazana Państwowemu przedsiębiorstwu uzdrowskiemu Rymanów”. Makowski lubi cytować, ten ustęp pochodzi z rymanowskiego portalu.

W latach sześćdziesiątych Bieszczady po zniszczeniach wojennych, pacyfikacjach oraz przesiedleniu ludności ukraińskiej w ramach akcji „Wisła” były miejscem dość wyludnionym. Miasta i miasteczka były zaniedbane. Połączenia z resztą kraju, zarówno drogowe, jak i kolejowe, były dość marne. O Bieszczadach mówiło się, że to taki polski dziki Zachód. Próbowano nawet propagandowo promować walki z podziemiem zbrojnym, dzisiaj nazywanym żołnierzami wyklętymi, oraz z ukraińskimi formacjami zbrojnymi, wówczas nazywanymi bandami UPA, jako polski western, czy raczej eastern. Głównym punktem odniesienia dla tych zabiegów była książka Jana Gerharda „Łuny w Bieszczadach”, której autorstwo wtedy powszechnie przypisywano Mieczysławowi Moczarowi, liderowi nieformalnej frakcji w aparacie komunistycznym, złożonej z pomniejszych dygnitarzy partyjnych i funkcjonariuszy Służby



Bezpieczeństwa, nazywanej partyzantami. Powieść „Łuny w Bieszczadach” miała swoją filmową adaptację w reżyserii Ewy i Czesława Petelskich pod tytułem „Ogniomistrz Kaleń”. Powstał też inny „bieszczadzki” pełnometrażowy film fabularny określany oficjalnie jako „pierwszy polski western”. „Wilcze echa” Aleksandra Ścibora-Rybskiego weszły na ekrany kin w 1968 roku, kiedy na arenie politycznej PRL doszło do rozgrywek, w których niezwykle aktywni byli moczarowscy partyzanci. Generalnie Bieszczady w latach sześćdziesiątych miały kojarzyć się z walką z „bandami reakcyjnego podziemia” i „utrwalaniem władzy ludowej”. Oraz z dziką przyrodą.

Do tej pięknej, choć wówczas mocno wyludnionej i dość ponurej krainy, trafił młodziutki Makowski. A że zimy wtedy były mroźne i ze śniegiem, Rymanów-Zdrój niezłe zasypało.

– Chyba ze dwa tygodnie nie mogli się do nas dokopać. W nocy wilki podchodziły pod nasz śmietnik, pewnie z głodu. Patrzyliśmy na nie z okien, na szczęście było wysoko – wspomina po latach nasz młody bohater. – Chodziliśmy na wycieczki po pas w śniegu. Widzieliśmy jakieś opuszczone chaty, wioski, cmentarze z dziwnymi, drewnianymi krzyżami z podwójnymi ramionami, chyba niektóre nadpalone nawet. Ale może już dziś dopisują do wspomnień to, czego się dowiedziałem później, dużo później. Panie wychowawczynie nie opowiadały, o co chodzi. Zresztą mało pytaliśmy: tyle już wiedzieliśmy o PRL, że lepiej mniej wiedzieć. Albo i nic.

Pamięta też dzień wyjazdu.

– W końcu się do nas dokopali, po dwóch tygodniach jakoś ponad czas oficjalnego wyjazdu. Ledwo pamiętam, ale w naszym sanatorium też już chyba jedzenia zaczynało brakować, co się dziwić wilkom... Wywożono nas z Rymanowa-Zdroju późnym wieczorem. Do dziś widzę te kaniony na drogach wykopane: śnieg był wyżej słupów telegraficznych. Z metr. Nie uświadamialiśmy sobie całej grozy sytuacji – mówi.

Zawieźli ich na stację. Wsadzili do pociągu. Zamiast wygodnych tapicerowanych foteli w przedziałach były powszechne wtedy

drewniane ławki, charakterystyczne później dla pociągów podmiejskich, zrobione z cienkich listewek ułożonych obok siebie. Ponieważ skład stał przez cały czas mrozów na kolejowej bocznicy w wagonach panowało przejmujące zimno. „Było chyba zimniej niż na zewnątrz, ledwo można było siedzieć. Metalowe rzeczy parzyły, gdy się ich dotknęło, tak były zmrożone. Oczywiście o zdjęciu kurtek, palt mowy nie było. Przeciwnie, tuliliśmy się do siebie, aby się ogrzać. Co dziś oczywiście może być źle odczytane, ale taka prawda...” – wspomina. Przez matowe od lodu okna niczego nie było widać. Wreszcie pociąg ruszył w stronę Warszawy, pozostawiając w pamięci chłopca obraz największej w jego życiu zimy.

A więc o tej sławnej zimie stulecia będzie zawsze opowiadał przez pryzmat tego, czego doświadczył podczas bieszczadzkich mrozów. W tym kontekście zima 1979 roku jawi mu się „prawie bezbolesnie”.

Mieszkał wtedy u ówczesnej partnerki w Warszawie na Ochocie, w pobliżu wówczas nowego, a dziś nieistniejącego hotelu Vera, który nazwę nosił od ulicy, na jakiej się znajdował. A była to ulica imienia Wery Kostrzewy, przedwojennej działaczki komunistycznej przebywającej od 1926 roku w Związku Radzieckim. Stalin, likwidując Komunistyczną Partię Polski za odchylenia prawicowe, likwidował również najważniejszych jej działaczy. Wera Kostrzewa, a tak naprawdę Maria Koszutska, bo była z pochodzenia polską szlachcianką, trafiła do więzienia, gdzie zmarła w 1939 roku. Rehabilitowano ją podczas gomułkowskiej odwilży w 1956 roku, niedługo potem jej imieniem nazwano ulicę na warszawskiej Ochocie.

Hotel przy tej ulicy powstał pod koniec gierkowskiej dekady, a nazwa dobrze symbolizowała tendencje tamtej epoki, była proletariacka, „narodowa w treści, a postępową w formie”. „W” zmienione w „V” symbolizowało otwarcie ekipy Gierka na Zachód.

W hotelu była restauracja i sklep Państwowego Przedsiębiorstwa Eksportu Wewnętrzznego, czyli słynny Pewex, który za dolary i bony sprzedawał obywatelom polskim deficytowe produkty krajowe i uchodzące za luksusowe wyroby zachodnie oraz polską wódkę. Na

tym właśnie polegał eksport wewnętrzny.

– Po przeliczeniu na złote, nabyciu waloru u cinkciarza (nie, nie dolarów, prawie nie wypłacano obywatelom dolarów, tylko tak zwane bony towarowe PeKaO) alkohol był znacznie tańszy – wspomina Makowski.

Sklep cieszył się dużą popularnością, bo była to jedyna taka placówka w okolicy. Bywalcy zapamiętali maszynę do czyszczenia butów przed wejściem do peweksu, co było widocznym przejawem nie tylko wielkiego postępu technicznego, ale i oczywistym dowodem na klasowy rozwój społeczeństwa polskiego, w którym nikt nikomu nie musi czyścić butów, a tym bardziej nikt nie może nawet pomarzyć, by z pucybuta stać się milionerem. Oczywiście maszyna ta nie miała służyć klientom sklepu, lecz hotelowym gościom.

– Ale i klienci restauracji w drodze wyjątku mogli czasem poczuć luksus na butach. Kuchnia tam była taka sobie, ale my mieliśmy blisko. Zarabiałem już jakieś niewielkie pieniądze. Byłem dziennikarzem w tygodniku studenckim „Nowy Medyk”, sługusem reżymu więc. Ba! Kierownikiem działu. Przede mną szefem tamtejszego działu kultury był Wiesław Królikowski, później znany dziennikarz muzyczny zajmujący się rockiem, a po mnie Piotr Aleksandrowicz. Kuźnia kadr – uzupełnia wspomnienia Makowski. – Narzeczona ma ówczesna, wtedy jeszcze kończąca studia, miała poważniejsze niż ja dochody, gdyż posiadała rodziców na odległej, zagranicznej, afrykańskiej placówce. A dokładniej na kontrakcie z centrali handlu zagranicznego Polservice. A więc jako elita PRL nazywaliśmy ten hotel stołówką. Ot, bananowa młodzież etapu późnego Gierka, bananowe songi... Gdzie tu myśleć o nadciągającej zimie, byliśmy którąś tam potęgą gospodarczą świata przecież... – ironizuje Makowski. – A gdy już ta zima przysłała, to rzeczywiście hotel nam pomógł, nie dało się przecież jeździć do Hortexu na Starym Mieście na obiady, gdy tu stołówka pod nosem, ot, przejść przez ulicę. Ba: ale jak to zrobić bez czyszczenia butów, gdy śnieg po kolana.

To w hotelu Vera byli w 1980 roku zgrupowani piłkarze reprezentacji Polski, którzy wybierali się na mecz eliminacyjny mistrzostw świata w Hiszpanii. To wtedy na lotnisku pojawił się pijany bramkarz Józef Młynarczyk, a trener kadry Ryszard Kulesza chciał go odesłać. W obronie kolegi stanęli trzej piłkarze: Zbigniew Boniek, Stanisław Terlecki i Władysław Żmuda. Piłkarzy zawieszono i w ogóle była afera na cały kraj. A to się wszystko zaczęło pod patronatem towarzyszkii Wery Kostrzewy.

Po 1989 roku najpierw ulicę Wery Kostrzewy zmieniono na Bitwy Warszawskiej 1920 roku, a potem hotel w nowym stuleciu wyburzono. Czas wszystko zmienia...

Makowski mieszkał więc w pobliżu tego miejsca w budynku z lat pięćdziesiątych XX wieku. Oczekując w domu nadejścia nowego 1979 roku, był zajęty przygotowaniami do imprezy, bowiem tej nocy miał gościć u siebie swoich znajomych. Gospodarz krzątał się, czyniąc ostatnie porządki. Sztuce, naczynia, kieliszki i coś do kieliszków, a więc przekąski i zakąski. W końcu przybył pierwszy gość i w tym jednostkowym przypadku słowo przybył jest odpowiednie, choć zdecydowanie lepsze byłoby słowo przysusował.

– Pierwszy gość był koleżanką i dotarł do nas na nartach biegowych, niezbyt jeszcze wtedy popularnych – mówi Makowski.

Oczywiście gospodarze byli zdziwieni, a nawet zdumieni takim środkiem miejskiej komunikacji, lecz gość im szybko zreferował okoliczności swojego przybycia. Na dworze zamieć potężna i nic nie jeździ, powiedziała koleżanka.

– Tak się dowiedzieliśmy o tym, co się dzieje na zewnątrz – opowiada Makowski. – Owszem, za oknem trochę padało, ale nic nie zapowiadało kataklizmu. To tak, jak w dowcipie z tamtych czasów: do Zakładu Oczyszczania Miasta wpada w pierwszych dniach grudnia nowo mianowany dyrektor i już od progu krzyczy: „Towarzysze, tragedia! Coś białego leci z nieba”.

Na szczęście mimo niesprzyjających warunków pogodowych impreza sylwestrowa się udała. Goście w większości dotarli, wszyscy byli we wspaniałych nastrojach, co obiektywnie rzecz ujmując,

w Nowym Roku zdarza się często. Taka prawidłowość. Wystarczy chcieć i móc to chcieć.

– A chcieliśmy bardzo – wspomina Makowski. – Tym bardziej że atmosfera u nas była wyjątkowo słoneczna, rodzice (trafniej mówiąc, moi ewentualni teściowie) przysyłali nam z czarnej Afryki czarne płyty z tamtejszą czarną muzyką taneczną. Była... Dziwna. Monotonna. Inna. Wydawała się nieco... discoklezmerska, tak. I nazwiska muzyków były też mało znane: Bob Marley, Peter Tosh, Fela Kuti... Choć trafiała się i Donna Summer, też mocno letni akcent. Dziś wielu dawnych bojowników alternatywnej kultury muzycznej PRL spiera się, opisałem to w „Obok albo ile procent Babilonu” kiedyś...

Być może sylwester w zimie stulecia u Makowskiego był pierwszym sylwestrem w Polsce z muzyką reggae. Witold Popiel, malarz i grafik, pytany, kto miał pierwszą płytę z taką muzyką, zdementował, że jej posiadaczem był Marek Jackowski lub Kamil Sipowicz.

– Oczywiście nieprawda, bo zawsze jest ktoś przed tobą – śmieje się Makowski. – Słuchaliśmy tego wtedy w 1975 i 1976. Poznałem chłopaka, nazwiska nie pamiętam. Jego rodzice byli na placówce w Nigerii, mówił o tym Witold Popiel – relacjonuje Makowski. – Kto pierwszy słuchał muzyki reggae w Polsce? Otóż kategorycznie oświadczam, że to byliśmy my, dzieci i narzeczeni czerwonej burżuazji. „Tyle słońca w całym mieście” śpiewała wtedy bodaj Anna Jantar. Ale te bony PeKaO zbyt skromnie przysyłane z tamtej Afryki (PolSERVICE ściągał ze szczęśliwców na kontrakcie drakońskie haracze, w kraju brakowało dewiz, wiadomo) to dopiero było rozgrzewające słończko. Byliśmy tubylcami trochę dewizowymi, piękna sytuacja.

Za to w późniejszym czasie, podczas zimy stulecia 1979 roku, reggae nie uchroniło Makowskiego przed problemami. Z powodu mrozu wystąpiły u niego przejściowe trudności, jak się wtedy określało pewne kłopoty, których nie dawało się tak łatwo usunąć. Lokum jego partnerki, choć niewielkie, było mieszkaniem solidnym, wybudowanym z cegły, jak już wspomnieliśmy, w latach

pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Nie żadna wielka płyta, w której było mroźno na samą myśl o mrozie. Małe mieszkania z tamtego okresu charakteryzowały się tym, że miały stosunkowo dużą kuchnię i niewiele większy pokój. W trudnych warunkach lokalowych i w późniejszych latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ludzie przerabiali je, starając się z pokoju z kuchnią zrobić dwa pokoje albo w ogóle coś większego.

Również opiswane tu mieszkanie przeszło taką autorską przeróbkę. A gdy się coś przerabia, trzeba jakieś instalacje poprzekładać. Niestety, w wyniku tych zmian rura z zimną wodą biegła w środku mieszkania wzdłuż ściany szczytowej.

– W tę zimę woda zaczęła w niej przymarzać. Normalnie w domu, szok! A gdy udało się trochę jej wylać z kranu, to miała (raz zmierzaliśmy) temperaturę maksymalnie siedem stopni Celsjusza. To było niezwykle. Dzień zaczynaliśmy od ogrzewania rury suszarką do włosów. Prąd jeszcze mieliśmy – stwierdza Makowski, bo niektórym przecież ponoć brakło i tego, te małe radości realnego socjalizmu: papier toaletowy, prąd... Ale zaraz dodaje: – Zima stulecia miała jednak i dobre strony. Zimne kaloryfery, wyłączenia prądu i trudności zmuszały ludzi do zachowań wspólnotowych, rzecz można, solidarnościowych, obok i mimo władzy. Na przekór trochę.

## MIĘSO W BAGAŻNIKU

Narciarz z naszej okładki zaraz przekroczy ulicę Królewską i będzie zmierzał w kierunku pawilonów na ulicy Marszałkowskiej. Pawilony razem z prywatnymi sklepikami na Chmielnej (wtedy Rutkowskiego, na odcinku od Nowego Świata do Domów Towarowych Centrum) do końca lat osiemdziesiątych były takimi małymi salonami handlowymi Warszawy. Zastępowały mieszkańcom dzisiejsze galerie handlowe. Tutejsi rzemieślnicy próbowali zaspokoić gusty stołecznej klienteli zgłodniałej zachodnich nowinek. Kopiowano to, co produkowano na świecie. Nie zawsze udanie, ale jakaś namiastka to była. Przed wszystkim prywatny handel i rzemiosło dostarczały wielu drobiazgowym niezbędnym do codziennego życia albo je bardzo ułatwiających. W centralnie zarządzanej gospodarce po prostu te potrzeby przez wielki przemysł państwowy nie były zauważane. Dla ludności przedmioty codziennego użytku, artykuły gospodarstwa domowego produkował w PRL głównie przemysł terenowy. Były to w większości spółdzielnie produkcyjne i małe przedsiębiorstwa powstałe w wyniku nacjonalizacji.

W końcu po wielu próbach udało mi się namówić pana Krzysztofa, by opowiedział przeżycia swojego ojca Mariana z czasów zimy stulecia. A dokładniej, przeżycia ich bliskiego znajomego, pana Władka. Pan Marian już nie żyje, ale jego syn postawił warunek. Nie chce być zidentyfikowany. Nie dlatego, że ma coś wstydliwego do opowiedzenia, po prostu nie chce. Tak przynajmniej mówi. Dla niego to wszystko jest już bardzo odległą przeszłością, z którą ma niewiele wspólnego, do której nie wraca. Nie wspomina. Nie lubi mówić o tej przeszłości. Było, minęło. Koniec. W związku z tym imiona są zmienione, a miejsca muszą podawać tak, by nie wywoływały żadnych skojarzeń.

W PRL jego rodzice byli typową rodziną prywaciarską, która korzystała z zielonych światła, żeby móc wyrabiać i sprzedawać swoje produkty. Jak trzeba było, produkowali, jak musieli, to handlowali. Zakres ten był zmienny tak, jak zmienne były zapalane i gaszone przez władze zielone światła dla rzemiosła i drobnej wytwórczości.

Największym dyskomfortem, jak wspomina pan Krzysztof, mimo dużych zarobków jak na tamte czasy i warunki była niepewność sytuacji. Od widzimi się urzędników zależała przyszłość, bo dość szybko można było zmienić rolę i z prywaciarza zostać przestępcą gospodarczym. Mój rozmówca zna wiele takich przypadków, ktoś dał komuś niewłaściwemu łapówkę albo jej nie dał, dał za mało lub, jeszcze gorzej, dać nie chciał. Zdarzało się, iż niektórych naciskało SB. Inni chętnie sami z nimi współpracowali. Nie jest tajemnicą, że po gomułkowskiej odwilży wielu odchodzących z resortu bezpieczeństwa stało się prywaciarzami. Część z nich zachowała dawne kontakty, wykorzystując je w nowej działalności. Pan Krzysztof wie, co mówi, i zapewnia, że mógłby podać konkretne nazwiska. Ale nie chce, bo to jest już przeszłość.

Przepisy się ciągle zmieniały. Na przykład mogli robić niektóre rzeczy z odpadów produkcyjnych państwowych przedsiębiorstw, ale potem okazywało się, że te przedsiębiorstwa chcą robić to samo, więc nawet przejęcie tych odpadów legalnie, za pieniądze, odpadów, które szły dotąd na śmietnik, stawało się przestępstwem. Ojciec pana Krzysztofa, pan Marian, kombinował całe życie, choć również dbał o edukację dzieci, które pokończyły studia, porobiły kariery w swoich branżach, bywają w szerokim w świecie. Pan Krzysztof próbował działać jeszcze w wolnej Polsce, ale szybko doszedł do wniosku, że jako mały przedsiębiorca nie ma specjalnie szans. Był jeszcze młody, mógł swobodnie korygować swoją drogę życiową i skorzystał z tego.

Pan Krzysztof pamięta, że jego ojciec miał znajomego, z którym robił interesy. Mieli do siebie zaufanie, co zawsze w takich sytuacjach jest najważniejsze. Ponieważ pan Marian miał z kolei



innego znajomego, pana Władka, który miał tak zwane dojście do stawów rybnych, zawsze przed świętami załatwiał karpie dla rodziny, przyjaciół i różnych osób, które mogły pomóc przy prowadzeniu biznesu. Karp przed świętami był cenną walutą, doskonałym prezentem, więc obdarowana nim urzędniczka potrafiła się odwdziaczyć, co często polegało na tym, że nie przeszkadzała w różnych sprawach. Karpiem pozyskiwało się przychyłność i sympatię, dzięki którym potem można było coś od kogoś „zdobyć”, to jest kupić coś nieosiągalnego na zwykłym rynku. Oczywiście, ryby dostawali nie za darmo, coś trzeba było w zamian sprezentować w gotówce lub naturze.

Gdzie jeździli po te karpie, tego już pan Krzysztof nie pamięta albo nie chce powiedzieć, zresztą i tak musiałbym to utajnić. Żywe ryby w wiadrach i innych pojemnikach z wodą woził pan Władek w bagażniku swojego samochodu osobowego, chyba to była radziecka wołga, bo lubił większe wozy. Ale tej pewności nie ma, bo równie dobrze mógł to być duży fiat. Przed świętami Bożego Narodzenia panowie Marian i Władysław odbyli kilka takich eskapad. Ryby porozdawali, sami też wybrali dla siebie najpiękniejsze egzemplarze. W wyniku tych wypraw cały bagażnik auta pana Władka był mokry od wody z wiader i pojemników, w których przewożono karpie. Próbowali je jakoś zabezpieczać, ale to się na nic zdało, bo jeździli wyboistymi drogami, a dystans do stolicy był dość odległy. Nikt się tym mokrym bagażnikiem nie przejmował, było ciepło, więc byli pewni, że prędzej czy później wyschnie.

Pan Władek w dniu Wigilii zapakował do samochodu swoje karpie i wyruszył na święta do rodziny żony, gdzieś chyba we wschodniej Polsce. Pobyt był udany, prezenty się podobały, a pan Władek wykorzystał krótki pobyt w okolicy, żeby załatwić różne swoje sprawy. Jedną z nich było zaopatrzenie się w mięso z gospodarczego uboju i wędliny domowej roboty. Wiedział kogo ma w tych sprawach odwiedzić i komu za to zapłacić. Planował jak zawsze duży zakup, w Warszawie miał się podzielić między innymi z panem

Marianem. Pan Marian także dzielił się zawsze swoim mięsem, bo takie obowiązywały zasady. Kto miał, ten się dzielił, czyli odsprzedawał. Poza tym część mięsa panowie zawsze dawali różnym osobom na takiej zasadzie jak karpie. Sporym kawałkiem swojskiej kiełbasy również można było pozyskać czyjąś sympatię.

Jak się okazało, bagażnik jednak wcale przez ten czas nie wysechtł. Gorzej, był jeszcze bardziej wilgotny. Pan Władek, człowiek wrażliwy na zapachy, wyczuwał w nim błotnistą woń karpie, więc postanowił go dobrze przewietrzyć. Był u rodziny, samochód stał na podwórku, było więc bezpiecznie. Otworzył bagażnik, licząc, że trochę świeżego powietrza pozbawi auto rybiego zapachu. Nie będzie potem też czuć stęchlizny, a tej woni to naprawdę trudno się pozbyć. Samochód ustawił tak, że lekkie podmuchy wiatru wspomagały proces odświeżania. Zadowolony poszedł do domu, gdzie rodzina pilnowała, żeby stół świąteczny i poświąteczny był suto zastawiony. Tak było zawsze w czasie pobytu pana Władka i jego żony. Gospodarze oraz goście zasiedli więc do degustacji, pojawiła się jakaś butelka wódki.

Pan Władek, choć był człowiekiem akuratnym, to pod wpływem alkoholu i debaty o sprawach ważnych dla wszystkich Polaków zapomniał o problemach związanych z samochodem. Dyskutowali o tym i o tamtym, popijali i zakąszali. Padło wiele słów i wiele kieliszków, a tymczasem na dworze zaczęła padać deszcz. W końcu przyjechał ktoś z wizytą i zdziwiony zapytał, dlaczego do bagażnika łapią deszczówkę. Otrzeźwieli błyskawicznie, bo samochód w Polsce zawsze był skarbem, a wtedy skarbem podwójnym. Próbowali jakoś osuszyć bagażnik. Trochę to pomogło, ale niewiele, zresztą czasu było mało. Trzeba było lada moment pakować mięso i jechać do Warszawy, bo mieli wykupionego sylwestra w jednej z modnych warszawskich restauracji.

Z jakichś dzisiaj trudnych do ustalenia powodów plan szybkiego wyjazdu się opóźnił. Ważne, że pan Władek był tym mocno zaniepokojony, bo nie chciał się spóźnić na bal. Mięso i wędliny w bogatym asortymencie odebrał. Bagażnik szybko się wypełnił,

bagaż, tak jak poprzednio, położyli na siedzeniach z tyłu. Niepokojąca wcześniej błotnista woń karpia znikła przykryta silnym zapachem kiełbas. Pan Władek narzekał, że jazda będzie ciężka i nawet niebezpieczna, bo zapach ten pobudzi jego soki trawienne i będzie go dekoncentrował. Ponieważ plastikowe torby były wtedy trudno dostępne, wędliny zwykle zawijano w szary papier, a świeże mięso w płaty płótna. Jakieś stare, wysłużone obrusy i prześcieradła, bo wtedy u zaradnych gospodyń nic się nie marnowało.

Do pokonania mieli około dwustu kilometrów. Kiedy w końcu ruszyli w podróż, zaczynało się robić chłodno, co zauważyła żona pana Władysława. Poprosiła o postój i pod zimową kurtkę założyła ciepły sweter. Wiele samochodów nie miało wtedy ogrzewania, a jak miały, to bardzo często się ono psuło lub słabo pracowało. Dlatego na starych zimowych zdjęciach widać kierowców siedzących w autach w kożuchach czy jesionkach oraz nakryciach głowy. Stąd też wziął się wizerunek niedzielnego kierowcy, którym był facet w kapeluszu. Nakryć głowy się nie zdejmowało, bo samochód był nieogrzany, a i też wietrzyło się go podczas jazdy, uchylając małe okienko, ponieważ dużo osób paliło papierosy.

W miarę pokonywanych kilometrów słabł zapach przewożonej wędliny, aż w pewnym momencie całkiem zanikł. Jechali dość wolno. Na drodze było ślisko, a padający śnieg utrudniał widoczność. Pan Władek w pewnej chwili doszedł do wniosku, że dalsza jazda może się okazać niemożliwa, i zatrzymał się w jakimś miasteczku, przez które przechodziła główna droga w kierunku stolicy. Wyglądało na to, że kontynuowanie podróży jest niebezpieczne. Bali się, że utkną gdzieś po drodze z dala od domów. W miasteczku oczywiście nie było mowy o żadnym hotelu. Ale pan Władek nocleg załatwił, co zresztą nie było wcale takie trudne. W takich miejscowościach zawsze był ktoś, kto wynajmował pokoje, czasami nocleg można było zdobyć w szkolnym internacie lub w jakiejś innej placówce. Zresztą nasz bohater potrafił zawsze bez trudu załatwiać różne sprawy. Zorganizował także jedzenie i jakiś alkohol na przywitanie Nowego Roku. Obawy, że ktoś ukradnie mięso i wędliny,

szybko okazały się niepotrzebne. Mogli spokojnie spać, ich prowiant był bezpieczny. Zamarzł zamek w bagażniku, nie dawało się go otworzyć. Nie było wątpliwości, że przewożone bogactwo jest solidnie schłodzone, bo bagażnik ich samochodu zamienił się w podróżną chłodziarko-zamrażarkę.

Pobyt w tej miejscowości przedłużył się o kilka dni, dwa albo trzy. Nie był to jednak czas stracony, każdą taką okazję pan Włodek wykorzystywał do odkrywania nowych możliwości. I tym razem też tak było.

Drugiego albo trzeciego stycznia udało im się wreszcie wrócić do Warszawy. Znaczoną część drogi jechali przez śnieżny kanion. Ruch był mały. W trasę wybierali się tylko ci, którzy musieli. Po dotarciu do stolicy trzeba było zdecydować, co zrobić z zamrażniętym mięsem w bagażniku. Przez kilka dni można było z nim jeździć po mieście, ale co dalej? Zawartość bagażnika była bezpieczna, ale samochód prędzej czy później potrzebny był jako narzędzie pracy. Towaru przecież nie woziło się na tylnym siedzeniu, bo ktoś mógłby go ukraść, a nie zawsze można było go pilnować.

Zresztą, nie chodziło tylko rozmrożenie bagażnika i znajdującego się w nim mięsa. Musieli znaleźć pomieszczenie na tyle suche, żeby auto mogło spokojnie wyschnąć. Mokre znowu mogło zamarznąć. W znajomych warszawskich warsztatach albo nie było takiego, albo częściej po prostu było zimno. Na jakiś czas samochód stanął pod domem, bo bardzo wielu ówczesnych prywaciarzy, którzy uchodzili za bogaczy, mieszkało po prostu w zwykłych blokach. Tak też żył pan Włodek z żoną, na przydziałowych czterdziestu metrach w dwóch małych pokojkach. Może na dom było go stać, ale bał się ujawnić dochody izbie skarbowej. Budowa domu na pewno nie uszłaby uwagi urzędników i musiałby się liczyć z wezwaniami. A z nimi wiązałyby się dodatkowe koszty.

Samochód stanął pod domem, a pan Włodek korzystał w razie potrzeby z usług znajomego taksówkarza, dla którego takie kursy były bardziej opłacalne niż normalna jazda po mieście. Pomagał mu też pan Marian, który czasami pożyczał auto, i pan Krzysztof,

któremu ojciec kupił na giełdzie malucha. Oczywiście pan Władek korzystał nadal ze swojego samochodu, ale był w tym ograniczony opisanymi okolicznościami. Choć trzeba przyznać, że obciążenie bagażnika zapewniało większe bezpieczeństwo jazdy. Mięso czekało na lepsze czasy lub lepszą pogodę. Mróz jednak nie ustępował. Państwo Władysławostwo nie cierpiało jednak w żadnym wypadku z tego powodu głodu. Czas mijał, coś przecież trzeba było jeść, więc nowe dostawy produktów mięsnych dzięki licznym kontaktom pana domu napływały regularnie.

Mięso w bagażniku stanowiło zamrożony kapitał. Nadal było wartością rynkową, a nawet czarnorynkową, więc w końcu znalazł się ktoś, kto za korzystny, większościowy udział w tym kapitale pomógł go rozmrozić i wysuszyć samochód. Operację tę przeprowadzono jednak dość późno, niedługo potem nadeszła odwilż, więc pan Władek przez jakiś czas wyrzucał sobie, że nie poczekał trochę dłużej i sam nie odzyskał tego bogactwa.

Pan Marian, ojciec pana Krzysztofa, który opowiedział mi tę historię związaną z ich dobrym znajomym, dostarczał swoje produkty między innymi do pawilonów na ulicy Marszałkowskiej, obok których przemknął narciarz z naszej okładki. Pierwszy pawilon postawiono w 1957 roku, gdy przez moment pojawiło się zielone światło dla rzemiosła i prywatnego handlu. Niższe parterowe pawilony miały charakter handlowy, w wyższych piętrowych usadowili się rzemieślnicy. Na dole były sklepiki, na pięterkach mieściły się pracownie.

Potem z tym światłem, jak już pisaliśmy, było różnie, zwykle dla ówczesnych prywaciarzy świeciło zbyt słabo i nieregularnie. Na dodatek co jakiś czas zapowiadano rychłą likwidację śródmiejskich pawilonów. Najpierw, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, miała tam powstać część tak zwanej ściany wschodniej centrum Warszawy z dwoma drapaczami chmur. Później, pod koniec lat siedemdziesiątych, Amerykanie mieli postawić w tym miejscu wieżowiec, w którym miał być hotel Patria. Między innymi kryzys, który ujawniła zima stulecia, zatrzymał te

ambitne plany.

W latach sześćdziesiątych pawilony z Marszałkowskiej wylansowały czapki degolówki nawiązujące kształtem do kepi, typowego dla francuskiego munduru nakrycia głowy. Do Polski z oficjalną wizytą przyjechał wtedy generał Charles de Gaulle. Na wystawach u czapników na kilka dni przed jego przyjazdem pojawiły się degolówki, więc w dniu rozpoczęcia wizyty w tłumie wiwatującym na cześć prezydenta Francuzów wielu na głowach miało właśnie takie jak on nakrycie. Był to specyficzny sposób oddania hołdu temu bohaterowi i wielkiemu mężowi stanu, był to też wyraz przywiązania i zwykłej tęsknoty do Zachodu i wolnego świata. Dzisiaj już nikt nie pamięta, który rzemieślnik z pawilonów na Marszałkowskiej pierwszy zrobił degolówkę.

Nasz narciarz musiał minąć pawilon, w którym pani Alina Skuza od 1957 roku razem z mężem Piotrem prowadziła sklep i pracownię czapkarską. Ojciec Piotra, Leon Skuza, miał przed wojną przy Krakowskim Przedmieściu zakład wyspecjalizowany w pożyczaniu smokingów, fraków i garniturów. Stryjeczny brat Piotra, Maciej, był poetą, a z kolei jego rodzony brat, Bronisław, autorem rewelacyjnego, a dla mnie nawet przepięknego, przyrzędu do rozciągania czapek i kapeluszy. Wykonał go w 1934 roku. Przyrząd ocalał przez lata wojny, powstanie warszawskie i wszystkie powojenne bitwy o handel. Był prawdziwą ozdobą zakładu. Przystał nią być razem z końcem firmy. W latach pięćdziesiątych XX wieku pawilon wyburzono jako jeden z pierwszych, bo teren przygotowywano pod budowę metra.

Rozmawiałem z panią Skuzą tuż przed zamknięciem zakładu. Mówiła wtedy, że wielu dobrych drobnych rzemieślników w PRL wykończyły przede wszystkim domiary. Pewnie i jej mąż też by pożył dłużej, gdyby nie musiał ciągle walczyć z urzędem skarbowym. Do końca istnienia zakładu trzymała w domu wszystkie dokumenty związane z podatkami. W 1960 roku naliczono im pół miliona ówczesnych złotych domiaru, co wtedy odpowiadało wartości luksusowej willi w dobrej okolicy. Na początku lat siedemdziesiątych

po długim nękanu przez urzędników skarbowych musieli płacić osiemnaście tysięcy złotych podatku miesięcznie (wtedy była to mniej więcej dwudziestokrotność najniższej płacy).

Pewnie nasz narciarz minął też inny słynny warszawski zakład czapkarski, wówczas najstarszy istniejący, bo założony zaraz po powstaniu styczniowym. Zakład Cieszkowskiego miał charakterystyczne logo, w którym dwa psy ciągnęły kapelusz. Uruchomiony przez Stanisława Cieszkowskiego, przeszedł później na syna, a następnie jego dwóch wnuków. Na Marszałkowskiej sklep i zakład czapniczy kontynuujący rodzinne tradycje prowadził Ryszard Cieszkowski. Córka jego brata szyła czapki i miała pod tą samą firmą zakład na warszawskiej Pradze przy ulicy Targowej obok wiaduktu kolejowego.

– Brat to był trochę artysta i śpiewak – wspominał w rozmowie ze mną wiele lat temu Ryszard Cieszkowski.

W jednym z lokali mijanych przez naszego narciarza pracowali państwo Krystyna i Zygmunt Przestrzelscy. W pawilonach byli od 1959 roku, bo wtedy oddano do użytku ich budynki. W 1947 roku pan Zygmunt skorzystał z amnestii i się ujawnił. Pochodził z Łomżyńskiego i tam w czasie wojny z Niemcami oraz po niej walczył w szeregach Armii Krajowej. Przez całe życie nosił przy sobie w portfelu zaświadczenie o ujawnieniu się numer 97358 wystawione przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Łomży. Kiedy rozmawialiśmy, wyjął je, pokazał i opowiedział swoją historię.

Starszy sierżant Przestrzelski, choć z partyzanta przemienił się w krawcę, nadal był zagrożeniem dla władzy ludowej. W 1971 roku prowadził trwającą przez ponad półtora roku samotną walkę z Wydziałem Przemysłu Dzielnicowej Rady Narodowej Śródmieście, kiedy to nawet wbrew obowiązującemu wówczas prawu zabraniano mu prowadzenia działalności.

Nasz okładkowy narciarz nie miał za to szansy poczuć egzotycznych aromatów sklepu kolonialnego, bo ten już od kilku lat nie istniał. Był to słynny na całą Warszawę skład Pawłowski, w którym bez trudu można było kupić różne niedostępne gdzie indziej specjały.

U Pawłowskiego były zawsze papierosy Philip Morris z węglowym filtrem w plastikowej brązowej paczce, była dziczyzna, owoce z marcepanu, rzadkie przyprawy, guma do żucia (wtedy też egzotyka), suszone i marynowane grzyby, na półkach stał zakwas do żurku lub białego barszczu, było trochę pomarańczy i mandarynek, cytryny, czasami awokado lub kokos, rodzyнки i inne bakalie. Sklep Pawłowskiego miał zapach egzotyczny i niepowtarzalny. To była wonna podróż w świat znany i nieznan.

Wielki tłok w tym sklepiku robił się przed świętami. Jedni szukali dodatków do wymyślnych potraw, inni chcieli kupić coś na wyszukany prezent, na przykład paczkę amerykańskich papierosów, która kosztowała czterdzieści złotych. Pawłowski towar ściągał głównie z Wybrzeża, od marynarzy, i choć podobno na wszystko miał papiery, to być może właśnie z tego powodu miał kłopoty. Do działania przystąpili urzędnicy ówczesnych izb skarbowych. Sklep padł, a miejsce po nim zajął sklep spółdzielczy, równie bezbarwny jak rzeczywistość wokół.

Pawłowski próbował jeszcze później handlować w innym miejscu Warszawy. Otworzył sklep kolonialny przy ulicy Francuskiej, między komisem a zegarmistrzem, ale i tam dosięgła go karząca ręka socjalistycznego fiskusa.

Kilka lat potem, kiedy kryzysu już nikt nie ukrywał, w tych pawilonach miał siedzibę antykwariat prowadzony przez Jacka Maziarskiego, który po wprowadzeniu stanu wojennego został negatywnie zweryfikowany przez władze wojskowe i nie mógł ani też specjalnie nie chciał wykonywać pracy dziennikarza. Maziarski zakładał potem z Jarosławem Kaczyńskim Porozumienie Centrum. Jego syn Wojciech jest dziennikarzem „Gazety Wyborczej”.

W sklepiku Jeanette w latach siedemdziesiątych dorabiał do pensji nauczyciela w Szkole Podstawowej numer 15 Ryszard Rembiszewski, późniejsza gwiazda telewizyjnych losowań Lotto.

Jeśli nasz narciarz dorobił się w PRL samochod, to musiał być klientem któregoś ze sklepów z częściami motoryzacyjnymi. Jeden z nich prowadził do spółki z bratem Grzegorzem pan Andrzej Wrona.



– Sklep mam po ciotce, która tutaj handlowała dawniej butami – opowiadał.

Gdy umarł wuj, postanowili przyłączyć się do interesu. Zmiana profilu przyszła łatwo, bo Andrzej Wrona był z wykształcenia technikiem mechanikiem, a jego brat Grzegorz technikiem samochodowym i byłym pracownikiem Polmozbytu.

– W Polsce jest jedna Warszawa i jedna ulica Marszałkowska – powiedział mi Andrzej Wrona, kiedy z nim rozmawiałem pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku. I tę jedną jedyną i najważniejszą ulicą miasta przemierzał nasz narciarz z okładki.

## **POLITYCZNE SKUTKI KATAKLIZMÓW Z ULICY HOŻEJ**

– To był rok 1981. Rosjanie, radzieccy, jak to się wówczas mówiło, powiedzieli, że obcinają radykalnie dostawy ropy naftowej do Polski. Dramatyczną depezę w tej sprawie napisał wicepremier, który tam był – wspomina Stanisław Ciosek. – Takie odcięcie dostaw gazu i ropy do naszego kraju to byłby prawdziwy dramat. A przecież zbliżała się surowa zima.

Stanisław Ciosek, w latach 1989-1996 ambasador Polski w ZSRR i w Rosji, w czasach PRL był działaczem partyjnym. W latach siedemdziesiątych był zastępcą członka [to taka funkcja statutowa – przyp. GS] Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Od roku 1975 do 1980 pełnił funkcję I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Jeleniej Górze. Od jesieni 1980 roku wszedł w skład Rady Ministrów i został ministrem odpowiedzialnym za kontakty ze związkami zawodowymi. Potem łączył ten urząd ze stanowiskiem ministra pracy. W połowie lat osiemdziesiątych powrócił do pracy w aparacie partyjnym. Jest uznawany za jednego z architektów porozumień zawartych w Magdalence i później podczas obrad Okrągłego Stołu.

– Zapowiedzi władz radzieckich spowodowały paniczny lęk po naszej stronie. Co będzie? Tu nie chodziło już nawet o lęk polityczny. To był lęk egzystencjalny. Jak przeżyć w takiej sytuacji? – opowiada.

Stanisław Ciosek pamięta posiedzenie Rady Ministrów, kiedy zastanawiali się nad zapowiedziami otrzymanymi z Moskwy. Wszyscy obecni byli potwornie przerażeni. Spanikowani.

– Wtedy zaproponowałem dzisiaj śmiesznie brzmiące rozwiązanie, żeby rozważyć koncepcję przeniesienia na okres zimy ludności z miast na wieś – wspomina.

Stanisław Ciosek uznał, że w przypadku mroźnej zimy ludziom będzie łatwiej przeżyć na wsiach, gdzie są większe możliwości choćby organizowania opału i żywności. W ostateczności można nawet zbierać chrust do palenia. Ciosek uważał, że w przypadku, gdyby groźby ze strony władz radzieckich miały się spełnić, najważniejszym zadaniem byłoby po prostu przeżyć.

– Ten pomysł pokazuje, jak bardzo byliśmy przerażeni. Czuliśmy też odpowiedzialność za los mieszkańców. W to zagrożenie głęboko wierzyliśmy – stwierdza.

Pomysł Stanisława Cioska był konsekwencją obserwacji, przede wszystkim prywatnych, których dokonał podczas zimy stulecia w 1979 roku. Był wtedy sekretarzem w Jeleniej Górze i odbierał dramatyczne telefony od siostry żony z Warszawy.

– Ona mieszkała w takim betonowym domu przy ulicy Hożej w Warszawie – opowiada Ciosek. – Każdy kolejny jej telefon był coraz bardziej dramatyczny. Miała małe dziecko, więc jej niepokój był uzasadniony i zrozumiały.

A sytuacja naprawdę była dramatyczna. W pewnym momencie mieszkańcy domu z ulicy Hożej stwierdzili, że kaloryfery są zimne. Oczywiście zgłosili to do administracji i Stołecznego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej, ale jak wiadomo, od samego zgłoszenia nie robi się cieplej. Było jeszcze gorzej, bo w ich przypadku robiło się coraz zimniej. Okazało się, że awaria jest jakaś skomplikowana. Ktoś też mówił, że zabrakło opału. A temperatura w mieszkaniach ciągle spadała. Wiele rodzin miało małe dzieci, one marzły najbardziej. Niektóre zaczęły chorować.

Spotykali się na korytarzach, na klatce schodowej, regularnie debatowali na temat tego zimna i zastanawiali się, co powinni zrobić. Kto mógł, to dzwonił, gdzie mógł, z nadzieją, że to przyspieszy usuwanie awarii. Ale są takie awarie, których usunięcia nie da się przyspieszyć i tak było w przypadku betonowego domu przy ulicy Hożej.

Było coraz zimniej, więc każdy próbował dawać sobie radę tak, jak mógł, we własnym zakresie. W tamtych latach normą było

posiadanie w domach elektrycznych grzejników, tak zwanych farelek, którymi dogrzewało się mieszkanie. Zwykle w domu były przynajmniej dwa takie urządzenia, drugie na wszelki wypadek, gdyby jedno się zepsuło. Niektórzy posiadali oddzielne grzejniki elektryczne do każdego pokoju. W dużym, trzypokojowym lokum o powierzchni około pięćdziesięciu metrów kwadratowych były to aż trzy farelki. Jak już wspominaliśmy, produkowały je zakłady Predom-Farel w Kętrzynie. Dla nieznających lub niepamiętających realiów PRL kolejne przypomnienie. Predom to było zjednoczenie przemysłu elektrycznego, zaś Farel to zakład wchodzący w skład tego zjednoczenia. Farelki miały różny kształt i wielkość. Jednym z najbardziej poszukiwanych modeli było tak zwane słońeczko, czyli grzejnik elektryczny przypominający trochę chromowaną lampę. Słońeczko miało opinię dobrze grzejącego. Kto nie miał farelki, grzał się spiralową kuchenką elektryczną. Takie turystyczne kuchenki posiadało wiele gospodarstw domowych. Ludzie brali je na wyjazdy wakacyjne, żeby na wczasach w domkach kempingowych gotować na nich posiłki. Właściwie nie było domu, który nie posiadałby takiego urządzenia, bo można było je wykorzystać w razie awarii gazu lub ogrzewania. Jeśli nie było w sklepie grzejników, niektórzy kupowali kuchenki elektryczne. Te grzejniki i kuchenki były każdej zimy przyczyną wielu pożarów, które najczęściej zdarzały się nocą, bo niektórzy zostawiali je włączone, by im grzały podczas snu. Te pożary miały najczęściej tragiczny wymiar dla tych, którzy się w ten sposób ogrzewali.

Często też dochodziło do poparzeń dzieci, szczególnie niebezpieczne były słońeczko i kuchenki. Apelowano więc każdej zimy, żeby uważać z farelkami, nie zostawiać ich włączonych na noc lub kiedy wychodziło się z domu. Ostrożniejsi korzystali ze specjalnych przedłużaczy do grzejników. Miały one nakręcany zegar, który po godzinie powodował wyłączenie grzejnika. Żeby go ponownie uruchomić, trzeba było znów nakręcić zegar. Grzejniki olejowe należały wówczas do rzadkości i tak na dobrą sprawę u powszechniły się dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych.

Zrozpaczeni i zmarznięci mieszkańcy domu przy ulicy Hożej zaczęli więc ogrzewać się grzejnikami elektrycznymi i kuchenkami, jeśli oczywiście ktoś je miał. A podejrzewać można, że miała je większość. Jeśli wielu mieszkańców się w taki sposób ogrzewało jednocześnie, finał zawsze był taki sam. Najpierw wywalało korki. Potem robiła się jakaś większa awaria. Tak samo było w tym przypadku. Po braku ogrzewania nadszedł kolejny kataklizm. Teraz nie mieli też prądu.

– Nie mieli energii, kaloryfery zimne. Zaczęli ogrzewać mieszkania gazem – opowiada Stanisław Ciosek.

Są dwa sposoby ogrzewania pomieszczeń gazem z kuchenki. Najprościej jest postawić na ogniu duży garnek z wodą, która się zagotowuje i, parując, ogrzewa mieszkanie. Mankamentem tego sposobu jest nadmierna wilgoć, co w przypadku bardzo niskich temperatur nie jest najlepszym rozwiązaniem. Można też na kuchence postawić odwrócony garnek. Gaz wtedy ogrzewa powietrze w środku naczynia, które jest czymś w rodzaju komina, i dzięki temu w pomieszczeniu robi się cieplej. Właśnie ten sposób zastosowali mieszkańcy domu przy ulicy Hożej.

– Płomienie gazu były coraz mniejsze aż w końcu nie było ich w ogóle – mówi o trzecim kataklizmie Ciosek. – Znaleźli się w sytuacji, w której nie działały w ich domu wszystkie media.

Mieszkańcy więc znów wychodzili na korytarze. Spotykali się jako społeczność poszczególnych pięter lub jako cała wspólnota klatki. Zrozpaczeni debatowali, co robić. Nie zanosilo się, że awarie będą prędko usunięte. Nikt nie wiedział, jak dalej będzie się rozwijać sytuacja, ale dotychczasowy przebieg wydarzeń nikogo nie nastrajał optymistycznie. A wszyscy wiedzieli, że zrobić coś trzeba, bo tak długo nie wytrzymają. Ktoś rzucił pomysł, żeby zerwać klepki z podłóg i nimi ogrzewać mieszkańców domu. Bo klepki dadzą się spalić, więc można przygotować sobie jakieś małe ognisko, raczej nie w swoim mieszkaniu, ale wspólne na klatce schodowej, żeby w pierwszej kolejności małe dzieci się ogrzały.

– I to miałem w pamięci, myśląc o sposobie przeżycia w wielkim mieście, kiedy nie będzie źródeł energii – podsumowuje Stanisław

Ciosek.

Sam zresztą mówi, że w województwie jeleniogórskim, gdzie był wtedy I sekretarzem KW PZPR, ze względu również na gęstość zaludnienia, tradycyjne budownictwo i niewielką liczbę dużych betonowych bloków, łatwiej dało się wytrzymać uderzenie zimy stulecia. O wiele łatwiej niż w wielkich aglomeracjach.

Sylwestrowy atak zimy zastał go na balu w Orlinku, na który zresztą nie wszystkim udało się dotrzeć. Przybyła tylko połowa gości. Reszta bardzo się spóźniła.

– Na bal jechaliśmy naszym samochodem. Był to mały fiat. To trochę dziwnie dzisiaj brzmi, że taki notabl jak ja, pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii, miał taki samochód, a nie limuzynę. Ale tylko na to było nas stać. Obowiązywała wtedy skromność – twierdzi Ciosek.

Maluch okazał się autem w tych trudnych warunkach sprawniejszym od większych samochodów. Dobrze się wspinał pod górę. I pierwszy sekretarz ze swoją żoną widzieli tylko, jak zostawiają w tyle większa auta. Niektóre z nich wylądowały zresztą w rowach.

– Myśmy nawet balu nie odwołali, bo u nas sytuacja nie była tak dramatyczna jak gdzie indziej. Tej zimy tak bardzo jak w Warszawie nie odczuliśmy – mówi.

## ZIMA ZŁA DLA PRL

W PRL zwykle było tak, że mieszkańcy bloków i domków jednorodzinnych patrzyli na siebie z wzajemną zazdrością. Jednym i drugim było zimno. Tym z bloków wydawało się, że ci z domków nie muszą czekać na sezon grzewczy i w każdej chwili mogą sobie sami napalić. Z kolei ci drudzy nigdy nie wiedzieli, kiedy uda się zrealizować przydział na węgiel.

Wszystko zaczęło się w momencie, gdy rzucono hasło „walki z marnotrawstwem węgla”. W 1950 roku rząd wprowadził w życie uchwałę o sposobach użytkowania węgla, co wiceminister górnictwa Mieczysław Lesz tłumaczył następująco: „Wiele gałęzi przemysłu zużywa zbyt wiele węgla na jednostkę produkcji – często więcej niż przed wojną. Tak np. przemysł cukrowniczy na wyprodukowanie jednej tony cukru zużywa o 18 proc. więcej węgla niż przed wojną, a przemysł papierniczy o 22 proc. Podobnie postępują i inne działy produkcji”. W związku z tym postanowiono palaczom dawać premie za oszczędne palenie. Niewiele to pomogło, bo dwa lata później rozpoczęto zimową walkę z „pożeraczami prądu”.

Na samym początku 1954 roku „Trybuna Ludu” kategorycznie żądała: „W mieszkaniach musi być cieplej”. Niepokój władz partyjnych wzbudzała postawa palaczy, wyraźnie kreowano ich na winnych tego, że w mieszkaniach jest zimno. „Wielu palaczy i administratorów – pisała „Trybuna Ludu” – nie wyciąga z faktu stałego obniżania się temperatury logicznego wniosku, że należy lepiej palić w kotłowniach. Tymczasem z przyczyn tylko obsługi kotłowni wiadomych temperatura w mieszkaniach nie przekracza nieraz nawet 10 stopni”. Z palaczami był w PRL problem znany miłośnikom kina choćby z filmu Stanisława Barei „Miś”.

Na szczęście już rok wcześniej w środowisku palaczy pojawiały się

inicjatywy produkcyjne, dające władzy gotowe rozwiązania. Jedną z nich była inicjatywa Maksymiliana Pieczyńskiego, palacza Zarządu Portu Szczecińskiego, który 15 stycznia 1953 roku na łamach peerelowskiej prasy zaapelował do towarzyszy pracy w kotłowniach całego kraju: „Wzywam Was, palacze: kto więcej zaoszczędzi drogiego paliwa”. Sam Pieczyński już w momencie wezwania zaoszczędził czterdzieści procent przydzielonego do jego kotłowni koku. „Nietrudno mi było stwierdzić, że decydującą rolę w rytmicznej pracy kotłowni odgrywa stosunek człowieka do kotłów i urządzeń”. Trudno sobie natomiast wyobrazić, jak palacz Pieczyński ciepłej ogrzewał pomieszczenia, skoro prawie połowę opału oszczędzał. Wzruszać zawsze będzie jego „stosunek do kotłów i urządzeń”.

W PRL chętnie wskazywano na konieczność aktywności mieszkańców. Podkreślano, że to dobry pomysł, żeby było lepiej. Zaczynano skromnie, od drobnej usterki na Pradze-Południe w Warszawie. Właśnie tam komitet blokowy numer pięćdziesiąt osiem wypowiedział zdecydowaną walkę „wszelkim przejawom marnotrawstwa występującym w naszych domach”. „Komitet blokowy, któremu przewodniczy ob. Piotr Lis, oparł się na szerokim aktywie mieszkańców. Wzięli się do pracy hydraulicy mieszkańcy terenu komitetu: Wysocki, Górski i Lewicki”. Dzięki temu w mieszkaniu Stefanii Salwowskiej przy ulicy Stanisława Augusta 32 przestała ciec woda z kranu, bo jak doniosła prasa, Stanisław Wysocki i Zygmunt Burzycki naprawili krany. Ponieważ wielkie sprawy zaczynają się od drobnych, od kropli z ciekącego kranu, inicjatywę podchwyciły zachęcane przez władze inne komitety, w tym komitet blokowy numer sto jednaście na ulicy Wincentego. „W każdy wieczór specjalna ekipa mieszkańców podgrzewa tu rury i ochrania je przed zamarznięciem”.

Pojawił się też problem zawartości węgla w węglu, o którym pisano w „Trybunie Ludu” w 1956 roku: „Ob. Marcinkowski z Ostrowi Mazowieckiej narzeka, że przydziałowy węgiel palić się nie chce. Ob. Chmielewska z Wrocławia pisze, że w tegorocznym przydziale więcej



otrzymują kamienia i piasku niż prawdziwego węgla. Parę osób pyta, dlaczego najlepszy węgiel eksportujemy...”.

Jednocześnie informowano, że „precyzyjne aparaty do pomiaru i regulacji temperatur wyprodukowano w kraju”, ale nawet one nie pomagały, bo temperatura ciągle spadała. Pod koniec stycznia 1956 roku w Warszawie wynosiła minus dwadzieścia stopni Celsjusza, w Kętrzynie minus dwadzieścia osiem. W Zakopanem 1 lutego na termometrach można było zobaczyć minus trzydzieści cztery stopnie.

Ponieważ „fala mrozów nad Polską” wcale ustąpić nie chciała, w specjalnym komunikacie głos „w sprawie jakości węgla na opał” zabrało ministerstwo górnictwa węglowego. Najpierw nakazano: „zabrania się kopalniom wysyłania na cele opałowe, dla ludności, węgla o nadmiernym zanieczyszczeniu”. Potem pogroźono: „walka o jakość węgla przeznaczonego na rynek wewnętrzny: opałowego, trakcyjnego i na cele przemysłowe staje się tym samym nieodłączną częścią walki o plan”. A na koniec „w sprawie rygorów i wzmożenia walki o poprawę jakości węgla” przyjęto zasadnicze stanowisko: „większa od dozwolonej normą ilość kamienia nie liczy się do planu wydobywania kopalni, zjednoczenia, całego przemysłu węglowego”.

Ale zimne powietrze znad ZSRR napływało dalej i nie można było na to specjalnie narzekać. Pisano, że mrozy ludzie znoszą dobrze, gorzej – maszyny. I o te maszyny bardziej martwiono się niż o ludzi.

„Tylko 40 awarii zanotowały w ciągu ostatnich trzech dni Miejskie Ciepłownie. 3/4 uszkodzeń już usunięto. Tam, gdzie jeszcze nie zdążono zlikwidować awarii w okresie mrozów, brygady naprawcze usuwają je teraz. Szkoda tylko, że Miejskie Ciepłownie nie zapewniły im dostatecznej ilości gazu technicznego. A to najbardziej hamuje robotę”.

Powrócił temat opału. „Gorzej z węglem”, zanotowała „Trybuna Ludu”, bo warszawskie kotłownie miały zapas na zaledwie trzy dni. Na szczęście w tym czasie mróz zelżał do minus sześciu stopni Celsjusza.

Nadal nie było jednak dobrze, ocieplenie było chwilowe. 9 lutego

1956 roku organ KC PZPR donosił: „Wczoraj znowu w wielu sklepach zabrakło mleka, warzyw, kasz i innych artykułów spożywczych”. Warzyw nie można było przenosić, bo przymarzały do skrzynek, podłóg, skrzyń samochodów, dlatego ludzie nie mogli kupić nawet ziemniaków, co spowodowało, że „kasze, płatki owsiane, groch i makaron” były trudnym do zdobycia rarytasem.

W halach fabrycznych Fabryki Samochodów Osobowych na warszawskim Żeraniu temperatura osiągnęła minus dwa stopnie Celsjusza. Niektórym kotłowniom zabrakło opału. Na przykład 8 i 9 lutego 1956 roku stołeczna kotłownia przy ulicy Wąski Dunaj miała do palenia tylko miał.

Czołówka „Trybuny Ludu” 13 lutego oznajmiała „Wesołe pożegnanie karnawału” (obok materiału na temat V Plenum Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej). „Wystawione na stołecznych ulicach koszyki z żarzącym się koksem miały wieczorem w ostatnią sobotę karnawału szczególne powodzenie”. Panująca temperatura minus dwudziestu czterech stopni nie przeszkodziła w zorganizowaniu stu balów. „Tradycyjne huczne ostatki obchodzili górnicy i koksarze zagłębia wałbrzyskiego”.

Nastąpił jednak spadek wydobycia węgla i trudności z transportem. „W Stalino-grodzie [w okresie stalinowskim nazwa Katowic – przyp. GS] i niektórych innych miastach zmniejszono oświetlenie ulic oraz wystaw sklepowych. Aby odciążyć elektrownie w godzinach szczytowego zapotrzebowania energii, tj. po południu i wieczorem, wiele zakładów przemysłu metalowego i chemicznego oraz przemysłu hutniczego w woj. stalingrodzkim przesunęło ciężar pracy maszyn z drugiej zmiany – popołudniowej, na trzecią zmianę nocną”.

Z terenu dochodziły jednak bardzo dramatyczne wieści. W powiecie Tomaszów Lubelski koło Magdalenki grupa trzydziestu ośmiu pracowników Warszawskiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych została odcięta od świata. Robotnikom zasypanym śniegiem szybko skończyła się żywność. „Technik normowania, tow.

Skonieczny, podjął się w jakiś sposób dotrzeć do Warszawy i tam zaalarmować o pomoc. Inaczej kłeska – relacjonowała „Trybuna Ludu”. – Przez trzy dni trwała podróż tow. Skoniecznego do Warszawy. Trochę pieszo, forsując zaspę, trochę jakimiś saniami, cały czas pod groźą wilków – dobił do kolei. Dalej poszło już łatwiej”. Wędrówka technika normowania Skoniecznego nie poszła na marne, uwięzionym w zaspach zrzucono z powietrza dwadzieścia sześć worków z żywnością.

Tak oszczędzano prąd, że nawet w Stalinogrodzie wyłączono wszystkie neony i oświetlenia sztydów, o czym informowała prasa centralna. Ale też trudne okoliczności natury wzmogły w aparacie partyjno-państwowym czujność. W Warszawie rozpoczęto tępienie marnotrawstwa, które w czasie niskich temperatur miało być szczególnie groźne dla bytu socjalistycznego kraju. „Na 450 sklepów skontrolowanych w dniu 22 lutego w Warszawie w 109 znaleziono włączone grzejniki” – grzmiały odpowiednie organa. Ale było jeszcze gorzej. „W ostatnich dniach wyłączono prąd w Inwalidzkiej Spółdzielni Pracy »Galanteria Skórzana«, gdzie komisja znalazła 8 kuchenek elektrycznych używanych do ogrzewania. Zaplombowanych grzejników nie będzie można używać do czasu zdjęcia plomb przez komisje kontrolne, co nastąpi dopiero po zniesieniu ograniczeń w korzystaniu z energii elektrycznej. W wypadkach samowolnego rozplombowania grzejników odbiorcy będą odłączeni od sieci” – zapowiadały władze. Wiadomo, człowiek pracy socjalistycznej nie musi się rozgrzewać, bo grzeje go praca. A jak komuś zimno, to znaczy, że nie pracuje, tylko leni się i objaja, zaniżając normy, które załoga musi wykonać.

Okazało się też, że z powodu problemów ze skupem mleka zaczęło w kraju brakować masła, bo wyraźnie spadła jego produkcja i w tych okolicznościach przyrody podnieść się nie chciała. Nie wiadomo, jaki mają związek ryby z masłem, ale także ryby zaczęły znikać. Być może z powodu, że brakowało już od jakiegoś czasu kasz i ziemniaków. „W ostatnich tygodniach ludność interesowała się rybą morską i słodkowodną, śledziem”. A sklepy do niedawna podobno pełne

śledzi zaczęły świecić pustkami.

„Terminami nie ogrzeje się mieszkań. Ślamazarne tempo remontów” – pisała prasa jesienią 1964 roku. W Warszawie, w domu przy ulicy Dobrej 8/10, remont ogrzewania trwał od kwietnia. W październiku obiecano lokatorom, że być może uda się go zakończyć na święta Bożego Narodzenia. Niedługo potem, w listopadzie, na tak zwanym początku sezonu grzewczego, kaloryfery nie wytrzymały próby „gorącej” i w wielu mieszkaniach popękały. Nie udało się też rozszyfrować kompetencyjnego bałaganu – ludzie nie wiedzieli, kto odpowiada za zimne kaloryfery. Na szczęście było stosunkowo ciepło.

Zimno za to było w styczniu 1987 roku. W Kielcach odnotowano minus trzydzieści cztery stopnie Celsjusza. Tygodnik „Polityka” zrobił sondę: „Ile stopni jest u pana (i)?”. „Podgrzewamy się gazem i elektrycznością” – odpowiadał dziarsko prof. Mikołaj Kozakiewicz. „Nie ma męża w domu, ale mogę powiedzieć, że dogrzewamy się piecykiem z cegłami szamotowymi i zamiast 16 stopni jest 18” – mówiła żona emeryta Józefa Cyrankiewicza. „U mnie w domu jest do wytrzymania, 16-17 stopni” – zapewniał dyrektor Elektrociepłowni „Kawęczyn” Lechosław Luty, a Janusz Mróz, dyrektor Stołecznego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej, dodawał: „Gdy temperatura spada poniżej minus 25 stopni Celsjusza, u mnie, pomimo gorących grzejników, jest 14-15 stopni. Nasz system ciepłowniczy został stworzony dla temperatur do minus 20 st. C. Poniżej – nie wytrzymuje”.

W styczniu 1951 roku apelowano, żeby Zakłady Oczyszczania Miasta (ZOM) i Miejskie Zakłady Komunikacyjne (MZK) lepiej odśnieżały, zwłaszcza kiedy spada pierwszy śnieg. „Egzamin ten nie wypadł pomyślnie, brygady zbyt późno przystąpiły do oczyszczania ulic. Toteż w wielu miejscach na jezdniach i chodnikach potworzyły się ślizgawice hamujące komunikację. Dwukrotne wykolejenie się solarki posypującej szyny solą sparaliżowało przerwę w ruchu trwającą około godziny”.

Pod koniec stycznia na Muranowie, wówczas jednej z najnowszych

dzielnic Warszawy, siedemdziesiąt procent skarg dotyczyło centralnego ogrzewania. Po prostu ludzie narzekali, że jest im zimno w mieszkaniach, a 29 stycznia zorganizowano nawet specjalną konferencję administracji, wykonawcy, projektantów i komitetów blokowych. Mieszkańcy narzekali, że „duża część osiedla jest ogólnie niedogrzana oraz że w pewnych blokach występują lokalne usterki instalacji centralnego ogrzewania. Jak stwierdzono, przyczyną niedogrzenia był brak tynków na blokach oraz wilgotność samych budynków. W większości muranowskich mieszkań kaloryfery miały temperaturę ośmiu stopni.

Na przełomie pierwszej i drugiej dekady stycznia 1951 roku zaskoczyło nagłe przyjście zimy. Na budowie warszawskiego osiedla Muranów, które powstawało na gruzach getta, składano poważne wojenne deklaracje: „Załoga i kierownictwo budowy prowadzą zwycięską ofensywę zimową”. Jednak komunikacja miejska w tej konfrontacji ze śniegiem i niskimi temperaturami poniosła klęskę. „Trudno było wczoraj złapać »Chaussona« na którejkolwiek z linii MZK. 23-stopniowy mróz unieruchomił większość z kursujących autobusów. Pojawiające się od czasu do czasu, zziębnięta publiczność brała szturmem” – podawała „Trybuna Ludu”.

Zima jest bezwzględna, ciągle zaskakuje. I tak na przykład w 1952 roku, akurat w czasie Międzynarodowego Tygodnia Stalina (10-17 listopada), zapowiedziano, że do walki ze śniegiem w całym kraju przygotowują się przedsiębiorstwa miejskie. Natura jakby tylko na to czekała. Natychmiast w Polsce pojawiły się zamiecie śnieżne, które spowodowały wiele szkód. „Wygląd ulic świadczy jeszcze i o tym, że zbyt mała jest kontrola ze strony Dzielnicowych Rad Narodowych i MO oraz że zbyt mało zainteresowania akcją odśnieżania okazują komitety blokowe” – przeanalizowano sytuację po dwóch miesiącach. Wiadomo, na zamieć najlepszy jest milicyjny patrol.

Podczas siarczystych mrozów w 1965 roku ludziom walczącym ze śniegiem dawano bezpłatnie gorącą zupę. Służby oczyszczania miast miały być wsparte przez pracowników przedsiębiorstw budowlanych, ale firmy tak zorganizowały sobie pracę, że dały

o wiele za mało robotników. Winnych znaleziono, bo odpowiedzialność za oczyszczanie bocznych uliczek w miastach miała spoczywać na dozorcach. „Trzeba przyznać, że odnoszą się oni do białego kłopotu ze stoickim spokojem. Na centralnych arteriach jezdnie i chodniki są odśnieżone, za to w dzielnicach peryferyjnych przechodnie są narażeni na złamanie nogi lub ręki czy przykre upadki i stłuczenia” – pisało „Życie Warszawy”. Cztery lata później znów był siarczysty mróz i dużo śniegu. „Miasto w śniegu. Samo MPO nie daje sobie rady” – stwierdzono w Warszawie i znów winnymi okazali się dozorczy.

Z czasem niewiele się zmieniło. Dziewięć lat później, na jesieni 1978 roku, wypowiedział się publicznie w tej sprawie wicedyrektor Stanisław Nowakowski z Centralnego Zarządu Dróg. „Mniej soli na zimowych drogach” – stwierdził i jednocześnie uspokajał społeczeństwo, że „przeanalizował ubiegłoroczne doświadczenia oraz ustalił plan zimowej kampanii z lodem i śniegiem”. „Prawie 35 tys. km dróg, z uwagi na brak załóg w Rejonach Dróg odpowiedniej ilości sprzętu i środków chemicznych, nie będzie tej zimy objętych utrzymaniem przejezdności – rozwiewał jakiegokolwiek złudzenia – lepiej bowiem zapowiedzieć tylko to, co można będzie zrealizować, niż dawać obietnice na wyrost, bez pokrycia”. Zresztą dyrektor był pewien, że „dopiero za kilka lub kilkanaście dni na dobre zacznie się sezon zimowy”.

Niemal dokładnie w wyznaczonym przez dyrektora terminie odezwała się natura. „Zima zaatakowała śniegiem – zauważyło „Życie Warszawy”. – A więc pierwszy atak zimy mamy już za sobą. Był to praktyczny egzamin sprawności służb drogowych. Egzamin ten, niestety, nie wypadł najlepiej. Z tej pierwszej zimowej lekcji rejon eksploatacji dróg publicznych powinny wyciągnąć wnioski na najbliższą przyszłość”.

W latach sześćdziesiątych, gdy pojawiał się mróz i śnieg, po Polsce krążyły pociągi-widma, jak je nazywano, które ze stacji kolejowych odjeżdżały puste, mimo że na peronach czekały na nie tłumy podróżnych. Drzwi do wagonów były tak zamrożone, że nikomu nie

udało się dostać do środka. Później próbowano, przynajmniej na większych stacjach, rozmrażać drzwi, co powodowało, że spóźnienia wydłużały się nawet do kilkunastu godzin.

W ogóle o zakłóceniach w komunikacji przez długie lata mówiono i pisano, używając dość specyficznego języka. Bo pociągi i autobusy albo spóźniały się o trzydzieści minut lub dwie godziny, albo spóźniały się „poza zwykłą normę”.

„Polskim miczurinowcom – wybitnym agrobiologom – nie przeszkadza ani śnieg, ani mróz” – zdarzało się, szczególnie w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, że próbowano zimą wskrzeszać nieco optymizmu. Dla odmiany w komunikatach dostarczanych społeczeństwu w czasie styczniowej powodzi w 1982 roku można odnaleźć charakterystyczną atmosferę stanu wojennego. Pomieszanie urzędowo-wojskowego optymizmu z brutalną rzeczywistością: „Powódź nie ustępuje. Mróz stabilizuje sytuację na zalanych terenach”, „149 km dróg pod wodą – nadal słonecznie”. Podobnie zresztą było z innymi informacjami. „Po podwyżce cen – pewne uspokojenie rynku”. Ponoć na warszawskim Ursynowie przez cały dzień można było kupić mleko.

W 1976 roku w „Życiu Warszawy” liczył się tylko czas. Stołeczny dziennik donosił 2 stycznia optymistycznie: „Jeszcze nie przebrzmiały noworoczne toasty, jeszcze nie skończono składać sobie noworocznych życzeń, a już »zameldowali« się nowi obywatele naszego kraju. Oddziały połoźnicze miały w Nowym Roku sporo pracy – na świat przyszło bowiem ok. 1700 młodych Polaków”. Widać, że jest dobrze. Nikt nie zastępuje marszu socjalistycznej ojczyzny.

„Polska pracuje w 1976 roku. Nie ma przerwy między finiszem a startem – relacjonują specjaliści wysłannicy „Życia Warszawy”. – Po Nowym Roku produkcyjny rytm pracy. Jak zaczyna się w przemyśle ten powszedni rytm pracy w szóstym roku dekady? Jak w praktyce realizują się podstawowe hasła VII Zjazdu, aby przez wyższą jakość pracy stworzyć warunki dla lepszej jakości życia?”. Dlatego w poznańskich Zakładach Cegielskiego mówią: „Czas pozostaje

w tyle”. Wiadomo, ludzie, realizując wytyczne VII zjazdu PZPR, tak przekraczali plan, że już w grudniu byli w styczniu. Reporterka Krystyna Lubelska z Łomży twierdzi, że tam „dzień jak co dzień”, bo ludzie pracują bez wytchnienia, reporter Jerzy Baczyński daje sygnał: „»Odra« goni popyt”, a redaktor Janusz Latoszek w rytmie produkcyjnej pracy pisze: „O jeden dzień bliżej”.

W takiej sytuacji nic złego nie może się dziać: „Atak zimy nie hamuje rytmu pracy”. Bo wiadomo, praca jest najważniejsza. Mimo sztormu portowcy wykonują swoje zadania, jest „nieprzerwany ruch pociągów towarowych”, są co prawda zakłócenia w komunikacji, w transporcie ludności, ale są to trudności do przewyciężenia i zapewne chwilowe. Niestety, kilka dni później nadchodzą ciężkie dni dla drogowców i kolejarzy, którzy nie dają sobie rady w trudnych warunkach zimowych. Teraz już są poważne zakłócenia w komunikacji. Ale język gierkowskiej propagandy się nie zmienia, gazety zapewniają, że „nie słabnie tempo pracy na placach budowy i w fabrykach”. Praca wre pełną parą, bo to „rok jakości – rok nowości”.

W Suwałkach temperatura spada do minus dwudziestu siedmiu stopni. W takich warunkach ludzie nie tylko pracują, ale i wypoczywają. W gazetach informacje, że wreszcie przełamano martwy sezon. W związku z tym w górach i nad morzem komplety gości, które tam dotarły i bawią się dobrze „mimo mrozów, zamieci i sztormów”. My nie mamy problemów, kłopoty mają inni, choćby Skandynawowie: „Bakterie zagrażają szwedzkim zapasom ropy naftowej”. Polskie zakłady zapewniają: „po nas poprawiać nie trzeba”. W tych mroźnych zimowych warunkach przekroczono plany dekadowe, rozstrzygnięto ósmy konkurs opakowań „Złoty Kasztan”, a z fabryk spłynęło więcej teksasu i weluru. W związku z tym premier PRL Piotr Jaroszewicz z trybuny II plenum KC PZPR mógł dalej nawoływać o: „Lepsze wykorzystanie każdej minuty, każdej maszyny, każdego hektara”.

Z przepowiadaniem są olbrzymie kłopoty. Najlepiej było to widać w 1978 roku. Wówczas prawie do Gwiazdki było chłodno i śnieżnie,



ale tuż przed świętami zrobiło się ciepło. „Odwilż w całym kraju. Do 20 stycznia łagodna zima” – zapowiadało Biuro Prognoz Długoterminowych.

Tymczasem już w piątek, 29 grudnia, pojawiły się silne mrozy. Potem zaczął padać śnieg. Zaczęła się kolejna zima stulecia, ale temperatury wcale nie były rekordowo niskie. W niedzielę, 31 grudnia, w Warszawie było minus dwadzieścia jeden stopni Celsjusza, dzień później – minus dziewiętnaście w stolicy i minus dwadzieścia sześć w Suwałkach. O paraliżu kraju zdecydował bardziej bałagan organizacyjny, który ujawnił się podczas wyjątkowo długiego jak na tamte czasy weekendu. Oficjalnie obowiązywała teza powtarzana przez media o „nagłym” lub „gwałtownym” ataku zimy.

„Silny mróz i zamieć śnieżna poważnie zakłóciły komunikację tramwajową, lotniczą, kolejową i drogową. Ucierpiała też energetyka. W wielu miastach wyłączone zostało centralne ogrzewanie mieszkań” – pisało „Życie Warszawy”. Polska była odcięta od świata. Do wielu miejscowości w kraju udawało się dotrzeć dopiero po kilkunastu dniach. Zawieszono zajęcia w szkołach. Wstrzymano ruch turystyczny z Polski do innych krajów. Decyzją Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług przedłużono termin realizacji biletów towarowych na cukier do 13 stycznia.

„Będzie wczesna, ostra i długa – głosili jesienią amatorscy przepowiadacze pogody. Taką właśnie zimę miały wróżyć ciepłe lato i jesień. Tymczasem sporą część zimy mamy już za sobą. Dotychczas nie spełniły się te groźne wróżby. Grudzień był cieplejszy od normalnego, zaś styczeń zaczął się bardziej pod znakiem jesieni niż zimy” – pisał „Kurier Polski” w 1983 roku.

W pierwszych latach PRL było mroźno i biednie. Podobnie w czasach gomułkowskiej małej stabilizacji. Gierkowska dekada budowania drugiej Polski rozpoczęła się niezwykle łagodnymi zimami, a zakończyła wielkimi mrozami.

## **KALORYFERY W SYSTEMIE RADZIECKIM**

System ogrzewania Warszawy był zbudowany w oparciu o model radziecki. Ze Związku Radzieckiego przyjęto parametry i zasady funkcjonowania, w III RP funkcjonujemy już w systemie zachodnim. Kiedy wznoszono Pałac Kultury i Nauki, równolegle przebudowano Elektrownię Powiśle na Elektrociepłownię. I w 1953 roku pierwsze ciepło popłynęło siecią ulicą Świętokrzyską do Pałacu Kultury. Dopiero potem doprowadzono centralne ogrzewanie na MDM (Miejską Dzielnicę Mieszkaniową). Właściwie od tej chwili zaczęły się początki ciepłownictwa w powojennej Warszawie. Później magistrala poszła ulicą Kruczą do Chopina i placu Konstytucji. Wtedy też władze powoływały kolejne firmy ciepłownicze. W 1952 roku powstało Stołeczne Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej.

– Zima stulecia nie była jedyną tak mroźną. Bardzo mroźne były zimy w 1963, 1969 i 1970 roku. Wtedy SPEC znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Dochodziło do licznych awarii w systemie przemysłowym. Słabym ogniwem okazała się Elektrociepłownia Siekierki. To było na przełomie 1969 i 1970 roku – opowiada wieloletni dyrektor SPEC Janusz Mróz. – Pamiętam, że temperatury dochodziły do minus dwudziestu pięciu stopni, okresowo nawet do minus trzydziestu.

Co się wtedy stało? Elektrociepłownia Siekierki była niewydolna. Dostarczała ciepło zaledwie w granicach trzydziestu pięciu procent zamówionej mocy. W wyniku tego znaczna część miasta zasilana z tego źródła, a więc cały Mokotów, Ochota, część Śródmieścia i część Pragi Północ, cierpiała wielki chłód. Część instalacji pozamarzała. To była prawdziwa klęska, która wynikała ze słabej organizacji.

Nie było jeszcze elektrociepłowni w Kawęczynie. W Warszawie dopiero powstawał spójny system ogrzewania całego miasta. Na terenie stolicy funkcjonowało wtedy około dwustu małych lokalnych ciepłowni. Częścią nich zarządzał SPEC. Były to albo kotłownie w poszczególnych budynkach, albo wolno stojące, ogrzewające kilka bloków. Były rozproszone po całym mieście. Likwidowano je stopniowo w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, przyłączając pojedyncze domy i osiedla do systemu ciepłowniczego. Oczywiście lepiej mieli ci, którzy byli blisko tego systemu, bo mogli liczyć na szybsze przyłączenie. W małych kotłowniach zmorą byli palacze, zwykle chłoporobotnicy, czyli posiadacze niewielkich gospodarstw rolnych, zatrudniający się jako niewykwalifikowani robotnicy w miastach, często na budowach lub w zakładach przemysłowych. Niektórzy latem pracowali na budowach, a zimą w kotłowniach. Palacz z filmu „Miś” jest właśnie palaczem w takiej lokalnej kotłowni.

Najczęściej praca w kotłowni osiedlowej dawała możliwości dodatkowego zarobku i była okazją do darmowego noclegu w mieście. Często więc palacze zasypiali i nie dosypywali opału do palenisk albo z powodu dalekiej drogi, często wynoszącej ponad kilkadziesiąt kilometrów, regularnie się spóźniali do pracy, a zdarzało się, że nie przyjeżdżali w ogóle. Bo w zimie komunikacja zwykle szwankowała. Wtedy w zasilanych w takim systemie domach było zimno. Zatrudnienie palacza na zimę obciążało też finansowo mniejsze spółdzielnie mieszkaniowe i pojedyncze bloki z kotłowniami. Trzeba było samodzielnie zamawiać opał, jego dowóz, rozładunek i składowanie oraz opłacać w sezonie grzewczym palacza lub palaczy, jeśli kotłownia była większa. W małych kotłowniach przy budynkach mieszkalnych zwykle w dzień pod kotłem palił dozorca, a palacza zatrudniano na dyżur nocny. Dlatego większość mniejszych budynków i osiedli czyniła starania, by je przyłączyć do dużych systemów grzewczych.

Władze przede wszystkim przyłączały budynki nowe, podlegające budownictwu spółdzielczemu lub zakładowemu. W latach

siedemdziesiątych XX wieku na siłę jednoczono spółdzielczość mieszkaniową w jedną formę organizacyjną, powołano centralny związek spółdzielczości mieszkaniowej. W bardzo wielu sprawach ta forma zarządzania była w mniejszych społecznościach dość uciążliwa, bowiem centralnie decydowano na przykład o poważniejszych remontach i naprawach. Przyłączanie budynków do miejskich systemów przebiegało jednak dzięki niej dużo sprawniej. Za to raczej niechętnie podłączano budynki stare, przedwojenne, objęte tak zwanym kwaterunkiem. Oczywiście, bez trudu mogły korzystać z mediów miejskich te przedwojenne kamienice, które ze względu na atrakcyjne położenie i mieszkania znalazły się w administrowaniu wojska lub milicji. Część z nich zresztą dość szybko „sprywatyzowano”. Przedwojenne mieszkania i domki objęte tak zwanym dekretem Bieruta, a bezprawnie przejęte od dawnych właścicieli, już na samym początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku zostały w Warszawie sprzedane po atrakcyjnych, czyli niskich, cenach wyższej kadrze oficerskiej LWP i MO oraz niektórym członkom wysokiego aparatu partyjnego i państwowego PRL.

Nierównomierność rozwoju systemu ciepłowniczego widać jeszcze dzisiaj, zwłaszcza w skupiskach miejskich, w których dominuje stare budownictwo. Do takich budynków niechętnie podłączano centralne ogrzewanie. Te domy mogły mieć prywatnych właścicieli, często też planiści przewidywali likwidację w przyszłości całych kwartałów ulic i zastąpienie ich nowoczesnymi osiedlami.

Warto przy tym pamiętać, że mimo wszystko dla wielu przeprowadzka do bloku, nawet z małego domku jednorodzinnego, w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych oznaczała często ogromny skok cywilizacyjny. W mieszkaniu w bloku mieli centralne ogrzewanie zimą, ciepłą wodę w kranie przez cały rok i kuchenkę gazową w kuchni. Może było małe, ale nie trzeba było się martwić o opał na zimą. Nie trzeba było o świcie wystawać w składzie opałowym, błagać wozaków, żeby zgodzili się za sowitą opłatą zawieźć węgiel do domu, a potem jeszcze tak oszczędnie

opalać kuchnię i piec, żeby go nie zabrakło.

Od lat sześćdziesiątych zarówno miasta, jak i państwo, wspierały rozwój systemów ciepłowniczych. Szły na to naprawdę duże pieniądze. Co roku rządy PRL przyjmowały w tej sprawie uchwały, które w większości wchodziły w życie. Po pierwsze dawało to duże oszczędności węgla, najważniejszego produktu eksportowego PRL. Utrzymanie małych kotłowni było kosztowne i organizacyjnie kłopotliwe, a też niebezpieczne. Każdej zimy prasa donosiła o kolejnych ofiarach zezadzenia. Szczególnie niebezpieczne były piec w starych nieremontowanych kamienicach, w przerabianych domach. Po drugie dzięki podłączeniu do sieci ciepłowniczej ludzie zyskiwali nową przestrzeń. W mieszkaniach, bez względu na rodzaj budownictwa, było ciasno. Tymczasem nie musząc przechowywać węgla na zimę, piwnice można było zamienić na małe spiżarnie pełne weków i słoików z przygotowanymi latem przetworami. Kompotami, marynatami, powidłami.

Przy okazji reformy administracyjnej przeprowadzonej przez ekipę Edwarda Gierka w 1975 roku podjęto zmiany w systemie ciepłownictwa. Reforma polegała na likwidacji siedemnastu województw i pięciu miast wydzielonych. W ich miejsce utworzono czterdzieści dziewięć województw. Przy okazji zniknęły też powiaty, trójstopniowy podział administracyjny (województwo – powiat – gmina) zamieniono na dwustopniowy (województwo – gmina).

W tym samym czasie podjęto też decyzję o przyłączeniu do stołecznej sieci ciepłowniczej miast znajdujących się wokół Warszawy. SPEC wchłonął kaloryfery w domach mieszkańców Pruszkowa, Piastów, Legionowa i Wołomina.

– W wyniku tych działań staliśmy się jednym z największych systemów ciepłowniczych w Europie – mówi dyrektor Mróz. Podczas zimy stulecia w SPEC pracowało cztery, cztery i pół tysiąca ludzi, trzykrotnie więcej niż teraz.

Integracja sieci ciepłowniczej wynikała nie tylko z tego, że Polska funkcjonowała w systemie gospodarki centralnie zarządzanej. Zima przełomu 1969 i 1970 roku przyniosła smutne, a właściwie zimne

doświadczenia. Okazało się, że pozamarzały przede wszystkim mniejsze systemy centralnego ogrzewania. Administratorzy i pracownicy z małych i średnich kotłowni byli zaskoczeni i nieporadni, kiedy zaczęły następować przerwy w dostawach ciepłej wody lub woda miała za niską temperaturę. Z kolei mróz był tak silny, że mroził niepodgrzaną wodę w kaloryferach. Szybko więc zamarzały całe systemy grzewcze. W efekcie lód rozsadzał rury.

– Instalacje po prostu pękały – mówi Mróz. – Bardzo dużo instalacji trzeba było wymieniać. To było za czasów dyrektora Piłatowicza. On jako szef naszego przedsiębiorstwa jeździł po ulicach Warszawy i organizował taksówkarzy do pracy w SPEC, ponieważ mieliśmy za mało transportu.

Taksówki jeździły z monterami do miejsc, gdzie trzeba było szybko reagować i przywracać ogrzewanie.

– Organizacja była wtedy niewymuszana, ludzie sami chętnie pracowali na pierwszą, drugą, a nawet trzecią zmianę – kontynuuje Janusz Mróz. – Niewiele spali, a zdarzało się, że nie mogli wracać do domów i musieli spać w pracy. Najczęściej jednak samochody odwoziły ich i przywoziły z powrotem. Powiedziałbym, że wówczas dla miasta pracowali nie tylko monterzy, ale i członkowie ich rodzin, żony, dzieci. Oni najbardziej na tym ucierpieli. Nie było ich mężów i ojców w domach, a jak byli, to tylko na chwilę. Żeby coś zjeść czy się przespać, i znów wracali do pracy. Rodziny pracowników nie narzekały, rozumiały sytuację i dzięki temu oni mogli spokojnie pracować.

Największym problemem było to, że awarie należało usuwać bardzo szybko. W związku z tym musieli w trudniejszych sytuacjach występować do prezydenta miasta o pomoc. Chodziło o to, żeby SPEC wspomogły firmy specjalistyczne, jak Kombinat Instalacji Sanitarnych, Miejskie Przedsiębiorstwo Instalacyjne, Miejskie Przedsiębiorstwo Instalacji Domowych oraz niekiedy ludzie z KBM-ów, czyli Kombinatów Budownictwa Mieszkaniowego.

Osiem, dziesięć awarii, a czasem piętnaście czy dwadzieścia dziennie to było dużo. Łącznie ponad cztery tysiące awarii w roku

1989. W latach 1991 i 1992 odnotowano ich już tylko dziewięćset. W tym czasie nastąpiła reforma całego systemu ciepłowniczego, wymiana rur. Trzeba było podjąć decyzję o zwiększeniu grubości ich ścian.

Większości awarii kaloryferów w PRL była winna huta „Lenina”. To z ich rurami najczęściej były problemy. Z tego powodu wprowadzono kontrole nie tylko w hucie „Lenina”, ale także w „Częstochowie”. W tych zakładach produkowano rury ze szwem. I właśnie na tych źle zwalcowanych szwach dochodziło do nieszczelności.

Powodem awarii kaloryferów była też słona woda. Japońską technologię jej odsalania udało się wprowadzić dopiero po upadku komunizmu. Woda odsolona jest prawie taka jak destylowana.

W PRL była także wyższa temperatura wody w grzejnikach. Miała blisko sto czterdzieści stopni Celsjusza. Teraz jest niższa, bo dzięki temu podczas przesyłania są mniejsze straty ciepła. Ale to wszystko wynika dziś z innej filozofii podejścia do problemu.

## WUJEK LAKIERKI ZOSTAWIŁ W ZASPIE

– Rodzice w większym gronie poszli na bal sylwestrowy do hotelu Warszawa – relacjonuje Wojciech Andziak, który wtedy był licealistą, a dzisiaj w jednej z największych firm kurierskich odpowiada za bezpieczeństwo.

Hotel znajdował się na placu Powstańców Warszawy. Przed wojną ten wzniesiony przez Towarzystwo Ubezpieczeń „Prudential”, liczący sześćdziesiąt sześć metrów budynek był najwyższym gmachem w mieście. Po wojnie ulokowano w nim hotel i popularne restauracje.

Impreza była udana, ale towarzystwo planowało przenieść się na dalszą część nocy do rodziny, która mieszkała po prawej stronie Wisły. Po wyjściu z hotelowej restauracji okazało się, że wyprawa na Pragę nie będzie należała do łatwych. Taksówek nie było, tak jak i innych pojazdów. Za to wychodząc z restauracji, zobaczyli góry śniegu. Cały plac Powstańców Warszawy był zasypany.

W pewnym momencie jeszcze na placu jeden z wujków zniknął. Zachwiał się i wpadł w zaspę. Nie było go widać. Jakby zapadł się pod ziemię, a konkretniej, pod śnieg. Długo nie mogli go odszukać. W końcu go odnaleźli. Wtedy okazało się, jak zaspą była wielka. Świeży śnieg na leżącego, a nawet w tym momencie można bez ironii powiedzieć, upadłego wujka obsunął się, zakrywając go całkowicie.

Odnalezionego z zasy wyciągnęli, otrzepali i poszli tam, dokąd planowali pójść, czyli ruszyli w kierunku Pragi. Ruszyli na piechotę, bo nic innego nie pozostawało im do zrobienia. Już zorientowali się, że znalezienie jakiegokolwiek pojazdu graniczyło z cudem. Nie jest to krótka droga, mieli do przebycia kilka kilometrów, w tym most na



Wiśle. Po jakimś czasie tej wędrówki, gdzieś w okolicach mostu Gdańskiego, zorientowali się, że wujek dziwnie stąpa. Jak jakaś baletnica. Sprawdzili więc, co było powodem tego stąpania, i okazało się, że on po prostu na nogach nie miał butów. Taneczne lakierki stracił w zaspie pod hotelem Warszawa.

– Mój tata z drugim wujkiem byli roślejsi od poszkodowanego. Ułożyli ręce w tak zwane tureckie krzeselko i jakoś go przenieśli przez ten most. W ten sposób całe towarzystwo dotarło w okolice ówczesnego placu Leńskiego, dzisiaj Hallera – mówi Wojciech Andziak, który chętnie pewnie wzięłby udział w balu zorganizowanym w hotelu Warszawa, ale był na to za młody. Tę historię zna jednak dobrze, bo przez lata była tematem rodzinnych opowieści.

Był wtedy uczniem drugiej klasy liceum ogólnokształcącego i uczęszczał do szkoły ma górnym Mokotowie.

– Było to X Liceum Ogólnokształcące im. Królowej Jadwigi, ulica Woronicza 8, czyli tak zwana Królówka – mówi zdecydowanie i można by przypuszczać, że może też pamiętać numer kodu pocztowego. Wojciech Andziak jest też przewodnikiem, miłośnikiem Warszawy i jej historii. Śledzi uważnie losy różnych miejsc, zbiera pamiątki, fotografie. – To była fantastyczna wiadomość, że ferie po Nowym Roku są przedłużone. Jest euforia. Radość, że nie idziemy do szkoły – opowiada. – Jak w końcu poszliśmy, zostaliśmy zmobilizowani do prac przy usuwaniu śniegu.

Śnieg musieli usuwać z ulicy Woronicza. To była wtedy strategiczną arterią, nad którą na wielkich słupach z Elektrociepłowni Siekierki biegła linia energetyczna. Na ulicy, zaraz za Alejami Niepodległości, siedzibę miała i ma nadal Telewizja Polska. Niedaleko niej jest też budynek Polskiego Radia. Na ulicy Puławskiej, niecałe dwieście metrów od Królówki, dzielił ich skwerek, mieściła się Komenda Główna Milicji Obywatelskiej. Trochę dalej na Wielickiej była mleczarnia, której ranga podczas zimy stulecia i kłopotów z zaopatrzeniem urosła niepomiarowo.

Ulica Woronicza prowadziła też do zajezdni tramwajowej oraz do

wielu zakładów przemysłowych będących wizytówką PRL, które mieściły się nieopodal, w dzielnicy Służewiec Przemysłowy. Niedaleko zajezdni był szpital na ulicy Spartańskiej. Ale Woronicza dojeżdżało się do dużo ważniejszego szpitala na ówczesnej ulicy Komarowa, dzisiaj Wołoskiej. Był to szpital Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Zamiast usiąść w ławkach szkolnych i zdobywać wiedzę przydatną i absolutnie zbędną, otrzymali sprzęt do ośnieżania, czyli łopaty, szufle drewniane i jakieś łomy. Zadanie do wykonania było proste: przywrócić do stanu użyteczności tory tramwajowe, zwłaszcza zwrotnicę. W Woronicza z Puławskiej skręcały tramwaje linii 18, 31 i 33, a więc jadące z kierunku północnego, czyli ze Śródmieścia, oraz z kierunku południowego. Jechały w stronę Służewca. Oczywiście, ktoś musiał nadzorować pracę młodych ludzi. W tym wypadku był to nauczyciel najbardziej ideologicznego wówczas przedmiotu, czyli przysposobienia obronnego, co już samo w sobie wielu uczniów nie nastawiało pozytywnie. Od pewnego momentu peowcy specjalizowali się w zadaniach ideowo-wychowawczych, jak je fachowo określała propaganda. Zanim przysposobienie obronne wprowadzono do szkół, co nastąpiło w dekadzie gierkowskiej, takimi sprawami w szkole zajmowali się najczęściej nauczyciele wychowania technicznego lub rzadziej wychowania fizycznego. Wtedy też często miały one bardzo praktyczny wymiar.

– My, jak to uczniowie, zamiast odkopywać te tory, to jeszcze skuteczniej, szczególnie zwrotnice, udeptaliśmy tym śniegiem. Robota poszła nam sprawnie. Im sytuacja była dłużej sparaliżowana, tym dla nas było lepiej – wspomina Andziak. – A później w ramach żartu zakopaliśmy malucha. On i tak był mocno przysypany, ale zrobiliśmy to tak, że właścicielowi ciężko było go znaleźć. Ustalić, gdzie on w ogóle jest.

W PRL nie tylko wśród młodzieży, ale i wśród dorosłych, była wielka niechęć do prac społecznych. Wynikało to między innymi z tego, że prace społeczne pełniły najczęściej funkcje propagandowe. Było w tym więcej udawania pracy niż

rzeczywistego wykonywania potrzebnych robót. Na dodatek tego typu „spędy” odbywały się w czasie wolnym, po godzinach lub w święta. Do takich akcji należały „niedziele czynu partyjnego”.

Bardzo często miały kosztowną oprawę propagandową, co zaprzeczało twierdzeniom, że ich wynikiem są oszczędności. Ludzie mieli wrażenie nacisku, szantażu. Nie pójdziesz, nie dostaniesz premii. Często, żeby dostać mieszkanie, trzeba było odpracować na przykład tysiąc godzin na budowie. Nie oznaczało to wcale wykonania konkretnej pracy. Zazwyczaj takie godziny polegały na przykład na dyżurach i były sposobem kontroli zatrudnionego na budowie stróża. I właśnie ludzi irytowała absurdalność prac społecznych. Najbardziej nie lubili w nich tego marnotrawstwa czasu i wysiłku, bo wykopany dół następnego dnia był często zasypywany przez ekipę robotników. Odbierano prace społeczne jako dodatkową formę udręczenia, kontroli, ideową szykanę.

– Mój przyjaciel wracał z Kętrzyna i wylądował w tych słynnych Koluśkach. Chaos ogólny i spontaniczna impreza sylwestrowa – relacjonuje Wojciech Andziak. – Ludzie sami odśnieżali tory, co dzisiaj byłoby nie do pomyślenia ze względów bezpieczeństwa.

Andziak mieszkał blisko szkoły, na ulicy Tynieckiej, więc bez względu na porę roku chodził do niej na piechotę. I zawsze się spóźniał.

– Jak nauczycielka mnie pytała, dlaczego się spóźniłem, to jej mówiłem: „Pani profesor, po drodze nie widziałem żadnego tramwaju”. I to była prawda. Nie widziałem. Szedłem spokojną ulicą Tyniecką, przechodziłem przez dziurę w płocie lub bramę i byłem w szkole.

Ojciec Wojciecha Andziaka pracował w energetyce, jak to się mówiło potocznie, ale formalnie jego miejsce pracy miało nazwę: Główny Inspektorat Gospodarki Energetycznej, Wybrzeże Kościuszkowskie 41. Wojciech Andziak świetnie pamięta dokładny adres. Gmach Głównego Inspektoratu mieścił się tuż obok baru Jaskółka. Bary nad Wisłą w Warszawie w czasach PRL miały nazwy ptaków, więc modne było wśród starszej młodzieży, szczególnie

studenckiej, organizowanie różnych ptasich, ornitologicznych ekspedycji. Ich celem było zaliczenie jak największej liczby „ptaków”, czytaj lokali. W każdym należało spożyć piwo, o ile takowe dowieziono, bo czasami te ekspedycje zmieniały się w poszukiwanie takiego baru, w którym w ogóle piwo było. Trasa ta przeszła do historii życia towarzyskiego stolicy jako „Szlak orlich gniazd”.

Inżynier Jerzy Andziak, ojciec pana Wojciech, codziennie o szóstej rano dostawał do domu meldunek o stanie ogrzewania w Warszawie. W okresie zimy stulecia były to meldunki, i wynikające z nich sytuacje, pełne napięcia. Ludzie, którzy odpowiadali za ciepło w stołecznych mieszkaniach, bez wątpienia dokonywali ogromnych wysiłków, by je zapewnić. Inżynier Andziak w budynku na Wybrzeżu Kościuszkowskim przepracował trzydzieści pięć lat, bo tak kiedyś ludzie byli związani z firmami, co w przypadku zakładów takich jak energetyka cieplna czy różne służby techniczne było i jest niezwykle ważne, bo zapewnia ciągłość w tych instytucjach.

– Drwimy często z PRL, ale wydaje mi się, że między tymi ludźmi, którzy razem pracowali w tych instytucjach, było więcej serdeczności i przyjaźni – zauważa Wojciech Andziak.

W czasie wakacji, kiedy ojciec musiał jechać gdzieś w teren, często zabierał ze sobą syna.

– Uwielbiałem to – mówi pan Wojciech. – Uwielbiałem jeździć do Białegostoku, gdzie odpowiednikiem mojego taty był dyrektor Jerzy Pszczoła, wielki pasjonat lokalnego życia kulturalnego. Odwiedzaliśmy wtedy garncarzy, ludowych artystów, miejscowych malarzy, oglądaliśmy stare cmentarze. – Wojciech Andziak bardzo lubi opowiadać anegdoty o barwnych ludziach i zabawnych sytuacjach. – W innym miejscu kraju pracował pewien mężczyzna i ojciec mi opowiadał, jak kiedyś, już po pracy, w czasie spotkania towarzyskiego zaproponowano mu kieliszek alkoholu. „Nie mogę, panie dyrektorze”. „A dlaczego?” „Bo jak się napiję, to ubliżam swoim przełożonym”. W końcu jednak się napił. „I co?” – pytam ojca. „Naubliżał” – powiedział ojciec, wzruszając ramionami.

Po wojnie teren wokół zburzonego przez Niemców Zamku

Królewskiego został uporządkowany i zamienił się w skwer, na którym pozostał fragment ściany gmachu z oknem Stefana Żeromskiego. Był to widok poruszający, skwer nie był ulubionym miejscem spacerów, choć ze skarpy rozciągał się ładny widok na Wisłę i Pragę. Ten fragment zamkowej ściany był przez ludzi traktowany jak pomnik.

Kiedy w 1971 roku zapadła decyzja o odbudowie Zamku Królewskiego, inżynier Jerzy Andziak powiedział do syna: „Chodź, zrobię ci zdjęcie na tle okna Żeromskiego. Już długo widok nie będzie taki, a ty będziesz miał pamiątkę”. Dzisiaj to zdjęcie znajduje się na stronach Zamku Królewskiego.

– Ojciec potrafił tak pomyśleć, spojrzeć w przyszłość – mówi wzruszony pan Wojciech Andziak.

## **GIEREK LEJE WODĘ, A ŚNIEG PADA**

„W sylwestrowy wieczór spotykamy się w wielkiej, polskiej rodzinie, aby tradycyjnym zwyczajem złożyć sobie życzenia noworoczne. W takiej chwili nasze serca wypełnia poczucie jedności wszystkich Polaków. Wszyscy czujemy i myślimy o czasie minionym, o wspólnych dokonaniach, o szczęściu najdroższych nam ludzi i przyjaciół, o planach i nadziejach na rok następny” – swoje noworoczne przemówienie I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR rozpoczął dość tradycyjnie, a nawet sztafpowo. Nadawane zaraz po „Wieczorze z Dziennikiem”, punktualnie o godzinie dwudziestej, orędzie noworoczne było stałą pozycją transmitowaną przez dwa programy Telewizji Polskiej i cztery Polskiego Radia, czyli wszystkie programy nadawane w PRL.

Druqa część przemówienia odbiegała jednak od tego, co bywało w poprzednich latach. Zwykle w tym miejscu wystąpienia chwalono osiągnięcia partii i rząduonego przez nią kraju. A tu od razu, prosto z mostu, że rok był zły. To było przyznanie, że w kraju jest kryzys, i to całkiem spory. W normalnych warunkach atmosferycznych na pewno w większym stopniu zwrócono by uwagę na ten fragment i omawiano by jego treść. Jednak za oknem każdy miał empiryczny dowód, że jest jeszcze gorzej, niż się towarzyszowi pierwszemu sekretarzowi wydaje.

Warto jednak przypomnieć te słowa. „Rok, który mija, nie szczędził nam trosk i trudnych problemów. Trzeba tu przypomnieć wyjątkowo ciężki dla rolnictwa czas żniw i zbiorów jesiennych, spiętrzenie się zadań w zwiększającym się z roku na rok budownictwie, rosnące zapotrzebowanie na przewozy i energię elektryczną. Mniej korzystne były także warunki sprzedaży na wielu rynkach, co

spowodowało kłopoty z importem. Mimo wysiłku ze strony państwa podjętego dla złagodzenia społecznych skutków tych zjawisk wiem dobrze, że nie pozostały one bez wpływu na codzienne życie milionów ludzi pracy. Lecz gdy uczciwie ocenimy miniony rok i nasz wspólny trud, dostrzegamy także wiele powodów do satysfakcji i dumy z owoców ogólnonarodowego wysiłku. Z myślą o potrzebach narodu rozwiązujemy problemy, które nabrzmiewały niekiedy przez dziesiątki lat. Ich pełne rozwiązanie wymaga znacznych środków i poważnego wysiłku, a przede wszystkim czasu”. Krótko mówiąc, cały ten PRL, te dekady wyrzeczeń na nic, trzeba wszystko zaczynać od początku. Na swój sposób prorocze słowa.

„Gospodarka narodowa stała się w mijającym roku bogatsza o nowe zakłady przemysłowe, dając pierwszą w życiu pracę tysiącom młodych Polaków, absolwentów szkół średnich i wyższych. W nowych osiedlach zamieszkało tysiące rodzin, przybyło krajowi obiektów użyteczności publicznej – szkół, przedszkoli, szpitali, ośrodków kultury. Znacznej poprawie uległy warunki pracy i wypoczynku” – dopiero teraz przeszedł do chwaleń osiągnięć PRL, co było kiedyś normą.

„Pół miliona najmłodszych obywateli naszego kraju rozpoczęło naukę w zreformowanej, dziesięcioletniej szkole”. Mało kto już pamięta, że ośmioklasową podstawówkę i czteroletnie szkoły średnie miały zostać zastąpione przez, takie same jak w Związku Radzieckim, szkoły dziesięcioletnie. Do tej reformy przygotowywano się niemal przez całą gierkowską dekadę i wprowadzono ją w życie właśnie w 1978 roku. Eksperyment nie przetrwał nawet PRL, wycofano się z niego pod koniec lat osiemdziesiątych.

Sztuką w telewizji było odpowiednie ułożenie ramówki tak, by nadawane przemówienie nie wzbudzało złych skojarzeń lub nie stało się pretekstem do złośliwości.

I tak w programach pierwszym i drugim telewizji najpierw wyemitowano o godzinie dziewiętnastej trzydzieści „Wieczór z Dziennikiem” skrócony o pół godziny, po nim o dwudziestej nadano przemówienie noworoczne Gierka, a następnie

o dwudziestej dwadzieścia utwory Fryderyka Chopina zagrane przez Piotra Palecznego. W jedyńce o dwudziestej trzydzieści puszczono „Studio Gama przedstawia – blok programów rozrywkowych” i dopiero po nim, o godzinie dwudziestej pięćdziesiąt „Gangsterski walc”, francusko-włoską komedię kryminalną. Taki film nie mógł pójść od razu po przemówieniu towarzysza Gierka. To byłoby zbyt oczywiste.

„W trosce o najstarszych, o ludzi – mówił dalej Gierek – którzy swe siły oddali ojczyźnie, znacznym wysiłkiem finansowym państwa rozszerzyliśmy poważnie zasięg opieki społecznej, między innymi ustanawiając dla spracowanych rolników prawo do spokojnej zabezpieczonej starości”. I tak się spontanicznie złożyło, że parę godzin wcześniej, o ósmej dwadzieścia rano, telewizja nadała program poradniczy „Emerytury dla rolników”.

PRL w 1978 roku miała swojego nowego bohatera. „Imię Polski rozślawił lot naszego rodaka pułkownika Mirosława Hermaszewskiego na orbicie okołoziemskiej. Lot ten był wymownym symbolem bliskiej przyjaźni polsko-radzieckiej. Możemy być dumni z tegorocznych dokonań naszej narodowej wspólnoty, z osiągnięć w sferze materialnej i duchowej, z wielu Polaków, o których było głośno w świecie” – mówił Edward Gierek.

Prawda jest taka, że nie tyle sam lot Hermaszewskiego, ile jego agresywna propagandowa oprawa spowodowała, że ludzie publicznie kpili z tego wydarzenia. Można nawet powiedzieć, że Hermaszewski skupił na sobie całą niechęć społeczeństwa do władz, a szczególnie do tego, co określano mianem propagandy sukcesu.

Potem pierwszy sekretarz przeszedł znowu do tradycyjnych rytualnych zwrotów: „Nasz kraj rozwija się zgodnie z wolą narodu. Konsekwentnie idziemy drogą wytyczoną przez VI i VII Zjazd partii, stawiając sobie jako cel nadrzędny siłę i autorytet Polski, dobro i pomyślność Polaków. Za wykonaną, wielką pracę dla ojczyzny z głębi serca dziękuję polskiej klasie robotniczej, polskim rolnikom, inteligencji, ludziom nauki i twórcom kultury, wszystkim ofiarnie trującym się dla tego szczytnego celu. W imieniu władz Polskiej



Rzeczypospolitej Ludowej składam wam, drodzy rodacy, wyrazy najwyższego uznania i u progu nowego roku proszę was gorąco, nie ustawajmy w pracy dla Polski”.

Śnieg padał ze zwiększonym natężeniem, mróz był coraz większy, a towarzysz Gierek wszedł w rozważania historiozoficzne. „Rozwój państwa i życie narodu nie podlegają miarom rocznego kalendarza” – nie była to aluzja do tego, co dzieje się na zewnątrz, towarzysz miał szersze horyzonty. „Częstokroć dopiero perspektywa pozwala dostrzec, na ile narody zdołały i potrafią nadal spożytkować swoje szanse i możliwości, skoncentrować swe wysiłki i umiejętności na bardziej życiodajnych zamierzeniach. Tę prawdę lepiej wszyscy rozumiemy z perspektywy sześćdziesięciolecia niepodległego bytu państwowego, gdy spokojnie, obiektywnie, z poczuciem odpowiedzialności spoglądamy na naszą przeszłość i na nasz dzień dzisiejszy, gdy oceniamy drogę, jaką przebyliśmy od tej pamiętnej nocy sylwestrowej sprzed trzydziestu pięciu lat, kiedy Krajowa Rada Narodowa ogłosiła program odrodzenia ojczyzny.

Pragniemy wszyscy Polski nowoczesnej, zamożnej i sprawiedliwej – ojczyzny ludzi szczęśliwych. Przetwórzmy te wspólne pragnienia w wielką siłę, w wytrwałość, w konsekwentne działanie i rzetelną pracę”. W ten oto sposób udało się połączyć odzyskanie niepodległości w 1918 roku z jej utratą w roku 1945. Piękny zabieg retoryczny.

W tym momencie trzeba zawsze zaapelować o zwarcie szeregów i większa dyscyplinę: „Witając nowy rok 1979, rok jubileuszu Polski Ludowej, zwracam się do was, rodacy, o twórczą obywatelską postawę, o pracę mądrą, wydajną, lepiej zorganizowaną, o niezachwianą wiarę w skuteczność tej wielkiej sprawy, która łączy nas, Polaków”.

I teraz najbardziej historyczny fragment przemówienia. Dotyczy Kościoła katolickiego, nowego papieża i problemu polskich komunistów, co z tym zrobić. Na początku postanowili zrobić z papieża przede wszystkim orędownika światowego pokoju.

„Do spełnienia narodowych ambicji i zamiarów, do pracy i życia,

dla szczęścia naszych dzieci i wnuków nade wszystko potrzebny nam pokój. Prowadzimy aktywną działalność na rzecz pokojowej współpracy i odprężenia między narodami. Krzewimy w świecie ideę wychowania dla pokoju całych społeczeństw, a zwłaszcza młodych pokoleń.

Powszechnie znane jest i wysoko cenione przywiązanie naszego narodu do sprawy pokoju i wolności. Pragniemy, by nowy papież wywodzący się z Polski zapisał się w historii jako ten, który wielkie możliwości Kościoła katolickiego wykorzystał dla świętej sprawy pokoju, współpracy między narodami i sprawiedliwości. Przekonaniem, iż rok nadchodzący przyniesie ludzkości pokój i pomyślność, dzielimy się z wszystkimi narodami”.

Pojawienie się Kościoła katolickiego i papieża Polaka musiało zostać zneutralizowane bełkotem internacjonalistycznym. „Rozwijamy współpracę międzynarodową, budujemy atmosferę zaufania i przyjaźni w stosunkach ze wszystkimi krajami. Umacniamy nasze przyjacielskie kontakty z państwami socjalistycznymi, strzegąc jak źrenicy oka tego, by nasz wspólny potencjał gospodarczy, zdolności obronne gwarantowały bezpieczeństwo Polski i pokój na naszym kontynencie.

Serdecznie pozdrawiamy dziś, na powitanie Nowego Roku, naszych najbliższych przyjaciół i sojuszników. Ślemy gorące słowa pozdrowień narodowi radzieckiemu, życząc mu kolejnych zwycięstw w budowie socjalizmu. Uczucia przyjaźni wszystkim narodom wspólnoty socjalistycznej, młodym, ludowym państwom Afryki, Azji, Ameryki Łacińskiej”.

Życzenia tradycyjnie skierowane były do klasy robotniczej. „Z ufnością i nadzieją wkroczyliśmy w nowy rok. Z tymi uczuciami kierują najserdeczniejsze życzenia noworoczne do polskiej klasy robotniczej, do braci górniczej, do hutników, metalowców i stoczniovców, do rolników, którzy dokładają starań, aby sprostać zadaniu wyżywienia narodu. Zwracam się do inżynierów, lekarzy, uczonych i nauczycieli, do twórców kultury. Życzę wam z całego serca wielu sukcesów, satysfakcji i radości z pracy dla ojczyzny”. Jak się okazało, klasa

robotnicza ich w końcu wysłuchała i w sierpniu 1980 na nie zareagowała.

Tradycyjnie pojawił się też wątek kobiecy, choć w tym przemówieniu był mocno ograniczony. „Kieruję nasze wspólne uczucia ku polskim kobietom, matkom i żonom, których codzienna troska o dom rodzinny, patriotyzm przekazywany najmłodszym wraz z miłością macierzyńską są najwyższą społeczną wartością”.

Obowiązkowy był też wątek o tych, co na służbie. Gierek nie przypuszczał nawet, że będzie on bardzo proroczy, bo tysiące ludzi w sylwestra zostało w trybie alarmowym wezwanych do pracy. „W tę noc, gdy w naszych domach gości sylwestrowa radość i zabawa, dziesiątki tysięcy ludzi pracowicie spędza czas. Pozdrówmy gorąco i serdecznie tych, którzy w tej chwili czuwają nad pracą hut, fabryk i portów. Szczęśliwej drogi życzymy kolejarzom i kierowcom. Pozdrówmy ofiarnych pracowników służby zdrowia, służb komunalnych, energetyki i łączności. Żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, służących sprawie pokoju i obronności naszego kraju, pracowników Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa, którzy chronią nasz spokój tej nocy i nasze wspólne mienie”. Trochę niepokojąco brzmi ostatnie zdanie tych życzeń, jakby ludzie tego dnia strasznie kradli i w ogóle groźni byli.

Trzeba przyznać, że jako jedyny I sekretarz KC PZPR Gierek starał się o w miarę dobre relacje z Polakami na emigracji, oczywiście z pewnymi wyjątkami: „Najszczerze serdeczne życzenia zgodnie ze staropolskim obyczajem kierujemy do miliona Polaków, których los, praca bądź służba rozdzieliły od ojczyzny, od swoich rodzin. Życzymy im poczucia dumy z przynależności do wielkiej polskiej rodziny, do kraju swych przodków”.

I na końcu zwrócił się do swoich (tutaj trzeba przypomnieć czytelnikom, że przynależność do partii poprzedzał okres dwuletni kandydacki, trzeba się było postarać). „Pozdrawiam gorąco trzy miliony członków i kandydatów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Kontynuujemy piękne tradycje polskiego ruchu robotniczego w poczuciu jedności, którą nasza partia chlubi się od

trzydziestu lat. Najlepsze pozdrowienia i życzenia kieruję do członków Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, do działaczy Frontu Jedności Narodu, do wszystkich ludzi, którzy w służbie obywatelskiej biorą na siebie coraz większe powinności”.

Tradycyjnie przemówienie Gierka było dzielone na części, a każda poprzedzona adresem. Najpierw mówił do rodaków (drodzy rodacy!), potem do przyjaciół (drodzy przyjaciele!), następnie do towarzyszy i obywateli (drodzy towarzysze i obywatele!), znowu do rodaków (drodzy rodacy!) i na koniec do przyjaciół Polek i Polaków (Polki i Polacy, drodzy przyjaciele!). Wtedy też złożył końcowe życzenia. „Niechaj Nowy Rok 1979 spełni nasze wspólne oczekiwania i nadzieje. Niechaj wyzwoli nowe siły, energię, mądrość narodową dla podjęcia przyszłych codziennych zadań. Życzymy naszej ojczyźnie pokoju i dalszego rozkwitu. Życzymy sobie nawzajem, życzymy każdej polskiej rodzinie szczęścia, zdrowia i pomyślności. Z całego serca życzę wam, rodacy, dobrego roku!”. „Niechaj wyzwoli nowe siły, energię...” Akurat trzeba było przepychać się przez śnieg, akurat tu i tam energię elektryczną wyłączyli.

Ale w Nowym Roku mało kto żył przemówieniem towarzysza Gierka, choć zrobiono wszystko, żeby wszyscy tym żyli. Bo ludzie generalnie mało żyli tymi partyjnymi przemówieniami, które były nieznośnie długie i którymi byli zamęczani przy każdej możliwej okazji.

## TELEWIZYJNY NOWY ROK (I NIE TYLKO)

Tak jak przemówienia I sekretarza były tradycją, tak specjalną rolę w czasie świąt i Nowego Roku odgrywały programy radiowe i telewizyjne. W 1978 roku tak się złożyło, że 30 i 31 grudnia wypadały w sobotę i niedzielę, pierwszy dzień nowego roku był poniedziałkiem.

Sobotni program telewizja zaczynała standardowo, czyli od szóstej trzydzieści do czternastej dwadzieścia pięć w TVP 1 można było oglądać Telewizyjne Technikum Rolnicze, które kończyło się zajęciami z mechaniki rolniczej: „Zbiór zbóż kombajnem”.

Potem były: o czternastej trzydzieści w kolorze „Telewizja Młodych Kosmonautów”, odcinek „Orbita”, a także kino dla najmłodszych z filmami animowanymi „Georgie ot uma”, „Czarna bandera” z serii „Przygody Bolka i Lolka” oraz „Reksio i jamnik”. Po dzieciach czas na wojsko, czyli „Radar” i reporterski magazyn „Obiektyw”. O godzinie piętnastej pięćdziesiąt pięć znów w kolorze „Dziennik” i zaraz po nim o szesnastej piętnaście również w kolorze program „Dzień dobry, tu Telewizja”.

Ten kolor może dzisiaj zaskakiwać, ale wtedy to była ważna informacja. To słowo podkreślano i umieszczano w nawiasie obok tytułu programu. W Polsce na początku grudnia 1971 roku uruchomiono telewizję kolorową, ale podobnie jak dzisiaj ze zmianą formatów i przejściem z telewizji analogowej na cyfrową nie było w zbiorach TVP wielu audycji w kolorze. Zresztą telewizorów kolorowych też było bardzo mało. Wśród programów telewizyjnych dominowały czarno-białe. W kolorze można było obejrzeć filmy zagraniczne i transmisje programów sportowych oraz rozrywkowych. Nadal powstawały audycje czarno-białe i taka

sytuacja trwała niemal do końca PRL. Taśma kolorowa była po prostu bardzo droga, bo najczęściej trzeba było ją kupować za dewizy, czyli zachodnie waluty. Złotówka była przecież wtedy niewymienialna. Wiele programów z tego czasu miało też elementy zarówno kolorowe, jak i czarno-białe.

Od szesnastej trzydzieści pięć w klimat sylwestrowy wprowadzała „Latarnia Czarnoksiężska” programem studyjno-filmowym „Taniec i piosenka” (też kolor), a zaraz po nim o siedemnastej pięć filmem „Tancerz na manewrach”, określonym jako amerykański film muzyczny. Potem był „Magazyn Motoryzacyjny” (18.35), „Dobranocka” (19.00) i „Wieczór z Dziennikiem” (19.30).

Na wieczorny seans filmowy Jedyńka zaproponowała amerykański western o bardzo proroczym tytule, biorąc pod uwagę perypetie komunikacyjne następnego dnia: „Tam, gdzie kończą się tory” (20.30). Następnie emitowano koncert noworoczny (22.05), „Dziennik” i „Studio Sport” (23.20).

Program TVP 2 w sobotę zaczynał pracę o czternastej pięćdziesiąt. Po prezentacji ramówki dnia nadano w kolorze „Studio Sport – Turystyka i Wypoczynek”, potem „Kino TDC”, czyli Telewizji Dziewcząt i Chłopców, a w nim „Sekrety kina” oraz kolorowy film fabularny produkcji angielskiej „Dzieci spod 47a”, odcinek pod tytułem „Interes” (15.25). Dalej znów program dla młodych widzów, czyli „Latający Holender” (16.25), a następnie audycja poradnicza „Zaufanie” (17.05).

O godzinie siedemnastej trzydzieści pięć pokazano „Popołudnie Podróży i Przygody”, a w nim między innymi odpowiedzi na listy telewidzów, filmy o Lapończykach i siódmy odcinek australijskiego serialu o aborygenach, a na zakończenie konkurs-zagadka. O dziewiętnastej dziesięć nadano program lokalny, potem równoległe z Jedyńką „Wieczór z Dziennikiem”, a po nim sportową audycję „Wokół Stadionów” (20.30), „Magazyn Morski – Okno na Świat” (21.00) i w „Klubie Jazzowym Studia Gama” „Gwiazdy jazzu w Polsce – 1978” (21.30). Program sobotni kończył amerykański western „Jak zdobyto Dzikie Zachód” (22.05).

W niedzielę Jedyńka wystartowała za piętnaście siódma audycją „Telewizyjnego Technikum Rolniczego”. Wyemitowano zajęcia pod tytułem „Uprawa roślin, semestr 3, uprawa grochu i wyki” i kontynuację z soboty „Zbioru zbóż kombajnem”. O siódmej czterdzieści pięć zaczynała się słynna audycja „Nowoczesność w Domu i Zagrodzie” (jak się kupowało coś nowego do domu, a rodzina nie była przekonana, to się mówiło, że potrzebna jest „nowoczesność w domu i zagrodzie”). Potem były wspomniane już „Emerytury dla rolników”, „Świąteczny kiermasz Teleranka”, magazyn publicystyczno-rozrywkowy oraz „Disneyland” – „Urodziny Kaczora Donald’a” (9.00). Następnie program „Antena” (10.20), francuski cykl dokumentalny „Wielkie rzeki świata” (10.45) i „Rolnicze rozmowy – Zawód dla dwojga” (11.40).

W południe nadano „Klub Sześciu Kontynentów” z tematem „Szlakiem agenta nr 1” i gośćmi: pułkownikiem Januszem Przymanowskim i Karolem Strasburgerem. Następnie „Plebiscyt Inter i Eurowizji” na pięciu najpopularniejszych sportowców świata (12.50), „W Starym Kinie” „Dzień na wyścigach”, czyli komedia z udziałem znanych komików. Po komedii dramat, to jest losowanie Dużego Lotka, a po tragedii „Rewia na dachu – Chaplinada”, widowisko rozrywkowe w reżyserii Josefa Laufra z Ireną Jarocką, Alicją Majewską, Janem Himilsbachem, Andrzejem Zaorskim, Kazimierzem Wichniarzem i Krzysztofem Litwinem. Następnie coś w podobnym klimacie – amerykański film science-fiction „Podróż fantastyczna”. O godzinie osiemnastej pięć telewizja czechosłowacka przedstawiła program sylwestrowy, a w nim takich artystów, jak Jiří Korn, Hana Zagorová i znana z piosenki „Lásko voníš deštěm” Marie Rottrová. O dziewiętnastej standardowo „Dobranocka” dla najmłodszych, potem dla dorosłych „Wieczór z Dziennikiem”, przemówienie noworoczne, Chopin i Paleczny, „Studio Gama”, „Gangsterski walc”, znowu „Studio Gama” (22.35), życzenia noworoczne, jeszcze raz „Studio Gama”, rewia w Teatrze Muzycznym w Gdyni „Żegnamy stary teatr – witamy Nowy Rok” (0.20). Po północy na wytrwałych czekały największe atrakcje:

o godzinie pierwszej pięć Ann-Margaret Smith, szwedzka gwiazda amerykańskich musicali i filmu, oraz „Wynajęty człowiek”, western. Noc sylwestrową w TVP 1 kończyło o trzeciej dwadzieścia pięć polskie widowisko muzyczne „Belle Epoque”.

Atrakcjami Dwójki była „Sylwestrowa Dyskoteka Studia 2” w reżyserii Wowo Bielickiego, a w niej: Czerwone Gitary, Zdzisława Sośnicka, Maryla Rodowicz, Zbigniew Wodecki, Anna Jantar, Engelbert Humperdinck, Boney M., Juan de Orleans i zespół wokalny Karela Gotta. Następnie o godzinie dwudziestej drugiej piętnaście „Teatr Telewizji” pokazał sensacyjny spektakl „Osaczony” według Michaela Careya. Po nim życzenia noworoczne, „Świąteczne Kino Programu Drugiego” z francuską produkcją „Porachunki rodzinne” (0.10), a na zakończenie nocy, o godzinie drugiej, film biograficzny „Louis Armstrong w Chicago”.

W noworoczny poniedziałek w Jedynce nie było audycji rolniczych, ale o dziewiątej film dla dzieci produkcji CSRS-ZSRR pod bardzo (biorąc też pod uwagę, przez kogo zrobiony) aktualnym tego poranka tytułem „Cyrk w cyrku”. Po nim klasyka „Dzieci lwicy z afrykańskiego buszu” (10.45). I powtórka z rozrywki, czyli „Dziennik” z przemówieniem towarzysza Gierka (12.20), a dla bezpieczeństwa o godzinie dwunastej czterdzieści pięć koncert e-moll Fryderyka Chopina w wykonaniu Krystiana Zimmermana z orkiestrą symfoniczną PRiTV w Krakowie. Poza tym dwukrotnie podsumowanie roku 1978 w sporcie (13.25 i 15.30), film francuski „Rok 1900” (14.10), noworoczny koncert Orkiestry PRiTV w Poznaniu pod dyrekcją Zbigniewa Górnego i w reżyserii Jerzego Gruzy (16.05). I dopiero o szesnastej czterdzieści angielska komedia przygodowa „Ci wspaniali młodzieńcy w swych szalejących gruchotach”. Wiadomo, film nie mógł być wyemitowany po powtórce przemówienia towarzysza Gierka. Dla dzieci „Dobranocka”, wcześniej niż zwykle, ale wyjątkowo atrakcyjna: „Disneyland” – „Goofy sportowcem” (18.40). „Wieczór z Dziennikiem” bez zmian, o zwykłej porze. Następnie „Huśtawka” – szósty odcinek serialu „Układ krążenia” (20.30) i po nim „Powróćmy



jak za dawnych lat”, widowisko muzyczne w reżyserii Janusza Rzeszewskiego z udziałem Haliny Kunickiej, Bohdana Łazuki, Barbary Wrzesińskiej, Piotra Fronczewskiego, Jaremy Stępowskiego, Jana Kobuszewskiego i innych. Na zakończenie informacje sportowe (22.35).

W noworoczny poniedziałek w TVP 2 gościła sprawdzona spółka, czyli „Studio 2” i redakcja muzyczna. Zaczynało się o godzinie dziesiątej rozmową Ireny Dziedzic z Jerzym Semkowem. Potem „O operze serio i z przymrużeniem oka” mówił między innymi Janusz Łętowski (10.30), a w południe nadano „Koncerty mistrzów na bis”. Dalej w „Świątecznym Kinie Programu Drugiego” rywalizacja dwóch mocarstw: komedia z ZSRR „Nieproszeni goście” (12.45) kontra musical z USA „West Side Story” (14.10).

Następnie coś z klimatu Pawki Morozowa, bo o szesnastej czterdzieści „Turniej rodzinny” („w programie występują dwie rodziny, które poddane zostaną testom ujawniającym cechy charakteru rodziców i dzieci”). „Teatr Wspomnień” z „Emancypantkami” Bolesława Prusa w reżyserii Adama Hanuszkiewicza (17.40). „Wieczór z Dziennikiem” (19.30).

O godzinie dwudziestej trzydzieści atrakcja wieczoru, widowisko sportowo-rozrywkowe, czyli redakcje zespołu „Studia 2” przedstawiają „Wielobój gwiazd”. W programie udział wzięli piłkarze Zbigniew Boniek, Adam Nawałka, Władysław Żmuda, Henryk Maculewicz, Stanisław Terlecki, Wojciech Rudy, Roman Ogaza, Henryk Wieczorek oraz górnicy śląskich kopalń; komentowali Jan Ciszewski i Tomasz Hopfer. Po sporcie dla urozmaicenia znów sport – program zakończyły o godzinie dwudziestej drugiej „Wiadomości Sportowe”.

Program radiowy, co warto podkreślić, był w tych dniach bardzo muzyczny i zróżnicowany, dostosowany praktycznie do każdej grupy słuchaczy. Oczywiście nie mogło zabraknąć takich audycji, jak „Moskwa z melodią i piosenką” (Program I, 31 grudnia, godzina 7.30). Na tej samej antenie przed przemówieniem Gierka i po nim zastosowano zabieg podobny jak w TVP, by wystąpienie pierwszego

sekretarza KC nie wywoływało złych skojarzeń. I tak najpierw nadano o godzinie dziewiętnastej piętnaście audycję muzyczną „Z balu naszej babuni”, potem kilka minut audycji „Muzyka polska”, o dwudziestej Gierek, znów „Muzyka polska”, o dwudziestej dwadzieścia „Z balu naszej mamy” i dopiero pięć minut po dwudziestej pierwszej „Sylwester z radiem”. Powtórkę przemówienia nadano następnego dnia w południe. Zaintrygowało mnie, że tak jak w telewizji w noworoczne dni pokazano teatr na podstawie „Emancypantek” Prusa, tak w radiu (Program I, 31 grudnia, godzina 16.05) zaprezentowano „Koncert w Iksinowie” – słuchowisko według powieści „Emancypantki”. Skąd takie nagłe zainteresowanie?

W Polsce z powodu tradycji i surowego klimatu Boże Narodzenie i Nowy Rok większość ludzi obchodzi głównie w domu, wśród bliskich. Przez wiele lat na taki sposób spędzania dni świątecznych wpływ miały również czynniki ekonomiczne i polityczne. W latach pięćdziesiątych zachęcano ludzi do zabaw na świeżym powietrzu, ale ta forma się nie przyjęła.

W pierwszej połowie XX stulecia głównym urozmaicheniem świątecznych i noworocznych spotkań było radio, patefony i gramofony. Powojenny okres dziejów Polski był także częścią ery radia. W 1946 roku radiowa Wigilia i święta przebiegały jeszcze jak przed wojną. Było dużo kolęd i jasełek. W Wigilię transmisja pasterki, pierwszego dnia świąt rano transmisja nabożeństwa z Jasnej Góry, a drugiego dnia mszy z gdańskiej Oliwy. Nowa rzeczywistość dawała o sobie znać nieśmiało, i to dopiero 26 grudnia, audycjami „Zwyczajne świąteczne naszych przyjaciół” oraz „Młódzież polska śpiewa o pokoju”.

Dwa lata później, 24 grudnia 1948 roku, „Życie Warszawy” obwieściło „Zwycięstwo wielkiej prawdy”. Chodziło o socjalizm. W tej sytuacji radio nadało audycję świąteczną „Służba Polsce”. Ale była też (jeszcze!) transmisja z pasterki w kościele garnizonowym w Łodzi. W święta ludowi pracy zafundowano pogadankę o prawdziwym pochodzeniu świąt Bożego Narodzenia. Dla

równowagi polskiego ducha atrakcją był świąteczny koncert z Toruńskiej Fabryki Pierników. Radiowe święta zakończył skecz Paporisza „Aria podatkowa”.

W sylwestra 1948 roku program był krótki. Dla wsi „Zdobycze rolne w 1948 roku”, dla przodowników pracy koncert, dla dzieci „Prosimy do tańca”, dla wszystkich pogadanka sylwestrowa, przemówienie komendanta Służby Polsce i prezentacja zwyczajów noworocznych w ZSRR. Potem muzyka lekka i radiowa zabawa. Dwie minuty po północy przemówienia, które trwały do godziny pierwszej. Jeszcze trochę muzyki i o trzeciej nad ranem „koniec audycji”, jak podano w gazetach.

W 1950 roku radio nadawało w Wigilię kolędy polskie, ale dla równowagi w programie znalazł się koncert artystów radzieckich, po nim zabrzmiała typowa dla świąt muzyka taneczna. Po wigilijnych tańcach można było spokojnie wysłuchać noweli redaktor Barchanowskiej „Nareszcie człowiek wie, że żyje”.

Telewizja pojawiła się w połowie lat pięćdziesiątych, ale jeszcze przez co najmniej dziesięć-piętnaście lat była wyjątkową atrakcją. Panował wtedy zwyczaj zbiorowego oglądania audycji. Ten, kto miał odbiornik telewizyjny, pozwalał u siebie w domu oglądać program sąsiadom. Mieszkania właścicieli telewizorów zamieniały się w małe sale projekcyjne. Takie zbiorowe oglądanie TV w mniejszym stopniu występowało w święta, bo wtedy w rolę sąsiadów mogli się wcielić kuzyni z prowincji.

Z kolei jedną z największych atrakcji radia w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych było to, że nadawało ono sporo muzyki zachodniej, trudniej dostępnej w telewizji. W 1964 roku na falach radia obecne były oczywiście zarówno kolędy, jak i muzyka poważna. Także jasełka murzyńskie, spotkanie z Louistem Armstrongiem oraz melodie w rytmie samby i calypso. Emitowano również audycję „Moskwa z melodią i piosenką słuchaczom polskim”.

W sylwestra w latach sześćdziesiątych radio nadawało zwykle bloki muzyki tanecznej, a każda z trzech anten proponowała własny,

specjalnie na tę okazję przygotowany program. Jedyńka miała bloki w rodzaju „Wielkiego dorocznego zakończenia roku w salonach zespołu dziewiątka”, Dwójka proponowała „Przetańczyć całą noc”, a Trójka ogłaszała, że „Sylwester ma dyżur”.

Telewizyjne atrakcje wieczoru sylwestrowego w 1964 roku zapowiadały się angielskim filmem „Skrzynki na start” i programem „W krainie walca”. O ósmej przemawiał przewodniczący Rady Państwa PRL Edward Ochab. Po nim była „Dobranocka” i „Dziennik”. Dopiero wtedy wkraczał duch zabawy. Pokazano kolejno: film francuski „Piękności nocy” i „Teatr Sensacji »Kobra«” ze sztuką „Telepatia”. Senność trudno było powstrzymać między godziną dwudziestą trzecią dwadzieścia pięć a północą, gdy nastąpiła pora pozdrowień od bratnich telewizji. Nowy Rok inaugurowała „Szopka Wielokropka” napisana przez Jerzego Kleynego, Antoniego Marianowicza i Stanisława Tyma.

„W czasie Bożego Narodzenia 1966 roku w radiu można było usłyszeć wiele muzycznych atrakcji. Śpiewali Brenda Lee, Paul Anka i Charles Aznavour, grał jazzowy kwintet Maxa Roacha. Zorganizowano też radiowe spotkanie Brigitte Bardot. Była również muzyka z mediolańskiej La Scali, „Opowieści Hoffmanna” Offenbacha i „Dziadek do orzechów”. Przygotowano słuchowiska na podstawie powieści Georges-a Simenona „Boże Narodzenie Maigreta” oraz „Gwiazda, gwiazdeczka” Ernesta Brylla. Tym razem nie zwierzęta, ale zabawki miały głos.

Również w telewizji obecny był Ernest Bryll z programem „Od Ostrowi świeci gwiazdka”. TVP próbowała zbliżyć się do Ziemi Świętej i w Wigilię dominowały programy z rejonu basenu śródziemnomorskiego: „Melina Mercouri w Grecji”, włoski film „Romanzo d'amore” oraz – również z Italii – program rozrywkowy „Studio uno”.

W pierwszy dzień świąt wyświetlano: jeden z lepszych polskich seriali „Wojna domowa”, jedną z największych atrakcji tamtych lat „Człowiek z psem”, odcinek serialu „Belphegor, czyli upiór Luwru” oraz amerykański western „Alarm w Table Rock”. Rodzima

produkcja tytułami raczej nie zachęcała: film „Iluzja” oraz „Balet dla sceptyków”. Następnego dnia było groźnie. Zaczęło się realistycznie radzieckim filmem dla młodzieży „Dzwonią, otwórzcie drzwi”, a skończyło serialem „Czarownice”. Dzień zakończono angielskim obrazem, z którym identyfikowały się miliony Polaków, „Milioner bez grosza”.

Jeszcze trudniejszy był sylwester. Zamiast prognozy na 1967 rok – „Czarne światło” (serial „Upiór Luwru”), przemówienie przewodniczącego Rady Państwa i radziecki program rozrywkowy (nie mylić z przemówieniem). Ten, kto przetrzymał, mógł obejrzeć amerykańskie „Las Vegas” i angielski „Big-beat w kosmosie”.

W 1970 roku tuż przed świętami sejm PRL uczynił Józefa Cyrankiewicza przewodniczącym Rady Państwa, a Piotra Jaroszewicza premierem. W tej sytuacji w radiu spokojnie można było emitować program „Zwierzęta mówią” i koncert melodii z filmów Walta Disneya. Zaśpiewali kolędnicy z Chicago i Poznania. Przeprowadzono wywiad ze świętym Mikołajem.

W telewizji zmroziła radziecka „Królowa Śniegu” i czeskosłowacka „Zima”. Nurt nadziei reprezentowały filmy „Sami swoi”, „Bolek i Lolek” oraz francuska „Druga młodość”. Święteczne poranki zajęły erefenowsko-jugosłowiański obraz z serii „Winnetou”.

W latach sześćdziesiątych narodził się zwyczaj, utrzymany do lat dziewięćdziesiątych, dzielenia filmów w święta na odcinki. Zdaniem telewizji miało to przez dni wolne przyciągać widzów do telewizorów, ale większość osób zajętych posiłkami rodzinnymi i tak oglądała najwyżej jeden odcinek.

Święta 1970 roku uznano za egzotyczne, bo przygotowano i teatr japoński, i operetkę, była Sława Przybylska, w „Klubie Sześciu Kontynentów” czeski program rozrywkowy „Indianie bez pióropuszy”, polskie filmy „Kochajmy Syrenki” oraz „Gangsterzy i filantropi”, z Węgier dotarł obraz „Węgierski magnat”. Śpiewało Mazowsze, a na dobranoc porwano Baltazara Gąbkę. Na okrasę wyemitowano amerykańskie filmy „Nie przysyłaj mi kwiatów” i „Zatańczmy” oraz produkcję włoską „Wielki Caruso”.

W sylwestra radiowa Trójka zaproponowała „Rozgrzewkę przed północą”. Rankiem 1971 roku zrezygnowano z porannej gimnastyki, a wytrwali oraz bardzo zmęczeni mogli wieczorem wsłuchać się w „Echa sylwestra”. W telewizji sylwestrowy program zaczął się proroczo, między innymi polskim filmem „Księżę sezonu”, a potem okazało się, że była to dekada „czerwonego księcia”, czyli syna premiera Jaroszewicza.

W telewizyjnej Dwójce przed północą widzowie musieli przeżyć ciężkie chwile, oglądając „Sylwestra u naszych sąsiadów”, czyli relacje z Moskwy, Berlina i Pragi. Potem rodzinny blok sylwestrowy i program na następny dzień. Przynajmniej 1 stycznia zaczął się obiecująco audycją z cyklu „Dymek z papierosa”. Odcinek noworoczny nosił tytuł „Noworoczne poprawiny”.

Wigilia i święta 1974 roku były dobre dla Olgi Lipińskiej. W Wigilię „Teatr Telewizji” zaprezentował „Pierwszą lepszą” Aleksandra Fredry w jej reżyserii, a w pierwszy dzień świąt „Lato w Nohant”. Poza tym była „Gospoda świąteczna”, „Fantomas”, „Kleopatra” z Elizabeth Taylor i Richardem Burtonem, „W pustyni i w puszczy” oraz „Tarzan i Amazonki”. Równowagę ideologiczną zapewniała radziecka komedia „Pechowy zalotnik”, eneradowski program rozrywkowy „Wszystkiego po trochu”, a także artyści estrady polskiej i krajów socjalistycznych w programie „Z najlepszymi życzeniami dla Huty Małapanew w Ozimku”.

W sylwestra w telewizyjnej Jedynce nareszcie ujawniono „Życiorys Kaczora Donalda”. Potem był „Ostatni walczyk”, przemówienie i Chopin. Dwójka nadała „W starym kinie” „Książętko” (czyżby znów aluzja do „czerwonego księcia”?) oraz angielskiego „Hoffmana” i amerykańską „Błądą twarz” (ukryta zapowiedź sklepów komercyjnych?). Na kaca było „Rio Bravo” i masochistyczne „Różę dla Karl-Marx-Stadt” z NRD.

W Wigilię 1976 roku nie wiedzieć czemu programowi bożonarodzeniowemu nadano nazwę wielkanocną „Allewizja”. Był to program z udziałem świętego Mikołaja. Miał zresztą swoją kontynuację w Nowym Roku. Pojawił się Jean-Paul Belmondo

w „Cartouche – zbójca”, a w Dwójce klasycy literatury w wersjach filmowych. „W starym kinie” gościli towarzysze Flip i Flap, w młodszym „Żona modna” oraz „Wojna i pokój”. Od dziewiętnastej trzydzieści do dwudziestej czterdzieści zadręczał widzów horror zwany „Wieczorem z Dziennikiem”. Potem jeszcze „Śmiejemy się z siebie”, ale (broń Boże!) nie z władzy ludowej.

W programie sylwestrowo-noworocznym zaprezentowano „Damski gang”, „Pannę mężatkę”, Gierka i „Cyrk Monty Pythona”. Po przetarciu oczu można było zobaczyć „Szczęśliwego Nowego Roku”, produkcję kinematografii radzieckiej, oraz szczęśliwsze rozwiązanie, czyli braci Marx (nie mylić z Karolem Marksem).

Można odnieść wrażenie, że w 1980 roku telewizja nie wiedziała specjalnie, co ma puszczać w Wigilię. Był więc papież z góralami, „Szklany pantofelek”, czyli Kopciuszek w wersji amerykańskiej, „Królowa Bona”, „Błękitna rapsodia” o George’u Gershwinie oraz „Opowieści mojej żony” Mirosława Żuławskiego z Zofią Kucówną w reżyserii Adama Hanuszkiewicza.

W święta zaś wyemitowano i „Dzisiejsze czasy” Charliego Chaplina, i „My Fair Lady” według Bernarda Shawa. Po raz kolejny też „Szczęśliwego Nowego Roku” cynicznie życzyła radziecka komedia.

W czasie stanu wojennego święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok przebiegały w określonych warunkach geopolitycznych. W radiu w sylwestra był felieton pułkownika Stępniewskiego, muzyka, „Bicie zegara” (nie mylić z bijącym sercem partii – ZOMO), muzyka i toasty. Od rana „Kiermasz pod kogutkiem”, komunikat energetyczny i oczekiwana przez wszystkich audycja „Nowy Rok na posterunku”. Potem „Przeboje minionego roku”.

W telewizji po przemówieniu noworocznym zaserwowano program „Piosenki, które lubimy”, film (niczym dramatyczne wyznanie) „Kochaj albo rzuć”, „Przekładaniec sylwestrowy” i na dobicie niezastąpionego Karela Gotta. Sytuację po północy ratowały imperialistyczne „Melodie z tamtych lat”. Noworoczny poranek dzieci zaczęły „Światem marzeń”, a dorosłych szybko, bo w porze obiadowej, sprowadzono do postawy zasadniczej programem

„Stanęliśmy wojskiem”.

Rok później przed świętami hucznie obchodzono sześćdziesięciolecie Związku Radzieckiego i uroczyste spotkanie Wojciecha Jaruzelskiego z Jurijem Andropowem.

Główną atrakcją wieczoru wigilijnego był czternasty odcinek czeskiego serialu „Szpital na peryferiach” zatytułowany „Powtórna operacja”. Święta umiłał animowany film „Między nami jaskiniowcami”. Jak horror brzmiał tytuł radzieckiej baśni filmowej „Posyłam cię, sam nie wiem dokąd”. Zagrał Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego i wystąpił teatr z tajemniczym spektaklem „Największy krasnal świata”. Seweryn Krajewski próbował szukać konsensusu „Między deszczami”, ale główny nurt historii pędził gdzie indziej. Proponowano więc „Militaria, obronność, nowoczesność” i „Manewry miłosne” z 1935 roku.

Atrakcją sylwestra tamtego roku była radziecka komedia (instruktażowa?) „Wypij do dna”. Dobrze, że widzów czekały dwa wolne dni, sobota i niedziela. Niedziela jako Dzień „Dziennika Telewizyjnego” zaczynała się od programu „Na żołnierskich posterunkach” – o trzydziestej dziewiątej rocznicy utworzenia Krajowej Rady Narodowej i Armii Ludowej.

Święta w 1983 roku były świętami ostatnich odcinków czechosłowackiego serialu „Zasłużony sukces” oraz polskich produkcji: „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” i „Blisko, coraz bliżej”. Z zachodnich filmów był „Francuski łącznik” i egzotyczny serial „Fortunata i Jacinita”, z radzieckich „Przygody Tomka Sawyera”. Zorganizowano spotkania z komunistycznym pisarzem Tadeuszem Hołujem i bohaterką czeskiego serialu „Kobieta za ladą”, zwanego przez widzów nieoficjalnie „Ladacznicą”. Mówili też ludzie filmu. Między innymi Anna Dymna, Jerzy Hoffman, Magda Scholl i Jerzy Susłowski ze swoimi zwierzętami.

Sylwestra rozpoczęto przemówieniem Henryka Jabłońskiego i „Borsalino” z Janem Pawłem Belmondo. W telewizyjnej Dwójce były sylwestrowe refleksje towarzyszy (między innymi Aliny i Czesława Petelskich, Józefa Bareckiego, Kazimierza Koźniewskiego).



Na koniec nadano „Ostatni termin” z Humphreym Bogartem.

Pod koniec lat osiemdziesiątych znowu zaczęło się normalizować. W wigilię 1987 roku Dwójka zaproponowała „Błazna królewskiego”, ale wiele osób się zawiodło, bo liczyło na audycję o rzeczniku junty wojskowej z 1981 roku Jerzym Urbanie. W święta szukano równowagi między dwoma odcinkami „Szczęk” i „Seksmisją”.

W sylwestra zafundowano widzom kryptopiracką „Prywatkę z satelitą” i wspaniały film amerykański „Żądło”. Bardziej rewolucyjnie była nastawiona telewizyjna Dwójka. Dała film francuski, którego tytuł brzmiał jak program polityczno-telewizyjny: „Wolność, równość, bigos”. Nad ranem pierwsze równowagę odnalazły dzieci dzięki angielskiemu obrazowi „Kraina Nigdy Nigdy”, potem nastał czas na Marlona Brando i „Młode lwy”.

W pamiętnym 1988 roku dzień Wigilii zaczął się ostro o ósmej czterdzieści programem „Z działki na wigilijny stół”. Chwilę później pokazano „Dzieje pieprzu” oraz „Pieprz i wanilię”. Niektórym było nawet mdło. Sytuację próbował ratować ksiądz prymas Józef Glemp ze swoim wigilijnym orędziem. Większość świątecznych filmów telewizyjnych miała w tytule spójnik „w”: „W kamiennym kręgu”, „W labiryncie”, „Pojedynek w słońcu” i „Wampiry w Hawanie”.

Na szczęście był jeszcze odbierany w Warszawie pierwszy program telewizji radzieckiej, w którym można było posłuchać piosenek żołnierskich wykonanych przez żołnierzy bratnich armii NRD, CSRS, WRL i PRL. Bardziej krytyczni mogli wpatrywać się w „Reflektor przebudowy”.

## ZIMA METAFORYCZNA

„»Opóźniony pociąg pospieszny z Kielc do Warszawy odjedzie z peronu pierwszego«. Tyle udało się usłyszeć z dworcowej szczekaczki. Światła ostatniego wagonu szybko znikły za kurtyną padającego śniegu. Peron wyludnił się błyskawicznie. Zapewne z powodu mrozu jak cholera, choć w Boże Narodzenie było jeszcze plus dziesięć. Zresztą, co można robić o szóstej wieczór w sylwestra na dworcu w Skarżysku? W ciemnobiałej czeluści zniknęli wszyscy wysiadający, z daleka ledwie dochodził wojskowy zaśpiew »grupa rezerwy szła do cywila, niejedna panna płakała...«. A nad peronem kiwała się jak pijana poświata latarnianego światła.

– Co ja tu robię? – Takie pytanie jako pierwsze zadała sobie dziewczyna stojąca samotnie na peronie, kiedy upewniła się, że po oddalającym się »pośpiechu« nikt już nie został. Peron był czysty i biały, ślady zelówek pracowicie przysypywał śnieg, jakby chciał powiedzieć: nic tu po was – ma być pusto. Nikogo. Jest zima stulecia i basta!”.

Tak pochodzący z Kielc Sławomir Rogowski, pisarz, reżyser, scenarzysta i urzędnik państwowy, opisywał początek zimy 1979 roku w tytułowym opowiadaniu z tomu „Zima stulecia” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004).

– Zima stulecia ma swoją symbolikę w tej książce i w takim rozpamiętywaniu PRL – mówi Rogowski. – Kiedy napisałem to opowiadanie, pomyślałem, że ten tytuł ma pewną przekorę, ja też jestem przekorny. I to mi odpowiada. Te moje opowiadania opisują świat, którego już nie ma. Mówią o świecie szczęśliwym i nieszczęśliwych ludzi. Tak naprawdę ich szczęście i nieszczęście wcale nie bierze się z systemu, tylko z życia.

Jeśli ktoś złamał nogę, to nie zawsze była to wina komuny. To, że

się ludzie kochali, rodzili i umierali, to nie było sprawą komuny. Bo jednak na „przyczynowość sprawczą” komuny trzeba patrzeć z pewnym przymrużeniem oka.

Krytycy recenzujący książkę określili ją jako hrabalowską w duchu, choć sam autor mówi, że bliżej mu do inspiracji prozą Marka Nowakowskiego. Wydany w 2004 roku tom opowiadań wyprzedził modę na PRL. A ta współczesna moda to nie tylko przypominanie absurdów, odwoływanie się do takich rzeczy jak łyżka lub widelec na łańcuchu w barze, to także odnajdywanie pewnych zjawisk, które w tamtych czasach były dobre.

– Ci, którzy twierdzą, że wszystko w PRL było do niczego, to są idioci, podobnie jak ci, którzy uważają, że wtedy wszystko było super. A nie wszystko było super. Jeden z moich bohaterów mówi o tamtych czasach: „Wiemy jak było. Do dupy było”. Tylko w tym „do dupy” trzeba było umieć żyć, bo inaczej można było zwariować. Tak jest z uproszczonymi opowieściami, na przykład o papierze toaletowym. To jest to, czego dzieci nie rozumieją. Jak to co, papier toaletowy to wisi w kiblu na specjalnym ładnym, ozdobnym uchwycie! W naszych czasach nie było ozdobnych uchwytów na papier w sraczu. Papier był albo nie, a my nie dramatyzowaliśmy, kiedy go nie było.

W kolejnej swojej książce „Widok z dachu” (Muza, 2014) Rogowski tak opisuje perypetie z papierem toaletowym, z jakimi miał do czynienia Tolek, bohater powieści:

„Hrabia zważył przyniesioną przez niego paczkę makulatury, wystawił asygnatę i powiedział:

– Należy się panu, młodzieńcze, cztery rolki, to znaczy po jednej za każde pięć kilo. Jak widać, władza nas nie rozpieszcza nawet w sytuacjach, wydawałoby się, tak prozaicznych jak defekacja, a zwłaszcza utrzymanie związanej z nią higieny. Ci tam na górze nie marnują żadnej okazji, żeby naród upodlić, zmusić, aby był uległy. Musi pan pamiętać, że cały ten reżim jest, nawet wtedy, kiedy pan idzie do wychodka! I fakt, że postawił pan stolec, staje się kolejną okazją do przypomnienia o jego istnieniu. To bestie, przepraszam,

ale muszę to powiedzieć, czerwone gównozjady!”.

Wróćmy jednak do zimy stulecia.

„W megafonie zatrzeszczało i rozległ się kobiecy głos:

– Szanowni pasażerowie, tych z państwa, którzy udawali się do Sandomierza, przepraszamy. Z uwagi na nieprzejezdne tory pociąg kończy bieg na następnej stacji, w Kunowie, opóźniony pociąg osobowy do Skarżyska odjedzie za dwadzieścia minut...”.

A jaka była zima stulecia Rogowskiego? Siedział wtedy w Kielcach, w domu, z parą przyjaciół, z którymi do tej pory utrzymuje serdeczne kontakty. Oni tak naprawdę są teraz jego kielecką rodziną, bo już tam nie ma nikogo. Chodzili razem do podstawówki, później do szkoły średniej, przyjaźnią się do dzisiaj.

– Graliśmy w brydża. Tym czwartym był mój ojciec. Pamiętam jak dziś. Pewnie była jakaś naleweczka do tego... Oni mieszkali na drugim końcu miasta. Paliłem papierosy, a u rodziców się nie paliło, więc żeby im nie kopcić i spokojnie zapalić fajkę, odprowadziłem znajomych. Miałem wtedy kurtkę puchową, w której szedłem rozpięty, bo było na tyle ciepło. Mogło być osiem, dziewięć stopni. To był koniec grudnia. 27, 28... może 29. Jakoś tak. Padał deszcz. Strugi deszczu. Ortałion kurtki nie był impregnowany i te pióra w środku przemokły. Padał deszcz i ulice parowały. Ziemia była cieplejsza od tego deszczu. Następnego dnia zaczął padać śnieg. Może to były dwa dni przed sylwestrem, dokładnie nie pamiętam.

„Pociąg ruszył. Jechał powoli, ale miarowo. Zasy py tworzące się po obu stronach toru sprawiały wrażenie, że jechali śnieżnym wąwozem, w którym panowała cisza. Stukot kół był ledwie wyraźny, tłumity go śnieżne groble”.

W sylwestra Rogowski był umówiony ze swoją dziewczyną w Skarżysku Kamiennej. Mieli się spotkać na dworcu. Chyba nie przepada za tym miastem, które bardziej kojarzy się ze służbową delegacją zaopatrzeniowca zakładów przemysłowych niż miejscem romantycznego spotkania. („Z poczekalni przez kowbojskie drzwi wchodziło się do bufetu »Wars«. Panował w nim zapach piwa karmelowego, śledzi i jajek na twardo. W centralnej części

przeszkłonej lady chłodniczej spoczywały dumnie kotlety mielone. Tak zwany przegląd tygodnia. W Skarżysku na dworcu były największe mielone, a bufet słynął z nich aż po Radom”).

Spotkali się w tym nieromantycznym miejscu, wsiedli w pociąg do Rozwadowa i pojechali w tamtą stronę. Wysiedli na trasie, w Kunowie.

– Czekamy, czekamy, mieli po nas wyjechać, nie wyjechali. Mówimy: „Co jest grane?”.

I ruszyli, brnąc w śniegu. Mieli trzy, może cztery kilometry do leśniczówki. To było leśnictwo Sadłowizna koło Kunowa. Może nic nadzwyczajnego, luksusowego, ale piękne, nastrojowe. Brnęli więc przez śnieg, który nie przestawał padać. Tak zasypało, że nie dało się iść. Mieli też jakieś tobołki, które z sobą wlekli.

– Gdyby ona tam nie bywała wcześniej, to byśmy zabłądzili, bo ja tam szedłem dopiero drugi raz w życiu – opowiada Rogowski. – Moja dziewczyna była tak zmęczona tym brnięciem, że dostała krwotoku z nosa. Tylko wilków brakowało. W końcu doszliśmy na skraj lasu, gdzie leśniczy, jej wujek Stanisław Miedziński, na nas czekał.

Echa tej wędrówki można znaleźć w opowiadaniu „Zima stulecia”, choć pewne szczegóły geograficzne, jak przyznaje autor, zostały zmienione.

– Gdyby mnie ktoś spytał, czy chciałbym, żeby PRL wrócił, to odpowiedziałbym: nie! To jest głośne i wielkie: NIE. Na pół strony tłustym fontem – mówi Sławomir Rogowski. – Ale nie można wmawiać ludziom, którzy byli wtedy młodzi, że wszystko wynikało z systemu. Nauczyłem się jeździć na rowerze w czasach PRL. Miałem wtedy siedem lat. Ojciec kupił mi rower, na którym nauczyłem się jeździć. To jest opis czasu. Byłem młodym szczęśliwym człowiekiem. Miałem rower i na dodatek potrafiłem na nim jeździć.

Zdaniem Rogowskiego główny mankament PRL to monopartyjny reżim polityczny i jego nieporadność w gospodarce, czego skutkiem był deficyt, doskwierający, kłopotliwy, a momentami straszny, przerażający.

– Zima stulecia... Jakie mamy cztery klęski w socjalizmie? Wiosna, lato, jesień, zima – przypomina popularne kiedyś stwierdzenie. – Zawsze jest zima stulecia. Zawsze jest do dupy. Latem nie ma sznurka do snopowiązałek, a zimą drogowców zaskakuje trzeci stopień odśnieżania.

Rogowski nie lubi też takiego upraszczania, że wtedy nic nie było, a teraz jest wszystko.

– Te moje opowiadania są bardziej o ludziach niż o systemie – podkreśla. To bardziej uniwersalne, są ci dobrzy, i ci źli. Jedni bez drugich nie istnieją...

Ma świadomość pewnych paradoksów. Z jednej strony wszystko mogło być zimą stulecia, z drugiej strony nie wszystko nią było, bo nie wszystko było katastrofą. Stąd zima stulecia, która jest bardziej wieloznaczna. I nie jest to obrona PRL, bo on, jak podkreśla Rogowski, nie da się obronić. Jego zdaniem w zimie stulecia jest jakaś symbolika. Ona jest metaforą paranoi i bezsilności. Bo przecież jest romantyczny sylwester, koniec i początek, coś się zamyka i otwiera, a jednocześnie dzieje się jakiś Armagedon.

– Dziś doświadczamy trąb powietrznych, a rząd znowu sobie nie radzi, z usuwaniem powalonych drzew czy z piaskarkami zimą, zatem moja „Zima stulecia” nie jest o tym...

Rogowski unika również patrzenia na zimę stulecia jak na początek końca PRL. Ten nastąpił w 1976 roku. W Radomiu i Ursusie, gdzie to wszystko zaczęło się pruć.

A inne zimy? Pamięta, że jak był chłopcem, to w Kielcach śniegu nawaliło tyle, że do szkoły szło się sięgającym po szyję korytarzem wykopanym w śniegu. Albo jak był na sankach lub nartach na Psich Górkach i robiło się zbyt późno, to ojciec w mieszkaniu gasił i zapalał światło, dając sygnał, żeby wracał do domu. Dziś mało kto pamięta, że nie było telefonów komórkowych czy bankomatów.

– Tata czekał w drzwiach i witał mnie z uśmiechem. Wracałem przemoczony, zmarznięty, ale szczęśliwy – opisuje Rogowski.

„Urodziłem się w moim mieście jako dziecko odwilży. Zimy wtedy dłuższe i bardziej. Jak mróz ścisnął w okolicach Janusza, to trzymał

do Kazimierza. Jak śnieg spadł przed Barbórką, to leżał nieprzerwanie do Heleny, a czasami i do Grzegorza. Wtedy zimą nie było żartów. Na pewno nie u nas. W okolicznych wsiach i w naszym mieście. Śniegu było tyle, że chodziło się wykopanymi w nim korytarzami. Łysogóry były w tym czasie jeszcze bardziej łyse, bo białe. Nie stały na nich jeszcze cementowe pudła. To się stało wiele lat później, kiedy przyszedł dobrobyt. Chłopi zaczęli jeździć ze swych splechotków do miasta, gdzie czekała na nich robota. Tak zostali chłoporobotnikami. Jakby wcześniej chłop nie był robotnikiem, a robotnik chłopem. Dialektyka i tyle” – pisał w opowiadaniu „Psie Górki”, również z tomu „Zima stulecia”. „Tej zimy, kiedy moja mam brnęła ze mną w brzuchu takim śnieżnym korytarzem, miałem dwa problemy. Pierwszy, kiedy normalnie, nie przez rozciągniętą błonę maminego brzucha, wyjrzę na ten świat, drugi, jak już będę wyglądał, to ile będzie tego śniegu, czy w ogóle coś zobaczę przez te zasy. Problem sam się rozwiązał – nie urodziłem się jako wcześniak, co przewidywały panie, te, które niejedną raz rodziły. Urodziłem się w porze odwilży”.

## **ZIMA BEZROBOTNEGO W REJONIE PIERWSZEJ KOLEJNOŚCI ODŚNIEŻANIA**

– Miałem wtedy dobrą sytuację, bo byłem bezrobotny. Nie byłem nim z wyboru, tylko z konkretnego powodu – wspomina profesor Paweł Śpiewak, socjolog, pisarz, naukowiec i dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego. – Jako człowiek bezrobotny nie musiałem jechać do pracy. I było małe dziecko, co też miało swoje zalety. Było dużo śniegu, więc zamiast do pracy mogłem pójść z dzieckiem na sanki. Mieszkałem w rejonie najszybciej odśnieżanym, więc mój kontakt ze śniegiem był bardziej *via media* niż osobisty. Nie musiałem nigdzie specjalnie chodzić.

Paweł Śpiewak mieszkał wtedy na ulicy Litewskiej i bez trudu mógł przebić się do Agrykoli, parku znajdującego się w tej okolicy. Na sąsiednich ulicach znajdowały się (i nadal się znajdują) różne ważne urzędy. Są tam ministerstwa: spraw zagranicznych, edukacji narodowej i sprawiedliwości. W pobliżu jest też siedziba premiera (wtedy pod nazwą Urzędu Rady Ministrów), Belweder (wówczas siedziba Rady Państwa) i kilka ambasad, w tym amerykańska, szwajcarska, brytyjska, NRD i wówczas najważniejsza, czyli Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (teraz rosyjska). Dzięki takiemu strategicznemu położeniu był to teren odśnieżany w pierwszej kolejności i starannie nadzorowany, więc ze śniegiem w tej okolicy walczone jak z prawdziwym wrogiem klasowym. Bez wątplenia to odśnieżanie zapewniło mieszkającym w pobliżu ludziom komfort nieznanym w innych rejonach miasta, ba!, nawet całego kraju.

– Mieszkałem w domu Komitetu Centralnego, więc tam były więzi partyjne – żartuje Paweł Śpiewak pytany, czy zima nie objawiła



wśród jego sąsiadów jakichś szczególnych aktów obywatelskiej solidarności lub zwykłej ludzkiej życzliwości, jak to miało miejsce w różnych blokach na peerelowskich osiedlach.

– Na tej ulicy była taka struktura – opisuje profesor Śpiewak układ ulicy Litewskiej. – Pierwszy dom należał do ambasady sowieckiej. Potem był taki charakterystyczny dom z koniem, wojskowy, tam też jest teatr. W szarym malutkim bloczku mieszkali ubecy. Następnie dom przeznaczony dla niższej nomenklatury. Dyrektorzy fabryk. Ważni ludzie, ale nie szczyt możliwości. Po drugiej stronie najpierw znajdowała się ambasada czechosłowacka, potem była taka plomba, w której mieszkała Luna Brystygierowa. Obok dom, w którym ja mieszkałem, czyli Komitetu Centralnego, i taka stara rudera. W tym domu KC w czasie wojny mieszkali funkcjonariusze gestapo, zaraz po wojnie było tam ministerstwo ziem zachodnich, którym kierował Władysław Gomułka. I w tym małym domu była winda z kryształowym lustrem, które przetrwało długie lata. Skradziono je dopiero w stanie wojennym.

Czasami jak profesor Śpiewak wychodził rano z psem na spacer, nagle znajdował się w klimacie II wojny światowej i okupacji niemieckiej, bo często nagrywano tam sceny do filmów fabularnych.

Na bezrobocie Paweł Śpiewak trafił za podpisanie listu przeciwko zapowiadanych trwałym zmianom Konstytucji PRL, czyli wprowadzeniu tak zwanej kierowniczej roli PZPR, co oznaczało, że w praktyce komunistyczna partia stawała się organem konstytucyjnym nadrzędnym wobec wszystkich pozostałych urzędów i instytucji. Poza przewodnią rolę partii w państwie planowano też wprowadzenie do ustawy zasadniczej sojuszu ze Związkiem Radzieckim jako trwałego i nienaruszalnego. Ta zmiana wasalizowała prawnie i tak satelickie wobec ZSRR państwo. O ile jednak wcześniej przynajmniej próbowano udawać, że PRL i inne kraje tak zwanej demokracji ludowej są samodzielnymi twórcami, to wpisując taki sojusz do konstytucji, już niczego nie udawano, tylko bez ogródek stwierdzano, że Polska Ludowa to państwo całkowicie zależne od potężnego sąsiada. Przeciwno tym zmianom protestowali

polscy intelektualiści i artyści w kraju i za granicą, jednak władze komunistyczne zrobiły tak, jak zamierzały i sejm PRL przegłosował te poprawki, zmieniając Konstytucję PRL. Sygnatariuszy protestów dotknęły represje. Niektórzy, jak Paweł Śpiewak, stracili pracę, inni mieli problemy z publikacjami.

– Z pracy wyrzucił mnie Jerzy Wiatr, który wręczył mi wypowiedzenie, mówiąc: „Za określone czyny są określone konsekwencje”. Szczególnie to słowo „określone” mi się podoba. Wiatr był zimny, okropny. I potem za to, że musiał mi wręczyć to wypowiedzenie, się na mnie obraził, nie odkładał mi się, nie odpowiadał nawet na dzień dobry i w ogóle nie rozmawiał ze mną do dziewięćdziesiątego roku. Studentów straszył, że jak tacy jak Śpiewak będą chuliganic, to do Polski wejdą wojska radzieckie. To ja miałem być źródłem radzieckiej interwencji. Tyle że to on wygrał na tej transformacji, nie ja – śmieje się profesor Śpiewak, przypominając sobie niektóre decyzje podjęte przez profesora Wiatra, kiedy w III RP był ministrem edukacji narodowej w rządzie Sojuszu Lewicy Demokratycznej (1996-1997).

Będąc w PRL bezrobotnym, Paweł Śpiewak żył z tłumaczeń książek, między innymi dla Państwowego Instytutu Wydawniczego. PIW był wtedy jedną z najważniejszych oficyn wydawniczych, bardzo cenioną przez autorów i czytelników. Przetłumaczone lub współtłumaczone książki, takie jak amerykańskiego psychologa Rollo Maya „Miłość i wola” czy Ervinga Goffmana „Człowiek w teatrze życia codziennego”, były wówczas bestsellerami wydawniczymi, pozycjami, które chciał mieć na półce niejedyn polski intelektualista. Książki te wydawano w niezwykle prestiżowej serii popularnie nazywanej „Plus Minus Nieskończoność”. Później profesor Śpiewak przetłumaczył pierwszy w Polsce zbiór opowiadań Isaaca Beshevisa Singera, wywodzącego się z Polski żydowskiego pisarza tworzącego w jidysz, laureata literackiego Nobla w 1978 roku.

Współcześnie bezrobocie Śpiewaka określiłibyśmy freelancem. Sam profesor używa tego porównania, przyznając, że taka forma pracy jest dużo cięższa od etatowej, bo w niej trzeba być cały czas

gotowym do wysiłku, a pracownicy etatowi mogą sobie pozwolić na chwilę próżnowania.

W pewnym momencie przestał tłumaczyć, było to zajęcie męczące, a Paweł Śpiewak, wówczas człowiek bardzo młody, miał, jak sam przyznaje, potrzebę napisania czegoś, co byłoby jego własnym dziełem.

Bezrobocie trwało pięć lat. To dużo, zwłaszcza dla młodego człowieka. Choć profesor robił rzeczy ciekawe i nowe, w pewnym momencie zaczął myśleć o emigracji.

– Nie jestem rewolucjonistą – mówi po latach. – Miałem wrażenie, że czekam na coś, co się zmieni.

A nie był pewien, czy potrafi i chce czekać, czy da tak radę żyć. Na szczęście znowu w Polsce zaczęło się dziać.

Wracając jednak do wydarzeń z ciężkiej zimy 1979 roku, trzeba stwierdzić, że okoliczności Pawłowi Śpiewakowi sprzyjały, bo nawet w sylwestra bawił się na ulicy Boya, czyli około pięćset metrów od swojego domu, więc jak trafił na zasy i miał trudności w dotarciu z powrotem, to były to okoliczności naprawdę symboliczne, niedające się w żaden sposób porównać z problemami ludzi, którzy musieli przedzierać się przez całe miasto.

– Każdy na rzeczywistość patrzy ze swojej żabiej perspektywy, więc ja też patrzę z pozycji swojej sytuacji życiowej – mówi profesor Śpiewak.

Pamięta jednak alarm wszczęty przez władze w związku z wielką ilością śniegu, do którego usuwania używano między innymi więźniów, a także sytuacje napięcia wynikające z różnych zagrożeń, kiedy klęska żywiołowa mogła utrudnić czy nawet zagrozić pracy szpitali.

– Nie miałem jednak z tym związanej żadnej refleksji politycznej. W każdym kraju od czasu do czasu zdarzają się kataklizmy. Podobnie było przecież później w 1997 roku z powodzią, która była wynikiem deszczów i nawarstwionych błędów ludzkich. Tak samo oceniam zimę stulecia, choć trzeba pamiętać, że paradoksalnie to był system, który mógł sobie lepiej poradzić z kataklizmem niż system

demokratyczny. Można było wyganiać ludzi z więzienia i z pracy. Powiedzieć im, że zamiast szuflować papier będą szuflować śnieg. Administracyjne metody były wtedy zdecydowanie silniejsze. Ale i tak nie sądzę, by jakikolwiek kraj mógł się zachować zdecydowanie lepiej lub gorzej. Kataklizmy się zdarzają – twierdzi profesor Śpiewak i przyznaje też, że dzisiaj brakuje mu tego śniegu i za prawdziwą zimą tęskni. – Nie uważam, żeby to była weryfikacja systemu. Żeby to był początek końca systemu – podkreśla.

O tym, że system był niesprawny, wiedzieli wszyscy, ale jego upadek był wypadkową wielu czynników. „Było tysiąc innych okoliczności”, które miały wpływ na jego erozję. Zresztą państwo ze swoim aparatem było słabe i ten fakt też miał wpływ na osłabienie czy nawet neutralizację argumentów przeciwników, bo w końcu ludzie nie mogli się spodziewać cudów po niewydolnym organizmie społecznym, politycznym i gospodarczym.

## **BEZROBOTNY MÓWI O GORZKIEJ POINCIE**

– Ta zima mieściła się w pewnym, straszliwie pesymistycznym klimacie – mówi Krzysztof Czabański o nastrojach środowiska, głównie dziennikarskiego, z którym miał wówczas kontakt.

Dla niego był to okres trudny. Wyrzucono go z RSW, czyli Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej, największego i głównego wydawcy prasy w PRL, państwowego megakoncernu wydawniczego. Został pozbawiony pracy w tygodniku „Literatura” i objęty zakazem pracy w RSW. Ale w tym czasie współpracował luźno, robiąc głównie materiały publicystyczne, z tygodnikiem „Kultura”, gdzie działem krajowym kierowali Jacek Snopkiewicz, a później Jacek Maziarski. Ale mistrzem zawodu był dla niego pracujący tam Andrzej Kantowicz, który dość młodo zmarł na serce. Kantowicz siedział cały czas w redakcji i pracował z młodymi reporterami.

– Bardzo dużo wiedzieliśmy o Polsce, ponieważ bardzo dużo po niej jeździliśmy. Miałem zakaz pracy w RSW, ale zapisu w cenzurze na mnie nie było, w związku z czym mogłem współpracować i pisać teksty – opowiada Czabański, w latach osiemdziesiątych działacz opozycyjny, a w III Rzeczypospolitej polityk i członek Rady Mediów Narodowych.

Zima stulecia potwierdzała tylko fatalny stan państwa, tak to wtedy oceniał mój rozmówca.

– To był okres smuty – mówi. – Nie było żadnej nadziei. Jedyny jasny promyk to był wybór Karola Wojtyły na papieża, ale wówczas nawet jeszcze nie wiedzieliśmy, jak ten promyk nam rozbłyśnie. Bo on był wtedy bardziej tam niż tu. Drugi raz taki beznadziejny okres przeżywało się po zamordowaniu księdza Jerzego Popiełuszki, kiedy do wszystkich w podziemiu zaczęło docierać, że to nie będzie trwało

krótko. Że ta noc zapadła na długo.

Z zimy stulecia szczególnie mocno Czabański pamięta historię pary przyjaciół ze studiów, którzy się pobrali i spodziewali dziecka. Do porodu doszło na samym początku 1979 roku, kiedy prawie nic nie działało. W szpitalu, gdzie znajoma rodziła, była awaria światła, choć wewnętrzne awaryjne zasilanie na szczęście zadziałało. Najgorszy jednak był jej powrót z dzieckiem do domu krótko po porodzie, bo z trudem podjeżdżało się pod blok, załatwienie pojazdu nie było łatwe, a w mieszkaniu sytuacja z ogrzewaniem była niepewna.

Czabański, jeszcze będąc w „Literaturze”, zaczął prowadzić długie rozmowy z profesorem Edwardem Lipińskim, nestorem polskich ekonomistów, mającym wtedy prawie dziewięćdziesiąt lat. Wynikiem tych rozmów miał być wywiad rzeka. Profesor Lipiński to jeden z założycieli Komitetu Obrony Robotników, który powstał po represjach, jakimi zostali poddani uczestnicy strajków i protestów w Radomiu i Ursusie w 1976 roku. Czabański spotykał się z nim w jego mieszkaniu, które mieściło się na terenie Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Było przepełnione antykami, wyglądało jak muzeum.

– Miałem cały czas wrażenie, że rozmawiam ze świadkiem historii, a właściwie prehistorii, bo do mnie docierało, że on był w moim wieku, jak wybuchła rewolucja październikowa. Największy kłopot z nim miałem taki, że on ciągle mnie pytał, po co ja z nim rozmawiam i go nagrywam, bo to przecież nigdy nie będzie miało szans na publikację. On był wtedy na indeksie. Te spotkania i rozmowy zwróciły na mnie uwagę peerelowskich służb i to przyczyniło się do zwolnienia mnie z pracy – opowiada Czabański.

Został wezwany do Wydziału Kultury KC PZPR, gdzie instruktor poprosił go, żeby pisał sprawozdania z tego, co się dzieje w redakcji „Literatury”, bo oni w wydziale chętnie by o tym poczytali. Czabański odmówił, podobnie jak wcześniej, kiedy jeszcze na uczelni sugerowano mu, żeby dawał sygnał, kiedy widzi coś niepokojącego. Wtedy on na to, że jak widzi, to głośno mówi. Teraz lektor z KC trzymał teczkę i powiedział: „Ty nie chcesz pisać, ale są tacy, którzy

piszą”.

Z pracy wyrzucono go latem, w połowie roku 1976. Przez trzy tygodnie nie wiedział o tym, bo siedział w domu i pisał teksty. Kiedy pojawił się w redakcji z gotowymi już artykułami, powiedziano mu, że redaktor naczelny chce z nim rozmawiać. „Literaturą” kierował Jerzy Putrament, pisarz i jeszcze przedwojenny działacz komunistyczny, który zakomunikował Czabańskiemu, że decyzją Wydziału Kultury nie może już pracować w RSW.

„Czemu pan redaktor mi nic nie powiedział?” – zapytał Czabański zdziwiony tym trzytygodniowym opóźnieniem w przekazaniu informacji.

„Wie pan, ja nie lubię być pościancem złych wiadomości. Co się miałem spieszyć” – stwierdził Putrament.

– Zachował się bardzo przyzwoicie – dodaje Czabański, który jeszcze przed decyzją o wyrzuceniu z pracy w „Literaturze” prowadził dwie rubryki. Jedna była niepodpisanym przeglądem wydarzeń krajowych, druga przeglądem poważnej prasy zagranicznej, podpisana tylko inicjałami. – I Putrament wtedy do mnie: „Ale nie powiedzieli mi, że tego nie może pan robić, więc niech pan dalej to pisze”. To było ważne, bo miałem z tego wierszówkę. To było bardzo dużo.

Wówczas zaprosił go do swojej redakcji Jerzy Urban, który był szefem działu krajowego tygodnika „Polityka”.

– Mówi do mnie: „Wie pan, nie wiadomo właściwie, czy jest na pana zapis w cenzurze, czy nie. Tego nikt nie wie. Ja zamówię u pana tekst, pan go napisze i sprawdzimy”. Długo wybieraliśmy temat, bo też „Polityka” inaczej funkcjonowała niż inne redakcje. Ale w końcu udało się coś wybrać i napisałem. On to dał do druku, a cenzura puściła. To był jedyny mój tekst, który ukazał się w „Polityce”. Nigdy później już niczego dla nich nie napisałem. Obie strony doszły do wniosku, że nie da się ze sobą współpracować. Nad czym w pewnym sensie bolałem, bo z domu miałem bardzo blisko do ich redakcji. Ale najważniejsze, że ta publikacja była sygnałem dla wszystkich gazet w Warszawie – stwierdza Czabański. – Tekst ukazał się w „Polityce”,

to znaczy, że facet nie jest trędowny. I wtedy zaczęła współpracować ze mną warszawska „Kultura”. Tam w kręgu młodych reporterów, dwudziesto-, trzydziestolatków mieliśmy bardzo surowy osąd rzeczywistości.

Krzysztof Czabański przyznaje, że trochę pomogła mu przynależność do PZPR. Pewnie dlatego, zwalniając go z pracy, zostawiono mu jakąś symboliczną gotowość etatową w RSW. Cenzura nie objęła go zapisem. Przypomina, że wielu kolegów będących niekwestionowanymi autorytetami w środowisku dziennikarskim, jak Wojciech Gieżyński, Ryszard Kapuściński i Stefan Bratkowski, mówiło, żeby nie odchodzić z partii, tylko próbować ją i rzeczywistość wokół zmieniać od środka.

– Radykalni koledzy wiązali się z rodzącą opozycją demokratyczną, bardziej konformistyczni czy mniej zdeterminowani jak ja próbowali to jakoś zmieniać od środka, co po Sierpniu zaowocowało między innymi „poziomkami”, strukturami poziomymi w partii – mówi.

Pod koniec lat siedemdziesiątych było według niego smutno i ponuro, i wtedy przysłała ta zima stulecia.

– To była gorzka pointa do walącej się polityki Gierka – stwierdza Czabański. – Wszystko zostało obnażone. Zobaczyliśmy, że to jest kraj w ruinie, chylący się ku upadkowi i bez żadnych perspektyw. W mojej pamięci to najbardziej zostało. Nie to, że nie było prądu, że było zimno, że wielkie miasto, cała Warszawa była tak zasypana, iż ludzie musieli chodzić piechotą, bo nie jeździła komunikacja.

Czabański pamięta oczywiście, jak w sylwestra wyszedł naprzeciw swojej mamy, która szła do ich domu na Nowy Rok. Musiała przyjść, nie mogła przyjechać, bo już wszystko było zasypane.

– Przedzierałem się przez jakąś zamieć. Gdzieś ją spotkałem po drodze. I z trudem razem doszliśmy do domu – opowiada. – Ale paradoksalnie to miało też swoje uroki, bo nagle okazało się, że nie gapisz się w telewizor wieczorem, tylko zapalasz świeczkę i rozmawiasz. Przecież nie pójdziesz spać o dwudziestej. Zadzwoić nie można było, bo tak jak ja większość nie miała telefonu.

Zresztą (co warto tutaj przypomnieć) automaty telefoniczne



w zimie stulecia nie działały, a jak działały, to bardzo rzadko. Budki były zasypane śniegiem, a i tak najczęściej telefony w nich były popsute.

– To były sytuacje, które mi uświadomiły, że człowiek jest strasznie pozbawiony takich więzi rodzinno-towarzyskich. A tu się wszystko spowolniło – mówi Krzysztof Czabański.

Mieszkał w nowym mieszkaniu w dużym bloku z wielkiej płyty. Wprowadził się do niego tuż przed wyrzuceniem z „Literatury”. Większość mieszkańców się nie znała. Zima stulecia sprawiła, że niektórzy zbliżyli się do siebie. Że ludzie się lepiej poznali. Zadzierzgnięto jakieś kontakty sąsiedzkie. Ludzie się bardziej otwierali. To była taka niezamierzona korzyść z kłopotów.

## **CZY ZIMA STULECIA OBALIŁA KOMUNIZM?**

Marcin Zaremba miał wtedy trzynaście lat i mieszkał w Alejach Jerozolimskich, tak mniej więcej w połowie drogi między Dworcem Głównym a Dworcem Centralnym. Pamięta sylwester, który spędził u kolegi. Do domu wrócił po północy. Miasto było spowite śniegiem. Całe zasypane.

Dwa dni później z mamą poszli na ulicę Puławską do ciotki, która mieszkała w starej kamienicy, i oprócz normalnego, centralnego ogrzewania miała jeszcze piec węglowy. Ponieważ nic nie jechało, musieli udać się na piechotę przez plac Narutowicza, potem Trasą Łazienkowską, ulicą Waryńskiego i plac Unii Lubelskiej. Po drodze minęły ich trzy osoby na nartach biegowych. Poza tym było pusto. Krajobraz i atmosfera jak na filmie katastroficznym.

Towarzyszył im mały pies, który w pewnym momencie zaczął iść na trzech, potem dwóch łapach, wreszcie próbował na jednej łapce. W końcu trafił na ręce. Na szczęście był naprawdę mały, bez trudu doszli z nim do Puławskiej.

Ich samochód, który stał zaparkowany jakieś trzysta, może czterysta metrów od domu, cały został zasypany śniegiem. Pochłonięty wręcz przez jakąś olbrzymią, zlodowaciałą zaspę. Udało się go odzyskać i uruchomić dopiero w kwietniu, gdy przyszła odwilż.

Dzisiaj Marcin Zaremba jest uznanym historykiem, autorem wielu publikacji o PRL. Jako jedyny historyk zajął się zimą stulecia, której poświęcił dwa opracowania. Jedno to „Wywrotowa zima”, które ukazało się w tygodniku „Polityka” w listopadzie 2009 roku. Drugie, obszerniejsze, to tekst „Zimno, ciepło, gorąco. Nastroje Polaków od »zimy stulecia« do lata '80” przygotowany na seminarium grupy badawczej „Solidarność. Nowe podejścia do analizy ruchu

społecznego” w Collegium Civitas, 7 stycznia 2013 roku (<http://solidarnosc.collegium.edu.pl/>).

„Rewolucja »Solidarności« nie wybuchła przypadkiem, to jednak czynnik losowy odegrał niebagatelną rolę w jej genezie – napisał Zaremba w „Zimno, ciepło, gorąco”. – Mówiąc wprost, gierkowska ekipa nie miała szczęścia do pogody. Czynnik klimatyczny zamieszał w dekadzie lat 70. jak nigdy wcześniej. Najpierw deszczowe i nieurodzajne lata, w efekcie których »świński dołek« pogłębiał się z roku na rok. A na Sylwestra 1978 r. przyszła »zima stulecia«. Sparaliżowała kraj na niemal dwa miesiące. W ciągu kilku pierwszych dni nowego roku zostało odciętych od świata wiele miejscowości i wsi. Ba, nawet dzielnic miast, jak np. oddalony od Śródmieścia warszawski Ursynów, do którego nie tylko nie można było dojechać, ale również się dodzwonić. Za cały kontakt ze światem musiało wystarczyć parę budek telefonicznych. W pierwszych dniach stycznia w woj. siedleckim tylko 25 proc. dróg było przejezdnych. Nie lepiej sytuacja przedstawiała się w innych województwach. W bydgoskim, gdańskim, legnickim, poznańskim i toruńskim ogłoszono stan klęski żywiołowej. Odnosiło się wrażenie, jakby wszystko stanęło, jednak nie tylko z powodu zasp, ale także, a może przede wszystkim, organizacyjnego blamażu i sprzętowego nieprzygotowania”.

Przypomnijmy podstawowe fakty związane z zimą stulecia. Chłodny front atmosferyczny przemieszczał się stopniowo z północy na południe od 28 grudnia, najpierw obejmując swoim zasięgiem Pomorze, a w kolejnych dniach resztę kraju. Jeszcze 29 grudnia 1978 roku na południu Polski temperatura dochodziła do niemal plus dziesięciu stopni. Ochłodzenie nastąpiło, ponieważ front atmosferyczny sprowadził masy lodowatego powietrza. Deszcz przechodził w śnieg, a gwałtowny wiatr powodował zasy i utrudniał odśnieżanie. W ciągu trzech dni mróz ogarnął cały kraj.

Na małym obszarze środkowej Europy doszło do kolizji lekko głębokiego niżu znad południa Polski z potężnym wyżem znad południa Norwegii. Olbrzymia różnica ciśnień na terenie Polski i krajów sąsiednich spowodowała, że wiatry osiągały prędkość około

sześćdziesięciu-siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Na Bałtyku szalał sztorm osiągający siedem-osiem stopni w skali Beauforta. Najsilniejszy mróz przyszedł nad Polskę z południowej Skandynawii, na początku dotarł nad pogranicze Niziny Szczecińskiej, północy Niemiec, Danii i południowych krańców Szwecji.

W tych regionach 1 stycznia 1979 roku temperatura w nocy spadła do minus dwudziestu pięciu stopni Celsjusza. Jednak przy porywach wiatru do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę temperatura odczuwalna była dużo niższa. Tej samej nocy zaczął padać śnieg. Podczas pierwszej doby, 1 stycznia 1979 roku, spadło aż piętnaście centymetrów, a każdej następnej przybywało kolejnych pięć. Były takie rejony kraju, gdzie 2 stycznia leżało już trzydzieści centymetrów śniegu, a na wybrzeżu do nawet pięćdziesięciu centymetrów. To, że w niektórych miejscach wysokość pokrywy śnieżnej osiągała dwa metry, było wynikiem silnych wiatrów, które tworzyły ogromne zaspę.

W tym samym czasie, kiedy śnieżycę, mróz i wichury nawiedziły północny zachód Polski, na Śląsku i Podkarpaciu było ciepło. Temperatura wynosiła plus dziesięć stopni. Dopiero przez kolejne godziny doszło tam do załamania pogody. Fala mrozów 2 stycznia przesunęła się na wschód, docierając do Suwałk.

Komunikacja publiczna w całej Polsce została sparaliżowana. Mieszkańcom i pracownikom różnych instytucji nakazywano odśnieżanie dróg i ulic. Silny wiatr niweczył te wysiłki, bo tworzył zaspę. Do usuwania śniegu poza służbami komunalnymi wykorzystywano także wojsko, w tym wojska pancerne z ich sprzętem. Ponieważ był problem z dowozem lub dojściem dzieci do szkół, przedłużono ferie do odwołania. W pierwszych dniach zamykano też niektóre kina i teatry.

Stacje benzynowe miały w pierwszej kolejności zaopatrywać w paliwo pług śnieżne. Dyrekcja PKP 2 stycznia odwołała osiemset pociągów, a i tak dochodziło do dramatycznych wydarzeń. Śnieżycę całkowicie zasypała skład pod Swarzewem, a blisko stu pasażerów przewieziono do Pucka, gdzie dostali dach nad głową i jedzenie.

„Dziennik Bałtycki” donosił, że „mleko będzie sprzedawane wyłącznie z konwi. Mleka będzie mniej niż normalnie z powodu braku dostaw, dlatego apelujemy, by nie robić zapasów. Na rynek rzucone zostało całe mleko w proszku. Wszystkie sklepy spożywcze czynne będą do godz. 22 [...]. W restauracjach wyższych kategorii w godzinach obiadowych wydawać się będzie tańsze posiłki popularne”.

Do elektrowni Kozienice, gdzie zwykle dziennie rozładowywano osiemdziesiąt wagonów węgla, w najgorszym momencie z trudem dojeżdżały zaledwie dwadzieścia trzy wagony. Ponadto był kłopot z korzystaniem z zapasów zgromadzonych w hałdach. Zamarzały podajniki węgla i same hałdy. W tej sytuacji trzeba go było pozyskiwać tradycyjnymi metodami przy użyciu kilofów, łopat i taczek. W turoszowskim zagłębiu węglowo-energetycznym zamarzały taśmociągi transportujące węgiel brunatny z odkrywek kopalni Turów do elektrowni Turów.

Wiele dróg było przejezdnych w ograniczonym stopniu. Na przykład z Grójca do Radomia można było przejechać jedynie tunelem śnieżnym, który sięgał prawie wierzchołków drzew. Szerokość tego oblodzonego tunelu nie nadawała się do ruchu dwukierunkowego.

Władze polityczne podejmowały szereg decyzji, bo chciały sprawiać wrażenie, że kontrolują sytuację. Jedną z nich była uchwała Biura Politycznego PZPR z 3 stycznia 1979 roku zalecająca zwiększenie produkcji kaloryferów. Jednak Jan Szydłak, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Edwarda Gierka, zeznając w 1981 roku przed wewnątrzpartyjną komisją Tadeusza Grabskiego, która została powołana do rozliczenia ekipy Gierka, przyznał: „Myśmy byli rzeczywiście na progu katastrofy. Polski system energetyczny był już w fazie początkowego rozkładu”. Władze PRL mogły zalecić produkowanie kaloryferów, ale nawet jakby kaloryfery były, to ciepłej by nie było, bo system nie działał. W całym kraju regularnie wyłączano prąd.

Jak podaje historyk Marcin Zaremba, w całym kraju zabrakło

świeczek i zniczy. „Podobnie jak w czasie kryzysu kubańskiego ludzie wykupywali mąkę, kasze, konserwy, sól, ciepłą bieliznę, ubrania. Masowo znikał ze sklepów chleb. W niektórych miejscowościach wprowadzono reglamentację towarów spożywczych. Cena akumulatora na czarnym rynku osiągnęła 2 tys. złotych – pisze w tekście „Wywrotowa zima”. – W wielu województwach racjonowano sprzedaż paliwa. W Szczecinie np. osoby prywatne mogły tankować tylko 10 l benzyny, na 20 litrów pozwalano taksówkarzom. 13 stycznia, bez zapowiedzi, podniesiono ceny paliw płynnych”.

„Przyszło nam żyć w kraju, w którym albo powstanie, albo pogoda, a czasem jedno i drugie. Trudno powiedzieć, na ile to przypadłość lokalna, na ile uniwersalna; podobno w Kalifornii również prowadzi się rozmowy o pogodzie. U nas do temperatury i opadów dochodzi jeszcze żywotna kwestia ciśnienia. Trzeba też uwzględnić czynnik czasu: jakaś pogoda jest, ale przecież też była i będzie. Nie ma większej satysfakcji, niż obejrzeć wieczorem prognozę w telewizyjnych wiadomościach z całkowitym przekonaniem, że się nie sprawdzi” – ironizuje Iwona Kurz, autorka eseju „Pogoda: Zima stulecia w stuleciu zim”.

Wizję peerelowskiej apokalipsy doskonale oddaje reportaż, który ukazał się na samym początku zimy stulecia. „– Czy naprawdę dzisiaj musicie wiedzieć, co się tutaj dzieje? – zapytała w dwunastej godzinie dyżurna lekarka Pogotowia Ratunkowego głosem tak zdartym, że brzmiał jak męski. Telefony się urywają, rozmowa jest przerywana co chwilę.

Karetki wyjeżdżające z Hożej, grzęzły na Marszałkowskiej, następne, jeśli wyjeżdżały, to żeby odkopać poprzednie. Nie można było wyjechać, nie mówiąc o dojechaniu. W centrum miasta przy Poznańskiej leży człowiek w śniegu. Dlaczego? Od kiedy? Wypił za dużo? Jest prośba do tych, co znajdują się w pobliżu: żeby chociaż trochę pomogli – pisała Marta Wesołowska w reportażu „Próba zimna” w tygodniku „Polityka” z 6 stycznia 1979 roku. – Wodę ciepłą wyłączono 31 grudnia w południe na polecenie prezydenta

Majewskiego. Po południu wiadomo: wody ciepłej nie będzie i w ogóle chodzi teraz o to, żeby ciepło było w kaloryferach. Przy elektrociepłowniach pracownicy i wojsko rozbijają zamarznięty zapas węgla, żeby nie wygaszać kotłów. Dwie godziny później w rejonie zasilania Siekierok temperatura zamiast 150 st. C ma stopni 40. Około 21 grozi ewakuacja szpitala Akademii Medycznej na Banacha. W pomieszczeniach około 10 stopni”.

Dramatyczny opis reporterki „Polityki” uzupełnia dzisiaj relacja historyka. „Na drogi nie wyjechały pług, ponieważ w temperaturze minus 12 st. zamarzał olej. Z tych powodów stanęła regionalna i miejska komunikacja autobusowa. W Szczecinie wyjechało na trasę 50 autobusów PKS ze 193 planowanych (w pozostałych zamarzły układy kierownicze). W Chełmie zamarzło ich 120. Padały akumulatory. Brak prądu zatrzymał tramwaje w zajezdniach. Tylko 30 proc. taboru komunikacji miejskiej jeździło w Łodzi. W Warszawie z tysiąca państwowych taksówek rzekomo udało się uruchomić 700, jednak mieszkańców obsługiwało tylko kilkadziesiąt aut, ponieważ pozostałe oddano do przewozu pracowników elektrociepłowni i innych służb. Przez kilka dni polskie miasta wydawały się wymarłe. Pod tym względem wieś wyglądała lepiej – miała konie” – napisał Marcin Zaremba na łamach tygodnika „Polityka” w 2009 roku.

Jego zdaniem sytuacja rzeczywiście przypominała wojenną. Komunikaty brzmiały jak doniesienia z frontu, co dla państwa „budującego socjalizm” było jednak niekorzystne. Wydział Organizacyjny KC PZPR w swoich „Informacjach” dla ścisłego kierownictwa partii donosił:

„Opole 4 stycznia: »Wyłączenia energii elektrycznej zmały. Na skutek poprzednich ograniczeń m.in. padło kilkaset świń, ponad 150 tys. brojlerów i kurcząt, wymarły niektóre uprawy szklarniowe«.

Białystok 31 stycznia: »Wystąpiły duże awarie sieci energetycznej, na 4 tysiące stacji transformatorowych ponad 1700 uległo uszkodzeniu. Przestał działać system ogrzewczy w mieście Czarna Białostocka. Są duże trudności z wywozem produkcji z zakładów«.

Piła: »W nocy z 14 na 15 lutego w zaspach utknęły 3 pociągi

osobowe. Pasażerów z pociągu relacji Wałcz-Krzyż uwolniło w godzinach porannych skierowane do akcji wojsko. W pozostałych przypadkach prowadzona jest aktualnie ewakuacja podróżnych, m.in. przy pomocy helikopterów».

Olsztyn 17 lutego: »Do województwa magistralą węglową nie dotarły żadne pociągi z węglem. W okolicach Kozłowa na trasie Olsztyn-Działdowo tkwi w zaspach pociąg pasażerski do Warszawy«”.

„Nie obyło się bez ofiar” – pisze Marcin Zaremba.

Już 1 stycznia były pierwsze ofiary śmiertelne. W Warszawie karetki grzęzły zaraz po wyjechaniu ze szpitali. Na samym początku zimy, praktycznie rzecz biorąc w jej pierwszych godzinach, bo tylko do 2 stycznia 1979 roku, odnotowano w Polsce 14 przypadków zgonów na skutek zamarznięcia. W samej Bydgoszczy zmarło w ten sposób aż 5 osób. Niestety, nie ma zbiorczych danych. Ofiar tej zimy nie policzono. Nie wiemy, ile było wszystkich ofiar śmiertelnych.

„A powinno się uwzględnić zgony będące skutkiem: niedojechania pogotowia, odłożenia zaplanowanych w szpitalach operacji, wychłodzenia się osób starszych, większej zapadalności dzieci na choroby układu oddechowego, zaccadzenia, wypadków na kolei (6 osób poniosło śmierć w wyniku zaccadzenia w wagonie pociągu Berlin-Moskwa) i drogowych (nikt nie słyszał wówczas o oponach zimowych). Niewykluczone, że z tych powodów »zima stulecia« porwała ze sobą więcej ofiar niż jakakolwiek wcześniej i później klęska żywiołowa w Polsce Ludowej” – uważa Zaremba.

Iwona Kurz zwraca uwagę na wyjątkowy charakter tamtego czasu. „Jednak rok 1979 był szczególny. Od trzech lat pojawiały się różnego rodzaju symptomy – od bicia robotników w Radomiu po wprowadzanie kartek – że gierkowski kurs na modernizację gdzieś się pogubił, zboczył z celu. Drugi obieg i drugi program telewizji wraz ze względny otwarcie granic przynajmniej części społeczeństwa otworzyły oczy na inne możliwości i inne marzenia, a przede wszystkim inną ocenę sytuacji w kraju – pisze autorka. – Propaganda lubi język wojenny, w Polsce w ogóle, do dziś zresztą, metaforyka



kampanijna jest w cenie, trudno tego uniknąć w obliczu frontu atmosferycznego. »Kampania zimowa«, »cztery ataki zimy«, »silne uderzenie mrozu«, »gwałtowny opad« rzeczywiście zwiastowały »klęskę«. Klęskę jak zawsze. Problem w tym, że tym razem »paraliż kraju« przydarzył się »dziesiątej gospodarczej potędze« świata, a »klęska żywiołowa« nie tyle była zdarzeniem, ile w wyniku nieustępliwości zimy (co nie do końca było winą rządzących, lecz stało się ich karą) i nieustającej nieudolności władzy – stanem trwałym, demonstrując systemowy charakter braków i zaniedbań. Społeczeństwo było zmęczone zimą”.

Zbieżne są te jej opinie z rozważaniami Marcina Zaremby. Historyk idzie jednak dalej. „»Zima stulecia« miała jednak również swoje dobre strony. Zimne kaloryfery, niedogrzone mieszkania i zakłady pracy, wyłączenia prądu i konieczność siedzenia po ciemku lub przy świeczce, a także trudności życia codziennego, bardziej dotkliwe niż zwykle, zmuszały ludzi do zachowań wspólnotowych, rzec można solidarnościowych, obok i mimo władzy. Podczas korytarzowych spotkań i odwiedzin, by pożyczyć świeczkę czy baterię do latarki, poznawali się, wymieniali poglądy, wyrzekali na »gospodarza kraju« partię” – podkreśla Zaremba. Władze musiały niepokoić takie zachowania, powszechne krytykowanie i narzekanie. W Radomiu i Giżycku Służba Bezpieczeństwa wynotowała hasła: „Wolności i mięsa” oraz „Chcemy ciepła i światła”.

„W sytuacjach kryzysowych ludzie zaczęli ze sobą rozmawiać. Rozmawiać bez pośrednictwa władzy”. Zdaniem Marcina Zaremby zima okazała się jednym z najważniejszych katalizatorów buntu. Złe warunki atmosferyczne spowodowały pogorszenie warunków życia i to uruchomiło „lawinę krytyki, definiowania rzeczywistości jako nieznośnej i wymagającej pilnej naprawy”. Zupełnie odmienne przemyslenia, doświadczenia i w konsekwencji wnioski spowodował wybór w październiku 1978 roku Karola Wojtyły na papieża, a następnie jego przyjazd do kraju już jako Jana Pawła II w czerwcu 1979 roku. Ludzie się zobaczyli, uświadomili sobie, ilu ich jest, poczuli się swobodnie, poczuli, że ulice są „ich”. „Ludzie czekali na

następne wydarzenia” – pisze Zaremba, a wydarzenia zaczęły następować.

Z kolei dawny działacz partyjny Stanisław Ciosek uważa, że problem polega na tym, iż PRL mógł upaść, a obecny system nie może upaść.

– Nie może też powrócić PRL, na tym polega tragedia – mówi ze śmiechem i ironizuje: – Gdyby zima stulecia trafiła na obecny system, też padłby, ale nie wiadomo, na którą stronę. I nie wiadomo też, co byłoby po nim.

Za pomocą systemu politycznego nie da się cofnąć na przykład fali powodziowej, gwałtownej śnieżycy czy innego kataklizmu, to oczywiste. Z drugiej strony Ciosek podobnie jak Zaremba szuka pozytywów. Jego zdaniem klęska żywiołowa pokazuje, uwypukla solidarność ludzi. Kataklizm wyzwała w nich jedność, ich dobre cechy, i to jest duży plus takich wydarzeń.

Ważnym czynnikiem dekonstrukcji systemu PRL było to, co działo się w czasie zimy stulecia i powodzi. Wtedy istniejące mechanizmy korupcyjne stały się jeszcze bardziej widoczne i jeszcze bardziej obrzydliwe. One też były jednym z tych elementów, będących trwałą częścią systemu, które wpłynęły na jego upadek.

– Oczywiście, większość historyków jest zgodna, że zima stulecia miała wpływ na obalenie komunizmu jako część całej sekwencji zdarzeń, która zaczęła się od wydarzeń w Ursusie i Radomiu przez powstanie KOR, wybór papieża po strajki sierpniowe zakończone powstaniem „Solidarności” – podsumowuje Marcin Zaremba.

Według niego zima stulecia w tej sekwencji zdarzeń, które doprowadziły do roku 1989 i upadku komunizmu w Polsce, była elementem ważnym społecznie, gospodarczo i politycznie. Historyk podkreśla jej szczególny charakter, negatywny wpływ na całą gospodarkę kraju. Pogorszenie PKB, kryzys energetyczny, wyłączenia prądu. I to w efekcie przyspieszyło zmiany w Polsce.

„Na zdjęciach ze stycznia 1979 roku widać autobusy zakopane w śniegowych tunelach, i to często w dużych miastach (na przykład w Warszawie pod Bristolem). Drogi były nieprzejezdne, często przez

kilka dni, głównie do trzech, drugiej kategorii – nawet do dziewięciu. Nie działała co trzecia lokomotywa, a tory kolejowe były zasypane śniegiem i/lub zamrożone, co w efekcie uniemożliwiało dostawę węgla do elektrowni. Na pomoc wezwano wojsko, jak w stanie klęski żywiołowej, a nie zimy po prostu – pisze wspomniana już autorka eseju „Pogoda: Zima stulecia w stuleciu zim”. – »Puchowy śniegu tren« tym razem nie przykrył niczego, jak to śnieg ma w zwyczaju, lecz odwrotnie – niczym odwilż odsłonił. W romansie na śniegu zostaje trup dziewczyny, tutaj ostał się trup Peerelu, a zima 1979 roku trafiła do podręczników historii”.

Iwona Kurz ironizuje, ale każdy, kto wtedy żył, zgodzi się z nią, że: „Długotrwała zima związała ze sobą ściśle klęskę polskiej modernizacji z upadkiem ducha, padł i hardware, i software, cały system – ale też siły, by go zresetować, i wiara w to, że można. Jeszcze raz – po odwilży, po marcu i grudniu. Okazało się, że nie trzeba strajków, by obnażyć słabość ustroju. Czytałam wtedy Muminki (albo nie wtedy, ale to bez znaczenia): efekt »zimy stulecia« można porównać do jednoczesnego ataku Buki i komety. W wyobraźni Doliny łączył się z gwałtownym wtargnięciem i zarazem silnym trwaniem czegoś bardzo nieprzyjemnego – i obejmującego wszystkie wymiary życia”.

## WYBUCH W ROTUNDZIE

– To była czarnoszara chmura, która uniosła się i potem spadała z nieba – opisuje Wiesław Łyszkiewicz to, co widział z odległości kilkuset metrów. Huku nie pamięta. Był jakiś odgłos wybuchu, ale wcale nie taki silny. Może zdusiło go ciśnienie wewnątrz budynku? W pamięci utkwiała mu przede wszystkim ciemna chmura. – Był jakiś łoskot. – Ale pamięć wraca do obrazu. – Zobaczyliśmy kupę kurzu i dymu.

Wiesław Łyszkiewicz, kierowca autobusu w Miejskich Zakładach Komunikacyjnych, 15 lutego 1979 roku miał akurat wolny dzień, szedł z kolegą ulicą Marszałkowską. Dzisiaj już nie pamięta, dokąd zmierzali i jakie mieli plany. O godzinie dwunastej trzydzieści siedem, w momencie wybuchu w Rotundzie, przechodzili obok restauracji Żywiec, która mieściła się w nadal istniejącej, starej, wtedy pozbawionej tynku kamienicy na rogu Wilczej i Marszałkowskiej. Na dachu po narożnikowej stronie budynku był charakterystyczny neon w kształcie beczki z napisem z nazwą słynnej marki piwnej.

Natychmiast pobiegli w stronę Rotundy. Kiedy dotarli na miejsce, był już tłum ludzi. Stali tak czas jakiś, aż w pewnym momencie podjechały autobusy MZK i kierowcy pytali, kto chce oddać krew, bo będą wieźć ludzi do stacji krwiodawstwa. Zgłosili się natychmiast.

– Z kolegą pojechaliśmy oddać krew na Chocimską – mówi Łyszkiewicz.

Maciej Świrski na ferie szkolne przyjechał z Wrocławia do Warszawy. Fotografia była wtedy jego wielką pasją. Kiedy mógł, robił zdjęcia, a wolny czas zajmowała mu praca w ciemni fotograficznej, do której biegł zaraz po szkole. A często nawet zamiast do szkoły. Nic więc dziwnego, że tak też było podczas ferii

w Warszawie. Cały czas zimowej przerwy w stolicy spędzał w ciemni fotograficznej, która mieściła się na ulicy Nowogrodzkiej w śródmieściu Warszawy. Telefon miał swoje stałe miejsce pod powiększalnikiem, żeby łatwo go było znaleźć, gdyby ktoś dzwonił. Tego dnia ktoś zadzwonił, nie pamięta kto, i powiedział: „Idź, zobacz, bo coś tam przy Rotundzie się stało”.

– Miałem dwa kroki, więc poszedłem – opowiada Maciej Świrski. – Zrobiłem wtedy zdjęcie zdemolowanej Rotundy z powiewającymi żaluzjami na wietrze. To było może z dziesięć minut po wybuchu.

Pamięta też wielkie zasy, a w nie wbite szyby, które wyleciały z Rotundy.

– Robiąc zdjęcia, stałem po tej stronie, co Cepelia, a te szyby były porzucane po drugiej stronie skrzyżowania, czyli tam, gdzie jest gmach Rotundy i hotel, wówczas Forum. Aż dziwne, że nikogo nie zabiły, bo to były wielkie kawały szkła, które mogłyby przeciąć człowieka na pół.

Jeden z kuzynów Wojciecha Andziaka jechał tego dnia samochodem. Wyruszył z okolic skrzyżowania Niepodległości i Odyńca, zmierzał na Nowy Świat. Towarzyszył mu kolega o imieniu Włodek. Po drodze zobaczyli na przystanku znajomego o popularnym nazwisku Kowalski. Zatrzymali się.

– Gdzie jedziesz?

– Do centrum, do banku.

– Wsiadaj, podwieziemy cię – zaproponował kolega Włodek.

I zabrali go. Poszedł do Rotundy. Był tam w czasie wybuchu, ale na szczęście przeżył. Miał jakieś obrażenia.

– Po tej historii zawsze się w rodzinie mówiło – opowiada Andziak – że ten kolega, który zaproponował Kowalskiemu podwiezienie do Rotundy, że ten Włodek jest pechowy.

Byłem na zwolnieniu lekarskim, chyba to była jakaś grypa. Skutek zimy stulecia i wietrzenia bloku operacyjnego. Ponieważ zwolnienie się kończyło, a ja czułem się lepiej, miałem zamiar wyjść na miasto. Planowałem odwiedzić siedzibę Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego na ulicy Chmielnej, wtedy Rutkowskiego, i odebrać

zaległe płyty z Klubu Płytywego, do którego należałem. Żeby to zrobić, musiałem pójść do PKO w Rotundzie i wziąć z książeczki jakieś pieniądze, które tak niepotrzebnie, czyli bezużytecznie na niej leżały. W drodze powrotnej chciałem jeszcze zajrzeć na Świętokrzyską do ośrodka kultury NRD, gdzie często bywały wschodnioniemieckie reedycje amerykańskich płyt jazzowych. Tam też czasami udawało mi się kupić fajne albumy malarstwa.

W końcu nigdzie nie poszedłem. Nie dlatego, że bym się bał, że ktoś z pracy mnie zobaczy, ostatecznie zawsze mogłem powiedzieć, że idę od apteki, bo szukam leku dla siebie, nikogo coś takiego by wtedy nie zdziwiło. Wolałem siedzieć w domu, słuchając muzyki i czytając niedawno kupioną książkę.

Byłem akurat w kuchni, kiedy przejechała pierwsza karetka, po niej przemknęły kolejne, a także wozy straży pożarnej i radiowozy milicji. Niektóre karetki miały charakterystyczne symbole Czerwonego Krzyża, a więc były to ambulanse z wojskowego szpitala na Szaserów. Wozów i karetek było za dużo jak na zwykły wypadek. Wyłączyłem muzykę i nastawiłem radio. Tak zawsze robił człowiek PRL, kiedy spodziewał się oficjalnych komunikatów. Nastawiłem I Program Polskiego Radia, bo to tam nadawano najważniejsze wiadomości. Jeśliby dłużej niż przez godzinę nie było jakiejś informacji, wtedy należałoby szukać ich na falach zagranicznych rozgłośni.

U mnie w domu słuchało się przede wszystkim polskich rozgłośni Głosu Ameryki, BBC i dopiero potem Radia Wolna Europa. Słuchaliśmy ich na takim malutkim, wielkości dużej kostki mydła, japońskim tranzystorze, który ojciec na początku lat sześćdziesiątych przywiózł z USA. Nie wiem, na czym to polegało, ale wiele osób uważało, że lepiej zachodnie rozgłosnie odbiera się na zachodnich odbiornikach. Japońskie radio tranzystorowe służyło rodzicom prawie do końca lat osiemdziesiątych, kiedy zostało zniszczone przez kwas, który się wylał z polskich baterii (to była charakterystyczna cecha baterii z końca PRL). Zastąpiono je radzieckim radiem Riga, na które nie działały ani kwas z baterii, ani zagłuszarki Wolnej

Europy. Ale to już inna historia.

Czekając na jakiś oficjalny komunikat, z niepokojem spoglądałem przez okno. Aleja Waszyngtona wyglądała, jakby zamarła, nie było widać pojazdów, zwłaszcza jadących od strony Śródmieścia. A to oznaczało, że ruch w centrum miasta jest bardzo ograniczony. Po jakimś czasie pojawiły się karetki na sygnale, które wracały, jadąc do praskich szpitali. Później znów powracały na miejsce wypadku. Przejeżdżały też większe pojazdy wiozące oddziały milicji lub żołnierzy do, jak mogę podejrzewać, ochrony tego, co się tam stało, a o czym jeszcze nie wiedziałem. Nigdy tego nie zapomnę. Cisza przerywana co jakiś czas rykiem syren. Niektóre karetki skręcały z Waszyngtona w ulicę Saską i jechały do stacji krwiodawstwa.

Komunikat pojawił się dość szybko i był bardzo lakoniczny. Była właściwie tylko informacja o wybuchu w Rotundzie. Od razu pomyślałem, że mogłem tam być. Zresztą, jak potem rozmawiałem ze znajomymi, wiele osób miało podobną reakcję. To był jeden z najważniejszych punktów miasta, miejsce lokalizacji licznych sklepów, przesiadek komunikacji miejskiej. Potem bardzo chciałem pobiec do szpitala, zgłosić się natychmiast do pracy, ale wiedziałem, że to bez sensu, bo przecież ranni w takich sytuacjach w pierwszej kolejności trafiali do innych placówek.

Zostałem biernym obserwatorem, który reagował na ryk syren karetek. One dawały mi pojęcie o skali tego, co się zdarzyło. I to było dość porażające, a przecież widziałem jedynie nie więcej niż jedną czwartą ruchu wozów biorących udział w akcji ratunkowej.

W pewnym momencie zobaczyłem jadący radiowóz milicji, fiata 125p na sygnale, za nim wypełniony po brzegi autobus Miejskich Zakładów Komunikacyjnych. Większość pasażerów, z tego, co widziałem, to byli mężczyźni. W autobusie panował tłok jak w godzinach szczytu. Jechali stosunkowo wolno i skręcili w ulicę Saską, więc byłem pewien, że jadą do stacji krwiodawstwa. Potem w następnych dniach wiele osób opowiadało, że na miejscu wypadku, pod Rotundą, apelowano o krew dla rannych. Dla potencjalnych dawców podstawiono ten autobus, który

błyskawicznie wypełnił się ludźmi.

Późnym wieczorem odwiedził mnie kolega z klatki naszego domu i klasy w szkole podstawowej Mariusz Piotrowski, który wówczas pracował w szpitalu przy ulicy Lindleya. Pamiętam jak dziś, był cały blady. Wykończony, bardziej psychicznie niż fizycznie. Opowiadał o cierpieniu ludzi i o przerażających scenach, jakie stały się jego udziałem. Dzisiaj (jest lekarzem anestezjologiem z trzydziestoletnim stażem, widział niejedno) mówi, że sceny z tego dnia często mu się przypominają.

– Pracowałem wtedy na punkty w klinice gastroenterologii. Zabrakło mi jednego punktu na medycynę, więc musiałem się zatrudnić jako tak zwany sanitariusz, co zresztą nie miało nic wspólnego z pracą sanitariusza. Robiłem to, co robi zwykły salowy. Ale dzięki temu poznałem medycynę od spodu i nie żałuję tego – opowiada Mariusz Piotrowski. – Pracowałem na „internie”. A tam nie ma wiele krwi. Ludzie przychodzą, czasami umierają, ale nie miałem tam styczności z drastycznymi przypadkami.

Zanim zaczął w 1979 roku pracować, nie miał żadnej styczności ze szpitalem, nawet jako pacjent. W placówce na Lindleya klinika gastroenterologii znajdowała się nad izbą przyjęć. 15 lutego przyjechała najpierw jedna, a zaraz po niej druga karetka na sygnale. Rzadko się zdarzało, by tak było, więc u młodego człowieka pobudziło to naturalną ciekawość. Zszedł do izby przyjęć, by zobaczyć, co się stało. W międzyczasie przyjechały cztery następne karetki, które czekały w kolejce.

– To, co zobaczyłem wtedy, śni mi się do tej pory – mówi.

To było drastyczne przeżycie, którego doświadczył w wieku dwudziestu lat. Takich rzeczy się nie zapomina, to naturalne. Ma tego świadomość. Jako lekarz potrafi te drastyczne przeżycia przeanalizować i wytłumaczyć, ale jako człowiek nie umie ich (a pewnie też i nie chce) zapomnieć.

– Karetki ustawiły się jak na postoju taksówek, co w ogóle nie jest spotykane. Później nigdy się z czymś takim nie spotkałem – opowiada.



Szpital Akademii Medycznej (teraz Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego) na Lindleya jest jednym z najważniejszych szpitali w Warszawie i znajduje się najbliżej Rotundy, w odległości prawie dwóch kilometrów.

Pierwszą pacjentkę zapamiętał bardzo dobrze. Była w fartuchu uszytym z nieprzyjemnego sztucznego materiału. W takich fartuchach w różnych fasonach i kolorach chodzili w szkole uczniowie, w sklepach sprzedawczynie, w zakładach pracy magazynierzy. Taki wynalazek i mundurek epoki Gierka. Na poczcie i w bankach kasjerki nosiły te fartuchy w kolorze niebieskim. Kobieta była cała pokryta kurzem, który przypominał popiół.

– Była cała jednokolorowa. I ta twarz cała zmasakrowana, i ten fartuch. Pamiętam stwierdzenie lekarza: „Jeszcze żyje” – wspomina. – Następna karetka to samo, później przywozili po dwie, trzy osoby w jednej. Z Lindleya ruszyły nawet zwykłe karetki przewozowe. U uruchomili praktycznie wszystko.

W izbie przyjęć panowała atmosfera przypominająca filmy wojenne. Na noszach leżeli pacjenci, a lekarze podejmowali decyzje, udzielając w pierwszej kolejności pomocy tym, którzy byli w najcięższym stanie. Łżej ranni musieli czekać na swoją kolej. Fachowo to się nazywa: segregacja. Od wejścia do poczekalni cała podłoga była we krwi. I w tej poczekalni ranni, wszyscy w tym jednolitoszarym kolorze kurzu.

– Patrzyłem na to i zastanawiałem się, czy ja dobry zawód wybrałem – mówi doktor Mariusz Piotrowski. Podczas rozmowy kilka razy podkreśla, że najbardziej utkwił mu w pamięci ten sznur karetek przed izbą przyjęć i ci ranni pokryci kurzem.

Zapamiętał jeszcze jedną rzecz, której się w szpitalu nie praktykuje. W pewnym momencie na korytarzu przed oddziałem intensywnej terapii na brezentowych noszach leżały zwłoki czterech czy pięciu pacjentów. Prawdopodobnie tych, których nie udało się uratować. Ludzie byli zajęci niesieniem pomocy rannym, w tej chwili na zmarłych nie mieli czasu.

– To mi się śni po nocach – powtarza. – Przypuszczam, że gdyby

dzisiaj spotkało mnie coś podobnego, przeżyłbym to tak samo. Ta liczba pacjentów w jednym czasie i miejscu, ta skomasowana ilość nieszczęścia była niewyobrażalna. To był mój pierwszy kontakt z ostrą, nagłą medycyną. Może dlatego później zdecydowałem się na anestezjologię. Może to był powód wyboru specjalizacji. Po tej tragedii zastanawiałem się, czy medycyna jest dla mnie. Czy to dobry wybór, czy wytrzymam ludzkie nieszczęście. Ale wziąłem się w garść. To doświadczenie mnie zbudowało.

Dwadzieścia lat później, kiedy pracowałem w „Gazecie Wyborczej”, zamierzałem napisać tekst na dwudziestą rocznicę wybuchu. Okazało się, że podobne plany miała Beata Pawlak, reporterka, która w październiku 2002 roku zginęła w zamachu terrorystycznym na indonezyjskiej wyspie Bali. Dogadaliśmy się, uznałem, że będzie lepiej, jak ona napisze. Przekazałem jej telefon do Mariusza Piotrowskiego.

Beata Pawlak rozmawiała wtedy też z pracownikami banku, które przeżyły wybuch gazu w Rotundzie.

„Irena Tarnawska: Poczulałam wstrząs. Zobaczyłam, jak się unosi zielona wykładzina.

Janina Wincentak: Przez otwarte drzwi widziałam, jak nad skarbcem załamuje się sufit.

Zofia Suchenek: Przygasło światło. Zrobiła się cisza, jakby zmarło życie. A potem uniosło nas w powietrze”.

Zofia Suchenek zaczęła się dusić. Myślała, że już po niej, ale na szczęście w otaczającej ją gęstej chmurze dostrzegła prześwit. Razem z koleżanką i jeszcze jedną kobietą ruszyły w tamtym kierunku. Przez wybitą szybę udało im się wyjść na ulicę Widok. Z kolei inną pracownicę Rotundy, Jadwigę Walter, ratownicy odnaleźli dopiero wieczorem. Przeżyła dzięki masywnemu metalowemu krzesłu i wysokim butom, jakie miała na nogach. To ciężkie krzesło ochroniło jej głowę przed spadającymi kawałkami konstrukcji, a te kozaki ostoniły i uratowały nogi.

Pierwszą karetką pogotowia z ulicy Hożej przyjechała na miejsce katastrofy doktor Julia Borkowska-Gomez. To ona wykonała

najtrudniejsze zadanie tego dnia. Zorganizowała i kierowała początkiem akcji udzielania pomocy rannym. W takich momentach ważna jest każda chwila, ale o wynikach, o uratowaniu ludzi decyduje przede wszystkim dobra organizacja, spokój i kompetencja. Ofiary, które ratownicy wynosili z Rotundy, należało położyć w bezpiecznej odległości od zgliszcz. Doktor Borkowska-Gomez kazała układać poszkodowanych przy wejściu do przejścia podziemnego pod rondem. W tym miejscu lekarka pogotowia dokonywała selekcji, oddzielała żywych od martwych. Rannych karetkami i prywatnymi samochodami (podobno sporo osób zgłosiło się na ochotnika do tej misji) wysyłała do szpitala przy ulicy Lindleya. To najbliższy i najodpowiedniejszy szpital w okolicy, podlega Akademii Medycznej.

Dość szybko przy zburzonej wybuchem Rotundzie zjawili się towarzysze z dzielnicowego komitetu PZPR, zgodnie z obowiązującym w PRL prawem i obyczajem partia miała we wszystkich sprawach decydujący głos. I tym razem działacze partyjni chcieli wpłynąć na przebieg akcji ratunkowej i nadać jej wizerunkowy wymiar. Zażądali, żeby karetki pogotowia wywiozły ciała zabitych. Obawiali się tłumu gapiów, którzy musieli widzieć ofiary, w tym tych, którzy nie przeżyli wybuchu. W PRL rządzonej przez Gierka obowiązywała propaganda sukcesu, widok zabitych nie pasował do oficjalnego wizerunku. Podobno doszło wtedy do ostrej wymiany zdań, doktor Borkowska-Gomez nie mogła się przecież zgodzić, by karetki woziły martwych, kiedy szybkiej pomocy, ratunku potrzebowali żywi.

Prędko też przyjechała milicja i w miarę sprawnie kordonem otoczyła teren katastrofy. Zgromadzony i liczny tłum gapiów odsunięto od ruin banku. Przez megafon zaczęto wzywać ludzi do oddawania krwi, chwilę później podjechały też autobusy MZK, które zgłaszających się ochotników rozwoziły do stacji krwiodawstwa. Sporo osób poszło oddać krew spontanicznie, na samą wieść o tragedii, bo usłyszało o niej informację w radiu. Łącznie krew oddało prawie cztery tysiące ludzi.

Jeszcze przez kolejnych sześć dni szukano, czy nie ma zasypanych osób w ruinach Rotundy. W tej akcji brali udział strażacy wspierani przez robotników, żołnierzy i milicjantów, łącznie dwa tysiące osób. W wyniku tych poszukiwań w sobotę 17 lutego znaleziono ciała czterech osób, a w poniedziałek 19 lutego – kolejnych dwóch. We wtorek 20 lutego z rumowiska wyciągnięto jedno ciało, była to ostatnia ofiara wydobyta z tego, co pozostało po Rotundzie.

Opublikowany przez władze komunikat podawał liczbę czterdziestu pięciu osób, które zginęły na miejscu. Według oficjalnych danych leczeniu poddano siedemdziesięciu siedmiu rannych. Niestety, nie wszystkich poszkodowanych udało się uratować. Cztery osoby zmarły w szpitalu. Jedną z nich, młodą księgową Wanda Stępień, była w zaawansowanej ciąży. Przed śmiercią urodziła martwe dziecko, chłopca.

Ofiarami eksplozji w Rotundzie byli zarówno pracownicy, jak i klienci banku. Także przechodnie, którzy w momencie katastrofy znaleźli się za blisko budynku. W wybuchu zginęła obsługa kas od numeru siedemnaście do dwadzieścia trzy. Zginęli skarbnicy i kobieta prowadząca loterię. Poza budynkiem, na ulicy, lecące odłamki zabiły młode małżeństwo, parę studentów historii Magdalenę i Zdzisława Kozaków. Na chwilę przed eksplozją wyszli z przejścia podziemnego pod rondem.

Pogrzeby zorganizowano na koszt państwa. Dla ofiar władze wyznaczyły kwaterę na Cmentarzu Północnym.

„Nerwowość aparatu nie ustępowała wraz z odwilżą – historyk Marcin Zaremba analizował wydarzenia związane z zimą stulecia, w tym wybuch w Rotundzie PKO. – Wybuch spowodowało ulatnianie się gazu, konsekwencja – prawdopodobnie – uszkodzenia przez mrozy gazociągu. Mówili o tym wszyscy, żyli tym wszyscy. SB rejestrowała krążące plotki, jakoby miał to być atak terrorystyczny »grupy osób niezadowolonych z aktualnej sytuacji w kraju«. W kilku instytucjach Warszawy wytworzyły się nawet »panikarskie nastroje« przed podobnymi wybuchami. Tydzień później miała miejsce agresja chińska na Wietnam, co na chwilę stało się głównym tematem

rozmów Polaków. W marcu do Polski przyjechał uzdrowiciel i »cudotwórca« Clive Harris. Przyjmował chorych w kościołach. Mobilizacja służby kościelnej i zorganizowanie przez nią sprawnego »obsługiwania« ludzi okazały się próbą generalną przed wizytą papieża. W Szczecinie w ciągu dwóch dni Harris miał obsłużyć około 35 tys. osób, we Wrocławiu 30 tys., podobne tłumy zgromadził w Warszawie. Ich obecność tłumaczyć można tyleż stanem ówczesnych umysłów, magiczną religijnością, co kłopotami rodzimej służby zdrowia”.

– Drogą radiową, ponieważ miałem w samochodzie radiostację, otrzymałem od dyrektora Klimka polecenie, żebym zorganizował pracowników pogotowia technicznego SPEC i jak najszybciej dotarł do Rotundy, ponieważ wybuchł tam gaz – opowiada dyrektor Janusz Mróz. – Kiedy przyjechałem na miejsce, było tam kilka kordonów milicji i wojska. Przepuścili mnie. Każdy kordon przepuszczał mnie tylko na podstawie mojego oświadczenia, że jestem ze SPEC i zmierzam na miejsce wypadku, ponieważ w piwnicy obiektu znajduje się węzeł cieplny. Traf chciał, że nasza ekipa w tym czasie pracowała w Rotundzie. Stąd też od razu było podejrzenie i obawa, że to nasi pracownicy mogli doprowadzić do tej sytuacji, bo używali palników acetylenowych i otwartego ognia. I jeśli gaz gromadził się w kanałach ciepłowniczych, to mogło dojść do wybuchu, bo takie sytuacje się zdarzały.

Pomieszczenie SPEC znajdowało się po stronie północnej Rotundy, mniej więcej od ulicy Widok. W pobliżu tego miejsca znajduje się teraz tablica pamiątkowa. W Rotundzie Janusz Mróz zobaczył, że cała antresola była zawałona. Dotarł do węzła. Wchodził tam sam, jak kapitan. Po schodkach zszedł do środka. To, co widział, to była tragedia. Wynoszono rannych, niektórzy sami uciekali. Wynoszono także zwłoki. Zarówno ekipy ratunkowe, jak i pomagająca im milicja jak najszybciej chciały dotrzeć do pokrzywdzonych.

– Po dotarciu do węzła ciepłowniczego stwierdziłem, że nie ma tam już butli z acetylenem, czyli nasza ekipa wyszła wcześniej. Byłem już spokojny, meldowałem szefowi, że to prawdopodobnie nie

wynikało z pracy naszego zespołu – powiedział. – Byłem na miejscu w sumie około trzech godzin i w tym czasie widziałem tę ludzką tragedię. Zresztą, pomoc była znakomita. Nawet nie spodziewałem się, że zwykli ludzie, cywilni, na prośbę milicji udzielali pomocy, dawali swoje samochody do przewożenia rannych.

Sam był w szoku, starał się opanować. Część osób była bardzo spokojna, zwłaszcza ratownicy pogotowia ratunkowego. Oni byli najspokojniejsi, dyrygowali wszystkim. Przekazał informację i czekał jeszcze trochę na dalsze dyspozycje.

– Dla mnie najbardziej zaskakujące było to – podkreśla – że na słowo puszczał mnie każdy kordon milicji. To byli zwykli funkcjonariusze, a mi wierzyli. W końcu ktoś mógł mnie zatrzymać. Szedłem pieszo, bo inaczej pod samą Rotundę nie można było się dostać z powodu działania ekip ratunkowych i blokady ulic. Samochód musiałem zostawić aż przy placu Zbawiciela.

Tego dnia fotograf Ryszard Makowski był w Teatrze Małym, który znajdował się w podziemiach kina Relax. Wchodziło się do niego przez hall wejściowy Domu Towarowego „Junior” na ulicy Marszałkowskiej. Robił zdjęcia aktorce Małgorzacie Zajączkowskiej, wtedy debiutantce. Kiedy wyszedł z domów „Centrum”, poczuł, zobaczył, że coś złego się dzieje.

– Wyszedłem z teatru i chciałem iść piechotą na Ochotę. Mało co kursowało. Idę prosto przez zasypany na pół metra, czasem więcej, plac Defilad. Ludzie jednak szli w tych wydeptanych w śniegu korytarzykach tylko w jedną stronę, w stronę ronda, dziwne to było... Już po chwili dowiedziałem się, że był jakiś wybuch w Rotundzie, może bomba? – wspominał.

Nie mógł się jednak dopchać w pobliże miejsca tragedii. A chciał bardzo zrobić zdjęcia, bo był na takim etapie życia, na którym wydaje się, że zarejestrowanie pewnych rzeczy to coś wyjątkowo ważnego.

Śnieg zgromadzony na ulicy powodował, że z poziomu chodnika niewiele było widać. A dodatkowo wysokie, prawie na dwa metry zwały śniegu w okolicach ronda już zapełniły się tłumami gapiów

i wyglądały jak trybuny stadionu. Do tego kordon MO oczywiście, jak to na stadionie. W tej sytuacji Makowski postanowił udać się do hotelu Forum, który mieścił się w stumetrowym budynku wybudowanym przez Szwedów na początku lat siedemdziesiątych. Znajdował się naprzeciw Rotundy, po drugiej stronie ulicy. Z jego okien bezpośrednio nie było dobrze widać samego przedstawicielstwa PKO, ale można było zobaczyć, co dzieje się wokół niego.

Do hotelu, gdzie nocowali turyści zagraniczni (tak zwani dewizowi), nie każdy mógł wejść. Personel pilnował, żeby nie pętali się tu zwykli, szarzy obywatele PRL.

– Wykorzystałem sytuację, że obsługa jak wszyscy była przejęta tą tragedią obok. Wszedłem, nie wolno było, pan pamięta, ale młodzież na pewno nie, do tego Forum, robiąc minę obywatela zagranicznego, z aparatem japońskiej, czyli zachodniej, marki Canon na szyi – opowiada Makowski. – Chyba nawet coś powiedziałem po francusku, ale może zmyślam. Jakoś się udało.

W każdym razie dostał się do windy, co też aparatem uwiecznił, i dotarł nią na ostatnie piętro. Stamtąd zrobił niezwykle zdjęcia. Widać na nich tłum gapiów zgromadzonych wokół zachodnio-północnej strony dzisiejszego ronda Dmowskiego (wtedy nie miało żadnej nazwy) oraz ulicy Marszałkowskiej. Od strony Pałacu Kultury i Nauki przez największy w Europie (choć krakowianie tak mówią o swoim Rynku: dwieście na dwieście metrów i to już od 1257 roku) plac Defilad ścieżkami wśród zmrożonych zwałów śniegu niczym mrówki przemieszczają się ludzie. Tylko śnieg i sznureczki przemieszczających się osób. Na tych ścieżkach wokół Pałacu z trudem można było kogoś wyminąć, tak były wąskie. Na zdjęciu Makowskiego ci ludzie podążają tylko w jednym kierunku: w stronę Rotundy. Przy dzisiejszym rondzie Dmowskiego wchodzą na wielkie zwały zlodowaciałego śniegu. Widok ten robi niesamowite wrażenie, bo wygląda to tak, jakby centralne skrzyżowanie stolicy, miejsce, gdzie stykają się dwie najważniejsze arterie miasta, gdzie krzyżuje się ulica Marszałkowska z Alejami Jerozolimskimi, zmieniło się

w jakiś amfiteatr, z którego zgromadzony tłum obserwuje rzeczywisty dramat.

– Moje zdjęcia z wybuchu Rotundy pokazują, ile było śniegu jeszcze w lutym. A w sumie w Warszawie mało padało po grudniu i styczniu, po tym przełomie. Nasypało i zostało. Dla mnie to nie była zima stulecia, tylko zwykła niemoc systemu. Niedowład, zamieranie. System trzeszczał w szwach, trybach, coraz mniej oliwiony dopływem, a nawet odpływem, w związku z koniecznością oddawania wstrętnym kapitalistycznym bankierom tych ich serdecznych, życzliwych i obfitych gigantycznych pożyczek branych na dziwaczne inwestycje – dewiz... Ileż to my wtedy upadających zachodnich firm uratowaliśmy: Berliet, Philips... Kapitalizm powinien nam dziś dać medal. „Kapitaliści Wyklęci” mógłby się nazywać – ironizuje Makowski.



## A PO MROZIE PRZYCHODZI ODWILŻ

Mróz już tak nie dokuczał, więc władze partyjno-państwowe wracały do ulubionego stylu. „Po posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR. Sprawne przeprowadzenie prac wiosennych w rolnictwie – sprawą ogólnonarodową” – donosiła ukazująca się na Mazowszu „Nasza Trybuna” w marcu 1979 roku. Obowiązywał urzędowy optymizm, ale też widać, że władza chciała zdyscyplinować i zmobilizować obywateli. Kontrastowały z tym inne komunikaty, bardziej niepokojące. Sielankowy ton powoli zniknął.

Choć już na początku stycznia, zaraz po ataku mroźnej zimy, mówiło się i pisało o zagrożeniu powodziowym, teraz jednak zaczęto podchodzić do problemu z należyтым dystansem i stosownym spokojem. Krótko mówiąc, nie robiono paniki, ale też starano się dostrzec piękno nawet w trudnych sytuacjach. Poetycko pisała o tym „Nasza Trybuna”: „Pod Dobrzykowem w województwie płockim pokazały się bociany, zwiastujące nieomylnie wiosnę, chociaż nadwiślański krajobraz w tym rejonie wcale nie przypomina tej pory roku. Śnieg okrył ziemię. Koło Duninowa krajobraz wręcz arktyczny. Zwały lodu, tworzące misternie ukształtowane góry, podchodzą aż pod szosę Płock-Włocławek.

W województwie płockim trwa już od tygodnia ofiarna walka ludzi z żywiołem powodzi. Utrzymują się przez cały okres wysokie stany poziomu wody. W Płocku zanotowano niedawno rekordowy od wielu lat poziom 822 cm. Woda przedostała się na przedmieścia lewobrzeżnej części miasta – Radziwia”.

Sytuacja stawiała się dramatyczna. W Ostrołęce 30 marca poziom wody osiągnął pułap pięciuset centymetrów, czyli o sto dwadzieścia centymetrów więcej niż stan alarmowy. Do Ostrołęki i okolic 31 marca władze wysłały sekretarza Komitetu Centralnego PZPR Józefa

Pińkowskiego. Nie pomogło. Kwadrans po godzinie szesnastej woda zalała wiele wsi, w tym Drozdowo Włościańskie. „Ludzie koczowali częściowo w pobliskim lesie, częściowo w sąsiednich wsiach. Żywność dowoziły wojskowe transportery” – pisał Mieczysław Bartniczak w artykule „Nad wielkim zakolem Narwi”.

Jeszcze 1 kwietnia woda nadal wylewała. „95 tys. ha pod wodą. Ofiarna walka z powodzią w województwie ostrołęckim” – głosił tytuł „Naszej Trybuny” w poniedziałek 2 kwietnia. Wojewoda ostrołęcki ogłosił stan klęski żywiołowej w dziewięciu gminach leżących nad Bugiem, jedenastu gminach nad Narwią i w samej Ostrołęce. Zamknięto szkoły, apelowano do rodziców, żeby dzieci nie pozostawiać bez opieki. W Ostrołęce wzywano również, „aby osoby bezpośrednio niebiorące udziału w akcji przeciwpowodziowej nie przebywały w sąsiedztwie brzegów Narwi. Szczególnie wału”. Tego dnia o czternastej poziom wody w Ostrołęce wyniósł pięćset osiemdziesiąt pięć centymetrów, a więc o dwieście pięć przekroczył stanu alarmowego.

„Gdy podjeżdżamy na krańce łągu – opisują reporterzy „Naszej Trybuny” – u brzegu wezbranej wody widać grupę ludzi czekających na przyjazd wojska i ewakuację zwierząt z coraz bardziej zalewanych gospodarstw. Woda idzie w górę. – Wiedzieliśmy, że może być źle i byliśmy na to przygotowani, mamy opracowany szczegółowy plan przekwaterowań, zarówno ludzi, jak i inwentarza – mówi naczelnik gminy Lelis. Ludzie z niepokojem patrzą na zanurzające się coraz bardziej w wodzie swoje gospodarstwa. Spoglądają na zalaną drogę w oczekiwaniu pomocy. Widok wojskowych amfibii napawa ich otuchą. Podobnie jak i deklaracje pomocy, które wszystkim poszkodowanym samorzutnie składają sąsiedzi. Tymczasem wieloma przepustami spieniona woda rwie nadal. Do Lelisa wracamy okrężnymi, mocno podtopionymi bezdrożami, w milicyjnym UAZ-ie. Inny samochód tu nie przejedzie. Po drodze, w Durlasach mijamy cysternę, wiozącą 4 tony mleka do Ostrołęki, które musi tam dotrzeć do mleczarni”.

Wizyta towarzysza Józefa Pińkowskiego nie poprawiła sytuacji,

woda nie przestała zagrażać. O godzinie czternastej 4 kwietnia poziom Narwi w Ostrołęce wynosił prawie sześć metrów! Dokładnie pięćset dziewięćdziesiąt sześć centymetrów, czyli aż o dwieście szesnaście więcej niż stan alarmowy. Z kolei w Róźnie stan alarmowy był przekroczony o sto pięćdziesiąt sześć centymetrów, a woda osiągnęła poziom... sześciuset sześciu centymetrów. W Zambskach Kościelnych stan wody wynosił sześćset dwadzieścia dwa centymetry, sto czterdzieści dwa centymetry powyżej stanu alarmowego.

W tej sytuacji do Ostrołęki pojechał premier rządu PRL Piotr Jaroszewicz w towarzystwie towarzyszy ministrów: rolnictwa – Leona Kłonicy, handlu wewnętrznego i usług – Adama Kowalika, oraz przewodniczącego Komitetu do spraw Radia i Telewizji – Macieja Szczepańskiego. Przedstawiciele lokalnego aparatu partyjnego, czyli I sekretarz KW PZPR Jerzy Smyczyński i wojewoda ostrołęcki Stanisław Migza, złożyli towarzyszowi Jaroszewiczowi meldunki: „Wezbrane wody Narwi i Bugu zalały dotychczas 120 tys. ha ziemi. Powódź dotknęła 84 wsie, całkowicie bądź częściowo zalane wodą”.

Woda jednak nie ustępowała mimo osobistego zaangażowania towarzysza Jaroszewicza. „Dramatyczne chwile przeżyli w nocy z 3 na 4 bm. mieszkańcy nadnarwiańskiej gminy Zatory. Przy ujściu niewielkiej rzeczki Prut do Narwi o godz. 22.40 na długości 30 m został przerwany wał przeciwpowodziowy. Jak nas poinformował przewodniczący Gminnego Komitetu Przeciwpowodziowego, naczelnik gminy Zatory – Czesław Stańczak, woda zalała teren wsi Śliski i Burlaki oraz ich przysiółki – Okopy i Holendry. Pod wodą znalazło się 6 gospodarstw oraz wszystkie domy letniskowe” – relacjonowała „Nasza Trybuna”.

Jak podaje portal internetowy [pultusk24.pl](http://pultusk24.pl), 5 kwietnia 1979 roku wieczorem wody Narwi przerwały wał ochronny przy cmentarzu Świętego Krzyża w Pułtusku. O godzinie osiemnastej dwadzieścia naczelnik miasta i gminy otrzymał informację, że doszło do przerwania, pięć minut później wiadomość ta została potwierdzona.

O godzinie osiemnastej dwadzieścia siedem w Pułtusk rozległo się wycie sześciu syren alarmowych, które trwało przez trzy minuty. Do dwudziestej odbyła się pierwsza faza ewakuacji. Wywieziono najbardziej zagrożonych, amfibiami ewakuowano ponad czterysta pięćdziesiąt rodzin, czyli tysiąc sześćset pięćdziesiąt osób.

W ciągu godziny wezbrane wody zalały niżej położone tereny miasta, od łąk Rybitwy przez Rynek do stacji PKS na ulicy Daszyńskiego. Powódź pozbawiła środków do życia wielu mieszkańców, w tym rzemieślników, którzy stracili swoje warsztaty wraz z całym wyposażeniem. Do Pułtusk 6 kwietnia przyjechali Edward Gierek i Piotr Jaroszewicz. Odbyli spotkanie z lokalnymi władzami w świetlicy POM Pułtusk. Obiecano miastu pomoc. Niewiele szczegółów zachowało się w dokumencie z tego spotkania.

„Niedziela – trzeci dzień w zalanym przez wody Narwi Pułtusk. W wyżej położonej części miasta, tam, gdzie nie sięgnęła powódź, życie toczy się w miarę normalnie, jeśli można mówić w tej sytuacji o normalnych warunkach. W Pułtusk wszyscy są przecież pod wrażeniem tej klęski żywiołowej, która dotknęła miasto – opisywała „Nasza Trybuna”. – Na Narwi, w miejscu, gdzie woda w czwartek wieczorem przerwała wał, trwa praca nad likwidacją około stumetrowej wyrwy, głębokiej prawie na 9 m. Pracuje tu 90 żołnierzy oraz 40 pracowników z Warszawskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Wodnego. Zgromadzono niezbędny sprzęt techniczny. Wbito już pale, ułożono materac z faszyny, a teraz dowozi się barkami kamienie do wypełnienia wyrwy, która następnie uszczelniona zostanie piaskiem” – relacjonowała „Nasza Trybuna”.

W mieście zawieszono naukę w szkołach. Z powodu silnego prądu wody wprowadzono także zakaz poruszania się łodziami wiosłowymi po zalanych ulicach Wolności, Nadwodnej i Stare Miasto. Jednocześnie zakazano pływania prywatnymi łodziami po zmroku. Była to reakcja na zdarzające się kradzieże opuszczonych mieszkań i sklepów.

„Szacuje się, że w mieście jest około 4 mln metrów sześciennych wody. Fala powodziowa, która teraz zaatakowała i przedarła się do

miasta, była o 79 cm wyższa od tej, która w 1958 roku spowodowała powódź. Usuwanie wody z zalanych ulic Pułtuska potrwa około 2 tygodni. Obecnie poziom wody w zalanych dzielnicach Pułtuska wynosi do 30 do 180 cm. Ulice Pułtuska przypominają rwące rzeki. Wsiadam na częściowo zalanej ul. 1 Maja do pływającego transportera wojskowego. Płyniemy w stronę Rynku, znajdującego się pod wodą. Z mostku na kanale przy kinie »Narew« widać zaledwie parę centymetrów bariery” – można przeczytać w dziennikarskich relacjach.

I jeszcze: „Mieszkania parterowe puste i oczywiście zalane. Ci, którzy mieszkają na piętrze, chcą raczej pozostać na miejscu. Wojskowymi amfibiami dostarcza się im żywność, opał, a przede wszystkim wodę do picia. Starsza kobieta, Regina Bujnowska, którą zabieramy na transporter, chce się przenieść do córki mieszkającej w wyżej położonej części miasta. Jest już umęczona, nie może dłużej mieszkać w tym mieszkaniu, z którego nie można się ruszyć. Zabiera ze sobą dwa wężelki bielizny i najbardziej potrzebne rzeczy”.

Żywność do mieszkań dostarczało jedenaście łodzi wiostowych. Na jedną łódź zabierano trzydzieści litrów mleka w folii, siedemdziesiąt kilogramów chleba, siedem kilogramów masła, dwieście konserw, sto butelek wody mineralnej i wodę pitną w metalowych pojemnikach. Woda w mieście nie nadawała się do picia nawet po przegotowaniu.

Zalane zostały wszystkie zabytkowe budynki Pułtuska. Najbardziej ucierpiała kolegiata, gdzie wysokość wody osiągnęła dwa metry. Jeszcze w czasie trwania powodzi zgłaszali się konserwatorzy, którzy zadeklarowali, że społecznie wykonają fachowe prace ratujące zabytki.

W Pułtusku, jak można przeczytać w relacjach, wylot ulicy 1 Maja stał się ujściem rzeki, której wartki nurt płynął ulicami ówczesnej Armii Czerwonej i Daszyńskiego. Na odcinku ulica 1 Maja, Armii Czerwonej i Rynek 9 kwietnia saperzy zbudowali most. Jak pisze pultusk24.pl, o godzinie siedemnastej można było nim przejść do Ratusza.

„Żołnierze układają most pontonowy w kierunku pułtuskiego rynku, za którym są osiedla niezatopione, mieszkają tam ludzie, niczym na wyspie. Mieszkańcom trzeba dowozić żywność, opał i gaz butlowy. Most ułatwi komunikację w zalanym mieście – opisywała „Nasza Trybuna”. – Amfibia wjeżdża w falujące ulice. Obraz zalanego przez Narew Pułtуска wygląda tragicznie. W transporterze płynie z nami kapitan Zbigniew Zając – kierownik pułtuskiego komisariatu MO. Od kilku dni bez przerwy jest na nogach, kieruje akcją ratowniczą.

Woda już o kilkanaście centymetrów opadła i odłania zniszczenia. Przez wybite szyby wystawowe sklepów żołnierze wnoszą resztę dobytku. Na ulicach widać zatopione samochody, których nie zdążono wyprowadzić. Żołnierze pomagają mieszkańcom wydostać się z mieszkań położonych na piętrze podtopionych domów”.

Powódź zakończyła się 17 kwietnia, do miasta wkroczyły służby sanepidu. Kilka dni później zaczęto odwoływać alarmy powodziowe. Zrujnowany Pułtusk zaczął powoli wracać do życia.

## WODA DOJDZIE TYLKO DO SCHODKÓW

Witold Gadomski w 1979 roku mieszkał w Ciechanowie. Dzisiaj to znany dziennikarz ekonomiczny, wtedy przez rok, po studiach i wojsku, był nauczycielem w tamtejszym Zespole Szkół Ekonomicznych. Z kolei jego narzeczona mieszkała w Warszawie. Starał się ją odwiedzać, kiedy tylko mógł. Zresztą, przygotowania do ślubu wypadły w zimie stulecia. Któregoś dnia ruszył do stolicy w środku tygodnia. W bardzo ważnej sprawie, jakiejś urzędowej. Ślub się zbliżał i trzeba było dopełnić formalności.

Kilka kilometrów przed dworcem Warszawa Wschodnia pociąg się zatrzymał. Nie było wyboru, musiał opuścić wagon i ruszyć pieszo. Czas gonił, więc brnął przez śnieg, co trwało pewnie ponad godzinę. Buty i nogawki spodni całkiem przemoczył. Skończyło się poważnym przeziębieniem.

– Efekt tego był taki, że na ślubie, który odbył się w pierwszych dniach lutego, miałem blisko czterdziestostopniową gorączkę. Ledwo się poruszałem – wspomina Witold Gadomski.

Na domiar złego uroczystość odbywała się w Pałacu Ślubów na warszawskiej Starówce, a do tego gmachu urzędu stanu cywilnego trzeba przejść spory kawałek, co przy wysokiej gorączce nie jest ani przyjemne, ani korzystne dla zdrowia.

Witold Gadomski przypomina, że podczas tej zimy powszechne były różne gesty ludzkiej solidarności. Częstym obyczajem było korzystanie z przypadkowych samochodów.

– Pamiętam taką scenkę: widzę jakiś samochód, to wychodzę na jezdnię i macham. On się oczywiście zatrzymuje i mnie zabiera. Dzisiaj ktoś by się zatrzymał? Pomyślałby sobie, że albo wariat, albo napad. A ludzie wtedy, w czasie takich podróży, rozmawiali ze sobą,

krytykowali rządzących i narzekali: „Co to za władza? Trochę śniegu spadło, a oni nie dają z nim rady” – opowiada Gadomski.

Ocenia, że zima stulecia zaszkodziła władzom PRL. Ludzi ta sytuacja denerwowała, konfrontowali ją ze stwierdzeniami charakterystycznymi dla gierkowskiej propagandy. Ich zdaniem to, co się stało, to była wina władzy, która nie potrafiła stawić czoła żywiołowi.

– Ja też tak wtedy uważałem, że oni sobie z tym nie radzą. Taka prosta sytuacja: zima. Dziś już tak na to nie patrzę. W czasie III RP przeżyliśmy wiele sytuacji i wiemy, że władza sobie generalnie nie radzi. Od znajomego i brata, którzy mieszkają w Kanadzie, wiem, jak to tam wygląda. Śnieg pada, więc trzeba się do tego dostosować. Niektórych rzeczy po prostu się nie sprząta, bo to się nie opłaca. U nas było takie przekonanie, że władza musi nad wszystkim panować, sprawować kontrolę. Zresztą władza sama chciała, żeby ludzie sądzili, że nad wszystkim panuje. A skoro nie panowała, to znaczy, że nie daje sobie rady.

Witold Gadomski pochodzi z Pułtusza. Kiedy po studiach opuścił miasto, zostali tam jego rodzice, którzy byli nauczycielami. Pułtusk jest bardzo malowniczą, zabytkową miejscowością. Ma kilka kanałów, które sprawiają, że centrum jest położone na wyspie. Z powodu tych kanałów miasto określane jest jako Wenecja Mazowska.

W Polsce najniebezpieczniejsze są dwa rodzaje powodzi. Letnie, które są wynikiem opadów deszczowych, i zimowo-wiosenne, spowodowane najpierw opadami śniegu, a potem jego rozmarzaniem. Pułtusk jest szczególnie narażony na te drugie. W roku 1958 była duża powódź, w wyniku której zalało Rynek i część miasta. Po niej zdecydowano o wybudowaniu wału, który odgradza Pułtusk od Narwi. Zresztą jest po jej obydwu stronach, bo też oddziela od rzeki dzielnicę, która nazywa się Popławy. Ten wał chroni miasto.

W ostatnich latach nie ma powodzi, być może dlatego, że są cieplejsze zimy.



– Tamtą powódź pamiętam słabo, miałem wtedy pięć lat – opowiada Gadomski. – W mojej pamięci utkwiły takie znaki wbite w niektóre budynki. Informowały one, do jakiej wysokości wtedy doszła woda. Kiedy nastąpiła powódź w 1979 roku, to były komunikaty radiowo-telewizyjne, że idzie fala. Najpierw spowodowała podtopienie Ostrołęki, która jest bardziej na północ i Narew stamtąd idzie. Wszyscy spodziewali się więc, że będzie ta fala, ale mieli w pamięci rok 1958 i mówili: „Ona doszła do tego miejsca”. Tam, gdzie moi rodzice mieszkali, wszyscy mówili, że woda tak jak wtedy dojdzie do schodków. „Nas nie zaleje”. Niektóre ulice będą zalane, ale nie my.

Rodzice Witolda Gadomskiego mieszkali w zbudowanym na początku lat sześćdziesiątych domu z wysokim parterem, sześciomieszkaniowym bloku nauczycielskim przy szkole. Zajmowali mieszkanie na parterze tego budynku. W pobliżu układano jakieś worki z piaskiem, ale bez większego entuzjazmu.

– Obserwowano wał, woda napierała, zastanawiano się, czy się przeleje przez wał, czy nie, aż w pewnym momencie zaczęły wyc syreny, więc wszyscy się zorientowali, że zalało. Woda nie przelała się przez wał, lecz wyrwała w nim dziurę. Potem widziałem to miejsce, był tam dół na kilka metrów, efekt ogromnej siły wody. Woda jakby przeszła pod wałem i ten wał w tym miejscu został zmieciony – relacjonuje. – Wiadomo, że ta woda już idzie. Rodzice myślą: „No to dojdzie do schodków”. Ale woda nie przestawała iść. Wtedy postanowili zabezpieczyć rzeczy. Kanapy i fotele umieścili na szafach. Nie było to łatwe, bo mieli już swoje lata. Mama – pięćdziesiąt dziewięć, ojciec – sześćdziesiąt cztery.

Ojciec Witolda Gadomskiego miał sporo książek, niektóre cenne, poustawiał je na szafie, licząc, że je uchroni przed zalaniem. Na nic to się zdało, szafa przewróciła się pod naporem wody i te książki pływały. W pewnym momencie wody było już tak dużo, że musieli opuścić mieszkanie. Poszli na klatkę schodową, na górę i usiedli na schodach. Po chwili całe ich mieszkanie znalazło się pod wodą.

Gadomscy nie byli z nikim skonfliktowani, ale nie prowadzili też

bogatego życia towarzysko-sąsiedzkiego. Należeli do ludzi zamkniętych we własnym świecie, skromnych i szanowanych. Pani Gadomska była bardzo lubianą nauczycielką, jej byli uczniowie mówią jeszcze dzisiaj, że była świetną polonistką. Ale nie mieli odruchu, żeby pójść do sąsiadów, zawracać im głowę swoimi problemami. A przecież znali ich dobrze, w końcu pracowali razem w szkole. Usiedli tak na schodach, ale sąsiad wyjrzał i zaprosił ich do domu: „Panie Gadomski, niech się pan nie wygłupia, chodźcie do nas przenocować”. Poszli więc do sąsiadów i tam spędzili noc. Potem matka pana Witolda została ewakuowana do internatu, w którym zorganizowano miejsce dla pozbawionych dachu nad głową. Ojciec tam nie poszedł, bo się bał, że będą jeszcze większe szkody spowodowane przez złodziei.

– Taka katastrofa wyzwała bardzo złe emocje. Coś podobnego na o wiele większą skalę było w Nowym Orleanie po huraganie Katrina – zauważa Witold Gadomski. – Najgorsze, że wtedy pojawili się ludzie z okolicy, tacy, których mogło się znać.

Ponieważ Pułtusk leży nad rzeką, wiele osób ma tam łódki. Kiedyś to były łodzie z długim wiosłem służącym do odpychania. Trochę przypominały gondole. Tymi łódkami pływano po zatopionym i opustoszałym mieście.

– Niby interesowało ich, czy komuś nie trzeba pomóc. Ale tak naprawdę plądrowali. Wybijali szyby i sprawdzali, co można wziąć. I to było powszechne. To był proceder dość powszechny i ludzie się tego bardzo bali – wspomina Gadomski.

Kiedy woda po kilku dniach w końcu opadła, mieszkanie było zdewastowane. Podłoga z pcv odkleiła się od podłoża i został goły beton. Ściany działowe były popękane. Po wyschnięciu wilgoć wychodziła jeszcze przez wiele lat.

– Ojciec ukochane książki suszył. Kilka z nich mam u siebie do dziś – opowiada Gadomski. – Do rodziców przyjechałem ze starszym bratem po kilku dniach. Brat był bardzo towarzyskim człowiekiem i z tego powodu osobą popularną w Pułtusku, więc bez trudu zdobyliśmy łódkę. Podpłynęliśmy do domu rodziców. W mieszkaniu

wody już nie było, ale wokół tak, do schodków. Porozmawialiśmy trochę z ojcem, bo właściwie co mogliśmy zrobić więcej.

Do Pułtuska przyjechał wtedy Gierek, który na spotkaniu z powodzianami powiedział: „Co, woda dokuczyła?”. I te słowa towarzysza I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej bardzo poszkodowanych zdenerwowały.

Wiele osób uważa, że pomoc nie dotarła do tych, do których miała dotrzeć, którzy byli najmocniej poszkodowani. Że najbardziej skorzystali jak zawsze ci będący blisko jej dystrybucji. Trudno teraz dociec, jak było. Ale bez wątpienia były to czasy ogromnej korupcji na różnych poziomach władzy, nie byłoby więc w tym nic dziwnego, gdyby i w takiej sytuacji te mechanizmy zadziałały. W końcu w dystrybucji mieli rzadkie dobra i dostęp do nich, więc można przypuszczać, że znaleźli się ludzie, którzy listę powodzian rozszerzyli o takich, co wody nawet nie widzieli. Było to normą w PRL, więc nawet dziwne byłoby, gdyby nagle tym razem było inaczej.

Z kolei prawie wszyscy chwalą wojsko. Mówią o sprawnej ewakuacji i o tym, że ze strony żołnierzy można było liczyć na pomoc. Pojawili się szybko i ewakuacja przebiegała bez zakłóceń.

Rodzice Witolda Gadomskiego z trudem podnosili się po tym dramacie. Każde z nich przechodziło to inaczej. Ojciec próbował przywrócić mieszkanie do użytku. Zorganizował jakąś wykładzinę na podłogę, coś tam naprawił, wyremontował i odmalował. Z kolei pani Gadomska jakby straciła więź z tym mieszkaniem. Uważała, że trzeba je jak najszybciej opuścić. Każda pojawiająca się plama wilgoci na ścianie, odpadający kawałek tynku, każdy przedmiot przypominający powódź ją destabilizował. Choć tak różnie reagowali, to jednak nigdy już to mieszkanie nie było takie jak wcześniej. Może bali się, że wszystko się powtórzy?

## ŚLIMAKOWIE Z WENECJI

Inkasant Edward Biernacki nie lubił zimy. Ten mężczyzna mieszkający w Pułtusku i pracujący dla podzakładu energetycznego Warszawa-Teren jeździł po różnych miejscowościach, małych wsiach, gdzie często musiał docierać do domostw leżących gdzieś z boku wsi. Ludzkie skupiska są przecież bardzo różne. Jedne mocno zagęszczone, inne porozrzucane. Czasami niektóre gospodarstwa leżały półtora, dwa kilometry poza swoimi osadami.

– Jeździła wtedy ciuchcia do Nasielska. Brałem do niej rower i nim jeździłem po terenie. To była wielka wygoda. Później kupiłem sobie motor – opowiada.

Bo latem, a nawet wczesną porą zimową, jak było mało śniegu, to człowiek dawał radę i podjechał rowerem. Zimą bywało gorzej, śnieg wysoki, a liczniki trzeba sprawdzić. Zakładał wtedy gumowce, bo one najlepiej chroniły przed wilgocią, ale żeby stopy nie zmarzły, musiał je solidnie owinąć grubymi onucami. Do tych gumowców śnieg i tak wpadał, topił się, na dodatek noga się w nich pociła i stopy były całe mokre.

– Zimą to była paskudna robota – stwierdza Edward Biernacki.

Pan Edward pamięta, że tego dnia wrócił do domu z Nasielska. Podjechał ciuchcią i miał już rower, bo przecież był początek wiosny, choć jeszcze śniegu przy drogach było dużo. Spokojnie jechał rowerem, kiedy zobaczył, że na ulicy pojawiła się woda. Nacisnął mocniej pedały, żeby jechać szybciej, ale po jakichś dwudziestu, może trzydziestu metrach okazało się, że woda się podniosła i dotykała jego stóp. Na szczęście był już blisko domu. Mieszkali nieopodal ratusza. Przed wojną to była ulica Senatorska, za PRL Wolności, a teraz, w III RP, to aleja Polonii. Biernaccy mówią tak jak dawniej, dla nich to zawsze ulica Senatorska.

– Wpadam na to nasze podwórko, wodę mam do kostek. Mieliśmy tam taką komórkę na węgiel, bo w naszym mieszkaniu były piece kaflowe. Przyszło mi do głowy, żeby tego węgla nabrać. – Opowiada, jak chwycił wiadro i zaniósł na pierwsze piętro, bo ich mieszkanie było właśnie tam. Wtedy pomyślał, że dobrze będzie przynieść jeszcze drugie wiadro, bo jedno to mało, więc poszedł do komórki z powrotem. Kiedy wracał, wodę miał już do kolan, ale udało się, choć cały korytarz na parterze był zalany. Drugie wiadro węgla powędrowało do ich mieszkania na pierwszym piętrze. Trzeciego nie zdołał już przynieść. Z węglem udało mu się też trochę drewna nanieść na górę, chwycił je w drugą rękę.

– Woda do pasa mi sięgała, była do połowy schodów – opowiada pan Biernacki. – Patrę, a po pięciu, dziesięciu minutach cały parter już był zalany. Ludzie uciekali czym prędzej...

Rodzina Biernackich została więc uwięziona w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Było jeszcze zimno, ale pan Biernacki wykazał się przytomnością umysłu, mogli napalić w piecu i się ogrzać. I tak spędzili noc w zalanym wodą Pułtusku, o którym się mówi, że jest Wenecją Mazowsza, ale wtedy, na początku kwietnia 1979 roku, wyglądał jak prawdziwa włoska Wenecja.

Małgorzata Bujalska, jedna z czterech córek państwa Biernackich, wracała do domu z wieczornego nabożeństwa w kolegiacie. Nie śpieszyła się. Ich dom znajduje się na wyspie otoczonej kanałami, widziała, jak wokół nich zbierali się ludzie i z zainteresowaniem przypatrywali się, jak woda przybiera.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Wody przybywało w tempie naprawdę ekspresowym. Pewnie dlatego, że byłam młoda, też zaczęłam się gapić. Dopiero jak zaczęła się wylewać na ulicę, przestraszyłam się i pobiegłam do domu. Wpadłam do mieszkania i mówię: „Mamusiu, coś dziwnego się dzieje, woda przybiera”. I wtedy zobaczyłam, że tata ten węgiel wnosi, bo racjonalnie i odpowiedzialnie pomyślał, żeby w czasie powodzi rodzinę zabezpieczyć, żeby nie zamarzła – opowiada.

Kiedy nastał dzień, pojawiły się wojskowe amfibie. Dostali chleb,

chyba nawet jakieś kanapki. Dokładnie nie pamiętają, co jedli. Wojsko zaczęło ewakuować niektórych ludzi.

– Właściwie to wtedy wszystkich ewakuowano. Rodzice postanowili zostać jednak w mieszkaniu, więc byli sami. Nikogo wokół. Jak Ślimakowie – mówi Małgorzata Bujalska. – Mnie tą amfibią wywieziono do bursy. Byłam w klasie przedmaturalnej i bardzo martwiłam się o rodziców.

Razem z nią ewakuowano też młodszą siostrę. To rozłączenie było dla nich ciężkie.

– Nie wiedziałyśmy, jak długo to potrwa i jak rodzice dadzą sobie sami tam radę.

– Też zostałam, bo mąż nie chciał się ruszyć – śmieje się dzisiaj pani Władysława Biernacka. – Nie chciałam go zostawić samego. Bałam się o niego.

I tak kilka dni Biernaccy w roli Ślimaków trwali, pilnując swojego skromnego dobytku. Mieszkanie w starej kamienicy wychuchali. Wyremontowali, choć przecież nie było ich własnością, ale chcieli wygodnie mieszkać, podnieść standard, mieć prawie jak w nowym bloku, żeby tej sześćcioosobowej rodzinie żyło się wygodnie. Zajmowali jeden wielki pokój z – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – aneksem kuchennym. Mieli obok jeszcze jeden mały pokoik, ale on był nieogrzewany, więc nadawał się jedynie do korzystania latem. I w nim, kiedy było ciepło, córki się rządziły, mogły tu spokojnie zapraszać koleżanki i kolegów. Jak większość ludzi ściśniętych w za małych mieszkaniach w PRL, marzyli o czymś większym, a że nie mieli siły czekać na przydział mieszkania, postanowili sobie sami dać radę i na działce budowlanej na obrzeżach Pułtuska zaczęli wznosić gospodarczym sposobem skromny dom. Fundamenty były, jakieś ściany się pojawiły, ale takie budowy wlokły się latami. Nie tylko dlatego, że wznoszenie domów to mozolna praca, ale też i dlatego, że w tamtych czasach nie było łatwo kupić materiał na budowę.

W systemie gospodarki planowej i reglamentowanej na materiały budowlane trzeba było mieć przydział. Oczywiście, sporadycznie niektóre rzeczy bywały bez przydziałów, ale rzadko kto je widział, bo

znikały, zanim dojechały na plac przed magazynem. Bo była też druga droga, droga na skróty, wystarczyło dać odpowiednią kwotę odpowiedniemu człowiekowi, a towar poszukiwany przestawał nim być. Taka droga nazywana jest powszechnie łapówką, choć wtedy to było tak zwane dojście. Mówiło się raczej o posmarowaniu zawiasów, żeby drzwi do tego dojścia się szeroko otworzyły, niż o dawaniu łapówki.

Trzecią ścieżką było kupno kradzionego towaru, zjawisko też nagminne. W skrócie mówiąc, na przykład wywrotka z kruszywem w trakcie jazdy zmieniała cel i zamiast trafić na jakąś wielką budowę socjalizmu, trafiała do nas, ludzi ciężkiej pracy socjalistycznej.

Czwarty sposób określano jako „załatwianie po znajomości”. Czyli: ja mogłem załatwić coś konkretnego, ktoś inny coś innego, jeszcze ktoś jakąś kolejną rzecz. W ten sposób powstawał krótszy lub dłuższy łańcuch ludzi, którzy załatwiali sobie nawzajem potrzebne rzeczy. To „załatwianie po znajomości” dotyczyło niemal wszystkich dziedzin życia.

Była też droga polegająca na „wystaniu” w kolejce poszukiwanych dóbr, paradoksalnie nie dotycząca tylko dóbr luksusowych czy dostępnych bez przydziałów. Można było mieć przydział czy talon, a i tak w długiej kolejce trzeba było odstać, nie będąc w ogóle pewnym, czy uda się go zrealizować. I jeszcze na końcu dać łapówkę, aby się z tego przydziału mogło w ogóle skorzystać.

Jeśli towar nie był reglamentowany, a po długim czekaniu okazywało się, że przywieźli, ale coś innego, to i tak brało się to, co było, bo można było jeden deficytowy produkt zamienić na inny. A posiadanie czegokolwiek zwiększało nasze szanse. Można też było sprzedać z zyskiem i dzięki temu, bo teraz nas było stać, kupić to, czego naprawdę się poszukiwało. Każdy, kto żył w PRL, w mniejszym lub większym stopniu z takich ścieżek korzystał, i to nie dlatego, że chciał. Ludzi do tego zmuszała rzeczywistość.

Ale wróćmy do państwa Władysławy i Edwarda Biernackich, którzy paląc węglem pod kuchnią i oświetlając się zapaloną świecą, siedzieli w opustoszałym i zalanym Pułtusku, w tym czasie zamienionym

w prawdziwą Wenecję. Siedzieli w mieszkaniu na pierwszym piętrze, które zmieniło się w parter.

– Zjechali się szabrownicy z całej Polski – opowiada pani Małgorzata Bujalska. – Dla złodziejów i rzezimieszków to był raj.

Starsza córka państwa Biernackich, Hanna Kowalska, pracowała w Warszawie, a o powodzi dowiedziała się z radia i gazet. Kontakt z rodzicami nie było, bo to była era przedkomórkowa, a na zalanym terenie telefony nie działały. Dojechać do miasta nie można było, komunikacja do Pułtusza nie kursowała. Dopiero po kilku dniach mogła pojechać, śnieg po zimie jeszcze był po drodze, więc w Zegrzu przejeżdżało się przez śnieżne tunele. W Pułtusku, żeby dostać się do rodziców, którzy nadal tkwili w kamienicy opuszczonej przez wszystkich mieszkańców i w pustym mieście, musiała się przesiąść do amfibii. W ten sposób do nich dotarła i namawiała – jak się okazało, bezskutecznie – do opuszczenia mieszkania. Wtedy komunikacja i porozumiewanie się z Biernackimi odbywało się drogą wodną. Co chwila ktoś ich nakłaniał do opuszczenia domu. Z Wyszkowa przybyli, a dokładniej przy płynęli łodziami, bracia pani Władysławy, którzy zapraszali ją pod swoje dachy. Też bez skutku.

– W tym wielkim nieszczęściu było jedno wielkie szczęście. Że ta powódź zaczęła się około dziewiętnastej, a nie w środku nocy. Nadeszła we wczesnych godzinach wieczornych, kiedy ludzie jeszcze nie poszli spać. Gdyby to się stało parę godzin później, doszłoby do tragedii – podkreśla Małgorzata Bujalska.

Często zalani zostali ci, którzy zalania wcale się nie spodziewali. Małgorzata Bujalska wspomina sytuację koleżanki z innego rejonu Pułtusza. Mieszkała w domu z rodzicami. I oni na miesiąc przed powodzią byli już spakowani, rzeczy zanieśli na strych, schowali je tam przed spodziewanym nadejściem żywiołu. Sami na noc szli na piętro, bo bali się, że powódź lada moment nadejdzie.

– Mówiło się, że wał ma być przerwany, a rzeka zamiast iść na stare miasto, miała pójść tam, gdzie oni mieszkali, czyli na Popławy – opowiada Bujalska.

Stało się jednak inaczej.



Kiedy powódź minęła, ukazał się ogrom strat.

– To był okropny widok – wspomina Hanna Kowalska. – Ulice były czarne, brudne. Sklepy z powybijanymi szybami, oszabrowane. Zresztą mnóstwo rzeczy pływało jeszcze w resztkach brudnej wody. Obraz przerażający. Kataklizm. Apokalipsa. I w tym wszystkim w okienku jako jedyni moi rodzice. Nie ma chyba takich ludzi. – I dodaje po chwili: – Wtedy zaczął się koszmar.

Okazało się bowiem, że woda na tyle uszkodziła kamienicę Biernackich, iż nie nadaje się ona do mieszkania i musi zostać rozebrana. Kazano im spakować ocalony dobytek i opuścić dom. Stwierdzono też, że nie mogą dostać mieszkania zastępczego, bo są potencjalnymi posiadaczami domu jednorodzinnego, a to automatycznie wyklucza ich z grona osób poszkodowanych, a nawet zdaniem peerelowskich urzędników nadaje im status uprzywilejowanych. To nic, że w domu nie da się mieszkać. Że budowa rozpoczęta i daleko jej do zakończenia. Że nie mają teraz dachu nad głową. Przepisy mówią wyraźnie: nie należy się.

Władze jednak okazały się „litościwe” i skierowały Biernackich do budynku starych koszar, który był zasiedlony osobami z marginesu społecznego. Po otwarciu drzwi rodzina zobaczyła leżącego na środku pokoju martwego szczura, więc nic dziwnego, że córki nie chciały przekroczyć progu. Spędzili tam noc i uciekli nad ranem. W środku zostawili na krótko, jak im się wydawało, w workach rzeczy, cały swój dobytek, który zabrali z mieszkania przy ulicy dawniej Senatorskiej, potem Wolności, a teraz alei Polonii. W końcu po dramatycznych rozmowach skierowano ich do baraku, w którym mieszkali przez pół roku.

Wcześniej okazało się jednak, że tam, gdzie zostawili rzeczy, w tych koszarach, w dachu była dziura. Deszcz zaczął padać i woda wlewała się przez ten otwór prosto na ich dobytek, niszcząc go zupełnie. To, co z takim trudem ocalili, co nie uległo zniszczeniu w powodzi, stracili z powodu jakiejś dziury w dachu.

Zwrócili się więc o odszkodowanie. Przyjechała duża delegacja, dyrektorzy oddziałów, specjaliści od szkód i Bóg wie kto jeszcze.

Spory tłumek. Obejrzeni wszystko, pokiwali głowami, a najważniejszy dyrektor powiedział, że dostaną dwanaście tysięcy złotych odszkodowania. Wiadomo, powodzianom trzeba pomagać.

Pani Biernackiej podsunęto protokół do podpisania. A ona zmęczona przeżyciami, otoczona tymi wszystkimi ludźmi, przekonana, że w takiej sytuacji nikt nie będzie drugiemu szkodzić, podpisała. Tak się złożyło, że w tym protokole nie było tak, jak zapowiedziano. Kiedy przyszło do wypłaty okazało się, że zostali oszukani. Otrzymali kwotę tysiąc dwieście złotych. Tylko jedno zero, a taka różnica.

Państwo Biernaccy to przykład wzorowego małżeństwa, w którym partnerzy doskonale się uzupełniają. Pan Edward świetnie organizuje pracę, zarobi na dom, ochroni rodzinę, jak trzeba. Pani Władysława ma, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, talenty menedżerskie, które w tych trudnych okolicznościach okazały się bezcenne. Wywalczyła, że skoro nie mogą mieć zastępczego mieszkania, to niech przynajmniej pozwolą im dokończyć ledwie zaczęty dom. Z ociąganiem, ale dano Biernackim przydziały na materiały. Budowali dom, żeby mieć dach nad głową. W dwa lata udało im się jakoś stanąć na nogi. Bez żadnych luksusów. Ale otrząsnąć się z całej tej sytuacji nie było łatwo, to trwało znacznie dłużej.

## POST SCRIPTUM (ZAMIAST ZAKOŃCZENIA)

Właśnie niedawno odszedłem z pracy, której nie lubiłem, i cieszyłem się z odzyskanej wolności. Nie było jeszcze południa, a ja już myślałem o końcu dnia, bo wieczór zapowiadał się ciekawie, w większym towarzystwie wybieraliśmy na Konfrontacje. To był taki festiwal, a raczej przegląd najnowszych filmów zagranicznych. Nie wszystkie później trafiały na kinowe ekrany, więc kto mógł, starał się zdobyć karnet. Kto nie zdobył, ten kupował od koników bilet. My też planowaliśmy kupić w ten sposób bilety przed seansem, bo chcieliśmy obejrzeć „Hair” Miloša Formana. Nie byliśmy pewni, czy będzie w kinach, a kolega, który widział go w Londynie, twierdził, że na pewno nie będzie.

W pewnym momencie usłyszałem syreny kilku karetek i wozów strażackich, które przemknęły obok mojego domu. Stanąłem w oknie i zobaczyłem kolejne, i jeszcze kilka pojedynczych. Jakieś wozy milicji. Pędziły w stronę Śródmieścia, a dokładniej w stronę alei Krakowskiej, ale tego wówczas nie wiedziałem. Po doświadczeniu z Rotundą byłem pewien, że stało się coś złego. Coś naprawdę poważnego. Jakaś katastrofa i że życie ludzkie jest zagrożone.

Po ich przejeździe, kiedy dźwięk syren zniknął gdzieś daleko, znów zapanowała na ulicy ta złowróżbna cisza, którą wyolbrzymiał niewielki ruch samochodowy, jaki wówczas w ogóle był w godzinach przedpołudniowych. Nie tylko ja wyczuwałem to napięcie. Widziałem przez okno, że przechodnie na ulicy zatrzymywali się, wymieniając ze sobą uwagi na temat widzianych karetek, wozów strażackich i radiowozów milicji. Pewnie myśleli, że gdzieś się pali, bo obecność straży pożarnej zawsze wywołuje takie reakcje. A wtedy tym bardziej. A cisza wydłużała się niepokojąco. Nie słychać

było sygnałów powracających karetek. Powinna jakaś jechać do szpitala wojskowego na Szaserów, i jeszcze do Stacji Krwiodawstwa. Cisza. Trwało to długo, za długo. Po jakimś czasie wiadomo już było, że wracać nie będzie żadna.

Właśnie wtedy w radiu podali komunikat, że lecący z Nowego Jorku do Warszawy samolot Polskich Linii Lotniczych LOT spadł, schodząc do lądowania. Nie pamiętam, czy powiedzieli, że zginęli wszyscy pasażerowie. Wydaje mi się, że nie. Że to było jedno, dość lakoniczne zdanie. Tak lakoniczne, że aż mrozące krew w żyłach. Ale po tej ciszy, po tym braku ryku powracających karetek, wiedziałem, byłem pewien, że nikt nie ocalał.

Dla Janusza Mroza, wówczas dyrektora do spraw technicznych Stołecznego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej, wspomnienie katastrofy „Mikołaja Kopernika” jest tak samo traumatyczne, jak tragiczny wybuch gazu w warszawskiej Rotundzie. To były dwa najstraszniejsze wydarzenia podczas jego pracy w ciepłownictwie. Kiedy mówi o wypadku samolotu, głos mu lekko drży, a powracające w myślach obrazy wywołują bolesny wyraz na twarzy.

– Wtedy była obawa – wspomina – że samolot spadł na budynki mieszkalne i mogła być potrzebna szybka pomoc również z naszej strony. Z całego SPEC zorganizowałem spawaczy i razem zjawiliśmy się na miejscu. Na szczęście w tym tragicznym zdarzeniu samolot nie uderzył w żaden z domów, w których mogli przebywać ludzie. Spadł obok, na forty i teren niezamieszkaany.

Janusz Mróz przerywa, waha się, czy kontynuować. Gdyby Ił-62 spadł na któryś ze znajdujących się w pobliżu domów, skutki mogłyby być jeszcze bardziej tragiczne. Ale i tak to, co widział, było przerażające. Trudne do opowiedzenia nawet po trzydziestu pięciu latach. Bierze jednak głęboki oddech i mówi dalej.

– Największa część samolotu, jaką widziałem, to był fragment kadłuba i fragment podwozia, zatopione w pokrytej lodem fosie. Największe wrażenie zrobiły na mnie porzucane wysoko na topolach różne części bagażu. Widziałem plamę gęstej krwi zmieszanej z ziemią. To był człowiek. Największą częścią człowieka

była noga w nylonowej pończosze. Kształtu całego człowieka nigdzie nie widziałem.

Przerywa... i nie mówi już na ten temat nic więcej. Swojej ekipy nie musiał uruchamiać, czekała na niego przed wejściem. Jego obowiązkiem jako szefa było zorientowanie się, czy ich pomoc będzie konieczna i w jakim wymiarze. Ich instalacje były nietknięte, więc mógł opuścić teren, by zajęły się nim inne służby. Wyszedł z fortu przy ulicy Rozwojowej 6, w którym rozegrała się ta tragedia, z ulgą. Przed główną bramą spotkał czekających na niego spawaczy ze SPEC. Zobaczyli człowieka bladego, porażonego ogromem tragedii, którą przed chwilą widział.

Lecący z lotniska Johna F. Kennedy'ego w Nowym Jorku do Warszawy samolot PLL LOT Ił-62 „Mikołaj Kopernik” 14 marca o godzinie jedenastej piętnaście spadł na teren zabytkowych, dziewiętnastowiecznych fortyfikacji znanych jako Fort VI Twierdzy Warszawa. Bezpośrednią przyczyną katastrofy było pęknięcie wału turbiny, która uszkodziła silniki samolotu. Przez ostatnie pół minuty maszyna spadała bezwładnie, a jej pilotowi kapitanowi Pawłowi Lipowczanowi udało się niemal cudem za pomocą jedynie lotek na skrzydłach tak nią manewrować, że spadając, ominęła zabudowania zakładu poprawczego.

Szczałki większości ofiar leżały pośród elementów rozbitego „Kopernika”. Zginęło osiemdziesiąt siedem osób, siedemdziesięciu siedmiu pasażerów i dziesięciu członków załogi. Pięćdziesięciu dwóch obywateli Polskich, dwudziestu ośmiu USA, czterech ZSRR i trzech NRD. Ciało pilota znaleziono potem na ulicy wśród domów mieszkalnych. Nazwę ulicy zmieniono na Pawła Lipowczana.

Zginęli wówczas amerykańscy bokserzy i inni członkowie reprezentacji Stanów Zjednoczonych, łącznie dwudziestu dwóch sportowców, którzy lecieli na występy do Europy. Choć prezydent USA Jimmy Carter w lutym 1980 wezwał do bojkotu letnich igrzysk olimpijskich w Moskwie, to jeszcze w marcu nie było wiadomo, na ile ten apel będzie skuteczny. Ostatecznie do stolicy Związku Radzieckiego nie pojechały reprezentacje aż sześćdziesięciu trzech

krajów. Amerykańscy pięściarze przygotowywali się do olimpiady w Moskwie i być może, gdyby ich występy w Europie były zaplanowane miesiąc, dwa później, to z powodu schłodzenia stosunków z ZSRR i tak zwanymi krajami obozu wschodniego ich przyjazd w ogóle nie doszedłby do skutku. Ale na początku marca 1980 roku nie było jeszcze wiadomo, jak ten bojkot USA i innych krajów Zachodu będzie wyglądać. Był wtedy bardziej w sferze politycznej i dyplomatycznej niż sportowej.

Zginęło też sześciu zdolnych, młodych delegatów polskich uczelni, którzy wracali z międzynarodowego sympozjum. Na pokładzie samolotu znajdował się również Alan Parkhurst Merriam, amerykański etnomuzykolog, twórca antropologii muzycznej. W momencie śmierci miał pięćdziesiąt siedem lat.

Najbardziej jednak znaną ofiarą tragicznego lotu numer 007 była popularna polska piosenkarka Anna Jantar, a właściwie Anna Kukulska, bo takie nazwisko nosiła po mężu. Jantar to pseudonim artystyczny. Wracała z występów dla amerykańskiej Polonii. Była stęskniona po długim niewidzeniu swojej czteroletniej córki Natalii, dla której wiozła z Ameryki prezenty. Mała Natalia kilka dni wcześniej, 3 marca, obchodziła urodziny.

Dla muzyka Rafała Rękosiewicza śmierć Anny Jantar była wielkim szokiem.

– Z Anią Jantar i jej mężem bardzo się lubiliśmy, ja i moja żona. Ania była fajną, dobrą osobą. Jej śmierć bardzo przeżyłem – wspomina artysta. Miał przecież ze swoją żoną jechać z zespołem Anny Jantar na amerykańskie tournée. Jego syn miał się urodzić w USA i dzięki temu mieć amerykańskie obywatelstwo.

– Narodziny w Polsce syna zabrały nam nadzieję na wyjazd do Stanów Zjednoczonych – mówi teraz Rafał Rękosiewicz. – Gdyby się urodził w USA, miałby prawo stałego pobytu, może byśmy tam zostali na stałe. Na pewno występowałbym w Ameryce. Straciliśmy szansę na zmianę życia, ale z drugiej strony być może wracałbym, wracalibyśmy z Anią Jantar. Straciłem szansę, ale może zyskałem życie. Straciliśmy, ale może też zyskaliśmy.

## INDEKS OSOBOWY

### A

Aleksandrowicz Piotr Aleksander  
Andropow Jurij  
Andziak Jerzy  
Andziak Wojciech  
Anka Paul  
Armstrong Louis Daniel  
Aznavour Charles (właśc. Szahnur Waghinak Aznawurian)  
Aznawurian Szahnur Waghinak zob. Aznavour Charles

### B

Baczyński Jerzy  
Bajer Zdzisława Barbara zob. Sośnicka Zdzisława Barbara  
Bajon Filip  
Barchanowska, redaktor Polskiego Radia  
Bardach Wiktor Lew zob. Gerhard Jan  
Bardot Brigitte Anne Marie  
Barecki Józef  
Bareja Stanisław Sylwester  
Bartniczak Mieczysław  
Basia zob. Trzetrzelewska Barbara  
Belmondo Jean-Paul Charles  
Berman Kazimierz Jerzy zob. Marianowicz Antoni  
Bielicki Włodzimierz (Wowo)  
Biernaccy, rodzina  
Biernacka Hanna zob. Kowalska Hanna z domu Biernacka  
Biernacka Małgorzata zob. Bujalska Małgorzata z domu Biernacka  
Biernacka Władysława

Biernacki Bolesław zob. Bierut Bolesław  
Biernacki Edward  
Bierut Bolesław (właśc. Bolesław Biernacki)  
Bista Henryk  
Bochenek Małgorzata  
Bogart Humphrey DeForest  
Boniek Zbigniew Kazimierz  
Borkowska-Gomez Julia  
Brando Marlon  
Bratkowski Stefan Tadeusz Aleksander  
Bruegel Pieter  
Bryll Ernest  
Brystygier Julia z domu Prajs  
Bujalska Małgorzata z domu Biernacka  
Bujnowska Regina  
Burton Richard (właśc. Richard Walter Jenkins Jr.)  
Burzycki Zygmunt

## C

Carey Michael  
Carter James Earl Jr. zob. Carter Jimmy  
Carter Jimmy (właśc. James Earl Carter Jr.)  
Celej Leszek  
Chaplin Charles Spencer zob. Chaplin Charlie  
Chaplin Charlie (właśc. Charles Spencer Chaplin)  
Chmielewska z Wrocławia  
Chopin Fryderyk Franciszek  
Cieszkowski Ryszard  
Cieszkowski Stanisław  
Ciosek Stanisław Józef  
Ciszewski Jan  
Cygan Jacek  
Cyrankiewicz Józef Adam Zygmunt  
Czabański Krzysztof



## **D**

Demko Mikołaj zob. Moczar Mieczysław  
Dorsey Arnold George zob. Humperdinck Engelbert  
Dudek Ireneusz  
Dymna Anna z domu Dziadyk  
Dziadyk Anna zob. Dymna Anna z domu Dziadyk  
Dziedzic Irena  
Dżugaszwili Iosif Wissarionowicz zob. Stalin Józef

## **F**

Figiel Maria  
Filar Jerzy  
Florkiewicz Barbara  
Flügel Andrzej  
Flügelowie, rodzina  
Flügel Radosław  
Fonda Jane  
Forman Jan Tomáš zob. Forman Miloš  
Forman Miloš (właśc. Jan Tomáš Forman)  
Fornalska Małgorzata  
Fornalska Marcjanna  
Fox Samantha  
Frąckowiak Marek  
Fredro Aleksander  
Fronczewski Piotr  
Furman Joanna,  
Furmanowie, rodzina  
Furman Zbigniew

## **G**

Gadomscy, rodzina  
Gadomski Witold  
Gaines LaDonna Andre zob. Summer Donna

Gaulle Charles André Joseph Marie de  
Gerhard Jan (właśc. Wiktor Lew Bardach)  
Gershowitz Jacob zob. Gershwin George  
Gershwin George (właśc. Jacob Gershowitz)  
Giedroń Ryszard,  
Gieżyński Wojciech Stefan  
Gierek Edward  
Gierowski Stefan  
Glazur Adam  
Glomp Józef  
Głowacki Aleksander zob. Prus Bolesław  
Goering Hermann Wilhelm  
Goffman Erving  
Gołębiewski Henryk  
Gomez Julia zob. Borkowska-Gomez Julia  
Gomułka Władysław  
Gortat, majster  
Gott Karel  
Górecka Barbara zob. Trzetrzelewska Barbara  
Górecki, saksofonista  
Górny Zbigniew Stefan  
Górski, hydraulik  
Grabski Tadeusz Wojciech  
Gruza Jerzy

## **H**

Hanuszkiewicz Adam Stanisław  
Harris Clive  
Hermaszewski Mirosław  
Hernik Jolanta  
Hernikowie, rodzina  
Hernik Wojciech  
Himiltsbach Jan  
Hoffman Jerzy

Hołdys Zbigniew  
Hołuj Tadeusz  
Hopfer Tomasz  
Humperdinck Engelbert (właśc. Arnold George Dorsey)

## **J**

Jabłoński Henryk Jan  
Jackowski Marek Norbert  
Jakubowicz Martyna  
Jan Paweł II  
Jantar Anna (właśc. Anna Maria Kukulska z domu Szmeterling)  
Jarocka Irena Wanda  
Jaroszewicz Piotr  
Jaruzelski Wojciech Witold  
Jenkins Richard Walter Jr. zob. Burton Richard  
Jędryka Stanisław

## **K**

Kaczyński Jarosław  
Kaczyński Lech  
Kalinowska Magdalena zob. Scholl Magdalena  
Kamińscy, rodzina  
Kamińska Irena  
Kamler Witold  
Kantowicz Andrzej  
Kapuściński Ryszard  
Karol Wojtyła zob. Jan Paweł II  
Karpińska Ala  
Karpiński Ryszard  
Kąkol Kazimierz  
Kisielewski Stefan  
Kleyny Jerzy Andrzej  
Klimek, dyrektor SPEC  
Kłonica Leon

Kobuszewski Jan  
Kołodziejczyk Leszek  
Konopka Jan  
Konwicky Tadeusz  
Korn Jiři  
Kostrzewa Wera zob. Koszutska Maria (pseud. Wera Kostrzewa)  
Koszutska Maria (pseud. Wera Kostrzewa)  
Kowalik Adam Józef  
Kowalska Hanna z domu Biernacka,  
Kowalski, znajomy Wojciecha Andziaka  
Kozakiewicz Mikołaj  
Kozak Magdalena  
Kozakowie, rodzina  
Kozak Zdzisław  
Kozńiewski Kazimierz  
Krajewski Seweryn  
Krasicka Delfina  
Krasicki Janek  
Królikowski Wiesław  
Krzyżanowska Sława zob. Przybylska-Krzyżanowska Sława  
Kucówna Zofia  
Kukulska Anna Maria zob. Jantar Anna  
Kukulska Natalia Maria  
Kukulski Jarosław Kazimierz  
Kulesza Ryszard  
Kunicka Halina (właśc. Halina Irena Kunicka-Kydryńska)  
Kunicka-Kydryńska Halina Irena zob. Kunicka Halina  
Kurowski Zdzisław  
Kurz Iwona  
Kuti Fela Anikulapo (właśc. Olufela Olusegun Oludotun Ransome-Kuti)  
Kydryńska Halina zob. Kunicka Halina (właśc. Halina Irena Kunicka-Kydryńska)

## **L**

Latoszek Janusz  
Laufer Josef  
Lee Brenda (właśc. Brenda Mae Tarpley)  
Lesz Mieczysław  
Lewicki, hydraulik  
Lipińska Olga  
Lipiński Edward  
Lipowczan Paweł  
Lis Piotr  
Literska Jola  
Litwin Krzysztof Maria  
Lubelska Krystyna  
Luty Lechosław

## **Ł**

Łazuka Bohdan Cezary  
Łętowski Janusz  
Łuszczek Józef  
Łyszkiewicz Wiesław

## **M**

Maculewicz Henryk Józef  
Majewska Alicja  
Majewski Jerzy Tadeusz,  
Makowski Mirosław Ryszard  
Makowski Zbigniew  
Marcinkowski z Ostrowi Mazowieckiej  
Marianowicz Antoni (właśc. Kazimierz Jerzy Berman)  
Marks Karol  
Marley Bob (Robert Nesta)  
Marx, bracia  
Matuszkiewicz Jerzy  
May Rollo

Maziarski Jacek Kazimierz  
Maziarski Wojciech  
McIntosh Winston Hubert zob. Tosh Peter  
Mercouri Melina  
Merriam Alan Parkhurst  
Michotek Jerzy  
Miedziński Stanisław  
Migza Stanisław  
Młynarczyk Józef  
Mnichowski Przemysław  
Moczar Mieczysław (właśc. Mikołaj Demko)  
Modrzejewska Beata  
Modrzejewski Tadeusz  
Mołojec Bolesław  
Morawski Wojciech  
Morek Jan  
Morozow Pawka  
Mróz Janusz

## **N**

Nadratowski Zbigniew  
Nagański Zygmunt  
Nalepa Tadeusz  
Nasfeter Janusz  
Nawałka Adam  
Nowakowski Marek  
Nowakowski Stanisław  
Nowicki Jan  
Nowotko (Nowotka) Marcei

## **O**

Ochab Edward Mieczysław  
Offenbach Jacques  
Ogaza Roman Grzegorz

Oliwa Włodzimierz  
Olszewski Marcin  
Olszowski Stefan  
Orleans Juan de  
Ozierow Jurij

## **P**

Paleczny Piotr  
Pawlak Beata  
Pawłowski, właściciel sklepu kolonialnego  
Peszek Jan  
Petelscy, rodzina  
Petelska Alina  
Petelska Ewa  
Petelski Czesław  
Pieczyński Maksymilian  
Piernik Sławomir  
Pietruski Ryszard  
Piłatowicz, dyrektor SPEC  
Pińkowski Józef  
Piotrowski Mariusz  
Polk Hanna  
Popiel Witold  
Popiełuszko Jerzy Aleksander  
Prajs Julia zob. Brystygier Julia  
Prus Bolesław (właśc. Aleksander Głowacki)  
Przestrzelscy, rodzina  
Przestrzelska Krystyna  
Przestrzelski Zygmunt  
Przybylska-Krzyżanowska Sława  
Przybylska Sława zob. Przybylska-Krzyżanowska Sława  
Przymanowski Janusz  
Pszczółka Jerzy  
Pszoniak Wojciech

Putrament Jerzy

## Q

Quatrocchio Susan Kay zob. Quatro Suzi

Quatro Suzi (właśc. Susan Kay Quatrocchio)

## R

Racinowska Barbara

Rafalski, mieszkaniec Błonia

Ransome-Kuti Olufela Olusegun Oludotun zob. Kuti Fela Anikulapo

Rembiszewski Ryszard

Rękosiewiczowie, rodzina

Rękosiewicz Rafał

Roach Maxwell Lemuel (Max)

Rodowicz Maria Antonina zob. Rodowicz Maryla

Rodowicz Maryla (właśc. Maria Antonina Rodowicz)

Rogowski Sławomir

Roszak Andrzej

Rottrová Marie

Rudy Wojciech Władysław

Ruziccy, rodzina

Ruzicka Maria

Ruzicki Jerzy

Rzeszewski Janusz

## S

Salwowska Stefania

Sanecka Irena

Sanecki Robert

Scholl Magdalena (właśc. Magdalena Kalinowska)

Semkow Jerzy

Shaw George Bernard

Sikora Ryszard

Simenon Georges Joseph Christian



Singer Isaac Bashevis  
Sipowicz Kamil  
Skonieczny, technik normowania  
Skrzek Jan  
Skrzynecki Piotr  
Skuza Alina,  
Skuza Bronisław  
Skuza Leon  
Skuza Maciej  
Skuza Piotr  
Smith Ann-Margaret  
Smyczyński Jerzy  
Snopkiewicz Jacek  
Sośnicka-Bajer Zdzisława Barbara zob. Sośnicka Zdzisława Barbara  
Sośnicka Zdzisława Barbara  
Stalin Józef (właśc. Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili)  
Stańczak Czesław  
Stępień Wanda  
Stępniewski, pułkownik  
Stępowski Jarema  
Strasburger Karol Edward  
Suchenek Zofia  
Summer Donna (właśc. LaDonna Andre Gaines)  
Susłowski Jerzy  
Szczepański Maciej  
Szmetlerling Anna Maria zob. Jantar Anna  
Szpotański Janusz  
Szprynger Ewa  
Szydłak Jan Marian  
Szymborski Michał

## Ś

Ścibor-Rylski Aleksander  
Śpiewak Paweł

Świrski Maciej

## **T**

Tabaka Paweł

Tarnawska Irena

Tarpley Brenda Mae zob. Lee Brenda

Taylor Elizabeth Rosemond

Terlecki Stanisław Andrzej

Tosh Peter (właśc. Winston Hubert McIntosh)

Trochim Anna

Trzetrzelewska Barbara

Tym Stanisław Aleksy

## **U**

Urban Jerzy

## **W**

Walter Jadwiga

Wardejn Zdzisław

Weronika, czytelniczka „Gazety Pomorskiej”

Wesołowska Marta

Wiatr Jerzy Józef

Wichniarz Kazimierz

Wieczorek Henryk Piotr

Wiesława, mama Beaty Modrzejewskiej

Wilczek Krzysztof

Wilhelmi Roman

Wincentak Janina

Winder Leszek

Włodarska Lidia

Włodek, znajomy Wojciecha Andziaka

Wodecki Zbigniew

Wrona Andrzej

Wrona Grzegorz

Wrzesińska Barbara  
Wysocki Stanisław  
Wyspiański Stanisław

## **Z**

Zagorová Hana  
Zajac Zbigniew  
Zajączkowska Małgorzata  
Zamachowski Zbigniew  
Zamoyscy, rodzina  
Zaorski Andrzej Adam  
Zaremba Marcin  
Zawadzki Zdzisław  
Zimerman Krystian

## **Ż**

Żeromski Stefan  
Żmuda Władysław Antoni  
Żuławski Mirosław



## Grzegorz Sieczkowski



w 1979 roku, podczas zimy stulecia, miał dwadzieścia lat i pracował jako noszowy bloku operacyjnego chirurgii plastycznej. W PRL był ogrodnikiem, statystą filmowym, woźnym, gościem, studiował teologię. Założył własny teatr. W stanie wojennym pomagał wyrzuconym z pracy, a potem był kolporterem niezależnych wydawnictw. Choć skończył historię na KUL, to czuje się przede wszystkim dziennikarzem. Pracował m.in. w „Rzeczpospolitej”, „Życiu Warszawy”, „Gazecie Wyborczej”, tygodnikach „Szpilki” i „Spotkania” oraz w miesięczniku „Playboy”. Związany z Telewizją Polską, gdzie zaczynał, pracując w słynnym „Pegazie”, od wielu lat w TVP Historia. Jest autorem kilku książek, również kulinarnych. Napisał *Bezsilność prawa, siła pieniędzy, Cały ten seks, Miłość i przeznaczenie. Trzy pokolenia rodziny Kaczyńskich* oraz *Skandale PRL-u* (The Facto, 2014). Kolekcjonuje krawaty. Od wielu lat prowadzi codziennego literacko-kolekcjonerskiego bloga „Muzeum krawatów. One day, one tie”.

Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministra  
Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

THE FACTO

www.thefacto.pl  
facebook/thefacto2010

ISBN 978-83-61808-94-7



9 788361 808947